

# **WIELKIE SERIE FANTASY**

**David Gemmell**

**OPOWIEŚCI      SIPSTRASSI**

**Wilk w cieniu  
Ostatni strażnik  
Kamień Krwi  
Król widmo  
Ostatni miecz mocy**

# OSTATNI MIECZ MOCY

Przekład Dariusz Kopociński

DAVID  
GEMMELL

*Niniejszą powieść dedykuję tym licznym osobom, które przydawały moim wycieczkom do Birmingham czarodziejskiego uroku, a także: Rogowi Peytonowi, Dave'owi Holmesowi oraz Rodowi Milnerowi z "Andromedy" za dowcip i trunki; Bernie Evans i Brum Group za magię "Novaconu"; Chrisowi i Pauline Morgan za tajemnice "Chińczyka"; personelowi hotelu "RoyalAngus" za uśmiech w obliczu czystego szaleństwa*

## Prolog

Objawiony stał plecami do drzwi, wspierając krzepkie dłonie na kamiennym parapecie wąskiego okna; wzrokiem omiatał leżący w dole las, podczas gdy jego oczy skierowane były na polującego sokoła, który zataczał koła wśród kłębiastych obłoków.

- Zaczęło się, panie - rzekł sędziwy posłaniec i uklonił się nisko przed wysokim mężczyzną w mnisich szatach z burej wełny.

Objawiony odwrócił się powoli i wbił spojrzenie szarych jak dym oczu w przybyłego, który odwrócił wzrok, nie mogąc znieść siły tego spojrzenia.

- Mów, co wiesz - nakazał Objawiony, opadając na inkrustowane kością słoniową krzesło, stojące przed dębowym biurkiem; przyglądał się beznamiętnie pergaminowi, nad którym pracował.

- Czy mogę usiąść, panie? - poprosił posłaniec cichym głosem, na co Objawiony podniósł z uśmiechem głowę.

- Oczywiście, że możesz, mój drogi Cotta. Wybacz mi nastrój melancholii. Resztę moich dni zamierzałem spędzić tutaj, w Tingisie. Afrykańska aura dobrze na mnie działa, ludzie są tu przyjaźni, a ziemia spokojna, jeśli nie liczyć berberyjskich najazdów. Prawie uporałem się już z moją książką... Jednak takie przygody zawsze schodzą na dalszy plan wobec historii wziętych z życia.

Cotta usiadł z ulgą na krześle z wysokim oparciem; łysina połyskiwała mu od potu, z ciemnych oczu wyzierało zmęczenie. Przyszedł prosto ze statku, chcąc jak najszybciej zrzucić brzemień dźwiganych nowin, ciężarem których wolałby jednak nie obarczać siedzącego przed nim mężczyzny.

- Co do tego, jak to się wszystko zaczęło, krążą przeróżne pogłoski. Przeczą sobie wzajemnie lub są nadmiernie upiększone. Jest tak,

jak przypuszczałeś: Goci mają nowego wodza o niezwykłych zdolnościach. Dowodzi zwycięskimi wojskami, które przewalają się niczym taran przez królestwa północy. Sicambryjczycy i Wikingowie jeszcze się z nim nie zmierzili, ale i na nich przyjdzie kolej. Objawiony pokiwał głową.

- A co z czarną magią?

- Wysłannicy biskupów Rzymu twierdzą, że Wodan jest zręcznym nekromantą. Składa w ofierze młode dziewczyny, budując swe okręty na ich rozkrzyżowanych ciałach. To odrażające... nad wyraz odrażające. On uważa się za boga!

- Jak przejawia się siła tego człowieka? - zapytał opat.

- Jest niezwykły w boju. Nie ima się go ostrze miecza. Ponoć na jego rozkaz umarli chodzą niczym żywi... i nie tylko chodzą. Jeden z niedobitków bitwy w Recji przysięga, że u schyłku dnia zabici Goci powstali spośród wojsk nieprzyjaciela, by ciąć i zabijać. Czyż trzeba dodawać, że zniknął wszelki opór? Znam tę opowieść z ust tylko jednego człowieka, ale mam przecucie, iż jest prawdziwa.

- A co mówią sami Goci?

- Mówią, że Wodan planuje wielkimi siłami zaatakować Brytanię, gdzie magia objawia się w najwyższym stopniu. Wodan twierdzi, że Brytania jest domem dawnych bogów, a brama do Walhalli znajduje się w Sorviodunum, niedaleko Wielkiego Kręgu.

- W czym się nie myli - westchnął Objawiony.

- Co takiego, panie? - spytał Cotta wytrzeszczając oczy.

- Przepraszam, Cotta, tylko myślałem na głos. Druidzi zawsze uważali Wielki Krąg za miejsce szczególnych mocy, a przed nimi inni byli tego samego zdania. Wodan ma rację. To

swoista brama i nie wolno mu pozwolić przejść na drugą stronę.

- Wątpię, czy jest takie wojsko, które można wysłać przeciwko niemu, wyłączając Krwawego Króla, zajętego tłumieniem rewolty i obroną przed najazdem cudzoziemców. Sasi, Jutowie, Anglowie, a nawet plemiona Brytów powstają z orężem w ręku. Czy Krwawy Król będzie w stanie stawić czoło dwudziestotysięcznej gockiej armii pod wodzą maga, który nie ma sobie równych?

Objawiony uśmiechnął się od ucha do ucha; w jego oczach, szarych niczym dym z ogniska, pojawiły się wesołe błyski.

- Nigdy nie lekceważ Uthera, przyjacielu. On również nie zaznał dotąd goryczy porażki, a do tego włada Mieczem Mocy, ostrzem Cunobelina.

- Ależ to już starzec - rzekł Cotta. - Dwadzieścia pięć lat spędzonych na wojnach wycisnęło na nim swoje piętno. A Wielka Zdrada...

- Znam tę historię - uciął Objawiony. - Nalej nam wina, a ja się namyślę.

Opat obserwował, jak podstarzały mężczyzna napełnia dwa miedziane pucharki ciemnoczerwonym trunkiem, po czym przyjął jeden - z uśmiechem, aby *zatrzeć* wrażenie, jakie wywołała jego ostatnia odpowiedź.

- Czy to prawda, że wysłannicy Wodana poszukują dziewic o po-nadprzeciętnych uzdolnieniach?

- Tak. Wróżbiarek, uzdrowicielek, władających językami... Podobno wszystkie zaślubia.

- Raczej je zabija - sprostował Objawiony. - I w tym się kryje jego moc.

Opat wstał i podszedł do okna, aby popatrzeć na słońce zachodzące czerwonym płomieniem. Za jego plecami Cotta zapalił cztery świece, a potem przez kilka minut czekał w milczeniu. Na koniec przerwał ciszę:

- Czy wolno mi spytać, panie, dlaczego tak cię interesują wieści z szerokiego świata? Przecież co chwila gdzieś wybucha wojna. To takie przekleństwo człowieka: musi zabijać swoich braci. Niektórzy twierdzą, że sam Bóg rzucił tę klątwę, aby ukarać ludzi za sprzeniewierzenie w Raju.

Objawiony odwrócił się od majestatycznie zachodzącego słońca i powrócił do krzesła.

- Życie, Cotta, znajduje się w delikatnej równowadze, jak światło i mrok, słabość i siła, dobro i zło. Harmonia natury. W nieprzeniknionej ciemności zginie każda roślina, w ostrym świetle przepali się lub zwiędnie. Istotą wszystkiego jest równowaga. Wodana trzeba poskromić, zanim stanie się bogiem, ciemnym i mściwym bogiem. Krwiopijcą. Złodziejem dusz.

- Chcesz mu się przeciwstawić, panie?

- Owszem, mam taki zamiar.

- Ale skąd weźmiesz wojsko? Nie jesteś królem ani udzielnym generałem.

- Jeszcze nie wiesz, kim jestem, przyjacielu. Dalej, napełnij kielichy, zobaczmy, co Graal nam pokaże.

Objawiony podszedł do dębowej skrzyni, gdzie nalał wody z glinianego dzbanka do płytkiej, srebrnej czarki, którą następnie przyniósł

ostrożnie do stołu. Poczekał, aż wygładzą się zmarszczki na powierzchni, po czym podniósł nad wodę złoty kamień i wykonał nim kilka wolnych, kolistych ruchów. Jakkolwiek powietrze było niezmacone, płomienie świec zamigotały i zgasły. Cotta wpatrywał się, pochylony, w ciemną, aksamitną toń wody w misce,

Pierwszy obraz przedstawiał wizerunek rudowłosego młodziana o dzikim wejrzeniu, wymachującego w powietrzu drewnianym mieczykiem. Opodal siedział starszy wojownik; skórzany, zamocowany na rzemykach kapturek przykrywał kikut w miejscu, gdzie powinna znajdować się prawa dłoń. Objawiony śledził ich bacznym spojrzeniem; na koniec przesunął ręką nad powierzchnią. Teraz pokazało się błękitne niebo i siedząca nad brzegiem jeziora dziewczyna w bladozielonej sukience.

- To góry Recji - szepnął Cotta. Dziewczyna wolno zaplatała w warkocz swoje ciemne włosy.

- Jest niewidoma - oznajmił Objawiony. - Widzisz, jak patrzy na słońce bez zmużenia powiek?

Raptem twarz dziewczyny odwróciła się w ich stronę.

- Dzień dobry - powiedziała; bezdźwięczne słowa rozbrzmiały w myślach obu mężczyzn.

- Kim jesteś? - zapytał Objawiony łagodnie.

- Dziwne uczucie - odparła. - Twój głos jest szeptem porannego wiatru i zdaje się tak bardzo odległy.

- Bo dzieli nas duża odległość, moje dziecko. Kim jesteś?

- Jestem Anduina.

- Gdzie mieszkasz?

- W Cisastra z moim ojcem, Ongistem. A ty?

- Nazywam się Objawiony.

- Jesteś moim przyjacielem?

- Jestem, to prawda.

- Tak też myślałam. A któż tam jest obok ciebie?

- Skąd wiesz, że nie jestem sam?

- To taki mój dar, panie Objawiony. Kim on jest?

- To Cotta, mnich, członek bractwa Białego Chrystusa. Wkrótce się spotkacie. On także jest twoim przyjacielem.

- To już wiem. Wyczuwam jego dobroć.

Objawiony po raz drugi przesunął dłoń nad powierzchnią wody. Teraz ukazał się młody człowiek z grzywą długich, kruczoczarnych włosów, który w dolince niedaleko Londinium wiódł piękne stado sicambryjskich koni. Młodzieniec był przystojny, miał delikatnie wyrzeźbioną twarz z silnym, ogolonym podbródkiem. Objawiony mierzył jeźdźca uważnym spojrzeniem.

Tym razem woda rozbłysła samoistnie, ciemna chmura burzowa ciskała w ciszy włócznie rosochatych błyskawic, rozjaśniając nieboskłon. Spomiędzy obłoków wyfrunął stwór z błoniastymi skrzydłami i długim spiczastym ogonem. Na jego grzbiecie siedział żółtobrody wojownik. Uniósł prawicę i oto błyskawica pomknęła na spotkanie patrzących. Ramię Objawionego wystrzeliło do przodu akurat wtedy, gdy rozstąpiła się woda. Biały ogień ukąsił go w rękę, a w pomieszczeniu rozeszła się woń spalonego ciała. Woda parowała i bulgotała, znikając w chmurze oparów. Srebrna czarka przekrzywiła się i część zawartości wypłynęła na stół, a srebrzy-stoczarny, płynący z sykiem strumień podpalił drewno. Cotta odskoczył do tyłu, gdy zauważył osmaloną dłoń Objawionego. Opat uniósł złoty kamień i dotknął nim oparzonej skóry. Rana zagoiła się natychmiast, lecz nawet magia nie potrafiła wymazać wspomnienia bólu. Objawiony opadł na krzesło z bijącym sercem i twarzą zroszoną potem. Odetchnął głęboko i popatrzył na zwęglony blat stołu. Płomienie zgasły, dym się rozwiął, a świece na nowo ożyły.

- On wie o mnie, Cotta. Ale skoro mnie zaatakował, i ja czegoś się teraz o nim dowiedziałem. Wciąż nie jest gotów, by pograżyć świat w ciemności. Potrzebna mu jeszcze jedna ofiara.

- Do czego? - zapytał szeptem starzec.

- W języku tego świata? Pragnie rozewrzeć wrota piekieł.

- Można go powstrzymać? Objawiony wzruszył ramionami.

- To się dopiero okaże, przyjacielu. Wyruszysz statkiem do Recji i odszukasz Anduinę. Zabierzesz ją do Brytanii, do Noviomagu-su. Zobaczymy się tam za trzy miesiące. W południowej dzielnicy znajdziesz gospodę o nazwie, jak mniemam, "Znak Byka". Bądź tam każdego dnia w południe i czekaj godzinę. Spotkam się z tobą przy najbliższej okazji.

- Czyżby niewidoma dziewczyna miała zostać ofiarowana? -Tak.
- A co z rudowłosym chłopcem i jeźdźcem?
- Jak na razie, nie wiem. Przyjaciele lub wrogowie... Czas pokaże. Chłopiec kogoś mi przypominał, ale jeszcze nie wiem kogo. Miał na sobie saski przydzwiek, a ja nigdy nie podróżowałem wśród Sasów. Co się tyczy jeźdźca, ten jest mi znany. Nazywa się Ursus i pochodzi z rodu Merowingów. Ma brata, jak sądzę, i marzą mu się bogactwa.
- A człowiek na smoku? - zapytał Cotta po cichu.
- To wróg spoza Mgły.
- Czy to rzeczywiście Wodan, szary bóg? Objawiony pociągnął łyk wina.
- Wodan? Różnie go nazywano. Dla jednych był Odysem Jednookim, dla drugich Lokim. Na wschodzie zwano go Purgameszem lub Molochem, a nawet Baalem. Tak, Cotta, on jest obdarzony bo-skością, czy też nieśmiertelnością, jak wolisz. A tam, gdzie stąpa, szerzy się chaos.
- Mówisz o nim, jakbyś go znał.
- Bo go znam. Już kiedyś z nim walczyłem. -I co się stało?
- Zabiłem go, Cotta - odparł opat.

## Rozdział pierwszy

**G**rysstha obserwował, jak chłopiec wymachuje drewnianym mieczem, przesywając powietrze zamaszystymi cięciami.

- Stopy, chłopcze. Nie zapominaj o stopach!

Starzec odchrząknął głośno i splunął na trawę, a potem podrapał się w swędzący nadgarstek kalekiej ręki.

- Szermierz musi umieć utrzymać równowagę. Nie wystarczy sprawna ręka i bystre oko. Jeżeli upadniesz, czeka cię śmierć, chłopcze.

Młodziak wbił w ziemię drewniane ostrze i usiadł przy starym wojowniku. Pot perlił się na jego czole, a w błękitnych oczach błyskały iskry.

- Ale idzie mi coraz lepiej, prawda?

- Oczywiście, że idzie ci coraz lepiej, Cormacu. Tylko głupcy nie robią postępów.

Chłopiec wyciągnął broń i starł brud z wystruganego w drewnie ostrza.

- Czemu jest taki krótki? Czy muszę ćwiczyć z rzymską głownią? - Poznaj swego wroga. Nie zwracaj uwagi na jego słabości. Znajdź je twój umysł, jeśli będzie odpowiednio wprawiony. Zapoznaj się z siłą nieprzyjaciela. Takimi właśnie mieczami, chłopcze, podbił on cały świat. A wiesz dlaczego?

-Nie.

Grysstha uśmiechnął się.

- Nazbieraj no trochę patyków, Cormacu. Nazbieraj patyków, które potrafisz złamać dwoma palcami.

Kiedy chłopiec z radosną miną ruszył między drzewa, Grysstha odprowadzał go wzrokiem, pozwalając, by duma odmalowała się na jego twarzy, teraz, gdy młodzieniec nie mógł tego dojrzeć.

Dlaczego na świecie żyje tylu głupców? - pomyślał, gdy duma ustąpiła przed gniewem. Dlaczego nikt nie widzi potencjału, jaki drzemie w tym chłopcu? Dlaczego wszyscy go nienawidzą ze względu na winę, której nie popełnił?

- Mogą być takie? - zapytał Cormac, rzucając u stóp Gryssthy dwadzieścia patyków grubości palca.

- Złam no jeden z nich.

- Pestka - orzekł Cormac, kiedy trzasnął patyczek.

- A teraz reszta, chłopcze; połam je wszystkie.

Gdy młodzieniec spełnił polecenie, Grysstha wyciągnął zza paska kawałek sznurka.

- Weź dziesięć patyczków i zwiąż je tym w wiąznię.

- Jak wici?

- Dokładnie. Dobrze je ściśnij.

Cormac zrobił pętlę ze sznurka, zebrał dziesięć gałązek i związał je pieczołowicie. Podał Gryssthe grubą na cztery cale wiąznię, lecz starzec potrząsnął głową.

- Złam je - powiedział.

- Nie dam rady.

- Spróbuj.

Chłopiec zmagał się z wiąznię, krew nabiegła mu do twarzy, a mięśnie rąk i ramion prężyły się pod czerwoną wełnianą koszulą.

- Przed chwilą zламаłeś dwadzieścia takich patyków, a teraz nie potrafisz poradzić sobie z dziesięcioma.

- Ale one są związane, Grysstho. Nawet Calder by ich nie zламаł.

- To właśnie jest tajemnica, jaką Rzymianie ukrywali w swoich krótkich mieczach. Sas walczy długim mieczem, zataczając nim szerokie koła. Jego towarzyszom nie wolno stać za blisko, gdyż mogłoby ich ugodzić ostrze. Dlatego każdy walczy osobno, chociaż w bitwie uczestniczy dziesięcioletnia armia. Natomiast Rzymianin z *gladiusem* przykładą tarczę do tarczy swego sąsiada, a ostrze jego kęsa niczym paszcza żmii. Rzymskie legiony przypominały te oto wici, były związane i zwarte.

- No to dlaczego przegrali, skoro byli tacy niezwyciężeni?

- Każde wojsko jest tylko tyle warte, ile jego dowódca, a dowódca stanowi jedynie odbicie cesarza, który go mianuje. Dni Rzymu przeminęły. Robaki toczą rzymskie ciało, glisty wyżerają jego mózg, a szczury szarpia go za ścięgna.

Po raz wtóry starzec odchrząknął i splunął, błyskając bladoniebieskimi oczami.

- Walczyłeś z nimi, prawda? - zapytał spokojnie Cormac. - W Galii i w Italii?

- Owszem, walczyłem. Patrzyłem, jak legiony rzucają się do ucieczki przed ociekającym krwią orężem Gotów i Sasów. Omal nie zapłakałem wtedy na wspomnienie dawnych Rzymian. Rozbiliśmy siedem legionów, zanim zmierzyliśmy się z wrogiem, z którym nie hańba walczyć: z Afrianusem i jego szesnastym legionem. Ach, Cormacu, co to był za dzień! Dwadzieścia tysięcy krzepkich wojowników, pijanych wizją zwycięstwa, uderzyło na jeden pięcioletni legion. Stałem wówczas na wzgórzu i spoglądałem w dół na ich lśniące, spiżowe tarcze. Pośrodku, na bułanym ogierze, siedział sam Afrianus. Miał sześćdziesiąt lat i wyróżniającą go wśród pobratymców brodę, upiętą na saską modłę. Runęliśmy na nich z impetem, ale wyglądało to tak, jakby woda rozbiła się o kamienie. Ich linia nawet nie pękła. Potem ruszyli naprzód i rozdzielili nasze wojska. Niewiele więcej niż dwa tysiące moich druhów uratowało się ucieczką w lasy. Cóż to był za człowiek! Mogę przysiąc, że w jego żyłach płynęła saska krew.

- Co się z nim stało?

- Cesarz odwołał go do Rzymu, gdzie został zamordowany. - Grysstha zachichotał. - Glisty w mózgu, Cormacu.

- Dlaczego? - krzyknął chłopiec. - Po co zabijać zdolnego dowódcę?

- Zastanów się nad tym, chłopcze.

- To dla mnie bez sensu.

- W tym cały sekret, Cormacu. W tej opowieści nie szukaj sensu. Szukaj męnych serc. No,

dosyć tego, zostaw mnie, niech popatrzę, jak kozy napychają sobie brzuchy. Wracaj do swoich obowiązków.

Chłopcu zredła mina.

- Chcę być z tobą, Grysstho. Ja... ja czuję przy tobie taki spokój.

- Na tym polega przyjaźń, Cormacu Daemonssonie. Czerp z niej siłę, gdyż świat nie rozumie takich jak ja i ty.

- Dlaczego jesteś moim przyjacielem, Grysstho?

- A dlaczego orły latają? Dlaczego niebo jest niebieskie? No, idź już. I weź się w garść.

Grysstha obserwował, jak chłopiec z ociąganiem schodzi z wysokiego pastwiska i znika między widniejącymi w dole chatami. Potem stary wojownik podniósł wzrok na horyzont i przepływające nisko obłoki. Bolała go okaleczona ręka, więc odpiął z nadgarstka skórzany kapturek i potarł pomarszczone ciało. Sięgnął po leżące na

ziemi ostrze z drewna, rozpamiętując czasy, kiedy jego własny miecz miał imię, historię i, co ważniejsze, przeszłość.

Ale to było przed dniem odległym o piętnaście lat, gdy Krwawy Król zdruzgotał Południowych Sasów, szerząc rzeź i pożogę, wydzierając z ludzi serca i wznosząc je triumfalnie w okutej zbroję prawicy. Powinien był zabić ich wszystkich, ale tego nie zrobił. Kazał sobie złożyć przysięgę na wierność i pożyczył im pieniędzy na odbudowanie zrujnowanych zagród i przysiółków.

W ostatniej bitwie Grysstha miał szansę zabić Krwawego Króla. Przedał się do czworoboku z tarcz, wycinając sobie drogę do króla o płomiennych włosach, lecz ostrze trafiło go w nadgarstek i niemal odcięło dłoń. Potem ktoś zdzielił go potężnie w hełm; wtedy upadł na ziemię, ogłuszony. Usiłował się podnieść, ale kręciło mu się w głowie. Gdy wreszcie odzyskał przytomność i uniósł powieki, nachylało się nad nim oblicze Krwawego Króla, który klęczał obok. Grysstha sięgnął palcami do królewskiego gardła, lecz palców nie było - tylko okrwawione bandaże.

"Byłeś wspaniałym wojownikiem - rzekł wówczas Krwawy Król. - Chylę przed tobą czoło!"

"Odciałeś mi rękę!"

"Wisiała na włosku. Nie dało się jej uratować".

Grysstha wstał ociężale, zachwiał się i rozejrzał dokoła. Ciała zaścierały pole bitwy, a między trupami, w poszukiwaniu ukochanych, tułały się saskie kobiety.

"Czemu mnie oszczędziłeś?" - parsknął Grysstha, odwracając się do króla.

Władca jedynie uśmiechnął się i okręcił na pięcie. Opuścił pobojuwisko w eskorcie gwardzistów, zmierzając do szkarłatnego namiotu, rozbitego u brzegów pluszczącego strumyka.

"Dlaczego?!" - krzyknął Grysstha, upadając na kolana.

"Chyba sam tego nie wie" - odezwał się czyjś głos i Grysstha odwrócił wzrok.

Opodal, wsparty na ozdobnej, wystruganej z ciemnego błyszczącego drewna lasce, stał Bryt w średnim wieku, ze skąpą płową brodą na szpiczastym podbródku. Grysstha zobaczył, że jego lewa noga jest skrzywiona i zdeformowana. Człowiek ów wyciągnął do Sasa rękę, lecz Grysstha zignorował ją i podniósł się z klęczek.

"On czasami polega na intuicji" - rzekł mężczyzna łagodnym tonem; w jego oczach nie dało się zauważyć ani cienia obraźliwości.

"Pochodzisz z tutejszych plemion?"

"Jestem Brygantem".

"Czemu w takim razie służysz Rzymianinowi?"

"Cóż, ziemia jest jego, a on jest ziemią. Na imię mi Prasamaccus".

"A więc zawdzięczam życie kaprysowi króla?"

"Tak. Stałem u jego boku, gdy rzuciłeś się na mur z tarcz. To była lekkomyślna szarża".

"Bo jestem lekkomyślnym człowiekiem. Co on teraz zamierza z nami zrobić? Chce nas



sprzedać?"

"Zdaje się, że chce dać wam pokój".

"Czemu miałby popełnić takie głupstwo?"

Prasamaccus pokuśtykał do sterczącego z ziemi głazu i usiadł.

"Koń mnie kopnął - powiedział - a już przedtem nie miałem zbyt silnych nóg. Jak tam ręka?"

"Płonie żywym ogniem" - odparł Grysstha, siadając obok Bryganta. Wodził oczyma za kobietami przeszukującymi pole bitwy, podczas gdy kruki zataczały kręgi w powietrzu, oznajmiając ochryplym wrzaskiem, jak bardzo są głodne.

"On twierdzi, że i wy jesteście z tej ziemi - rzekł Prasamaccus. -Rządzi krajem od dziesięciu lat. Widzi, jak Sasi, Jutowie, Anglowie i Goci rodzą się na Wyspie Mgieł. Nie są już najeżdźcami".

"Czyżby przypuszczał, że przybyliśmy tu, aby służyć rzymskiemu królowi?"

"Dobrze wie, dlaczego tu przybyliście: aby grabić, zabijać i obrastać w bogactwa. Ty postanowiłeś jednak zamieszkać na farmie. Jak ci się podoba ta ziemia?"

"Ja urodziłem się za morzem, Prasamaccusie".

Brygant uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. Grysstha zerknął na nią. Wymienili uścisk wojowników, chwytając się za przeguby rąk.

"Sądzę, że zacząłeś używać lewej ręki w godny sposób".

"Nauczę się nią także wymachiwać mieczem. Mam na imię Grysstha".

"Już cię wcześniej widziałem. Uczestniczyłeś w wielkiej bitwie pod Eboracum. W dniu, kiedy król powrócił do domu".

Grysstha skinął głową.

"Masz bystre oko i jeszcze lepszą pamięć. Tak, to był Dzień Dwóch Słońc. Nigdy od tamtej pory nie widziałem czegoś podobnego... i nie chciałbym zobaczyć. Walczyliśmy wówczas wraz z Brygantami i tchórzliwym królem Eldaredem. Byłeś z nim wtedy?"

"Nie, stałem pod dwoma słońcami razem z Utherem i dziewięcym legionem".

"Dzień Krwawego Króla. Od tamtego czasu źle nam się wiodło. Czemu nie można go pobić? Skąd zawsze wie, gdzie uderzyć?"

"Jest bowiem ziemią, a ona wie".

Grysstha nic na to nie odrzekł. Nie mógł się przecież spodziewać, że ten człowiek wyjawia mu sekrety króla.

Z siedmiu tysięcy Sasów, którzy stanęli do bitwy, ostało się tysiąc stu. Uther rozkazał im klęknąć i przysiąc na krew swoich przodków, że nigdy już nie wystąpią przeciwko niemu. W zamian za to ziemia miała być ich, jak poprzednio, teraz jednak na mocy prawa, a nie skutkiem podboju. Pozostawił im również króla, Wulfhere, syna Orsy, syna Hengista. Odważne posunięcie. W pierwszych promieniach jutrzeńki Grysstha klęczał wraz z innymi przed królewskim namiotem, patrząc na Uthera stojącego ramieniem w ramię z młodzieńcem Wulfhere.

Sasi uśmiechali się, nie zważając na porażkę, bo nie klęczeli przed swoim pogromcą, ale przed prawowitym władcą.

Krwawy Król także o tym wiedział.

"Macie moje słowo, że nasza przyjaźń jest równie twarda jak to ostrze - powiedział, wznosząc miecz Cunobelina wysoko w powietrze, tak że promienie słońca spływały niczym płomień po stali. -Ale nawet przyjaźń ma cenę. Miecz ten nie ścierpi żadnego miecza w ręku Sasa. - Pomruk złości dał się słyszeć wśród klęczących. -Jeśli dotrzymacie słowa, to się może zmienić - mówił król - ale spróbujcie tylko nie dotrzymać, a powrócę i żaden mężczyzna ani niewiasta, ani kwilące dziecko nawet nie ostanie się przy życiu od Anderidy po Ventę. Wybór należy do was".

Król odjechał razem ze swoją armią w przeciagu dwóch godzin, a oszołomieni Sasi zasiedli

do Narady Wodana. Wulfhere miał zaledwie dwanaście lat i nie przysługiwało mu prawo głosu. Calder został wyznaczony do wspierania go w sprawowaniu rządów. Reszta dnia minęła na wyborze członków rady. Z osiemnastu stałych członków pozostało jedynie dwóch i całość udało się skompletować dopiero o zachodzie słońca.

W dwie godziny po świcie zebrało się osiemnastu wybranych i przystąpiono do właściwych obrad. Niektórzy optowali za wymarszem na wschód i przyłączeniem się do Drady, syna Hengista, który był zresztą wujem Wulfhere, a więc jego bliskim krewnym. Inni woleli poczekać, dopóki nie zostanie zorganizowana następna armia. Jeszcze inni proponowali wysłać po posiłki za morze, gdzie wojny Merowingów wyganiały ludzi z domów.

Tegoż dnia nastąpiły dwa znamienne zdarzenia. W południe przyjechał wóz od króla, wyładowany srebrem i złotem, które miały zostać rozdysponowane tak „,jak rada uzna za stosowne”. Dar ów oznaczał możliwość zakupu żywności na nadchodzącą srogą zimę, a także zaopatrzenia się w koce i inne artykuły u Merowingów w Galii.

Drugim doniosłym wydarzeniem była mowa wygłoszona przez Caldera, która na długo zapadła w pamięć, jeśli nie w serca, słuchaczy.

“Walczyłem z Krwawym Królem i miecz mój ociekał krwią jego gwardzistów. Ale dlaczego z nim walczyliśmy? Zapytajcie o to samych siebie. Ja twierdzę, że mieliśmy nadzieję go pobić, a następnie złupić Ventę, Londinium, Dubris i wszystkie kupieckie miasta. Teraz jednak wiemy, że jego nie można pokonać... Ani my tego nie dokonamy, ani prawdopodobnie Drada. Widzieliście wóz, a w nim więcej pieniędzy niż zdobylibyśmy podczas całej kampanii. Powiadam: zaczekajmy i popróbujmy stałości jego słowa; wróćmy na farmy, naprawmy szkody, zatroszczmy się o zbiory, gdzie to tylko możliwe”.

“Mężczyźni bez mieczów, Calderze. Któż bez nich wpuści nas do Walhalli?” - zakrzyknął wysoki wojownik.

“Co do mnie, jestem sługą Białego Chrystusa - odparł Calder - i nie interesuje mnie Walhalla. Ale jeśli interesuje ona ciebie, Snorri, przystań do Drady. Niech każdy, kto pragnie dalej walczyć, uczyni podobnie. Zaoferowano nam przyjaźń i zaiste, gorszych na świecie rzeczy można się spodziewać po zwycięzcy niż wozu z górą złota”.

“To tylko dowód, że on się nas boi - nie ustępował Snorri, podrywając się na nogi. - Radzę, abyśmy przeznaczili złoto na zakup broni i ludzi, a potem ruszyli na Camulodunum”.

“A może jeszcze zabierzesz stodołę na tę swoją kampanię?” - rzekł Calder. Śmiech zawtórował jego słowom, gdyż było powszechnie wiadome, iż Snorri schował się przed Rzymianami pod kocem w szerokiej stodole, z której wybiegł dopiero wtedy, gdy ją podpalamo. Został wybrany do rady wyłącznie ze względu na swe rozległe włości.

“Zostałem odcięty i miałem do wyboru tylko to albo śmierć - odpowiedział Snorri. - Zabiorę swoje złoto i przyłączę się do Drady”.

“Nikt nie zabierze złota - sprzeciwił się Calder. - Dar został przekazany radzie i zastanowimy się wspólnie, jak go wykorzystać”.

Ostatecznie Snorri wraz z czterema innymi przywódcami na czele ponad dwustu ludzi wyruszył do Drady. Reszta pozostała, aby rozpocząć nowe życie wasali Krwawego Króla.

W ustach Gryssthy decyzja ta smakowała jak popiół. Był jednak parobkiem Caldera i jemu ślubował posłuszeństwo, a decyzje możnych rzadko go obchodziły.

Tamtej nocy, kiedy stał samotnie na Wysokim Wzgórzu, podszedł do niego Calder.

“Coś cię nęka, przyjacielu?” - zagaił.

“Znowu dojdzie do rozlewu krwi. Słyszę to w szepcie wiatru. Kruki także to czują”.

“Mądre ptaki z tych kruków. Są oczami Odyna”.

“Słyszałem, jak powiedziałeś im, że jesteś sługą Białego Chrystusa”.

“Sądzisz, że Krwawy Król nie miał szpiegów na naszej naradzie? Sądzisz, że Snorri i jego ludzie zdążą połączyć się z Dradą? Albo że ktokolwiek z nas by przeżył, gdybym powiedział co innego? Nie, Grysstho. Ja wierzę w dawnych bogów, którzy rozumieją serca mężczyzn”.

“A co z traktatem z Utherem?”

“Będziemy go przestrzegać tak długo, jak nam się spodoba. Lecz pewnego dnia twoja ucięta ręka zostanie srodze pomszczona. Zeszłej nocy śniło mi się, że widzę Krwawego Króla stojącego samotnie na szczycie wzgórza. Wokoło ścieliły się trupy jego żołnierzy, sztandar leżał złamany. Wierzę, że sen ten zesłał mi Odyn jako obietnicę na przyszłość”.

“Upłynie wiele lat, zanim znów wzrośniemy w siłę”.

“Jestem cierpliwym człowiekiem, przyjacielu”.

Krwawy Król wolno zsiadł z konia, przekazując wodze rumaka milczącemu giermkowi. Wszędzie dookoła otaczały go ciała zabitych, a po pochmurnym niebie przeływały ciemne chmary kruków czekających na ucztę.

Uther zdjął spiżowy hełm i pozwolił, by wiatr ochłodził jego twarz. Był tak zmęczony, że nie chciał, aby ktokolwiek widział go w takim stanie.

- Jesteś ranny, panie - ozwał się Victorinus, stojąc na tle posępnego krajobrazu. Oczy jego zwężyły się w szparki na widok krwi wypływającej z rany na ramieniu króla.

- To nic wielkiego. Jakie ponieśliśmy straty?

- Ludzie z noszami wciąż się uwijają, panie, a chirurg nie ma czasu liczyć. Rzekłbym, jakichś ośmiuset ludzi, ale może być mniej.

- Lub więcej?

- Pędzimy nieprzyjaciela w stronę wybrzeży. Nie zmienisz zdania i nie każesz spalić ich okrętów?

- Nie, bez nich nie będą w stanie uciec przed nami. Aby wytępić do szczętu ich wojska, musiałbym poświęcić cały legion, a nie stać mnie na trwonienie pięciu tysięcy żołnierzy.

- Pozwól opatrzyć sobie ranę, panie.

- Przestań trząść się nade mną, człowieku! Rana się zasklepiła. .. prawie. Lepiej popatrz na nich! - Wskazał na pole między rzeką a jeziorem, usiane setkami ciał powykrecanych w śmiertelnych pozach. - Przybyli na grabież, a teraz kruki wydziobią im oczy. A ci, co przeżyli, czy się czegoś nauczą? Czy powiedzą: “Unikajcie królestwa Krwawego Króla”? Nie, oni powrócą liczniejsi o tysiące. Cóż tak bardzo przyciąga ich do tej ziemi?

- Nie wiem tego, panie, ale jak długo będą przybywać, my będziemy ich zabijali - odparł Victorinus.

- Zawsze taki lojalny, przyjacielu. Wiesz, jaki dzień jest dzisiaj?

- Oczywiście, panie. Dziś mamy Dzień Krwawego Króla. Uther zachichotał.

- Dzień Dwóch Słońc. Gdybym wtenczas wiedział, że mam przed sobą ćwierćwiecze wojen... - Pogrążył się w zadumie.

Victorinus zdjął swój hełm z pióropuszem, a jego białe włosy rozwiały się na wietrze.

- Ale wciąż jesteś niepokonany, panie. Legendy o tobie krążą od Camulodunum do Rzymu i od Tingisu do Bizancjum. Krwawy Król, który nigdy nie doznał klęski. Chodź, twój namiot gotowy. Należę ci wina.

Królewski namiot rozbito na szczycie wzniesienia górującego nad polem bitwy. Wewnątrz, obok polowego łóżka, żarzyły się węgle w piecyku. Baldric, giermek Uthera, pomógł mu pozbyć się kolczugi, napierśnika i nagolenników. Król z ulgą opadł na łóżko.

- Dziś czuję ciężar lat na karku - powiedział.

- Nie powinieneś walczyć tam, gdzie bitwa najgorętsza. Przypadkowa strzała, pechowe uderzenie... - Victorinus wzruszył ramionami. - My... Brytania ulegnie bez ciebie. - Podał władcy puchar rozcieńzonego wina, a król podniósł się do pozycji siedzącej i jednym haustem wypił całą zawartość.

- Baldricu!

- Tak, panie.

- Wyczyścisz miecz. Ale uważaj, bo jest ostrzejszy od grzechu. Baldric z uśmiechem chwycił wielki miecz Cunobelina i wyniósł go z namiotu. Victorinus odczekał, dopóki

młodzieniec nie zniknie, po czym przyciągnął sobie płócienny stołek i usiadł obok monarchy.

- Jesteś zmęczony, Utherze. Pozwól, że buntem Trinovantów zajmiemy się ja i Gwalchmai. Skoro teraz rozbiliśmy Gotów, plemiona stawiają nam słaby opór.

- Prześpię się, a rano będę wypoczęty. Trzęsiesz się nade mną niczym stara kobieta.

Victorinus wyszczerzył zęby i potrząsnął głową, a król, położywszy się na wznak, zamknął oczy. Starszy człowiek siedział nieruchomo, wpatrzony w królewskie oblicze - rude włosy i srebrnoblond brodę - wspominając młodzieńca, który ongi wkroczył do piekieł dla ratowania kraju. Włosy miał teraz ufarbowane henną, oczy wydawały się starsze od samego czasu.

W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat człowiek ów porywał się na rzeczy niemożliwe, powstrzymując napór barbarzyńskiej powodzi, która łącno mogła zatopić Wyspę Mgieł. Tylko Uther ze swoim Mieczem Mocy stał pomiędzy światłem cywilizacji a ciemnością rozjuszonych hord. Victorinus był czystej krwi Rzymianinem, ale walczył u boku Uthera przez ćwierć wieku, tłumiąc rebelie, niszcząc siły inwazyjne Sasów, Wikingów, Gotów i Danów. Jak długo jeszcze będzie zwyciężać niewielka armia Uthera?

Dopóki król nie umrze. Tak wyglądała gorzka prawda, źródło głębokiego smutku. Tylko Uther władał mocą, miał dość siły i osobistej charyzmy. Kiedy jego zabraknie, zagasną ostatnie światła.

Po wejściu do namiotu, widząc śpiącego króla, Gwalchmai zatrzymał się w milczeniu. Victorinus wstał, nakrył Uthera kocem, a następnie skinął na starego wojownika Kantów i razem wyszli na zewnątrz.

- Ciężko mu na duszy - stwierdził Gwalchmai. - Prosiłeś go już? -Tak.

-I...?

- A cóż myślałeś, przyjacielu?

- Jeśli zginie, koniec z nami - rzekł Gwalchmai. Był mężem wysokiego wzrostu; spod siwych, krzaczastych brwi spozierały przenikliwe oczy, a srebrna broda była ufryzowana na modłę jego kantyjskich przodków. - Boję się o niego. Od czasu tej zdrady...

- Ciszej, człowieku! - syknął Victorinus, biorąc kompana pod ramię i odprowadzając go dalej w mrok.

Wewnątrz namiotu Uther otworzył oczy. Odrzucił koc i nalał sobie wina, tym razem nie dolewając wody.

Wielka Zdrada. Nadal o niej mówiono. Ale czyja była to zdrada? - zastanawiał się. Wysączył wino i powiornie napełnił kielich.

Zobaczył ich przed sobą, na wierzchołku samotnego klifu...

- Słodki Jezus! - westchnął. - Racz mi wybaczyć.

Cormac minął rozsiane z rzadka chaty i doszedł do kuźni, gdzie Kern pracował nad lemieszem pługa. Chłopiec poczekał, aż zlany potem kowal zanurzy rozgrzane żelazo w kadzi, a następnie zbliżył się do niego.

- Ma pan dla mnie jakąś pracę? - zapytał. Łysy, tęgi Kern wytarł dłonie o skórzany fartuch.

-Dziś żadnej.

- Mógłbym przynieść drzewa.

- Powiedziałem, że dzisiaj żadnej - warknął kowal. - A teraz zmykaj!

Cormac przełknął z trudem ślinę.

- Mogę posprzątać w narzędziowni.

Ręka Kerna wystrzeliła w stronę głowy chłopca, lecz Cormac uskoczył w bok, a kowal się zachwiał.

- Przepraszam, panie Kern - powiedział. Zatrzymał się i stanął spokojnie, a wiedzący kowal uderzył go wściekle w ucho.

- Zjeżdżaj stąd! I nie przychodź jutro!

Cormac wyszedł z kuźni wyprostowany; dopiero gdy oddalił się na wystarczającą odległość, wypłynął krew z ust. Był głodny i samotny. Wszędzie wokół dostrzegał przejawy rodzinnego

życia: matki z niemowlętami, dzieci bawiące się z braćmi i siostrami, ojców uczących synów konnej jazdy.

Garniarz nie miał dla niego pracy, tak samo jak piekarz i garbarz. Wdowa Althwynne użyczyła mu maczety i przez większą część popołudnia rąbał drzewo, za co otrzymał kawałek ciasta i kwaśne jabłko. Nie pozwoliła mu jednak przekroczyć progu swego domostwa, nie obdarzyła go uśmiechem, zbyła ledwie kilkoma słowami. Chociaż miał już czternaście lat, Cormac Daemonsson nie odwiedził wnętrza domu żadnego z mieszkańców wioski. Już dawno przywykł do tego, że ludzie na jego widok czynią obronny znak

rogu i tylko Grysstha patrzy mu w oczy. Grysstha jednak wyróżniał się od reszty... Był mężczyzną, prawdziwym mężczyzną, który nie lękał się zła. Mężczyzną, który nie widział w nim syna demona. Jedynie Grysstha rozmawiał z chłopcem o owym dziwnym dniu sprzed piętnastu lat, kiedy to wraz z gromadą łowców wkroczył do jaskini Sola Invictusa, gdzie wielki czarny ogar leżał obok czterech piszczących szczeniąt; obok spoczywało płomiennowłose dziecko, wciąż mokre po porodzie. Suka natarła na łowców i została zabita razem ze szczeniętami, lecz żaden z Sasów nie miał ochoty zabijać dzieciaka, jako że wiedzieli, iż zostało poczęte przez demona, a nikt nie chciał ściągnąć na siebie nienawiści mieszkańców grotu.

Grysstha wyniósł dziecko z jaskini i znalazł mu mamkę wśród pojmanych kobiet Brytów, jednak po czterech miesiącach zmarła nagle i od tamtej chwili nikt nie ważył się dotykać chłopca. Grysstha zabrał malca do własnej chaty, gdzie karmił go krowim mlekiem za pomocą przekłutej skórzanej rękawicy.

Dziecko było nawet przedmiotem narady współplemieńców, na której głosowano, czy ma umrzeć, czy też żyć. Małego Cormaca uratował dopiero głos Caldera, który uczynił to na osobistą prośbę Gryssthy.

Chłopiec mieszkał ze starym wojownikiem przez siedem lat, lecz przez swoje kalectwo Grysstha nie mógł wyżywić ich obu, zatem Cormac musiał tułać się po wiosce w poszukiwaniu dodatkowego jedzenia.

W wieku trzynastu lat zrozumiał, że zażyłość z ułomnym wojownikiem czyni z niego wyrzutka miejscowej społeczności, toteż wybudował własną chatę z dala od wioski. Była to licha chałupa bez żadnych mebli oprócz posłania i Cormac spędzał w niej niewiele czasu, z wyjątkiem zimy, kiedy męczyły go lodowate sny i drżał pomimo rozpalonego paleniska.

Tego wieczoru, jak zwykle, Grysstha zatrzymał się przed jego chatą i zastukał w futrynę drzwi. Cormac zaprosił go do środka i zaproponował mu kubek wody. Starzec przyjął go z wdzięcznością i usiadł na klepisku ze skrzyżowanymi nogami.

- Potrzebna ci jeszcze jedna koszula, Cormacu. Z tej już wyrastasz. A i sztylpy niezadługo podejną ci pod kolana.

- Wystarczą na całe lato.

- Zobaczymy. Jadłeś coś dzisiaj?

- Althwynne dała mi trochę ciasta. Dziabiałem dla niej drzewo.

- Słyszałem, że Kern uderzył cię w głowę. -Tak.

- Był czas, kiedy zabiłbym go za to. Teraz, gdybym mu przyłożył, uszkodziłbym sobie tylko zdrową rękę.

- Nic mi się nie stało, Grysstho. Jak ci minął dzień?

- Kozom i mnie wiodło się całkiem dobrze. Opowiadałem im o moich wyprawach, a one mnie o swoich. Zaczęły wykazywać oznaki znudzenia na długo przede mną.

- Czy ty się nigdy nie męczysz? Jesteś wspaniałym gawędziarzem.

- Najpierw posłuchaj innego gawędziarza, a potem zobaczymy. Nietrudno być królem bezludnej krainy.

- Słyszałem kiedyś człowieka opowiadającego sagi. Siedziałem przed domem Caldera,

kiedy Patrisson śpiewał o Wielkiej Zdradzie.

- Nie wolno ci o tym nikomu wspominać, Cormacu. To zakazana pieśń, śpiewanie jej można przypłacić głową. - Starzec oparł się o ścianę chaty i uśmiechnął. - Ale śpiewał ją pięknym głosem, prawda?

- Czy Krwawy Król naprawdę miał dziadka, który był bogiem?

- Wszystkich królów spłodzili bogowie, a przynajmniej tak każą nam wierzyć. Jeśli chodzi o Uthera, nie mam żadnej pewności. Wiem tylko, że jego żonę przyłapano z kochankiem i że oboje uciekli, a on wyruszył w pościg. Czy dopadł ich i pociął na kawałki, jak chce pieśń, czy też udało im się uratować, nie wiem. Rozmawiałem z Parissonem, on także chciałby się dowiedzieć. Zapewniał, że królowa uciekła z dziadkiem króla, co brzmi dość zabawnie.

- Czemu król nie pojął za żonę innej kobiety?

- Zapytam go o to, gdy tylko zaprosi mnie na kolację.

- Ale on nie ma potomka. Czy nie wybuchnie wojna, jeśli teraz umrze?

- Tak czy inaczej, wojna wybuchnie, Cormacu. Król zasiada na tronie od dwudziestu pięciu lat i jak dotąd nie zaznał spokoju... bunty, najazdy, zdrady. Żona nie zdradziła go jako pierwsza. Szesnaście lat temu Brygantowie powstali na nowo i Uther rozgromił ich pod Tri-montium. Potem na wschód ruszyli Ordowicy, których wojska król stał pod Viriconium. Ostatnio, dwa lata temu, dali o sobie znać Jutowie. Zawarli z Utherem przymierze, ale je wypowiedzieli, toteż dotrzymał danego słowa i kazał zabić każdego męża, niewiastę i dziecko.

- Nawet dzieci? - wyszeptał Cormac.

- Co do jednego. To twardy, przebiegły człowiek. Teraz niewielu ma ochotę przeciwko niemu wystąpić.

- Chcesz może jeszcze wody?

- Nie. Czas, bym położył się spać. Jutro spadnie deszcz, czuję to w moim kikucie. Potrzebny mi odpoczynek, skoro będę musiał siedzieć i trząść się z zimna.

- Jeszcze jedno pytanie, Grysstho. -Pytaj.

- Czy ja naprawdę jestem psim synem? Grysstha rzucił przekleństwo.

- Kto ci tak powiedział?

- Garbarz.

- Już ci mówiłem, że znalazłem cię w jaskini obok ogara. I to wszystko. Ktoś cię tam zostawił i suka próbowała cię ratować, podobnie jak własne szczenięta. Narodziłeś się ledwie przed dwiema godzinami, lecz szczeniaki żyły już kilka dni. Na krew Odyna! Wśród nas mieszkają ludzie o mózdkach ze świńskiej sperki. Zrozum mnie, Cormacu. Nie jesteś żadnym synem demona, to ci mogę przysiąc. Nie wiem, dlaczego i przez kogo zostałeś pozostawiony w jaskini, ale na ścieżce przy klifie leżało sześć trupów i wcale nie zabił ich demon.

-Kim byli?

- Dzielnymi wojownikami, sądząc po ich bliznach. Wszyscy zginęli z ręki jednego człowieka, jednego straszliwego człowieka. Towarzyszący mi myśliwi twierdzili, gdy cię zobaczyli, że gdzieś w pobliżu wałęsa się mieszkaniec groty, lecz składam to na karb ich młodości, przecież nie widzieli dotąd prawdziwego wojownika w boju. Próbowałem ich przekonać, strach ma jednak wielkie oczy. Sądzę, że wojownik ów był twoim ojcem i odniósł śmiertelne rany. Dlatego właśnie zostałeś porzucony.

- A co z moją matką?

- Nie mam pojęcia, chłopcze. Ale bogowie wiedzą i, być może, pewnego dnia dadzą ci jakiś znak. Na razie jednak jesteś tylko Cormakiem-człowiekiem i masz chodzić z podniesioną głową. Kimkolwiek bowiem był twój ojciec, był człowiekiem. Nie przyniesiesz mu wstydu. Ani mnie.

- Żałuję, że nie jesteś moim ojcem, Grysstho. -I ja tego żałuję. Dobranoc, chłopcze.

## Rozdział drugi

**K**ról w asyście Gwalchmaiego i Victorinusa wyszedł na wybieg, aby obejrzeć swoje nowe wierzchowce. Młodzieniec stojący obok kulawego Prsamaccusa wpatrywał się uważnie w legendarnego wojownika.

- Myślałem, że będzie wyższy - szepnął, co Prsamaccus skwitował uśmiechem.

- Wydawało ci się, że zobaczysz wielkoluda przewyższającego o głowę i ramiona innych ludzi? Ejże, Ursusie, już ty najlepiej powinieneś dostrzegać różnice pomiędzy ludźmi a mitycznymi herosami.

Szare oczy Ursusa ślizgały się po sylwetce nadchodzącego króla. Człowiek ów miał około czterdziestu lat i maszerował pewnym krokiem wojownika, który dotychczas nie spotkał godnego siebie rywala. Włosy opadające na okryte blachą ramiona miały rudobrazowy odcień, chociaż gęsta, przycięta w kwadrat broda była jaśniejsza i poprzeplatana siwymi pasemkami. Towarzyszący mu mężczyźni wydawali się od niego starsi o jakieś dziesięć lat. Jeden z nich, o orlim nosie i stalowych oczach, był niewątpliwie Rzymianinem, podczas gdy drugi zaplótł siwe warkocze jak członek któregoś z miejscowych plemion.

- Piękny dziś dzień - rzekł król, ignorując młodzieńca i zwracając się bezpośrednio do Prsamaccusa.

- Zaiste, a zakupione przez siebie konie są przedniej marki. -Są tu wszystkie?

- Trzydzieści pięć ogierów i sześćdziesiąt klaczy. Pozwól, że przedstawię ci księcia Ursusa z rodu Merowingów.

Młodzieniec schylił głowę.

- To dla mnie wielka łaska, panie.

Król uśmiechnął się z przymusem, omijając młodzieńca. Ujął Prsamaccusa za ramię i razem wyszli na pastwisko, gdzie zatrzymali się przy siwym ogierze, który musiał mieć jakieś sześć stóp w kłębie.

- Sicambryjczycy wiedzą, jak hodować konie - stwierdził Uther, głaszcząc lśniący bok zwierzęcia.

- Wyglądasz na zmęczonego, Utherze.

- Odpowiednio do samopoczucia. Trinovanci znów wszczynają zatargi, podobnie jak Sasi w regionach Midlands.

- Kiedy wyruszasz?

- Jutro. Na czele czterech legionów. Posłałem Patreusza z ósmym i piątym legionem, ale poniósł klęskę. Wedle raportów straciliśmy sześciuset ludzi.

- A co z Patreuszem? - zapytał Prsamaccus.

- Jeśli nie zginął, wnet tego pożałuje - parsknął król. - Odważył się uderzyć w mur tarcz ustawiony na szczycie stromego wzniesienia!

- Co sam uczyniłeś nie dalej jak cztery dni temu w bitwie z Gotami.

- Ale ja zwyciężyłem!

- Bo ty zawsze zwyciężasz, panie.

Uther wyszczerzył zęby i na chwilę przeobraził się w samotnego młodzieńca, jakim go Prsamaccus poznał ćwierć wieku temu. Szybko jednak przywdział na powrót swoją maskę.

- Opowiedz mi coś o tym Sicambryjczyku - rzekł król, kierując przenikliwe spojrzenie na ciemnowłosego, ubranego w czarne szaty księcia.

- Świetnie zna swoje konie.

- Nie o to pytałem i dobrze o tym wiesz.

- Cóż mogę powiedzieć, Utherze? Wygląda na... bystrego i obytego.
- Lubisz go?
- Chyba tak. Przypomina mi ciebie sprzed wielu, wielu lat.
- Czy to dobrze?
- To komplement.
- Czyżbym aż tak się zmienił?

Prasamaccus zamilkł. Całą wieczność temu król przezwiał go przyjacielem tronu i zawsze prosił o szczerą radę. W owym czasie młody książę wszedł we Mglę w poszukiwaniu ojcowskiego miecza, walczył z demonami i Królową-Wiedźmą, przyprował armię duchów z powrotem do świata żywych i pokochał kobietę z gór imieniem Laitha.

Sędziwy Brygant wzruszył ramionami.

- Wszyscy się zmieniamy, Utherze. Kiedy zeszłego roku zmarła moja Helga, zdawało mi się, że wszelkie piękno odeszło z tego świata.

- Lepiej się wiedzie człowiekowi bez miłości. Ona go osłabia -zawyrokował król, przystępując do dalszych oględzin koni. - W ciągu kilku lat wyćwiczymy lepsze, szybsze wojsko. Wszystkie te rumaki mają w kłębie przynajmniej dwie trzecie stopy więcej od naszych wierzchowców, wychowano je tak, by były rączne i wytrzymałe.

- Ursus sprowadził jeszcze coś, co ci się może spodobać - rzekł Prasamaccus. - Chodź, to cię zacieka.

Król wydawał się pełen wątpliwości, jednak podążył za kulejącym Brygantem ku bramie wybiegu. Tam Ursus ponownie się uklonił i zaprowadził całą grupę na tyły kwater pastuchów. Na podwórku za budynkami wzniesiono drewnianą konstrukcję: do prostej kolumny przytwierdzono drewniany kabłak, mający imitować koński grzbiet. Nad nim Ursus rozpiął okrycie z utwardzanej skóry. Drugą część przywiązano w przedniej części konstrukcji, gdzie książę również zamocował skórę, po czym wrócił do oczekujących nań wojowników.

- Cóż to ma być, na Hadesa? - zdziwił się Victorinus. Ursus uniósł krótki łuk, założył strzałę i wypuścił ją jednym płynnym ruchem. Trafiła w "koński" zad, lecz nie zdołała przebić na wylot osłony, tylko obwisła lotkami ku ziemi.

- Podaj mi łuk - nakazał Uther. Napiął cięciwę do granic wytrzymałości broni i wypuścił strzałę. Przekłuła skórę i zagłębiła się, ale tylko trochę.

-A teraz posłuchaj, panie - rzekł Ursus, podchodząc do "konie". Strzała Uthera wniknęła zaledwie na pół cala. - Cenny koń zostałby wprawdzie ukłuty, ale nie wyłączony z walki.

- A co z wagą? - zapytał Victorinus.

- Sicambryjski koń poniesie osłonę, a mimo to wytrzyma cały dzień, nie gorzej niż brytyjski rumak bojowy.

Gwalchmai nie wykazywał entuzjazmu. Stary wojownik Kantów odchrząknął i splunął.

- To musi niekorzystnie odbić się na szybkości szarży, a to ona głównie rozbija szyki wroga. Konie w zbroi? Też coś!

- Czemu sam nie zrzucasz zbroi przed bitwą? - odciął się książę.

- Ty bezczelny szczeniaku! - ryknął Gwalchmai. -Wystarczy! - przerwał im król. - Powiedz mi, Ursusie, co

z deszczem? Czy nie rozmiękczy skóry i nie obciąży dodatkowo rumaka?

- To prawda, panie, dlatego każdy żołnierz musi mieć przy sobie pewną ilość pszczelego wosku i wcierać go codziennie w osłonę.

- Teraz będziemy polerować nasze konie, tak jak polerowaliśmy broń - stwierdził Gwalchmai z szyderyczym uśmiechem.

- Każcie sporządzić dziesięć takich... końskich kubraków - powiedział Uther. - A potem zobaczymy.

- Dziękuję, panie.

- Nie dziękuj mi, zanim nie złożę zamówienia. Na to właśnie czekasz, hę?



- Tak, panie.
- Sam wymyśliłeś tę zbroję?
- Tak, panie, chociaż to mój brat, Balan, rozwiązał problem deszczu.
- I do niego popłyną zyski związane z zamówieniami na wosk?
- Tak, panie - odparł Ursus z uśmiechem.
- Gdzie on obecnie przebywa?
- Usiłuje sprzedać pomysł w Rzymie. Nie będzie mu łatwo, bo cesarz wciąż wielką wagę przykłada do pieszych legionów, chociaż jego wrogowie walczą już na koniach.
- Rzym przestał się liczyć - odparł Uther. - Złóżcie wizytę Gotom lub Hunom.
- Chętnie bym tak postąpił, panie, ale Hunowie niczego nie kupują, tylko zabierają. A Goci? Ich skarbiec jest skromniejszy od mojego własnego.
- A co z twoją własną armią Merowingów?
- Król mój, oby władał długo i szczęśliwie, w sprawach militarnych kieruje się zdaniem swego majordoma. A on nie jest wizjonerem.
- Z drugiej strony, nie musi się zmagać z wrogiem ani zewnętrznym, ani wewnętrznym - skonstatował Uther. - Czy walczysz równie dobrze, jak się targujesz?
- Niezupełnie.

Uther uśmiechnął się szeroko.

- Zmieniłem zdanie. Niech będzie trzydzieści dwa kubraki, a Vic-torinus odda ci pod komendę jedną turmę. Dołączysz do mnie w Pe-tvarii, a wtedy przyjrzę się dobrze twojej końskiej zbroi. Zobaczymy, jak sprawuje się w starciu z prawdziwym nieprzyjacielem. Jeżeli odniesiesz sukces, staniesz się bogaty, a w dodatku... co, jak sądzę, jest twoim celem... wszyscy wojowniczy królowie pójdą w ślady Uthera.

- Dzięki, o panie.

- Jak już powiedziałem, na razie mi nie dziękuj. Jeszcze nie usłyszałeś mojej oferty.

Po tych słowach król odwrócił się i odszedł. Prasmaccus poklepał Ursusa po ramieniu.

- Myślę, że król cię polubił, młodzieńcze. Nie zawieź go.

- Straciłbym zamówienie?

- Straciłbyś głowę - odparł Prasmaccus.

Długo po tym, jak Grysstha powrócił do swej chałupy, położonej w cieniu długiej chaty Caldera, Cormac, trapiiony bezsennością, wyszedł w chłodną noc, usiadł pod gwiazdami i obserwował, jak nietoperze krążą wokół drzew.

Panowała cisza. Chłopiec czuł się prawdziwie, doskonale samotny. Oto tutaj, opromieniony wspaniałością księżycowej poświaty - drogowskazu myśliwych - nikło wszelkie wyobcowanie, gasły posępne spojrzenia, milkły szorstkie słowa. Nocny wietrzyk rozdmuchiwał mu włosy, gdy chłopiec wodził wzrokiem po górujących nad lasem klifach, rozmyślając o swoim ojcu, bezimiennym wojowniku, który walczył tak dzielnie. Grysstha powiedział, że zabił on sześciu przeciwników.

Dlaczego jednak porzucił w jaskini nowo narodzonego Cormaca? Dokąd odeszła kobieta, która go urodziła? Kto opuszcza swoje dzieci? Czyżby ów człowiek, tak bohaterski w walce, w życiu był okrutnikiem?

Jakaż matka porzuciłaby dziecko na pewną śmierć w pustej jaskini?

Jak zwykle, nie znalazł odpowiedzi, lecz pytania stanowiły łańcuch, którym przykuty był do tej wrogiej mu wioski. Nie mógł jej opuścić z myślą o swej przyszłości, skoro przeszłość pozostawała tajemnicą.

Gdy był młodszy, wierzył, iż pewnego dnia ojciec upomni się o niego, wkroczy do długiej chaty z mieczem u boku i błyszczącym hełmem na głowie. Kończyły się jednak czasy, kiedy dziecięce marzenia mogły podtrzymywać go na duchu. Za cztery dni stanie się mężczyzną... a wtedy co? Będzie błagał o robotę w kuźni, we młynie, w piekarni albo w rzeźni?

Po powrocie do chatki zasnął twardym snem pod przykryciem wyświechtanego koca.

Obudził się przed świtem, zabrał procę i wybrał się na wzgórze. Zabił tam trzy króliki, które następnie z wprawą obdarł ze skóry za pomocą małego nożyka - zeszłorocznego prezentu od Gryssthy. W osłoniętym zagłębieniu rozpałił ogień i po upieczeniu mięsa napawał się rzadkim uczuciem pełnego żołądka. Jednak mięso królika stanowiło lichą strawę; Grysstha powiedział mu kiedyś, że mężczyzna padnie z głodu, jeśli wciąż będzie się żywił

takim jedzeniem. Cormac oblizał palce i wytarł je w wysokiej trawie, wspominając Uczę Piorunów z zeszłej jesieni, kiedy to zakosztował wołowiny na otwartym przyjęciu, które swą obecnością zaszczycił król Wulfhere, odwiedzając swego dawnego pomocnika, Caldera. Cormac nie mógł stanąć wśród tłumów otaczających saskiego władcę, ale słyszał jego przemowę - głównie nic nie znaczące frazesy z ust słabego człowieka. Prezentował się okazale w kolczudze z żelaza, i w otoczeniu gwardzistów z toporami, lecz oblicze jego było miękkie i kobiece, a oczy zogniskowane w jakimś punkcie nad głowami gawiedzi.

No, ale wołowina była wyborna. Grysstha przyniósł mu trzy kawałki, soczyste i ociekające byczą krwią.

"Dawniej - rzekł wówczas starzec pomiędzy kolejnymi kęsami -jadaliśmy tak co dzień! Kiedyś byliśmy grabieżcami, a nasze miecze siały popłoch. Calder obiecał, że tamte czasy powrócą. Powiedział, że dokonamy zemsty na Krwawym Królu, ale spójrz tylko na niego: siedzi tłusty i zadowolony obok marionetkowego króla".

"Król wygląda jak kobieta" - zauważył Cormac.

"I żyje jak kobieta - parsknął Grysstha. - Pomyśleć tylko, że jego dziadkiem był Hengist! Przynieść ci jeszcze mięsa?"

Tamtej nocy ucztowali niczym cesarze.

Cormac stłamsił ognisko i powędrował wysoko na wzgórze, na szczyty klifów wznoszących się nad spokojnym morzem. Na górze wiał porywisty i zimny wiatr, jakby w sprzeczności z porannym, błyszczącym na bezchmurnym niebie słońcem.

Chłopiec zatrzymał się pod rozłożystym dębem, podskoczył i zawisł na grubej gałęzi. Podciągnął się pod brodę sto razy, aż poczuł, jak mięśnie rąk i ramion nabrzmiewają i płoną. Gdy zeskoczył lekko na ziemię, pot perlił się na jego twarzy.

-Ależ ty jesteś silny, Cormacu- rozległ się ironiczny głos, a gdy się odwrócił, zobaczył Alfrudę, córkę Caldera, siedzącą na trawie z koszykiem jagód. Cormac milczał, a policzki mu spurpurowiały. Odszedłby, gdyby nie ponętny widok dziewczyny siedzącej ze skrzyżowanymi nogami i podwiniętą wełnianą spódniczką, spod której jaśniała śnieżna biel kolan... - Czyżbyś był nieśmiały?-zapytała.

- Twoim braciom nie spodoba się, że ze mną rozmawiałś.

- A więc się ich boisz?

Cormac zastanowił się nad odpowiedzią. Synowie Caldera od lat się nad nim znęcali, ale będąc od nich szybszym, umykał przed

nimi do lasu i chował się w kryjówce. Najgorszy z nich był Agwaine, który uwielbiał zadawać ból. Lennoksa i Bartę cechowało mniej wyrafinowane okrucieństwo, ale we wszystkim słuchali się Agwaine'a. Czy jednak się ich bał?

- Być może - powiedział. - Ale takie jest prawo: kiedy chcą, mogą mnie uderzyć, a ja zostałbym zabity, gdybym spróbował się bronić.

- To cena, jaką płacisz za to, że twój ojciec jest demonem, Cormacu. Znasz się na magii?

- Nie.

- Ani trochę? Nawet tylko, żeby mi zrobić przyjemność?

- Nic a nic.

- Chcesz parę jagód?

- Nie, dziękuję. Muszę już wracać, obowiązki czekają.

- Czy ty się mnie boisz, Cormacu Daemonssonie? Zatrzymał się wpół obrotu ze ściśniętym gardłem.

-Ja nie czuję się... najlepiej. Nikt ze mną nie rozmawia, ale zdążyłem już do tego przywyknąć. Dziękuję za uprzejmość.

- Jak myślisz, jestem ładna?

- Myślę, że jesteś piękna. Zwłaszcza tutaj, gdy świeci letnie słońce i wiatr rozwiewa ci włosy. Nie chcę ci jednak przysparzać kłopotów.

Wstała płynnym ruchem i podeszła do niego. Cofnął się instynktownie, lecz dąb zamknął mu drogę ucieczki. Poczuli, jak dziewczyna przywiera do niego całym ciałem, a wtedy objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Wara ci od mojej siostry! - ryknął Agwaine i Alfruda odskoczyła do tyłu z przerażeniem w oczach.

Wysoki blondyn odepchnął ją na bok i wyciągnął z pochwy sztylet.

- Zginiesz za swoje nieczne zamiary - syknął, zbliżając się do Cormaca.

Wzrok chłopca przesunął się z ostrza na gniewną twarz Agwaine'a, na której malowała się rosnąca żądza mordu. Uskoczył w bok po to tylko, by zderzyć się z potężną figurą Lennoksa i dać się uwięzić w jego krzepkich ramionach. W oczach Agwaine'a błyszczały iskierki triumfu, gdy wtem łokieć Cormaca wylądował na brzuchu Lennoksa, a zaraz potem na jego nosie. Lennoks cofnął się chwiejnie, niemal oślepiiony. Wówczas z zarośli wybiegł Barta, wymachując nad głową maczugą z tęgiej gałęzi. Cormac wybił się w powietrze i z gwałtowną siłą trzasnął piętą w podbródek Barty, który przewrócił się nieprzytomny na ziemię.

Cormac zerwał się na równe nogi, odwracając twarz w stronę Agwaine'a i blokując ręką pchnięcie wymierzone prosto w jego serce. Uderzył pięścią w policzek napastnika, a następnie stopą w jego krocze. Agwaine wydał okrzyk bólu i upadł na kolana, wypuszczając z rąk sztylet. Cormac pochwycił broń, złapał za długie, jasne loki Agwaine'a i szarpnął głową, odsłaniając gardło.

- Nie! - krzyknęła Alfruda.

Cormac zamrugał i wziął głęboki, uspokajający oddech. Wstał i odrzucił sztylet daleko poza krawędź klifu.

- Ty kłamliwa zdiro! - warknął, podchodząc do Alfrudy. Padła na kolana z rozszerzonymi ze strachu oczyma.

- Nie rób mi krzywdy! Nagle wybuchnął śmiechem.

- Zrobić ci krzywdę? Nawet bym cię nie dotknął, choćby od tego zależało moje życie.

Jeszcze przed chwilą byłaś piękna. Teraz jesteś ohydna i taka już pozostaniesz.

Jej dłonie pobiegły ku twarzy, palce dotknęły skóry, poszukując piękna. Cormac potrząsnął głową.

- Nie rzuciłem czar - szepnął. - Nie jestem czarownikiem.

Odwrócił się, by spojrzeć na swych nieprzyjaciół. Lennoks siedział pod drzewem, krew ciekła mu ze złamanego nosa. Barta nadal nie odzyskał przytomności, a Agwaine gdzieś przepadł.

Nie czuł triumfu, nie cieszył się ze zwycięstwa, bowiem gdy pokonał tych chłopców, wydał na siebie wyrok śmierci.

Agwaine powrócił do wioski i złożył ojcu sprawozdanie z ataku Cormaca, wobec czego Calder zwołał starszyznę plemienia, domagając się sprawiedliwości. Tylko Grysstha przemawiał w obronie Cormaca.

- Prosisz o sprawiedliwość? Od lat twoi synowie dokuczają Cormacowi, a on nie ma znikąd pomocy. Ale znosił wszystko po męsku. Gdy osaczyło go trzech rzezimieszków, bronił się i teraz ma za to ponieść karę? Każdy człowiek, który zgłasza za wyrokiem skazującym, powinien się wstydić.

- Napastował moją córkę - nastawał Calder. - Czyżbyś o tym zapomniał?

- Nawet jeśli tak - rzekł Grysstha, wstając - poszedł tylko za przykładem wszystkich zdrowych młodzieńców mieszkających w promieniu jednego dnia jazdy od twojego

domostwa!

- Jak śmiesz?! - wybuchnął Calder.

- Jak śmiesz? Nie wymawiaj przy mnie tego słowa, ty spasiona świni! Popieram cię od trzydziestu lat, karmiony czczymi obietnicami, ale teraz przejrzałem i widzę, kim naprawdę jesteś: cherlawym, pazernym, płaszczącym się lizusem. Wieprzem, który spłodził trzy ropuchy i rozbuchaną nierządnicę!

Calder przetoczył się na drugą stronę kręgu, lecz pięść Gryssthy grzmotnęła go w podbródek i obaliła na ziemię. Rozpętała się istna burza, część doradców złapała Gryssthę, inni trzymali wściekłego naczelnika. Potem powrócił ład i Calder usiłował odzyskać spokój ducha, dając sygnał stojącym wkoło ludziom, że już go mogą wypuścić.

- Od tej chwili nie jesteś wśród nas mile widziany, stary kaleko - powiedział. - Opuścisz tę wioskę jako odszczepieniec. Roześlę wieści do wszystkich szczepów Południowych Sasów, aby nie dali ci nigdzie schronienia. Jeśli cię tu jeszcze jutro zobaczę, własnoręcznie dam ci siekierą po karku. Precz! Odszukaj szczeniaka i ruszaj z nim w drogę. Chciałbym, żebyś zobaczył, jak umiera.

Grysstha strząsnął trzymające go ręce, po czym dumnym krokiem wyszedł na dwór. Pozbierał w chacie swój skromny dobytek, zatknął za pas toporek i wymaszerował z wioski. Piekarz Evrin podszedł do niego i wcisnął mu pod pachę dwa bochny czarnego chleba.

- Idź z Bogiem - szepnął.

Grysstha kiwnął głową, ale się nie zatrzymał. Powinien był odejść już dawno temu, zabierając z sobą Cormaca, ale lojalność trzymała mocniej od żelaznych pierścieni, nie wspominając o złożonej przysiędze. Teraz złamał słowo i w świetle prawa został odszczepieńcem. Nikt mu już nie zaufa, jego życie stało się bezwartościowe.

Pomimo to radość zaczęła kiełkować w sercu starego wojownika. Ciężkie, ogłupiające lata wypasania kóz miał już za sobą, podobnie jak służbę u Caldera. Grysstha wciągnął w płuca świeże, rześkie powietrze i począł wspinać się na wzgórze w stronę jaskini Sola Invictusa.

Cormac czekał na niego, usadowiony na kamiennym ołtarzu; pod nogami ścieliły się kości, szczątki dawnych ofiar.

- Słyszałeś? - zapytał Cormac i posunął się, aby zrobić miejsce dla starca na płaskim kamieniu. Grysstha odłamał kawałek ciemnego chleba i podał go chłopcu.

- Naciągane słowa - odparł. Cormac zerknął na zawiniątko z koca, które Grysstha cisnął obok wyblakłych kości bojowego ogara.

- Wyruszamy w świat?

- Tak jest, chłopcze. Szkoda, że dopiero teraz. Udamy się do Dubrisu, gdzie popytamy o pracę. Musimy zarobić na przeprawę do Galii. A tam pokażę ci szlak moich dawnych wypraw.

- Oni na mnie napadli, Grysstho. Kiedy Alfruda objęła mnie ramionami.

Stary wojownik spojrział w smutne, błękitne oczy chłopca.

- To dla ciebie kolejna lekcja życia, Cormacu. Kobiety zawsze sprowadzają nieszczęście. Pocziesz się, że wnosząc ze sposobu, w jaki Agwaine się porusza, jeszcze przez długi czas nie będzie myślał o dziewczętach. Jak udało ci się pokonać całą trójkę?

- Nie wiem, tak jakoś wyszło.

- Oto krew twojego ojca. Zrobimy z ciebie dobrego człowieka, chłopcze!

Cormac rozejrzał się po jaskini.

- Nigdy tu wcześniej nie byłem. Zawsze się bałem. Teraz dziwię się, dlaczego. Są tu tylko stare kości. - Szurał nogą po sypkiej ziemi, gdy naraz dostrzegł lśnienie. Pochylił się, pogrzebał w piachu i wyciągnął złocisty łańcuch, na którym wisiał okrągły kamień, jakby złoty samorodek powleczonej siecią cieniutkich czarnych żyłek.

- No, no, to dobry znak - mruknął Grysstha. - Ledwie od godziny jesteśmy wolnymi ludźmi, a ty już znalazłeś skarb.

- Może należał do mojej matki?
- Wszystko możliwe.

Cormac przełożył łańcuch przez głowę, a złoty kamień schował pod koszulą. Poczł ciepłó na piersi.

- Czy ty też masz kłopoty, Grysstho? Wojownik uśmiechnął się jowialnie.
- Może i powiedziałem o kilka słów za dużó, ale za to pomknęły do w celu niby strzały!
- I teraz będą nas ścigać?
- Ano, niech tylko wstanie ranek. Wtedy będziemy się martwić. Teraz odpocznij, chłopcze.

Cormac udał się pod przeciwległą ścianę, gdzie ułożył się na zakurzonym podłóžu, tuląc głowę w ramionach. Grysstha wyciągnął się jak długi na ołtarzu i wkrótce zasnął.

Chłópiec leżał, wsłuchany w głęboke, głośne pochrapywanie wojownika, po czym zapadł w przedziwny sen. Zdawało mu się, że siedzi i otwiera oczy. Przy ołtarzu leżał czarny ogar bojowy z pię-

cioma szczeniętami, a dalej młoda kobieta o włosach niczym złota przędza. Obok niej klęczał mężczyzna, obejmując czule jej głowę.

"Przykro mi, że doprowadziłem do tego" - powiedział, głaszcząc jej włosy. Miał surowe oblicze, włosy czarne i błyszczące jak krucze skrzydła, oczy koloru zimowego nieba.

Uniosła dłoń i musnęła jego policzek, uśmiechając się na przekór boleści.

"Kocham cię. Zawsze cię kochałam..."

Na zewnątrz, w porannym powietrzu, rozniósł się jęk rogu. Mężczyzna zaklął z cicha i powstał, dobywając miecza.

"Znaleźli nas!"

Kobieta jęknęła, gdy rozpoczął się poród. Cormac podszedł do niej, ale ona go nie widziała. Próbował jej dotknąć, lecz dłoń przechodziła przez ciało jak przez kłęb dymu.

"Nie zostawiaj mnie!" - błagała. Na twarzy mężczyzny odbiło się cierpienie, lecz róg odezwał się powtórnie, więc wyszedł i zniknął z pola widzenia. Kobieta krzyczała i Cormac był zmuszony patrzeć bezsilnie, jak zмага się z bólami przy porodzie. Na koniec narodziło się dziecko, pokryte krwią i dziwnie nieruchome.

"O, nie! Drogi, słodki Jezu! -jęknęła kobieta, podnosząc niemowlę i dając mu lekkiego klapsa. Nie nastąpiła żadna reakcja. Ułożyła dziecko na łonie, zdjęła z szyi złoty łańcuch, przycisnęła paluszki maleństwa do kamienia. - Żyj! - wyszeptwała. - Proszę, żyj!"

Dziecko się nie ruszało... Nie dawało żadnych oznak życia.

Ze skąpanego w słońcu świata na zewnątrz dobiegł szcęk mieczy, krzyki rannych, wściekle wrzaski walczących. Później zapadła cisza, słyhać było jedynie świergot leśnych ptaków. Cień przesłonił wejście do jaskini i do środka wszedł chwiejnie wysoki mężczyzna, brocząc krwią z przebitego boku i piersi.

"Co z dzieckiem?" - szepnął.

"Martwe" - powiedziała kobieta.

Na dźwięk dochodzący zza jaskini mężczyzna odwrócił głowę.

"Jest ich więcej. Słońce błyszczycy na grotach włóczni. Dasz radę iść?"

"On żyje! - zakrzyknął Cormac ze łzami w oczach. - Ja żyję! Nie zostawiajcie mnie!"

Wyszedł za nimi na światło dzienne, gdzie zobaczył, jak ranny mężczyzna wspina się na szczyt klifu, pada na kolana, a kobieta wysuwa mu się z ramion. W polu widzenia pojawił się jeździec; wojownik wyciągnął swój miecz, lecz obcy ściągnął wodze i czekał.

Z lasu wyszedł drugi człowiek, kuternoga ze skręconą i zdeformowaną lewą kończyną. Wysoki wojownik uniosł miecz i cisnął nim w stronę drzew, aż ostrze wbiło się w gruby, obrośnięty bluszczem pień. Potem znów podniósł kobietę, odwrócił się i spojrzął na spienione wody morza, setki stóp poniżej.

"Nie!" - zawołał kuternoga. Wojownik zerknął na jeźdźca, który siedział w bezruchu, z nieprzeniknionym obliczem, z ręką opartą

o łęk siodła.

Wojownik postąpił krok do przodu i zniknął, zabierając z sobą kobietę.

Cormac z oczami pełnymi łez obserwował, jak kulawy przewraca się na ziemię. Jeździec spokojnie zawrócił wierzchowca i odjechał, by zniknąć między drzewami. W tle Cormac zobaczył, jak do groty zbliża się grupa łowców. Pobiegł co tchu i ujrzał kamień w dłoni dziecka, gorejący niby płomień świecy; ciało niemowlaka spowijała aura białej poświaty. Wtem rozległ się pierwszy potężny okrzyk. Myśliwi weszli do środka, a wtedy skoczył na nich czarny ogar, by paść martwy od ostrzy noży i siekier.

"Na krew Odyna! - rzekł jeden z przybyłych. - Suka powiła dziecko".

"Trzeba je zabić!" - zakrzyknął drugi.

„Wy głupcy! - odezwał się Grysstha. - Wydaje wam się, że to ten ogar pozabijał Rzymian?"

Cormac znalazł się na skraju wytrzymałości psychicznej i zamknął oczy, kiedy Grysstha sięgnął po dziecko...

Gdy je otworzył, światło poranka sączyło się od wejścia do groty, a Grysstha wciąż spał jak zabity. Powstał, podszedł do ołtarza

i potrząsnął starcem.

- Już świt - oznajmił. - Widziałem moich rodziców.

- Daj mi trochę czasu, chłopcze - wymamrotał stary wojownik. - Niech no zaczerpnę oddechu. - Przeciągnął się i usiadł, przecierając oczy i narzekając na zeszywniałe mięśnie na karku. - Podaj mi bukłak z wodą.

Cormac wykonał polecenie, a Grysstha wyciągnął zatyczkę i napił się łąpczywie.

- W porządku, co tam mówiłeś o swoich rodzicach? Chłopiec opowiedział mu sen, lecz w oczach Gryssthy większe zainteresowanie odmalowało się dopiero wtedy, gdy usłyszał wzmiankę o kulawym człowieku.

- Jaką miał twarz?

- Jasne włosy, cienką brodę i smutne oczy. -A co z jeźdźcem?

- To był wojownik, wysoki i silny. Zimny, twardy człowiek z rudą brodą i włosami. Miał na sobie spiżowy hełm, przepasany żelazną obręczą.

- Lepiej ruszajmy w drogę, Cormacu - rzekł nagle stary wojownik.

- Czy mój sen był prawdziwy, jak myślisz?

- Kto wie, chłopcze? Później o tym pogadamy.

Grysstha przewiesił tobolek przez ramię i wyszedł z jaskini. Raptem stanął jak wryty i upuścił pakunek.

- Co się dzieje? - zapytał Cormac, wychodząc na zewnątrz. Grysstha gestem nakazał mu milczenie i uważnym wzrokiem zaczął badać poszycie lasu.

Cormac niczego nie dostrzegął, gdy niespodziewanie zza krzaka wyłonił się mężczyzna ze strzałą nałożoną na cięciwę. Zamarł w bezruchu. Grysstha popchnął chłopca na ziemię; w tym samym momencie pomknęła ku nim strzała, której grot przebił kaftan Gryssthy i wbił mu się w płuca. W ślad za pierwszą poleciała druga. Starzec zasłonił swym ciałem Cormaca, krew wypływała mu z ust.

- Biegnij! - syknął, osuwając się na ziemię.

Strzała otarła się niemal o twarz Cormaca, który odskoczył w lewo, a gdy następne zafurczały wokół niego, przetoczył się po ziemi, poderwał i puścił biegiem. Ludzie ukryci w zaroślach wzniesli ogłuszający okrzyk i stukot biegnących stóp kazał chłopcu przyspieszyć. Przeskakiwał właśnie przez powalone drzewo, kierując się ku krawędzi klifu. Strzały szybowały nad nim, toteż skręcał raz w lewo, raz w prawo, mknąc leśną ścieżynką i wypatrując kryjówki.

W pobliżu było kilka wydrążonych pni, gdzie niegdyś chował się przed Agwaine'em i jego braćmi. Gdy zwiększył się dystans dzielący go od pogoni, poczuł się bardziej pewny siebie.

Ujadanie bojowych ogarów wzmoгло w nim trwoгę. Teraz drzewa nie mogły zapewnić mu bezpiecznego schronienia.

Wbiegł na szczyt klifu i obejrzał się wstecz, spodziewając się ujrzeć ciemne, rozpędzone sylwetki bliźniaczych ogarów Caldera, błyskających kłami na widok zdobyczy. Ścieżka była na razie pusta. Dobył zgrabnego nożyka do zdzierania skóry, omiatając wzrokiem drzewa.

Wielkie czarne psisko wyleciało z lasu. Gdy dało susa, Cormac padł na kolana i pchnął nóż w brzuch ogara, rozcinając go wzdłuż, gdy zwierzę nad nim szybowało. Ranny pies wylądował niezgrabnie, próbując objąć łapami wypływające wnętrzości. Cormac przestał o nim myśleć i pobiegł z powrotem ku drzewom, ale nie w stronę ścieżki, tylko najgęstszych zarośli.

Nagle zatrzymał się, ponieważ tam, osadzony w pokrytym bluszczem pniu widlastego dębu, tkwił miecz z jego snu. Schował nóż do pochwy, złapał za zdobny kością słoniową jelec i wyszarpnął ostrze z drzewa. Miecz miał długość męskiego ramienia i chociaż czekał w tym miejscu przez piętnaście lat, nie pokazała się na nim ani plamka rdzy.

Cormac zamknął oczy.

- Dziękuję ci, ojcze - szepnął.

Rękojeść była na tyle długa, że mógł uchwycić broń oburącz. Chłopiec machnął kilkakrotnie mieczem, aby przyzwyczaić się do jego wyważenia.

Wyszedł na otwartą przestrzeń, gdy drugi pies wyskoczył ze ścieżki, kierując się na stojącą przed nim wątłą postać. Ostrze cięło go w kark, omal nie strącając głowy. Z oczyma błyszczącymi gniewem, jakiego nie czuł nigdy dotąd, Cormac puścił się ścieżką w dół na spotkanie z myśliwymi.

Przy skupisku wiązów doszła go wrzawa pogoni, więc skręcił z dróżki i schował się za grubym pniem. W polu widzenia pokazało się czterech ludzi; Agwaine biegł na czele, tuż zanim bracia, a tyły zamykał kowal Kern -jego łysina połyskiwała od potu.

Zaledwie minęli kryjówkę, Cormac wziął głęboki oddech, wyskoczył na ścieżkę i stanął twarzą w twarz z zaskoczonym Kemem. Kowal dzierżył krótki, obosieczny topór, nie zdążył go jednak użyć, bo miecz chłopca przeciął mu tętnicę szyjną. Kern zatoczył się do tyłu, wypuścił broń z dłoni i zacisnął palce na ranie, chcąc zatamować wypływ krwi, wraz z którą wyciekało jego życie.

Cormac ruszył w pościg za pozostałą trójką. Agwaine i Lennoks zniknęli mu z oczu, lecz Barta włókł się w pewnej odległości za nimi. Cormac dogonił go i poklepał po ramieniu. Blondyn odwrócił się.

Ostrze Cormaca przeszło wełnianą kamizelę młodzieńca, grzęznąc w brzuchu, rozcinając płuca i serce. Młodzieniec z dziką furią przekręcił klingę i lekko wyszarpnął miecz. Barta umarł, nie wydawszy jęku.

Poruszając się niczym widmo, Cormac pogrążył się wśród cienistych drzew w poszukiwaniu ostatnich myśliwych.

Tymczasem na szczycie klifu Agwaine odnalazł zarżnięte ogary. Odwrócił się i pobiegł, by ostrzec braci, że Cormac jest uzbrojony. On i Lennoks ruszyli w dół ścieżką, aż znaleźli pozostałe ciała. W panice wybiegli z lasu. Gdy Cormac wynurzył się spomiędzy drzew, zobaczył, jak pędzą co tchu do doliny.

Zrazu chciał ścigać ich aż do samej długiej chaty, lecz zwyciężył zdrowy rozsądek. Wrząc z gniewu, powrócił do jaskini. Grysstha leżał oparty o zachodnią ścianę. Białą brodę plamiła krew, twarz była blada i poszarzała.

Grysstha uniósł powieki, gdy Cormac przyklęknął przy nim i ujął jego rękę.

- Widzę już Walkirie, Cormacu - wyszeptał - ale ignorują mnie, bo nie mam miecza.

- Oto miecz - rzekł chłopiec, wciskając zdobny jelec w lewą dłoń umierającego.

- Nie mów... nie mów... nikomu... jak się urodziłeś. - Grysstha osunął się na ziemię, miecz wypadł mu z ręki.

Przez chwilę Cormac siedział w milczeniu obok ciała swojego jedyne przyjaciela. Potem wstał i ze wzrokiem wlepionym w położoną poniżej wioskę powędrował w kierunku świecącego słońca.

Miał ochotę wykrzyczeć swój ból pod niebiosa, ale się opanował. Wspomnił jedno z powiedzeń Gryssthy: "Zemsta smakuje lepiej, gdy jest podana na zimno".

Zatknąwszy miecz za pas, zebrał dobytek Gryssthy i ruszył na wschód. Na szczycie ostatniego wzniesienia odwrócił się po raz ostatni.

- Jeszcze tu powrócę - rzekł cicho. - A wtedy ujrzycie demona. Przysięgam!

## Rozdział trzeci

**P**rasamaccus wyciągnął nogi przed płonącymi szczapami w palenisku i popijał zaprawione miodem wino. Córka jego, Adriana, podała puchar Ursusowi, który przyjął go z czarującym uśmiechem.

- Szkoda twojego zachodu - rzekł Prsamaccus. - Adriana jest przyrzeczona synowi hodowcy koni, Grylla.

- Kochają się?

- Nie pytaj mnie o to, kiedy tu stoi Adriana.

- Oczywiście. Przyjmij moje przeprosiny, pani.

- Musisz wybaczyć mojemu ojcu - odparła gardłowym, ochrypłym głosem. - Zapomina, że często przyjmuje gości, których zwyczajnie nie przypominają jego własnych. Czy Sicambryjczycy wciąż sprzedają i kupują kobiety?

- Źle się wyraziłaś. Przyszłe żony wnoszą wiana kandydatom na mężów, ale taki obyczaj panuje chyba w całej Brytanii króla Uthera. Kobieta ma służyć swemu mężowi. Wszystkie religie zgadzają się w tej kwestii.

- Mój ojciec powiedział Gryllowi, że nie będzie posagu, a mimo to nasze zaślubiny odbędą się podczas uczty przesilenia zimowego.

- A więc kochacie się?

- Tak, całym sercem. - I nie będzie wiana?

- Sądzę, że ojciec da się ubłagać. Już dzisiaj ma za dużo pieniędzy. A teraz proszę o wybaczenie, jestem zmęczona.

Ursus wstał z ukłonem, gdy Adriana pocałowała Prsamaccusa w zarośnięty policzek, a następnie wyszła z komnaty.

- To dobra dziewczyna, ale chyba podejrzewa, że robię się zgrzybiały. Wyśliznie się przez dziedziniec i spotka z Gryllem przy stajniach. Jak tam wino?

- Trochę za słodkie, jak na mój gust.

Prsamaccus pochylił się do przodu i dorzucił dREW do ogniska.

- Miód rozjaśnia umysł i oczyszcza żołądek. Odgania też złe duchy.

Ursus zachichotał.

- A ja myślałem, że najlepsza jest ostra cebula.

- Ona też się nadaje - zgodził się Brygant. - Podobnie jak jemiola i czarne psy z białymi nosami.

- Zdaje się, że wypiełeś trochę za dużo wina, przyjacielu.

- Tak wpływają na mnie samotne wieczory. Wiesz, byłem królem, zanim jeszcze on stał się władcą. Kiedy był ściganym po górach chłopcem, kiedy wkroczył do Doliny Umarłych i znalazł się w innym świecie. Byłem wtedy młody. Patrzyłem, jak wyrastał na mężczyznę, jak odnajdywał miłość, jak wreszcie umierało w nim z wolna wielkie serce. Zawsze był mężem o żelaznej woli. Teraz jednak tylko tyle z niego zostało: żelazo. Serce jest martwe.



- Masz na myśli jego żonę?

- Piękna Laitha. Gian Avur, Leśny Jelonek.

- Rozumiem już, czemu śpiewy są tu zakazane. To zupełnie zrozumiałe: krewniak przyprawił królowi rogi, zdradził przyjaciela.

- To zaledwie wierzchołek góry lodowej, Ursusie. Sam wierzchołek. Tak to już jest. Culain lach Feragh był niezrównanym wojownikiem i honorowym mężczyzną. Słabą jego stroną było jednak życie bez miłości. Laithę wychowywał od dziecka, a ona pokochała go już w dzieciństwie, lecz gwiazdy zapisały im zgubę.

- Mówisz, jakby człowiek nie miał wyboru.

- Czasami nie ma. Culain wolałby zginąć, aniżeli skrzywdzić Uthera czy Gian, lecz król wiedział, że jego żona zawsze kochała Culaina, i złośliwe myśli wybuchły w jego sercu niczym pożar na łące suchej trawy. Nieustannie wyruszał na wojenne wyprawy i przywykł do życia wśród żołnierzy. Rzadko rozmawiał z Gian i wyznaczył Culaina na jej rycerza. Siłą niemalże złączył ich z sobą i w końcu ulegli swoim namiętnościom.

- Jak się o tym dowiedział?

- Tajemnica była wszystkim wiadoma i kochankowie stawali się coraz bardziej nieostrożni. Widziano ich, jak spacerują po ogrodach ze splecionymi rękami albo pod ramię. Culain nierzadko odwiedzał późnym wieczorem pokoje królowej, by opuścić je z nadejściem świtu. Pewnej nocy królewscy gwardziści wdarli się do apartamentu Laithii i zastali Culaina. Zaciągnęli parę przed oblicze króla, który skazał oboje na śmierć. Culain zdołał jednak uciec. Trzy dni później zaatakował oddział prowadzący królową na szubienicę i zbiegł wraz ze skazaną.

- Ale na tym nie kończy się historia?

- Niestety. - Prsamaccus pogrążył się w ciszy, odchyliwszy głowę na wysokie oparcie krzesła. Kielich wypadł mu z ręki na dywanik, lecz Ursus pochwycił go, zanim wino zdążyło zaplamieć koźlą skórę. Książę wstał z uśmiechem. Przy drzwiach do sypialni leżał zwinięty na stołku koc, którym Ursus przykrył Prsamaccusa, a potem udał się do swego pokoju.

Adriana uśmiechnęła się i odsłoniła kotarę. Zrzucając ubranie, podbiegł do niej i odgarnął jej z twarzy złote loki. Objęła go ramieniem za szyję i pociągnęła w dół.

Ursus umył się w beczce z zimną wodą na tyłach domostwa, upajając się uczuciem, jakiego doznawał, gdy naga skórę owiewało rześkie, poranne powietrze. W snach nie nękały go koszmary, a wizje przyszłości ukazywały mu stopy złota. Jeśli legendarny król zakupi broń na konie, jego tropem pójda inni waleczni monarchowie, dzięki czemu Ursus będzie mógł powrócić do swego pałacu w Dolinie Wielkiej Rzeki na czele tuzina konkubin.

W wieku dwudziestu lat przyszłość Ursusa rysowała się wyraźnie i kolorowo. Jakkolwiek pochodził z rodu Merowingów, on i Balan byli dość dalekimi krewnymi Meroweusza i nie mieli praw do tronu długowłosych królów. A żadne przyjemności żołnierskiego życia nie pociągały człowieka, który młodość spędził w pałacach rozkoszy w Tingisie.

Wytań się do sucha miękkim ręcznikiem i założył świeżą, czarną koszulę pod błyszczący kaftan. Ze skórzanej flaszeczki wylał na dłoń kilka kropel pachnidła i rozprowadził je na długich, kruczonych włosach. Smród stajni był trudny do zniesienia, więc wyszedł na otwarte pola, wdychając zapach dzikich róż rosnących wokół starożytnego kręgu stojących kamieni.

Tam przyłączył się do niego Prsamaccus. Starzec wydawał się być czymś poirytowany.

- Co tobie, przyjacielu? - zapytał Ursus, siadając na jednym z płaskich kamieni ołtarza.

- Spiełem się jak stary głupiec i teraz słyszę w głowie walenie młota.

- Za dużo miodu - stwierdził Ursus, usiłując stłumić śmiech.

- I zbyt rozbiegany język. Nie powinienem rozwodzić się tyle o królu i jego sprawach.

- Ochłoń ze strachu, Prsamaccusie, bo i tak nic nie pamiętam. Do mojej głowy też uderzyło wino. O ile sobie przypominam, mówiłeś o Jego Wysokości Utherze jako o najdzielniejszym

spośród wszystkich chrześcijańskich królów.

Prasamaccus uśmiechnął się szelmowsko. -Albowiem to prawda. Dziękuję, Ursusie. Ursus przez chwilę milczał. Wpatrywał się w poszarpaną linię zbrojnych ludzi, zdobiącą szczyt wzgórza.

- Mam nadzieję, że to nasi - szepnął.

Prasamaccus zasłonił oczy ręką i rzucił przekleństwo. Poderwał się na nogi i pokuśtykał do domu, pokrzykując gromko i wskazując na szarżujące wojsko. Od strony stajen nadbiegli stajenni i treserzy koni z łukami, podczas gdy dwudziestu zawodowych legionistów, uzbrojonych w miecze i tarcze, utworzyło linię obrony na dziedzin-

cu przed budynkiem. Ursus puścił się co tchu do swej komnaty po łuk i kołczan. Adriana kuliła się pod największym z okien.

- Kim oni są? - zapytał Ursus, gdy jeźdźcy podjechali bliżej.

- To plemię Trinovantów - odparła.

Przez otwarte okno wleciała strzała i utkwiała w futrynie drzwi po drugiej stronie komnaty. Ursus skrył się, zakładając strzałę na cięciwę.

Jeźdźcy wpadli jak burza na dziedziniec, zeskakując z wierzchowców, by rozprawić się najpierw z legionistami. Wobec przewagi czterech na jednego linia obrony nie wytrzymała, a pstro odziani napastnicy dźgali i cięli, przedzierając się do budynku mieszkalnego.

Ursus zaryzykował i zerknął za okno, gdy nagle wojownik z zaplecioną w warkocze brodą dał susa pod parapet. Naciągnąwszy cięciwę, Ursus wypuścił strzałę, która przebiła gardło dzikusa; mężczyzna padł na ziemię.

- Lepiej stąd uciekajmy - rzekł Ursus. Złapał Adrianę za rękę i postawił ją na nogi. Drzwi wpadły do środka i do komnaty wbiegło trzech wojowników z mieczami ociekającymi krwią zabitych legionistów.

- Mam nadzieję, że zadowolicie się okupem - powiedział Ursus, odrzucając łuk i rozkładając szeroko ramiona.

- Zabić go! - rozkazał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z zadawnioną blizną na policzku.

- Jestem sporo wart... w złocie! - odparł książę, cofając się. Wojownicy ruszyli, a wówczas Ursus postąpił krok do przodu,

okręcił się na pięcie, skoczył i kopnął w podbródek wojownika, który pokoziółkował następnie na swojego towarzysza. Książę wylądował lekko, zanurkował w prawo dla uniknięcia zamasztyego cięcia Szramy, po czym zerwał się, unikając kolejnego ciosu, i wpakował palce pod mostek nieprzyjaciela. Mężczyzna sapnął, twarz pokryła mu się szkarłatem... i upadł. Ursus podniósł porzucony miecz i wbił ostrze w pierś pierwszego z przewróconych, który właśnie się podnosił. Adriana uderzyła trzeciego stołkiem, aż stracił równowagę i runął na ziemię.

Na zewnątrz tymczasem rozległ się sygnał trąbki, a zaraz potem tętent wielu koni. Ursus podbiegł do okna i zobaczył, jak Uther i Vic-torinus na czele centurii konnych legionistów druzgoczą oszołomionych Trinovantów. Wielu z nich porzucało oręż, lecz nikt nie myślał litować się nad nimi.

Bitwa rozstrzygnęła się w ciągu kilku minut; wkrótce zaczęto uprzętać ciała z dziedzińca.

Król wszedł do domu z roziskrzonymi oczami, nie okazując śladu zmęczenia.

- Gdzie Prasamaccus? - zapytał, przechodząc ponad trupami. Wojownik uderzony przez Adrianę jęczał i usiłował powstać. Uther wykręcił się błyskawicznie i ciął swoim wielkim mieczem w kark rannego. Głowa potoczyła się pod ścianę, kadłub opadł na podłogę, brocząc fontanną krwi. Adriana odwróciła wzrok.

- Pytałem, gdzie Prasamaccus?

- Tutaj, panie - odezwał się kulawiec, wychodząc z sąsiedniego pokoju. - Nic mi nie jest. Król odprężył się i błysnął chłopięcym uśmiechem.

- Przykro mi, że nie zdołaliśmy przybyć wcześniej. - Podeszedł do okna. - Victorinusie!

Mamy tu jeszcze trzech!

Do środka weszło kilku żołnierzy i wywlekło zwłoki na zalany słońcem dziedzińcu.

Uther schował miecz do pochwy i usiadł.

- Dobrze się spisałeś, Ursusie. Walczysz nie gorzej, niż mówisz.

- Fortuna mi sprzyjała, panie, a Adriana położyła jednego stołkiem.

- Nic dziwnego. Wywodzi się ze szlacheckiego rodu. Adriana dygnęła i podeszła do kredensu po kielich dla króla,

który napelniła sokiem jabłkowym z glinianego garnka. Uther napił się z ochotą.

- Teraz już nic wam nie grozi. Gwałchmai otoczył główne siły bandytów i żaden zbuntowany Trinovanta, stąd aż po Cumbretovium, nie doczeka zmierzchu.

- Czyżby wszyscy twoi poddani byli tacy niesforni? - spytał Ursus, a na królewskim obliczu pojawił się cień zniecierpliwienia.

- My, Brytowie, nie nadajemy się na dobrych poddanych - wtrącił szybko Prasamaccus. -

Taka to już ziemia, Ursusie. Wszystkie szczepy wielbią własnych królów, własnych wodzów i świątobliwych mężów. Rzymianie wytepiili większość druidów, lecz teraz ich sekta się odnawia, a oni nie uznają władzy Rzymian.

- Ale Brytanią nie władają już Rzymianie - zdziwił się książę. - Nie rozumiem tego.

- W oczach plemion Uther jest Rzymianinem. Nie obchodzi ich, czy Rzym upadł.

- Jestem suwerennym władcą - rzekł Uther - z racji prawa i siły. Plemiona to akceptują, lecz druidzi się burzą. Tak samo jak Sasi,

Jutowie, Anglowie czy Goci, a Sicambrianie są przyjaciółmi dopiero od niedawna.

- Nie cierpisz na brak wrogów, jasnie panie. Obyś miał wiernych i silnych sojuszników! Jak sobie poradzisz z problemem druidów?

- A jak sobie poradzili Rzymianie, chłopcze? Kiedy tylko wpadają mi w łapy, każę ich krzyżować.

- Nie można by ich przeciągnąć na drugą stronę?

- Prędzej bym żmiję schował w moim łóżku.

- Oni chcą przecież tylko tego, czego chcą wszyscy ludzie: władzy, bogactw, ponętnych kobiet. Musi być ktoś między nimi, kogo można kupić. Chodzi o to, by przynajmniej zasiał ziarno niezgody w obozie nieprzyjaciół.

- Masz bystry umysł, młody Ursusie.

- I ciekawą świata naturę, panie. Skąd wiedziałeś, że nas tu zaatakują?

- Ziemia to wiedziała, a ja jestem ziemią- odpowiedział Uther z uśmiechem.

Ursus nie poruszał więcej tej kwestii.

Cormac po długim biegu poczuł ołów w nogach i ogień w płucach, lecz wiedział, iż nie uda mu się umknąć konnym jeźdźcom, ścigającym go wąską ścieżynką, ani pokonać w boju tych, którzy przekroczyli strumień na lewo i teraz usiłovali zająć mu drogę z boku. Pragnął wydostać się na wzniesienie, gdzie - wydawało mu się - mógłby zabić jednego, może dwóch łowców. Modlił się, aby jednym z nich okazał się Agwaine.

Chciał przeskoczyć ponad okrągłym głazem, lecz zahaczył zmęczonymi nogami o kamień i runął w trawę, wypuszczając miecz z dłoni. Podpełznął, aby odzyskać broń, gdy wtem jakaś ręka pochwyciła za jelec.

- Ciekawa klinga - stwierdził wysoki człowiek w kapturze. Cormac obnażył nóż i przygotował się do ataku. Nieznajomy odwrócił jednak miecz i podał rękojęść zmieszane mu chłopcu. - Chodź za mną.

Mężczyzna w kapturze dał nura w zarośla, gdzie po rozsunięciu krzaków ukazało się wejście do płytkiej groty. Cormac wśliznął się do środka, a nieznajomy zastąpił na powrót wejście. W niecałą minutę później sascy myśliwi minęli w pośpiechu kryjówkę. Obcy odrzucił

kaptur i przecesał dłońmi gęste, czarne, przyprószone siwizną włosy, które spływały mu na barczyste ramiona. Szare oczy były głęboko osadzone, broda okalała twarz na podobieństwo lwiej grzywy. Uśmiechnął się szeroko.

- Rzekłbym, że przeciwnik miał liczebną przewagę, młodzieńcze.

- Dlaczego mi pomogłeś?

- Czyżbyś nie był jedną z bożych owieczek?

- Jesteś szamanem?

- Znane mi są niektóre tajemnice. Jak cię zwa?

- Cormac. A ciebie?

- Ja jestem Objawiony. Chce ci się jeść?

- Oni wrócą. Muszę już iść.

- Wziąłem cię za bystrego dzieciaka, chłopca z głową na karku. Jeśli teraz stąd wyjdiesz, czy wiesz, co się stanie?

- Nie jestem idiotą, panie Objawiony. Ale co się ma stać, i tak się stanie za godzinę lub za dzień. Nie uda mi się przejść chyłkiem przez wszystkie ziemie Południowych Sasów, a nie chcę, żebyś zginął razem ze mną. Dziękuję za życzliwość.

- Rób, jak uważasz, lecz musisz przecież coś jeść! To główna zasada żołnierza.

Cormac oparł się plecami o ścianę i przyjął chleb z serem, który mu ofiarowano. Z wdzięcznością przystał na jedzenie, jak też na chłodną wodę z obłożonej skórą manierki.

- Jakim cudem ty, Sas, posiadasz taki miecz?

- Jest mój.

- Nie spieram się, kto jest jego właścicielem. Pytam tylko, jak dostał się w twoje ręce.

- Należał niegdyś do mojego ojca.

- Rozumiem. Był bez wątpienia dzielnym wojownikiem. Klingę wykonano ze stali, którą kują jedynie w Hiszpanii.

- Był wielkim wojownikiem. W dniu moich narodzin zabił sześciu ludzi.

- Sześciu? Cóż za wprawa! On także był Sasem?

- Nie wiem. Umarł tego samego dnia, a potem wychowywał mnie... przyjacieli. - Oblicze Gryssthy stanęło mu przed oczyma i po raz pierwszy od chwili jego śmierci łzy popłynęły po policzkach chłopca. Cormac odchrząknął i odwrócił głowę. - Przepraszam... przepraszam. - Pomimo wysiłków nie umiał opanować łkania. Poczul na ramieniu silną rękę.

- W życiu, przy odrobinie szczęścia, człowiek znajduje wielu przyjaciół. Ty masz szczęście, Cormacu, albowiem natknąłeś się na mnie.

- On nie żyje. Zabili go, ponieważ wystąpił w mojej obronie. Dłoń mężczyzny przesunęła się na czoło chłopca.

- Prześpij się teraz, porozmawiamy później, kiedy minie niebezpieczeństwo.

Ledwie palce Objawionego dotknęły powiek Cormaca, ogarnęła go, niczym ciepły koc, nieodparta senność. Zapadł w sen pozbawiony marzeń.

Obudził się, wśrodku nocy, przykryty grubym wełnianym pledem; jego głowa spoczywała na zwiniętym płaszczu. Gdy się obrócił na drugi bok, zobaczył Objawionego siedzącego przy małym ognisku, pogrążonego w zadumie.

- Dziękuję - powiedział Cormac.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak się czujesz?

- Wypoczęty. Co z myśliwymi?

- Dali na razie za wygraną i wrócili do wsi, ale przypuszczam, że powrócą nad ranem z psami. Jesteś głodny? - Objawiony podniósł znad ognia miedziany rondel i kijkiem wymieszał zawartość. - Ugotowałem rosół ze świeżego królika i suszonej wołowiny, z dodatkiem szczypty ziół. - Nalał solidną porcję do głębokiej drewnianej miseczki i wręczył ją chłopcu. Cormac z wdzięcznością przyjął posiłek.

- Udajesz się dokądś z pielgrzymką? - zapytał jedząc.

- Tak jakby. Wracam do domu.

- Jesteś Brytem?

- Nie. Jak tam rosół?

- Palce lizać.

- Opowiedz mi o Grysscie.

- Skąd znasz jego imię? Brodacz się uśmiechnął.

- Wypowiedziałeś je przez sen. Był twoim przyjacielem?

- Tak. W walce z Krwawym Królem stracił prawą dłoń. Potem został pastuchem kóz. Wychowywał mnie, jakbym był jego synem.

- A zatem byłeś jego synem. Aby zostać rodzicem, nie wystarczy więzy krwi. Dlaczego tak cię nienawidzą?

- Nie wiem - odpowiedział Cormac, wspominając ostatnie słowa Gryssthy. - Jesteś kapłanem?

- Skąd to przypuszczenie?

- Kiedyś widziałem kapłana Białego Chrystusa. Nosił habit podobny do twojego oraz sandały. Ale na szyi miał zawieszony drewniany krzyżyk.

- Nie jestem kapłanem.

- W takim razie wojownikiem? - zapytał Cormac z powątpiewaniem, bo obcy nie miał przy sobie broni, z wyjątkiem długiej laski, która teraz leżała obok niego.

- Ani wojownikiem. Zwyczajnym człowiekiem. Dokąd zmierzałeś?

- Do Dubrisu. Mógłbym tam najać się do pracy.

- Czego cię nauczono?

- Pracowałem w kuźni, młynie i garncarni. Nie chcieli pozwolić mi pracować w piekarni.

- Czemuż to?

- Nie wolno mi było dotykać ich żywności, lecz czasem piekarz pozwalał mi posprzątać pomieszczenia. Idziesz do Dubrisu?

- Nie, do Noviomagusu, a to na zachodzie. -Aha.

- Może byś poszedł ze mną? Droga nie będzie męcząca, a obu nam przyda się towarzystwo.

- Na zachodzie mieszkają moi wrogowie.

- Nie przejmuj się nieprzyjaciółmi, Cormacu. Nic złego ci nie uczynią.

- Wcale ich nie znasz.

- Nic im o tobie nie powiem. Popatrz! - Mężczyzna wyciągnął z plecaka lusterko z wypolerowanego mosiądzu. Cormac wziął je i westchnął ze zdziwienia, bo wpatrywał się w niego ciemnowłosy młodzieniec o wąskich ustach i okrągłej twarzy.

- Jesteś czarnoksiężnikiem - szepnął, zdjęty nagłym lękiem.

- Nie - odrzekł mężczyzna cicho. - Jestem Objawiony.

Jakkolwiek oszołomiony, Cormac usiłował rozważyć wszelkie możliwości, jakie się przed nim rysowały. Obcy nie wyrządził mu żadnej krzywdy, pozwolił zatrzymać miecz i traktował życzliwie. Był jednak czarownikiem i sam ten fakt napęłniał trwogą serce chłopca. A gdyby tak potrzebował Cormaca, by złożyć go w jakiejś okropnej, krwawej ofierze, nakarmić demona jego sercem? Albo uczynić zeń niewolnika?

Gdyby jednak Cormac próbował dotrzeć do Dubrisu na własną rękę, zostałby wytropiony i zabity jak wściekły pies.

Jeśli czarownik miał względem niego jakieś nieczne plany, przynajmniej nie dotyczyły tego dnia.

- Pójdę z tobą do Noviomagusu - oświadczył.

- Mądry wybór, młody Cormacu - rzekł Objawiony, wstając zwinnie i zbierając swój dobytek. Wiechciem trawy wyskrobał do czysta rondel i miskę, po czym schował je do plecaka i nie oglądając się za siebie ruszył w księżycową noc w kierunku zachodnim.

Cormac dogonił go i starał się dorównać jego zamaszystym krokom, gdy wychodzili z

zalesionych wzgórz i zagłębiali się w dolinki należące do Południowych Sasów. O północy Objawiony zatrzymał się w osłoniętym zagłębieniu i rozpalil ogień za pomocą zdobnego pojemniczka na hubkę, który to przedmiot szczególnie zafascynował Cormaca. Był ze srebra, z wyłoczonym na wieczku smokiem, który ział ogniem. Objawiony rzucił go chłopcu, a następnie dorzucił patyczków do niewielkiego płomyka, aż strzeliły wyższe płomienie.

- Pochodzi z Tingisu w północnej Afryce. To robota sędziwego Greka imieniem Milchiades. Uwielbia tworzyć dzieła sztuki z przedmiotów powszechnego użytku. Jego pasja przerodziła się w obsesję, ale ja kocham to, co robi. - Cormac otworzył ostrożnie pojemniczek. Wewnątrz znajdowała się sprężysta dźwigienka w kształcie smoczej głowy; w ustach tkwił zaostrzony krzemień. Kiedy zwolniło się dźwigienkę, krzemień ocierał się o żłobkowaną kratkę z żelaza, krzesząc snop iskier.

- Ależ to piękne!

- Owszem. A teraz weź się do roboty i nzbieraj trochę drzewa. - Cormac oddał pudełeczko i ruszył między drzewa w poszukiwaniu strąconych na wietrze gałęzi. Zanim wrócił, Objawiony rozścielił paprocie wokół ogniska, aby nie musieli spać na twardej ziemi. Wysoki wędrowiec podsycił ogień i nakrył się kocem; zasnął po kilku sekundach. Cormac siedział przez chwilę obok niego, wsłuchując się w odgłosy nocy.

Wkrótce i on zasnął.

Skoro świt, po zjedzeniu śniadania złożonego ze świeżego chleba i sera, podróżni wyruszyli w dalszą drogę. Jakim sposobem chleb pozostawał świeży, Cormac nie wiedział, aczkolwiek nie głowił się już nad tym teraz, gdy się przekonał, iż jego towarzysz para się magią. Każdy, kto może odmienić twarz i włosy drugiego człowieka, z łatwością potrafi stworzyć smaczny bochenek!

Tuż przed południem w polu widzenia pojawili się jeźdźcy jadący za szczwaczem, który wiódł na smyczach sześć wilczurów. Gdy

psy spostrzegły dwójkę wędrowców, skoczyły do przodu, ujadając z furją. Ciągnęły za smycze z taką siłą, że ich właściciel wypuścił w końcu z rąk sznury i uwolnił zwierzęta.

- Stój spokojnie! - zarządził Objawiony. Wzniósł laskę i czekał na wilczury zbliżające się z szaleńczą szybkością, obnażające wściekle kły.

- Siad! - ryknął, na co psy zatrzymały się przed nim i zaprzestały ujadania. - Siad, powiedziałem! - Psy posłusznie usiadły na zadach i czekały, dopóki pięciu jeźdźców nie podjechało cwałem. Prowadził ich Agwaine, a zaraz za nim jechał Lennoks. Pozostali trzej byli parobkami z majątku Caldera, mężczyznami o ponurym wejrzeniu, zbrojnymi w poręczne topory.

Czerwony na twarzy, spryskany błotem szczwacz zebrał rozrzucone smycze i ustawił psy w jednej linii.

- Dzień dobry - odezwał się Objawiony, wspierając się na lasce. - Polowanie?

Agwaine spał piętami konia i podjechał do Cormaca.

- Szukamy chłopca mniej więcej w jego wieku, w podobnej tunice.

- Rudzielca?

- Widziałeś go?

- Tak, czy to zbieg?

- Kim jest, nie twoja sprawa - warknął Agwaine.

- Chodź, chłopcze. - Objawiony zwrócił się do Cormaca i ruszył przed siebie, lawirując między jeźdźcami. Chłopiec nie dał się dwa razy prosić.

- A dokąd to, jeśli łaska? - zawołał Agwaine i ściągnął lejce, zwracając wierzchowca i zagradzając Objawionemu drogę.

- Zaczynasz mi grać na nerwach, szczeniaku. Na bok!

- Gdzie jest chłopiec?

Objawiony uniósł niespodziewanie rękę; rumak Agwaine'a splotył się i zrzucił jeźdźca na

trawę. Wędrowiec szedł dalej.

- Brać go! - wrzasnął Agwaine. Trzech saskich parobków natychmiast zeskoczyło z koni i ruszyło biegiem na wędrowca.

Objawiony obrócił się gwałtownie, znowu wsparty na lasce.

Mężczyźni zbliżali się ostrożnie. Laska wystrzeliła wprzód i trafiła w krocze najbliższego z napastników, który wypuścił siekierę i osunął się na kolana ze zduszonym jękiem. Objawiony zablokował następnie potężny cios topora, laska z siłą pioruna spadła na zarośnięty podbródek drugiego pachołka, jego też unieszko-

dliwiając. Trzeci spojrzał na Agwaine'a w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

- Zanim podejmiecie pościg za chłopcem, dobrze się namyślcie - poradził Objawiony. - Z tego, co tu widzę, mielibyście kłopoty nawet z rannym jelonkiem.

- Dziesięć sztuk złota - rzekł Agwaine i odwiązał od kulbaki skórzany mieszek, który następnie podniósł, po czym wysypał na rękę monety.

- Teraz to co innego, paniczu. Chłopiec powiedział mi, że zmierza do Dubrisu. Ostatnio widziałem go wczoraj na górskiej ścieżce.

Agwaine zsypał monety z powrotem do mieszka i odjechał.

- Czego więcej spodziewać się po Sasie? - rzekł Objawiony z uśmiechem. Podniósł swój plecak i podjął marsz na zachód, Cormac zaś biegł u jego boku.

- Chyba mówiłeś, że nie jesteś wojownikiem?

- To było wczoraj. Kim był ten młody człowiek?

- To Agwaine, syn Caldera.

- Czuję do niego przemożną niechęć.

- I ja. Gdyby nie on, Grysstha byłby dziś żywy.

- Jak to?

- Ma siostrę, Alfrudę. Objęła mnie ramionami, a wtedy zaatakowali mnie jej bracia. To wszystko.

- Dziecięca bójka? Jak to się ma do śmierci człowieka?

- Takie mamy prawo. Nie wolno mi uderzyć żadnego mieszkańca wioski, nawet we własnej obronie.

- Dziwne to prawo, Cormacu. Czy odnosi się tylko do ciebie?

- Tak. Jak daleko stąd do Noviomagusu?

- Trzy dni drogi. Widziałeś kiedyś rzymskie miasto?

- Nie. Są w nim pałace?

- Sądzę, że niektóre budynki wydadzą ci się nimi. Na miejscu kupię ci jakieś ubranie i pochwę dla miecza twojego ojca.

Cormac podniósł wzrok na wędrowca.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? Objawiony uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Być może dlatego, że nie spodobał mi się ten Agwaine. Z drugiej strony, może cię polubiłem. Sam sobie odpowiedz.

- Czy użyjesz mnie w swojej magii? Chcesz mnie zdradzić? Objawiony zatrzymał się i położył rękę na ramieniu Cormaca.

- Moje życie usłane jest czynkami, których nie sposób zapomnieć lub wybaczyć.

Zabijałem, kłamałem, oszukiwałem. Raz

nawet zabiłem przyjaciela. Moje słowo było jak sztaba z żelaza, ale też je przełamałem. Jak zatem mam cię przekonać, że nie zamierzam cię skrzywdzić?

- Wystarczy, że mi powiesz - rzekł Cormac. Objawiony wyciągnął dłoń, którą chłopiec uściskał.

- Nie zdradzę cię, bo jestem twoim przyjacielem.

- To mi aż nadto wystarczy - odparł młodzieniec. - Kiedy znów będę wyglądał jak dawniej?

- Gdy tylko dotrzemy do Noviomagusu.

- Masz tam dom?
- Nie, ale umówiłem się tam z kimś na spotkanie. Chyba ci się ona spodoba.
- Dziewczyna! - wykrzyknął Cormac, zdegustowany.
- Obawiam się, że tak. Ale powściągnij wodze swojego rozczarowania, dopóki jej nie poznasz.

## Rozdział czwarty

Noviomagus był kipiącym życiem miastem, położonym u ujścia rzeki, bogacącym się na handlu z Sicambryjczykami z Galii, Berberami z Afryki oraz kupcami z Italii, Grecji, Tracji i Kapadocji. Zabudowany mieszaniną starszych, solidnie zbudowanych rzymskich budowli i ostatnich kopii z drewna i bloków piaskowca, Novio-magus liczył sobie ponad sześć tysięcy mieszkańców.

Cormac nie widział dotąd większej cizby ludzi zgromadzonej w jednym miejscu niż teraz, gdy Objawiony przepychał się przez zatłoczone, duszne ulice, mijając bazy, jarmarki, sklepiki i giełdy towarowe. W oczach młodzieńca spotykani ludzie wspaniałością dorównywali królom, odziani w czerwone, zielone, błękitne, pomarańczowe i żółte szaty. Na tunikach, koszulach i pelerynach wiły się cudowne ornamenty szachownic, paski i wzorzyste układy scenek myśliwskich. Cormaca oszalałamiło otaczające go bogactwo.

Do Objawionego zbliżyła się kobieta o wypiętych piersiach i ufarbowanych na rudo włosach.

- Zechciej się odprężyć przy Helcji - szepnęła. - Tylko dziesięć denarów.
- Dziękuję, ale nie mam czasu.
- Prawdziwy mężczyzna zawsze ma czas - odparła z gasnącym uśmiechem.
- No to znajdź sobie prawdziwego mężczyznę - poradził jej i ruszył dalej.

Jeszcze trzy młode kobiety nagabywały podróżnych. Jedna nawet wsunęła rękę pod tunikę Cormaca, aż chłopiec odskoczył, płonąć ze wstydu.

- Ignoruj je, Cormacu - powiedział Objawiony, skręcając z głównej ulicy w tak wąską alejkę, że nie było w niej dość miejsca, by mogli iść ramię w ramię.

- Dokąd idziemy? - zapytał młodzieniec.
- Już doszliśmy - odparł Objawiony, po czym pchnął drzwi i wkroczył do długiego pomieszczenia, wyposażonego w tuzin ław i krzesła.

Powietrze było tu zatęchłe, bo brakowało okien. Obaj wędrowcy zasiedli w rogu przy stole, nie zwracając uwagi na pozostałych pięciu bywalców. Podszedł do nich chudy mężczyzna o ostrych rysach, wycierając dłonie tłustą szmatą.

- Chcecie coś zjeść?
- Proszę piwo - odpowiedział Objawiony - i jakieś owoce dla chłopca.
- Mamy właśnie pomarańcze, ale są drogie - stwierdził oberżysta. Objawiony otworzył dłoń, gdzie błyszczało pół sztuki srebra. - Czy to będzie wszystko? Mam gotowe kotlety.
- W takim razie jeden dla mojego towarzysza.
- Co z kobietą? Mamy tu trzy, lepsze niż te, które dotąd spotkałeś. Poczujesz się przy nich jak król.

- Może później. A teraz przynieś piwo i owoce. Mężczyzna powrócił z kuflem w skórzanym futerale i miską

z trzema piłeczkami wielkości pięści, w kolorze żółtego złota.

- Obierz je ze skórki i zjedz soczysty miąższ - doradził Objawiony.

Cormac postąpił wedle rady i o mało nie udławił się słodkim, orzeźwiającym sokiem. Pożarł



owoc i oblizał palce.

- Dobrze?

- Świetne. Pomarańcze! Kiedy dorosnę, zasadzę własne i będę je jadł każdego dnia.

- Wobec tego będziesz musiał zamieszkać w Afryce, za morzem, gdzie słońce przypala skórę człowieka tak, że jest czarniejsza od samej ciemności.

- Nie będą tu rosły?

- Zima jest dla nich za ostra. Jak ci się podoba w Noviomagusie?

- Bardzo tu hałaśliwie. Nie chciałbym tu mieszkać. Ludzie ciągle mnie potrącają, nie są zbyt uprzejmi. A te kobiety... Jeżeli mają taką ochotę na miłość, dlaczego nie wyjdą za mąż?

- Dobrze pytanie, Cormacu. Wiele z nich wyszło za mąż i nie mają ochoty na miłość, tylko na pieniądze. W podobnych miastach jedynym bogiem jest złoto. Bez niego jesteś niczym.

Kotlet był cienki i żylasty, lecz Cormacowi niebywale smakował; chłopiec połknął go w tempie, które wielce zadziwiło oberżystę.

- Dobry był, panie?

- Wspaniały! - odpowiedział Cormac.

- Cieszę się - rzekł człowiek, doszukując się w twarzy chłopca śladów sarkazmu. - Może przynieść jeszcze owoców?

- Pomarańcze - zgodził się Cormac i skinał głową.

Pojawiła się druga miska z owocami. Gospoda zaczęła wypełniać się klientami i dwaj wędrowcy siedzieli w milczeniu, wsłuchani w dobiegający zewsząd bełkot.

Większość rozmów dotyczyła wojny i jej nieuchronnego - lub wyimaginowanego - wpływu na handel. Cormac dowiedział się, że północni Trinovanci wypowiedzieli posłuszeństwo najwyższemu władcy. Na południowym wschodzie oddział Jutów wpłynął do Londinium i złupił miasto, ale został zniszczony przez flotę Uthera na galijskich wodach. Zatonęły trzy statki, a dwa stanęły w płomieniach.

- Oni chyba nie boją się tutaj żadnych najazdów - stwierdził Cormac, pochylając się do przodu.

Objawiony przytaknął skinieniem głowy.

- To z powodu ciemnej strony całego interesu, Cormacu. W No-viomagusie, jak już powiedziałem, oddają złotu boską cześć, a zatem handel prowadzi się tu z każdym, kto może zapłacić. Gotom, Jutom i Anglom wysyła się z kopalń Anderidy wyroby z żelaza, a więc miecze, siekiery, włócznie, groty strzał. Kupuje się tu cały wojenny ekwipunek.

- I król na to pozwala?

- Nic nie może poradzić, tym bardziej, że sam się tutaj zaopatruje w oręż i zbroję. W Noviomagusie robi się najlepsze skórzane napierśniki, a także wysokiej jakości miecze i spizowe tarcze.

- Nie powinno się handlować z własnym wrogiem.

- Kiedy jest się młodym, życie wydaje się niezwykle proste.

- Jak to się dzieje, że król jeszcze nie upadł, skoro jego własny naród pomaga nieprzyjaciółom?

- Nie upadł, albowiem jest wielki. Pomyśl jednak: tutejsi kupcy zaopatrują Jutów i stają się coraz bogatsi. Król pobiera od nich podatki, które zapełniają mu skarbiec. Za to złoto kupuje broń do walki z Jutami. A więc bez pomocy Jutów Uther miałby mniej złota, by się im przeciwstawić.

- Ale gdyby Jutowie i inni nie atakowali go, nie potrzebowałby tyle złota - zauważył Cormac.

- No właśnie! Masz smykałkę do dyskusowania. Ale gdyby zabrakło nieprzyjaciół, nie musiałyby posiadać armii, a nikt z nas nie potrzebuje króla bez wojska. Wobec tego bez Jutów Uther nie zostałby koronowany.

- Kręci mi się od tego w głowie. Możemy już iść? Powietrze zaczyna tu śmierdzieć.

- Zaczekamy jeszcze chwilę. Mamy tu kogoś spotkać. Wyjdź na dwór, ale nie odchodź za daleko.

Cormac spacerował wzdłuż alejki, gdy nagle ujrzał dziewczynę szamoczącą się z roslym wojownikiem w rogatym hełmie. Obok na ziemi leżał starszy mężczyzna, brocząc z rany na głowie. Wojownik uniósł w powietrze szarpiącą się dziewczynę, prawą dłoń zaciskając jej usta.

- Stój! - krzyknął Cormac i wyciągnął miecz zza pasa. Wojownik zaklął i odrzucił dziewczynę. Cormac rzucił się do przodu i, ku jego zdziwieniu i uldze zarazem, napastnik odwrócił się, po czym dał drapaka. Chłopiec zbliżył się do dziewczyny i pomógł jej wstać. Była wiotka i ciemnowłosa, miała owalną twarz i skórę bladą niczym kość słoniowa. Cormac przełknął z trudem ślinę i uklęknął przy starym człowieku. Był gładko ogolony i ubrany w błękitną, powłóczystą togę. Chłopiec uniósł jego nadgarstek, by wyczuć puls.

- Przykro mi, pani, ale nie żyje.

- Nieszczęsny Cotta - westchnęła.

- Dlaczego was napadnięto?

- Jest tu gdzieś w pobliżu gospoda "Znak Byka"? - zapytała, odwracając ku niemu głowę. Spojrzał w jej bladoszare oczy i wtedy spostrzegł, że jest niewidoma.

- Tak, zaprowadzę cię tam - powiedział, wyciągając rękę. Nie ruszała się, toteż ujął ją za ramię.

- Nie możemy go tu zostawić - rzekła. - Tak się nie godzi.

- Jestem z przyjacielem. On będzie wiedział, co należy zrobić.

Wprowadził dziewczynę do gospody, wiodąc ją ostrożnie pomiędzy ławami. Gdy nagły gwar głosów nappełnił niewidomą lękami, ścisnęła go za ramię; on tylko pogłaskał ją po ręce i przedstawił Objawionemu, który poderwał się na równe nogi.

- Anduino, a gdzie Cotta?

- Ktoś go zabił, panie.

Objawiony zaklął, czekającemu oberżycie rzucił srebrną monetę, a następnie wziął dziewczynę za rękę i wyprowadził ją na dwór. Cormac ruszył za nimi, doznając dziwnego uczucia pustki, teraz skoro jego obowiązek przejął ktoś inny.

Na zewnątrz Objawiony przyklęknął obok leżącego starca. Zamknął martwe powieki i powstał.

- Musimy go tu zostawić. Szybko... -Ależ Cotta...

- Gdyby mógł teraz przemówić, nalegałby na to samo. Co widziałeś, Cormacu?

- Cudzoziemiec w rogatym hełmie chciał ją gdzieś zabrać. Pobiegłem ku niemu, ale uciekł.

- Gratuluję odwagi, młodzieńcze - pochwalił go Objawiony. -Dzięki niech będą Źródłu, że chciałeś odetchnąć świeżym powietrzem. - Zanurzył dłoń w kieszeni swojego wełnianego szorstkiego habitu i wydobyl niewielki złoty kamień, który wręczył dziewczynie. Ciemne jej włosy pojaśniały i stały się niczym pszenica, prosta sukienka z ciemnozielonej wełny przemieniła się w bury kaftanik i beżowe spodnie.

W alejce pojawiło się trzech mężczyzn. Dwóch nosiło spizowe, ozdobione kruczymi skrzydłami hełmy. Trzeci ubrany był na czarno i nie miał przy sobie broni.

- Zniknęła - rzekł jeden z mężczyzn, przebiegając obok Cormaca. Pozostała dwójka weszła do gospody. Objawiony wyprowadzał Anduinę z uliczki, kiedy Wikingowie wynurzyli się z karczmy.

-Wy tam! Stójcie! -rozległo się wołanie. Objawiony odwrócił się.

- Obejmij ją ramionami i udawaj, że jesteście zakochani - szepnął do Cormaca. Potem powiedział: - Czym mogę służyć, bracia? Nie mam pieniędzy.

- Widziano tu chłopca z dziewczyną w zielonej sukience. Gdzie ona się podziała?

- Ta ślepa dziewczucha? Ktoś po nią przyszedł. Wyglądał na wzburzonego. Sądzę, że to jego przyjaciel leży tam nieżywy.

Cormac pochylił się ku Anduinie i położył jej ręce na ramionach. Nie wiedział, jak się zachować, ale widywał chłopców z wioski razem z dziewczynami. Pocałował dziewczynę delikatnie w policzek, zasłaniając jej twarz przed trzema zbrojnymi.

- Już po nas! - syknął jeden z wojowników.

- Siedź cicho, Atha! Podejdz no tu, dziewczyno - zarządził dowódca.

W tejże chwili zza zakrętu wyłonił się patrol milicji pod wodzą oficera w średnim wieku.

- Co tu się dzieje? - zapytał, posyłając dwóch ludzi, by zbadali ciało.

- Tego starca obrabowano - rzekł Objawiony. - Cóż za ohyda w cywilizowanym mieście.

- Byłeś świadkiem napaści?

- Nie, jadłem w karczmie obiad razem z synem i jego żoną. Być może ci zacni panowie okażą się pomocni.

- Masz przy sobie pieniądze? - zapytał oficer.

- Nie - odpowiedział Objawiony z uśmiechem, rozkładając ramiona, aby go przeszukano, co uczyniono szybko i skrupulatnie.

- Masz jakichś przyjaciół w Noviomagusie?

- Obawiam się, że nie.

- Znalazłeś tu pracę?

- Jak dotąd nie, ale jestem pełen nadziei.

- Melvar! - zakrzyknął oficer i wnet podbiegł doń jeden z żołnierzy. - Wyprowadź tych... podróżników z miasta. Przykro mi, lecz nie może tu zostać nikt, kto nie posiada środków na utrzymanie.

- Rozumiem - zgodził się Objawiony, ujmując Anduinę za ramię i prowadząc ją w stronę głównej ulicy. Potknęła się i omal nie przewróciła. Widząc to, ubrany na czarno przywódca Wikingów zaklął siarczyście.

- Jest ślepa! To ona! - Usiłował rzucić się w pościg, lecz oficer zagroził mu drogę.

- Jedną chwileczkę, mój panie. Wpierw odpowiedzcie mi na kilka Pytań.

- Jesteśmy kupcami z Recji. Mam dokumenty.

- Chciałbym je obejrzeć.

Tymczasem żołnierz Melvar wyprowadził całą trójkę na zachodnie obrzeże Noviomagusu.

- Możliwe, że dostaniecie pracę na którejś z farm na północ stąd - powiedział. - W przeciwnym razie radziłbym udać się do Venty.

- Dziękuję - odparł Objawiony. - Byłeś niezwykle uprzejmy, panie.

- Co się dzieje? - zapytał Cormac, kiedy zniknął milicjant. - Kim byli ci wojownicy?

- Łowcami Wodana, którzy szukają Anduiny.

- Dlaczego?

- Gdyż jest mu poślubiona i on jej potrzebuje.

- Ależ on jest bogiem... prawda?

- Jest diabłem, Cormacu, i nie może jej dostać. Lepiej stąd zmykajmy, bo zaczęło się już polowanie.

- Nie mógłbyś posłużyć się swoją magią? Objawiony się uśmiechnął.

- Mógłbym, ale nie pora jeszcze na to. Niedaleko znajduje się kamienny krąg. Musimy dotrzeć do niego przed zapadnięciem zmroku, a wtedy... będzie ci potrzeba więcej odwagi niż posiadają zwykli ludzie.

- Dlaczego? - zapytał Cormac.

- Już zbierają się demony - odparł.

Kamienie tworzyły krąg o średnicy jakichś sześćdziesięciu stóp wokół płasko ściętego wzgórza, położonego w odległości ośmiu mil od Noviomagusu. Cormac poprowadził wyczerpaną Anduinę na sam szczyt, gdzie rozścielił koc i usiadł obok niej. Niewidoma dziewczyna dzielnie zniosła podróż; trzymała się blisko Cormaca, który uważał, by omijała wystające korzenie i skały.

Objawiony szedł przed nimi w pewnym oddaleniu, a kiedy zmęczona para osiągnęła wierzchołek, klęczał już przed starym kamieniem ołtarza, pieczołowicie nacinając laskę. Cormac zbliżył się do niego, ale ten odprawił chłopca machnięciem ręki i zaczął odmierzać odległość między ołtarzem a najbliższym ze stojących kamieni -masywnym, szaroczarnym monolitem, dwukrotnie przewyższającym człowieka. Cormac wrócił do Anduiny, pozwolił jej napić się wody i pomaszerował na drugą stronę kręgu. Ogromne głązy były tam bardziej wyszczerbione, a jeden z nich leżał przewrócony, jego podstawa pękła jak spróchniały ząb. Cormac ukląkł przy nim, bo zauważył wyryte w kamieniu serce z łacińskimi literami. Chłopiec nie znał łaciny, ale widział już wcześniej podobne inskrypcje. W tym miejscu siedziała para zakochanych, wpatrzona w przyszłość z nadzieją i radością. Znajdowały się tu również inne napisy, niektóre całkiem świeże, i Cormac żałował, iż nie umie ich odczytać.

- Gdzie jest Objawiony? - zapytała Anduina.

Cormac powstał i ująwszy dziewczynę za rękę, zaprowadził ją do przewróconego kamienia, gdzie usiedli w słabnących promieniach słońca.

- Jest tu niedaleko, zaznacza kredą punkty i odmierza odległości między kamieniami.

- Tworzy fortecę duchów - rzekła Anduina. - Zamyka pieczęcią krąg.

- Żeby powstrzymać demony?

- To zależy, ile magii mu pozostało. Kiedy odwiedził mnie w Austrazji, jego kamień mocy był niemal wyczerpany.

- Kamień mocy?

- Nazywają się Sipstrassi. Wszyscy władcy je noszą. Mój dziadek miał trzy.

Cormac nic na to nie odrzekł, lecz obserwował, jak Objawiony kontynuuje swą ezoteryczną pracę za pomocą kredy, łącząc przypadkowe na pierwszy rzut oka szeregi linii, półokręgów i gwiazd sześcioramiennej.

- Dlaczego ścigają właśnie ciebie? - zapytał Anduinę. - Przecież są na świecie inne dziewczyny, z pewnością mniej kłopotliwe.

Uśmiechnęła się i ujęła jego dłoń.

- Urodziłeś się w jaskini i twoje życie było pełne smutku. Twój serdeczny przyjaciel został zabity, a twoja rozpacz jest głęboka niczym morska otchłań. Jesteś silny zarówno ciałem, jak duchem, a na prawym ramieniu masz niewielką ranę, lekkie rozcięcie, które powstało podczas upadku, gdy uciekałeś przed myśliwymi. - Sięgnęła do jego ramienia, wodząc palcami po skórze, dopóki nie natrafiła na obrzęk. - A teraz - powiedziała - rany nie ma.

Popatrzył ze zdziwieniem. Wszelkie ślady zniknęły.

- Ty też jesteś czarodziejką?

- Dlatego jestem im potrzebna. Zabili mi ojca, ale uratowali mnie Cotta i pan Objawiony. Myśleli, że w Brytanii będę bezpieczna, lecz nie ma dla mnie bezpiecznego miejsca. Bramy się otwarły.

Objawiony przyłączył się do nich; twarz miał poznaczoną kurzem i potem, a w szarych oczach malowało się zmęczenie.

- Moc kamienia została wyczerpana - oznajmił. - Teraz musimy poczekać.

- Dlaczego Wodan opuścił pałace Asgardu? - zapytał Cormac. - Czy to ragnarók? Nadszedł koniec świata?

Objawiony zachichotał.

- Trzy piękne pytania, Cormacu! Najważniejsze jednak jest to ostatnie. Jeżeli rano wciąż będziemy żywi, odpowiem ci na nie, lecz na razie musimy się przygotować. Zabierz Anduinę do kamiennego ołtarza i przenieś ją nad znakami z kredy. Żadnego z nich nie wolno ci uszkodzić.

Młodzieniec zastosował się do polecenia, po czym dobył miecza i wbił go w ziemię. Słońce kryło się za wodami, zalewając czerwoną luną upstrzone podświetlonymi obłokami niebo.

- Podejdz tu - rzekł Objawiony i Cormac kucnął obok niego. -Dzisiaj przejdiesz egzamin. Chcę, żebyś zrozumiał, iż wszystko zacznie się od oszustwa: będą chcieli, abyś wyszedł z kręgu. Ale musisz być silny bez względu na rozwój wydarzeń. Rozumiesz?

- Pozostać w kręgu. Tak, rozumiem.

- Jeśli zdołają się przedrzeć, jeden z nas musi zabić Anduinę. -Nie!

- Tak. Nie mogą odebrać jej mocy. Jest tak wiele rzeczy, które pragnąłbym ci wytłumaczyć, Cormacu. Pytałeś o ragnarók. Nastąpi wcześniej, jeżeli ją dostaną, i później, gdy im się to nie uda. Możesz mi wierzyć, lepiej będzie dla niej umrzeć z naszych niż z ich rąk.

- W jaki sposób można walczyć z demonami?

- Ty nie możesz, ale ja tak. Kiedy jednak polegną, ruszą za nimi ludzie. Nie wiem, w jakiej liczbie. Wtedy będziesz walczył. Mam nadzieję, że Grysstha był dobrym nauczycielem.

- Bardzo dobrym - odparł Cormac - ale teraz się boję.

- Ja również i nie ma się czego wstydzić. Weź swój miecz. Cormac odwrócił się i powstał, by ujrzeć, jak Anduina klęczy

przy klindze, przesuwając wolno rękami wzdłuż miecza.

- Co robisz? - zapytał.

- Nic, co by ci mogło zaszkodzić, Cormacu - odparła, wyciągając broń z ziemi i wręczając mu ją rękojęścią do przodu.

Słońce zaszło, ostatnie przebłyski gasły na zachodniej stronie nieba. Zerwał się chłodny wiatr i zaczął szeleścić w wysokiej trawie. Cormac zadrżał, odebrał miecz i wrócił do czekającego Objawionego.

- Usiądź i popatrz na klingę - nakazał mu podróżnik. - Teraz stanowi twoją integralną część. Przez nią przepływa twoje życie,! twoja harmonia i twój duch. Każdy wojownik musi poznać trzy tajemnice: sekret życia, harmonii i ducha. Pierwszym z nich jest ży-

cie, czasami zwane greckim podarunkiem, bo codziennie jest nam odbierane. Czym ono jest? Oddechem, śmiechem, radością. Jest świecą, którą płomień wypala, aż nastają ciemności grobowca. Im jaśniejszy ogień, tym krótsze jego trwanie. Ale jedna rzecz jest pewna i o tym wojownik nie może zapominać: każde życie ma swój kres. Człowiek może się ukrywać w jaskini przez wszystkie dni swego żywota, unikając wojen i *zarazy*, a mimo to i on w końcu umrze. Lepszy już jest jasny płomień, większa radość. Człowiek, który nigdy nie zaznał goryczy, nie doceni radości. A więc człowiek, który nigdy nie zajrzał śmierci w oczy, nie zrozumie życia.

Harmonia, Cormacu, to druga z tajemnic. Drzewo zna harmonię, podobnie jak wiatr i spokojne gwiazdy. Człowiek odnajduje ją rzadko. Znajdź ją dzisiaj, tutaj, na tym odludnym wzgórzu. Wsłuchaj się w bicie serca, poczuj powietrze w płucach, dostrzeż wspaniałość księżycy. Zjednocz się z nocą. Zjednocz się z tymi kamieniami. Zjednocz się ze swym mieczem i z sobą, albowiem w harmonii jest siła, a w sile życie.

Na końcu mamy jeszcze ducha. Dzisiaj zapragniesz biec... ukryć się... uciec. Ale duch ci powie, abyś się nie zachwiał. Odezwie się cichym głosem, łatwym do zakrzywienia. Ty jednak będziesz słyszał, bo duch jako jedyny chroni nas przed ciemnością. I tylko słuchając głosu ducha człowiek może wzrosnąć w siłę. Odwaga, lojalność, przyjaźń i miłość - wszystko to są dary ducha.

Wiem, że nie rozumiesz teraz wszystkiego, co mówię, ale niech moje słowa zapadną ci głęboko w serce, jako że dzisiejszej nocy ujrzysz zło i poznasz, co znaczy rozpacz.

- Nie ucieknę. Nie będę się chował - zapewnił chłopiec. Objawiony położył dłoń na ramieniu Cormaca.

- Wiem o tym.

Obłoki mgły zaczęły unosić się wokół nich niczym dym wielkiego ogniska, wypuszczając na zwiady macki, które cofały się przy dotknięciu kredowych linii. Rosły wyżej i wyżej, aż zamknęły się nad ich głowami na podobieństwo szarej kopuły. Cormacowi zaschło w ustach,

choć pot zalewał mu oczy. Wylał je do sucha i stanął z mieczem na baczność.

- Bądź opanowany - rzekł cicho Objawiony.

Ni to syk, ni to szept rozległ się gdzieś we mgle i chłopiec usłyszał swoje imię, wielokrotnie powtarzane. Na koniec rozstąpiła się ściana szarości i odsłoniła klęczącego na skraju kręgu Gryssthe; dwie strzały wciąż sterczały z jego piersi.

- Pomóż mi, chłopcze - jęknął starzec.

- Grysstho! - wykrzyknął Cormac, ruszając w jego kierunku, lecz ręka Objawionego złapała go za ramię.

- To kłamstwo, Cormacu. On nie jest twoim przyjacielem.

- Jest, znam go.

- Jak się w takim razie tu znalazł, czterdzieści mil od miejsca, gdzie spoczywa jego ciało? Nie, to oszustwo.

- Pomóż mi, Cormacu! Dlaczego nie chcesz mi pomóc? Przez tyle lat ja pomagałem tobie.

- Bądź silny, chłopcze - szepnął Objawiony - i pomyśl: jeśli cię kochał, dlaczego teraz cię wzywa, by rozszarpały cię demony? To nie on.

Cormac ciężko przełknął ślinę, z trudem odrywając wzrok od klęczącego mężczyzny.

Wówczas postać powstała, ciało opadło niby skóra węża. Zaczęło wykrzywiać się i puchnąć, z czoła wystrzeliły ciemne rogi, a w paszczy pokazały się długie, błyszczące zębiska.

- Widzę cię! - syknęła istota, wskazując Objawionego szponiastym palcem. - Poznaję cię!

W ręku stwora błysnął czarny miecz i natychmiast wyskoczył ku cienkiej, kredowej linii.

Rozbłysnął płomień i syknął snopem białych iskier, parząc go w skórę. Istota upadła z krzykiem na plecy, po czym przystąpiła do kolejnego natarcia. Za nią pojawiły się następne zwierzęce sylwetki, skrzecząc i nawołując. Cormac uniósł swój miecz, którego ostrze promieniało białą poświatą niby uwięziony blask księżyca. Sfora zaatakowała krąg i rozległ się przeraźliwy huk, podobny do uderzenia pioruna. Wiele demonicznych stworzeń padło na wznak, wijąc się w płomienistej aureoli, lecz trzy zdołały wtargnąć do wnętrza kręgu.

Objawiony podniósł laskę wysoko nad głowę i z miejsca okryła go srebrno-czarna zbroja, a sama laska przemieniła się w srebrną lancę, która z kolei rozdzieliła się na dwa miecze o oslepiającej jasności. Skoczył na spotkanie napastników, a Cormac z dzikim okrzykiem ruszył mu na pomoc.

Demon o lwim obliczu zaatakował go ciemnym mieczem. Cormac zablokował uderzenie, skręcił nadgarstek i własną klingą rąbnął w szyję stwora. Zielona posoka trysnęła fontanną i bestia upadła, konając.

- Dziewczyna! Strzeż dziewczyny! - krzyknął Objawiony. Cormac przeniósł spojrzenie z rycerza walczącego z dwoma

demonami na Anduinę, którą dwaj ludzie wynosili z ołtarza. Bez chwili namysłu skoczył do przodu. Pierwszy z mężczyzn wystąpił

ku niemu i chłopiec spostrzegł krwiście czerwone oczy wroga. Gdy otworzyły się usta mężczyzny i ukazały rząd długich, sierpowatych zębów, strach spadł na Cormaca niczym fizyczne uderzenie i chłopiec się zawahał. Zaledwie jednak stwór przypuścił szturm ze straszliwą szybkością, szalona odwaga wstąpiła w serce młodzieńca. Miecz jego załśnił, blokując cięcie wąskiego sztyletu, a potem spadł, by przeciąć obojczyk demona i wyjść brzuchem. Bestia umarła z przerażającym skowytym. Cormac przeskoczył ponad ciałem, a stworzenie trzymające Anduinę przerzuciło ciężar na drugą rękę i dobyło szarego miecza.

- Twoja krew należy do mnie - syknęło, obnażając kły. Miecze spotkały się, krzesząc skry, i wkrótce Cormac zaczął

wycofywać się z kręgu, odpierając desperacko ataki demona. Szybko zdał sobie sprawę, że zdecydowana przewaga leży po stronie wroga i nie ma nadziei na ratunek. Trzykrotnie ostrze nieprzyjaciela zostało zatrzymane o cale od gardła chłopca, a każde kontruderzenie było wzgardliwie zbijane. Nieoczekiwanie Cormac potknął się o wystający kamień i runął na

plecy. Demon skoczył na niego. Miecz pędził już ku ofierze... lecz w ostatniej chwili został powstrzymany przez klingę Objawionego. Wojownik w srebrzystej zbroi odbił także drugie cięcie, okręcił się na pięcie i pozbawił przeciwnika głowy. Równie nagle, jak się pojawiła, mgła znikła. Księżyc i gwiazdy oblewały kamienie czystym światłem.

- Jesteśmy już bezpieczni? - szepnął chłopiec, gdy Objawiony pomagał mu się podnieść. Poza kręgiem czekało siedmiu wojowników Wikingów.

-leszcze nie.

Odziany w czerń człowiek, którego widzieli w Noviomagusie, postąpił krok do przodu.

- Wydajcie dziewczynę, a będziecie żyć!

- Chodź, weź ją sobie - zaproponował mu Objawiony. Szereg posępnych wojowników poruszył się; jedni dzierżyli miecze, inni potrząsali toporami. Cormac stał jak wrośnięty, czekając na sygnał Objawionego. Kiedy nastąpił, w równej mierze zaskoczył Wikingów, jak i Cormaca.

Objawiony rzucił się na wroga.

Jego miecz runął na pierwszych z brzegu i oto w jednej chwili dwóch wojowników padło trupem. W chaotycznej potyczce, która się nawiązała, Cormac wydał dziki okrzyk bojowy i natarł na Wikingów przymierzających się z prawej strony na Objawionego. Rąbnął mieczem w ramię mężczyzny, o mało nie oddzielając go od korpusu. Napastnik wrzasnął z bólu i odskoczył w lewo, tak że jego towarzysze nie mogli od razu natrzeć na Cormaca. Chłopiec pchnął ostrzem w odsłonięty nagle brzuch Wikinga, a wtedy zaszarżowało na niego czyjeś ramię. Ostrze miecza drasnęło go w bark; zwinnie rzucił się na ziemię, unikając przelatującego nad nim topora, a potem chlasnął w nogi wojownika. Wiking przewrócił się, a wówczas Cormac ciął go kąśliwie w szyję. Jasna krew spryskała klingę. Gdy zerwał się na nogi, Objawiony zdążył uporać się z ostatnim przeciwnikiem. Ubrany na czarno przywódca biegł co sił na drugą stronę kręgu. Objawiony zamachnął się porzuconą siekierą i, cisnąwszy nią z przerażającą siłą, trafił w kark uciekającego, odcinając mu niemal głowę. Cormac rozejrzał się wokoło, ale nie pokazał się żaden nowy wróg. Wtem zerknął na Objawionego i zamarł, miecz wypadł mu z palców. Zniknęła zarówno broda, jak i lwia grzywa srebrnych włosów. Naprzeciw niego stał czarnowłosy wojownik, bohater ze snu, mężczyzna, który zeskokczył z klifu w dniu narodzin Cormaca.

- Co z tobą, chłopcze? Czyżby moja naturalna twarz była taka straszna?

- Dla mnie jest straszna - odparł Cormac. - Wyjaw mi swoje imię, swoje prawdziwe imię.

- Jestem Culain lach Feragh, zwany niegdyś Lordem Lancy.

- Wielki Zdrajca.

Culain przeszył Cormaca ostrym spojrzeniem szarych oczu.

- Owszem, tak mnie nazwano. I nie bez racji. Ale co to ma do rzeczy?

-To ja jestem tym dzieckiem, które zostawiłeś w jaskini, synem, któremu pozwoliłeś zgnieć.

Culain zamknął oczy i odwrócił szybko głowę. Wreszcie, wzięwszy głęboki oddech, spojrzał na Cormaca.

- Możesz to udowodnić?

- Nie muszę. Wiem, kim jestem. Grysstha odnalazł mnie tamtego dnia, kiedy ty... Miałem powiedzieć, że zginąłeś, ale to oczywiście nieprawda. Pomogłeś mojej matce dotrzeć do jaskini Sola Invictusa. Powiedziałaś jej, że przykro ci, iż do tego doprowadziłeś. Potem zabiłeś tych ludzi i wyszedłeś nad krawędź klifu. Rzuciłeś mieczem, który wbił się w drzewo, a jeźdźcy i kulawy patrzyli z daleka.

- Nawet jeśli to ty jesteś tym dzieckiem, byłeś wiedzą za mały, żeby cokolwiek zapamiętać - rzekł Culain.

Cormac zdjął z szyi kamień i rzucił go wojownikowi.

- O niczym nie miałem pojęcia, aż do dnia, w którym uciekłem. Zasnąłem wtedy w jaskini i wszystko mi się przyśniło. To przecież prawda, że znaleziono mnie w tej jaskini, obok ogara i

szczeniąt, a przez całe życie ludzie nazywali mnie synem demona. Gdyby nie Grysstha, od razu by mnie zabiło.

- Sądziłeś, że umarłeś - szepnął Culain.

- Od lat marzyłem, że pewnego dnia przyjdiesz po mnie... To dodawało mi siłę i nadziei. Ale tak się nigdy nie stało. Dlaczego nie powróciłeś choćby po to, żeby pogrzebać własnego syna?

- Nie jesteś moim synem, Cormacu. Chciałbym, żeby tak było! - Ale ty jej towarzyszyłeś!

- Kochałem ją, lecz nie jestem twoim ojcem. Ten honor przysługuje jej mężowi, Utherowi, wielkiemu królowi Brytanii.

Cormac wlepił wzrok w silne, kanciaste oblicze wojownika, znanego mu dotąd jako Objawiony, szukając w sercu choć śladu nienawiści. Niczego takiego nie znalazł. W pierwszym momencie, gdy zasłona opadła mu z oczu, coś w chłopcu umarło, coś, co zostało zastąpione natychmiastowym gniewem. Teraz gniew minął i Cormaca ogarnęło uczucie większej niż kiedykolwiek samotności.

- Przykro mi, chłopcze - rzekł Culain. - Podnieś swój miecz, czas w drogę.

- W drogę? - wyszeptał Cormac. - Nigdzie z tobą nie pójdę. Wziął broń, odwrócił się plecami do Culaina i Anduiny, po czym

zaczął schodzić na południe, ku Noviomagusowi. Zanim jednak dotarł na skraj kręgu, rozbłysnął przed nim oślepiający snop światła i wzrok zaszedł mu mgłą. Równie nagle, jak się pojawiła, jasność znikła; Cormac zamrugał oczyma.

Przed nim rozciągała się sceneria zupełnie niepodobna do tej, jaką oglądał jeszcze przed chwilą. Przepadło ciemne morze, połyskujące w tle za białymi murami Noviomagusu, ustąpiwszy miejsca górom piętrzącym się na widnokręgu, majestatycznym, przykrytym śnieżnymi czapami, przybranym płaszczem świerków i jarzębiny.

- Musimy porozmawiać - powiedział Culain. - Poza tym tutaj jesteś bezpieczniejszy.

Nagle gniew Cormaca rozgorzał na nowo, tym razem płomieniem wścieklej furii. Bez słowa rzucił się na Culaina, celując mieczem w jego głowę. Wojownik sparował cios z oszałamiającą prędkością, ale musiał się cofnąć pod kolejnym uderzeniem trzymanego oburącz miecza. Raz po raz chłopiec znajdował się o cal od zadania

śmiertelnego ciosu, lecz każdy atak był powstrzymywany z zadziwiającą zręcznością. Nieco z tyłu, nie widząc przebiegu wypadków, zbliżała się niepewnym krokiem Anduina z wyciągniętymi rękami i wołała ich po imieniu. Zaślepiony wściekłością, Cormac nie zauważył dziewczyny, a miecz jego przetoczył się szerokim kołem, ominął Culaina i pomknął ku Anduinie. Culain wyskoczył w powietrze i uderzeniem stopy powalił chłopca na ziemię, jednak ostrze zdołało przeciąć ramię dziewczyny. Krew trysnęła z rany i Anduina wrzasnęła. Wojownik podbiegł do niej, przyłożył kamień do rany, a ta zagoiła się natychmiast.

Leżąc, Cormac obserwował całe wydarzenie z trwogą i głębokim wstydem. Usiadł, pozostawił miecz w trawie, a następnie zbliżył się do pozostałych.

- Wybacz mi, Anduino. Nie widziałem cię.

Wyciągnęła rękę, którą on uściskał. Uśmiech jej był niczym przeblysł słońca po burzy.

- Więc znów jesteśmy wszyscy przyjaciółmi? - zapytała. Cormac nie umiał zdobyć się na odpowiedź, a i Culain milczał w posępnym nastroju. - Jakież to smutne - dodała i uśmiech znikł z jej ust.

- Nazbieram drzewa na ogień - oświadczył Culain. - Rozbijemy tu dzisiaj obóz, a nazajutrz wyruszymy w góry. Miałem tam kiedyś dom. Przynajmniej na chwilę będziemy w nim bezpieczni.

Wstał i wyszedł z kręgu. Cormac siedział przy Anduinie w jasnej poświacie księżyca, niezdolny dobrać odpowiednich słów. Wciąż jednak trzymał ją za rękę, jakby to był jakiś talizman.

Zadrzała.



- Zimno ci? -Trochę.

Niechętnie puścił jej dłoń i przyniósł koc, którym okrył jej wątle ramiona. Podczas bitwy z Wikingami zakłęcie zmiany wyglądu przestało działać i teraz wyglądała tak jak przy ich pierwszym spotkaniu: ciemnowłosa, obdarzona delikatną urodą. Obiema rękami przyciskała do piersi koc i Cormac tęsknił za jej dotykiem.

- Czy twój gniew już wygasł? - zapytała.

- Nie, zapuścił korzenie głęboko w moją duszę. Czuję go jak mroźne powietrze. Żałuję, że tak jest.

- Objawiony nie jest twoim wrogiem.

- Wiem, ale mnie zdradził. Porzucił.

- Myślał, że nie żyjesz.

- Ale żyłem! Wszystkie lata mojego życia wypełnione były tylko bólem. Gdyby nie Grysstha, na pewno bym umarł. I nikt by się tym nie zmartwił. Nigdy nie miałem matki, nie czułem jej dotyku ani miłości. A dlaczego? Ponieważ Culain ukradł ją mojemu ojcu. Mojemu ojcu! To nie w porządku!

- Historia zdrady jest dobrze znana - szepnęła. - Może aż za dobrze. Ale w Objawionym nie znajdziesz podłości, jestem tego pewna. Sądzę, że najpierw powinienes z nim porozmawiać. Powściągnąć swój gniew.

- Był najbliższym przyjacielem króla - stwierdził Cormac. -Rycerzem królowej. Cóż może powiedzieć, by umniejszyć swoją hańbę? Jeżeli chciał koniecznie poswawolić jak ogier, dlaczego nie wybrał jednej z tysiąca innych kobiet? Dlaczego wybrał moją matkę?

- Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Ale on potrafi.

- To przynajmniej jest prawdą - odezwał się Culain, rzucając na trawę naręcze chrustu. Znów nosił bury wełniany habit i trzymał drewnianą laskę, ale nie pojawiły się na powrót ani broda, ani lwia grzywa siwych włosów.

- Co stało się z moją matką? - zapytał Cormac, kiedy zapłonęło ognisko.

- Dwa lata temu umarła w Sicambrii.

- Byłeś z nią wtedy?

- Nie, przebywałem w Tingisie.

- Jeśli tak ją kochałeś, dlaczego ją zostawiłeś? Objawiony nie odpowiedział, tylko położył się i utkwiał spojrzenie w gwiazdach.

- To nie jest właściwa pora - rzekła Anduina cicho, kładąc rękę na ramieniu Cormaca.

- Nigdy nie nadejdzie właściwa pora - syknął młodzieniec - ponieważ nie ma odpowiedzi. Tylko wymówki! Nie wiem, czy Uther ją kochał, ale była jego żoną. Zdrajca wiedział o tym i nie powinien jej dotykać.

- Cormacu, Cormacu! - westchnęła Anduina. - Mówisz o niej, jakby była przedmiotem, tak jak twój płaszcz. Ale nim nie była... Była kobietą, i to silną. Podróżowała z Krwawym Królem we Mgle i wespół z nim walczyła z Królową-Wiedźmą. Pewnego razu, kiedy był ściganym chłopcem, uratowała go, zabijając zamachowca. Czyż nie miała wyboru?

Objawiony usiadł i dołożył do ognia.

- Nie staraj się mnie bronić, bo chłopiec ma rację. Nie ma odpowiedzi, są tylko wymówki. Tylko tyle można powiedzieć. Chciałbym, żeby było inaczej. Masz, Cormacu, to twoje. - Rzucił kamień i łańcuch na drugą stronę ogniska. - Dałem go twojej matce na rok przed tym, jak się urodziła. To on cię uratował w jaskini, Sipstrassi, kamień z nieba.

- Nie chcę go - odparł Cormac, upuszczając kamień na ziemię. Z satysfakcją patrzył, jak gniew błyska w oczach Objawionego, lecz zauważył też, z jakim żelaznym opanowaniem wojownik tłumi go w sobie.

- Potrafię zrozumieć twoją złość, Cormacu, drażni mnie jednak głupota, jaką okazujesz - powiedział Objawiony, kładąc się plecami do ogniska.

## Rozdział piąty

Nazajutrz rano cała trójka wyruszyła wysoko w góry Kaledonii, daleko na północ od Wału Hadriana, by tuż po południu przybyć do zrujnowanej chaty. Dach się zapadł, a przy kominku szczurza rodzina uwiła sobie gniazdo. Objawiony i Cormac spędzili kilka godzin na naprawianiu budynku i zmiataniu nagromadzonego przez lata kurzu z podłóg trzech pomieszczeń.

- Nie mógłbyś użyć magii? - zapytał Cormac, ścierając pot i kurz z twarzy, podczas gdy Objawiony zatykał dach darnią.

- Niektóre rzeczy lepiej wykonywać rękami i sercem - odrzekł Objawiony.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane między nimi od czasu kłótni w kręgu, po nich znów zapadła krępująca cisza. Anduina siedziała nad brzegiem pobliskiego strumienia, szorując zardzewiałe garnki i pieczołowicie zeskrobując grzyb z drewnianych talerzy, jakie Cormac znalazł w przegniłym kredensie. Późnym popołudniem Objawiony zastawił pułapki wśród wzgórz powyżej chaty i po chłodnej, niespokojnej nocy, przespanej na podłodze w głównej izbie, zjedli na śniadanie pieczonego zająca z dziką cebulą.

- Na północ stąd jest druga chata - oświadczył Objawiony - a w tamtejszej okolicy rosną grusze i jabłonie. Wyżej w górach jest również więcej zwierzyny, saren i górskich owiec, zające i gołębi. Umiesz posługiwać się łukiem?

- Mogę się nauczyć - odrzekł Cormac - ale mam wprawę w strzelaniu z procy.

Objawiony skinął głową.

- Mądrze byłoby też się nauczyć, które rośliny są jadalne. Listki nagietka zawierają wiele składników odżywczych, podobnie jak pokrzywy, a w zachodniej dolinie znajdziesz mnóstwo cebuli i rzepy.

- To brzmi, jakbyś zamierzał odejść - zauważyła Anduina.

- Muszę. Chcę odnaleźć nowy kamień, bo zostało mi niewiele magii.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytała i Cormac ze złością wychwycił obawę w jej głosie.

- Wyprawa zajmie mi tydzień, jeśli wszystko dobrze się ułoży. Ale na razie zostanę. Jest tu dużo do zrobienia.

- Nie potrzebujemy cię - parsknął Cormac. - Idź, kiedy zechcesz.

Objawiony zignorował go, lecz później, kiedy Anduina przyrządzała resztę mięsa, wyprowadził chłopca na otwartą przestrzeń przed chatą.

- Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, Cormacu, i jeśli masz ją ochraniać, musisz ćwiczyć siłę i szybkość, a także nauczyć się skuteczniej zabijać. Chwilowo problem w tym, że nawet cherlawa mleczarka może ci ją odebrać.

Cormac prychnął i zamierzał odpowiedzieć, kiedy pięść Objawionego grzmotnęła go w podbródek. Młodzieniec upadł twardo na ziemię, kręciło mu się w głowie.

- Rzymianie nazywają to boksem - oznajmił Objawiony. - Został on udoskonalony przez Greka o imieniu Carpophorus. Wstawaj!

Cormac zerwał się na nogi i rzucił się szczupakiem na wyższego mężczyznę. Objawiony odchylił się do tyłu, unosząc kolano ku twarzy Cormaca, który powtórnie wylądował na ziemi. Krew wypłynęła mu z nosa, z trudem koncentrował wzrok na Objawionym. Mimo to powstał i zaszarżował, lecz tym razem pięść trafiła go w żołądek i chłopiec zgiął się w pół, stracił dech i legł na murawie, sapiąc chrapliwie. Po kilku minutach udało mu się podnieść na kolana. Objawiony siedział na przewróconej kłodzie.

- Tutaj właśnie, w tych wysokich, odludnych górach, szkolilem twojego ojca... i matkę. Tutaj Królową-Wiedźmą przysłała swoich zabójców i stąd Uther wyruszył, by odzyskać

królestwo swego ojca. On nie skamlał ani nie narzekał; nie gderał, zamiast się uczyć. Obierał sobie jakiś cel, a potem starał się go osiągnąć. Masz, dziecko, dwie możliwości: odejść lub się uczyć. Na co się decydujesz?

- Nienawidzę cię! - warknął Cormac.

- To nieistotne. Wybieraj!

Cormac spojrział prosto w szare, lodowate oczy i powstrzymał się od gniewnych słów, które wrywały mu się niemal z ust.

- Chcę się uczyć.

- Na pierwszej lekcji nauczysz się posłuszeństwa, rzeczy nieodzownej. Ażeby urosnąć w siłę, musisz zbliżyć się do kresu własnej wytrzymałości. Będę wymagał, żebyś zrobił coś ponad konieczność, i może ci się niekiedy wydawać, że znęcam się nad tobą. Ale musisz się mnie słuchać. Rozumiesz, dziecko?

- Nie jestem dzieckiem - burknął Cormac.

- Zrozum jedno, dziecko. Urodziłem się, gdy słońce świeciło nad Atlantydą. Walczyłem z Izraelitami na ziemi Kanaanu, Grecy widzieli we mnie boga, a plemiona Brytanii uważały za króla. Moje dni idą w dziesiątki tysięcy. A czymże ty jesteś? Liściem, który trwa przez jedną porę roku, podczas gdy ja - dębem, co nie ugiął się wichurom stuleci. Jesteś dzieckiem. Uther też jest dzieckiem. Najstarszy na świecie człowiek jest przy mnie dzieckiem. Skoro już musisz mnie nienawidzić... a lękam się, że musisz... nienawidź mnie przynajmniej jak mężczyzna, a nie jak płacziwy bachor. Jestem od ciebie silniejszy, o wiele zręczniejszy. Mogę cię zniszczyć z bronią lub bez niej. Zatem ucz się, a może któregoś dnia zdołasz mnie pokonać. .. chociaż to wątpliwe.

- Któregoś dnia cię zabiję - oświadczył Cormac.

- No to się przyszykuj. - Objawiony wbił w ziemię długi kij, a potem drugi w odległości stopy. - Widzisz ten świerkowy zagajnik na górze?

-Tak.

- Pobiegnij do niego i wróć, zanim cień zetknie się z drugim kijem.

- Dlaczego?

- Rób, jak ci każę, albo fora ze dwora - przestrzegł wojownik, wstając i wracając do chaty.

Cormac zaczerpnął głęboko powietrza, stał z nosa krzepnącą krew i wystartował spokojnym truchtem; czyste górskie powietrze wypełniało mu płuca, nogi niosły go lekko górką ścieżką. Kiedy już znalazł się między drzewami i nie mógł dostrzec świerkowego zagajnika, zwiększył tempo. Zaczęły palić go łydki, lecz brnął niestrudzenie naprzód. W miarę jak zwiększało się nachylenie zbocza, oddech jego stawał się coraz to szybszy. Wynurzył się spomiędzy drzew, jednak do celu wciąż pozostawało jakieś pół mili. Przeszedł do chwiejnego marszu, zasysając powietrze wielkimi haustami. Korciło go, by usiąść i odzyskać siły, albo nawet wrócić do Objawionego i powiedzieć mu, że dotarł do świerków. Nie uczynił tego jednak, tylko piał się dalej. Pot zalewał mu twarz i przesiąkał przez tunikę, a kiedy nareszcie dotarł do zagajnika, czuł się, jakby ktoś mu w nogach pozapalał świece. Z gałęzi zwisał gliniany dzbanek z wodą. Pociągnął spory łyk i ruszył w drogę powrotną. W trakcie zbiegania zmęczone nogi odmówiły jednak posłuszeństwa. Potknął się, zachwiał, upadł i potoczył w dół stoku, by wylądować boleśnie na twardym korzeniu, który wbił mu się w bok. W końcu podniósł się i podjął bieg. Ostatecznie, z przerwami, dotarł na polanę, na której stała chata.

- Niedobrze - orzekł Objawiony, wpatrując się w zaczerwienionego chłopca chłodnym wzrokiem. - To tylko dwie mile, Cormacu. Powtórzysz wszystko dziś wieczór oraz jutro. Popatrz tylko na wskaźnik.

Cień minął kijek o trzy grubości palca.

- Masz silne ręce i ramiona, ale to siła bez szybkości. W jaki sposób zyskałeś takie mięśnie? Cormac, gdy dano mu wreszcie sposobność wykazania się, podszedł do drzewa, podskoczył

i złapał się najniższej gałęzi. Zaczął podciągać się raz po raz płynnym, rytmicznym ruchem, dotykając brodą gałęzi.

- Nie przestawaj - polecił Objawiony.

Gdy doliczył do stu, Cormac zeskokzył na ziemię; mięśnie ramion płonęły, oczy błyszczały triumfalnie.

- W ten sposób dojdiesz do siły, ale nie szybkości - stwierdził Objawiony. - Gra warta jest świeczki, ale trzeba ją uzupełniać innymi ćwiczeniami. Jesteś mocny jak na swój wiek, ale brak ci gibkości. Wojownik musi operować mieczem z szybkością błyskawicy. - Podniósł długi, ostrugany patyk i zawiesił go nieruchomo między palcami. - Umieść dłoń nad patykiem, palce wyprostowane, a kiedy puszcze, łap.

- Proste - odparł Cormac, umieszczając dłoń we wskazanym miejscu i natężając uwagę.

Objawiony wypuścił patyk, chłopiec machnął ręką, ale złapał jedynie powietrze.

- Proste? - szydził Objawiony.

Jeszcze trzy razy z rzędu Cormac usiłował wykonać zadanie, a raz niemal mu się to udało, ale gdy dotknął palcami drewnianka, Przyspieszył tylko jego upadek.

- Jesteś zbyt sztywny w biodrach, a mięśnie ramion masz napięte, zatem niezdolne do ruchu.

- To niemożliwe - burknął Cormac.

- No to sam potrzymaj ten patyk. - Chłopiec tak właśnie uczynił, a kiedy rozwarł palce, dłoń Objawionego opadła niczym łeb atakującego węża. Patyk nie zdążył nawet przelecieć stopy. - Szybkość, Cormacu. Działanie bez namysłu. Nie zaprzataj sobie głowy łapaniem, tylko to zrób. Opróżnij umysł, rozluźnij kończyny.

Po jakichś trzydziestu próbach Cormac dopiął swego. Potem nastąpiło kolejnych dziesięć niepowodzeń. Rosła irytacja chłopca, ale wola odniesienia sukcesu nie pozwalała mu spocząć. Zanim minął ranek, złapał drewnianko siedem razy prawą ręką i trzykrotnie lewą.

Objawiony uniósł dłoń do twarzy; oblicze jego rozmyło się i uległo zmianie. Wojownik znów stał się Culainem ze Srebrną Lancą.

Jeszcze przez godzinę Culain i słabnący młodzieniec ćwiczyli fechtunek. Cormac niemal zapomniał o swojej nienawiści do rosnącego mężczyzny, podziwiając jego wrodzoną grację ruchów i świetny refleks. Raz po raz skręcał nadgarstek, a klinga przelatywała nad ciałem chłopca, by zatrzymać się ze świstem przy zetknięciu ze skórą szyi, ramienia czy piersi.

Cormac uzmysłowił sobie, że Culain lach Feragh jest kimś więcej niż tylko wojownikiem: jest księciem pomiędzy wojownikami.

Ledwie jednak lekcja dobiegła końca, powróciło uczucie nienawiści. Culain wyczytał je w jego oczach, gdy schował miecz do pochwy, znów tworząc srebrną lancę.

- Zabierz Anduinę wyżej w góry - powiedział. - Pomagaj jej rozpoznawać ścieżki. -

Obróciwszy się na pięcie, wojownik pomaszerował do chaty, by po chwili wyprowadzić dziewczynę na światło dzienne.

Cormac ujął ją za ramię i powiódł między drzewa.

- Gdzie jest słońce? - zapytała. - Nie czuję jego ciepła.

- Nad lasem, przesłaniają je liście.

- Opowiedz mi o liściach.

Pochylił się i podniósł z ziemi opadły listek, po czym włożył go do jej dłoni. Palcami głaskała powierzchnię. - Dąb?

- Tak. Potężny, sędziwy dąb, stary jak świat.

- Czy to piękne drzewo?

- Przypomina silnego mężczyznę, posępnego i niezłomnego.

- A co z niebem?

- Jest czyste i błękitne.

- Opisz mi błękit, jakim ty go widzisz - poprosiła. Zatrzymał się dla chwili namysłu.

- Czy kiedykolwiek czułaś jedwab?

- Owszem, na ostatnie urodziny dostałam jedwabną sukienkę.  
- Grysstha miał kiedyś skrawek jedwabiu, który był cudownie miękki i gładki. Błękit jest taki sam. Wystarczy na niego popatrzeć, aby serce napełniło się radością.

-Niebo z jedwabiu- szepnęła. - Jakże musi być piękne! No i chmury. W jaki sposób postrzegasz chmury?

- Dzisiaj chmur jest niewiele, płyną niczym białe ciasteczka z miodem, odległe, a mimo to tak wyraźne, że człowiek ma ochotę wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

-Niebo z jedwabiu i miodowych ciasteczek- powiedziała. -Och, Cormacu, ono jest takie piękne! Nie mogę go zobaczyć, ale czuję je głęboko w mojej duszy.

- Chętnie odciąłbym sobie rękę, żebyś mogła na nie popatrzeć.

- Nie mów tego. Niech ci się nie wydaje, że jestem nieszczęśliwa, bo nie mogę dzielić się z tobą wspólnymi wizjami. Zabierz mnie jeszcze w górę zbocza. Pokaż mi kwiaty, które bym mogła dotykać, czuć i opisywać za pomocą jedwabiu i miodowych ciasteczek.

Każdego ranka po zakończeniu morderczego treningu Cormac zabierał Anduinę na spacer po lesie: odwiedzali ukryte jary i kotlinki, a często też nieduże jezioro - chłodne i przejrzyste u stóp wyniosłych gór. Podziwiał jej pamięć, bo gdy raz przeszła którąś ze ścieżek i dotknęła kilku punktów orientacyjnych -jak okrążyła głaz ze szczeliną pośrodku, drzewo z olbrzymią naroślą na korze czy dziwnie odstający korzeń - mogła od tej chwili bezpiecznie nią wędrować. Czasami rozpoznawała dukty po ich nachyleniu albo, znając godzinę, po umiejscowieniu ogrzewającego jej twarz słońca. Pewnego razu wyzwała nawet Cormaca na wyścig i chyba by wygrała, gdyby się przed samą chatą nie potknęła o wystający korzeń.

Młodzieniec z czasem bardzo polubił te wspólne spacerunki i rozmowy. Z radością opowiadał o przelatujących gęsiach, polującym lisie, dumnych i długorogich krowach, królewskich jeleniach. Ona także uwielbiała towarzystwo chłopca, ciepło jego głosu i dotyk ręki.

Jedynie podczas dni, kiedy nie wywiązywał się z zadań, jakimi obarczał go Objawiony, jego obecność wydawała jej się kłopotliwa:

czuła, jak powietrze wokół młodzieńca napełnia się gniewem i nienawiścią, których to uczuć nie chciała z nim dzielić.

- On to robi tylko dlatego, żebyś stał się silniejszy - powiedziała pewnego dżdżystego poranka, gdy siedzieli pod dębem i czekali, aż skończy się mżawka.

- Chce zobaczyć, jak się poddaję.

- To nieprawda, Cormacu, i dobrze o tym wiesz. Szkolił tu niegdyś twojego ojca.

Wyobrażam sobie, że i jemu było niełatwo.

Cormac milczał dobrą chwilę, a ona czuła, jak opadają w nim emocje. Pogłaskał palcami jej dłoń, przyciskając ją delikatnie.

- Znów jesteś sobą? - zapytała z uśmiechem.

- Tak, wciąż jednak nie rozumiem tego człowieka. W kręgu powiedział mi, że mam cię zabić, jeżeli demony przedrą się do wnętrza. Udało im się to, ale nie próbował cię zabijać. A potem sprowadził nas tutaj w ogniu błyskawicy. Czemu nie postąpił tak od razu? Wówczas nie musielibyśmy w ogóle walczyć z demonami.

- To właśnie według mnie czyni go wielkim - rzekła Anduina, opierając się na Cormacu i kładąc głowę na jego ramieniu. - Miał rację: lepiej, żeby umarła, niżbym miała dopomóc Wodanowi swą duszą. Ale tak mówił strateg. Kiedy przyszło do walki, wówczas walczył człowiek, który oddałby ostatnią kroplę krwi, zanim przelałby moją. A co do przybycia w to miejsce, nie mógł tego uczynić, dopóki żyły demony. Należało zniszczyć wszystkich przeciwników, aby żaden nie zauważył, dokąd się udajemy. Gdybyśmy tu od razu uciekli, oni podążyliby naszym śladem. Niestety, Cormacu, któregoś dnia i tak nas odnajdą.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Ja także prędzej bym zginął, niż pozwolił, by stała ci się jakaś krzywda.

- Dlaczego? - szepnęła. Odchrząknął i wstał.

- Deszcz przestaje padać. Znajdźmy wreszcie ten sad.

Na jezioro natknęli się w dniu letniego przesilenia, przepędzając stadko miejscowych łabędzi; Cormac wskoczył do wody, porzuciwszy tunikę i sztylpy na skałce przy wodospadzie. Pływał przez kilka minut, podczas gdy Anduina siedziała cierpliwie w cieniu rozłożystego tamaryszka. Na koniec dopłynął do brzegu i usiadł obok niej, upajając się promieniami słońca, które grzały jego nagie ciało.

- Umiesz pływać? - zapytał. - Nie.

- Chciałabyś się nauczyć?

Skinęła głową i wstała, rozpinając pod szyją ciemnozieloną sukienkę i ściągając ją przez ramiona. Gdy opadła na ziemię, Cormac przełknął głośno ślinę i odwrócił wzrok. Skóra jej była śnieżnobiała, piersi pełne, talia wąska, a biodra...

- Chodź za mną do jeziora - powiedział. Odchrząknął i odwrócił się w drugą stronę. Zaśmiała się, gdy chłodna woda oblała jej stopy, ale brnęła dalej.

- Gdzie jesteś? - zawołała.

- Tutaj - odpowiedział, chwytając ją za rękę. - Obróć się twarzą do jeziora i odchyl się w moich ramionach.

- Woda zakryje mi głowę.

- Będę cię podtrzymywał, zaufaj mi.

Osunęła się do tyłu na jego ramionach, kopiając nogami i unosząc się na powierzchni jeziora.

- Och, to cudowne! - powiedziała. - Co muszę robić? Chłopiec przypomniał sobie nauki Gryssthy, udzielone nad jedną z rzek w kraju Sasów.

- Płuca utrzymają cię na wodzie, o ile będzie w nich powietrze. Oddychaj głęboko, rozłóż ramiona i przebieraj nogami. - Ramiona Cormaca wśliznęły się pod ciało Anduiny. Wlepił wzrok w jej piersi, biały brzuch i trójkąt ciemnych włosów, podobny do strzałki wskazującej na uda. Odwrócił głowę i spojrzał jej w twarz. - Weź głęboki oddech i przytrzymaj powietrze - rzekł. Ostrożnie opuścił ręce. Pływała przez kilka sekund, aż nagle, jakby zdała sobie sprawę, że zniknął punkt podparcia, opuściła biodra, a głowa zanurzyła się pod spienioną wodę. Podniósł ją szybko, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, kaszląc i parszcząc.

- Wszystko w porządku?

- Puściłeś mnie - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Cały czas czuwałem. Byłaś bezpieczna. - Pochylił się i pocałował ją w czoło, odgarniając z jej twarzy kosmyki ciemnych, mokrych włosów. Roześmiała się i oddała mu pocałunek, przy czym ugryzła go w wargę.

- Dlaczego? - zapytała ochryplym głosem.

- Dlaczego co?

- Dlaczego chciałbyś oddać za mnie życie?

- Bo znajdujesz się pod moją opieką. Bo... jesteś moją przyjaciółką.

- Twoją przyjaciółką?

Milczał przez chwilę, delektując się ciepłem jej ciała.

- Bo cię kocham - rzekł w końcu.

- Kochasz mnie wystarczająco, aby ofiarować mi swoje oczy?

- Moje oczy?

- Powiedz!

- Nie rozumiem cię.

- Jeśli powiesz "tak", stracisz wzrok, za to ja będę widziała. Czy kochasz mnie aż tak bardzo?

- Tak, kocham cię nad życie. - Dłonie jej wystrzeliły do góry i dotknęły policzków Cormaca, kciuki spoczęły na jego powiekach. Ogarnęła go ciemność - straszna, oszalamiająca pustka. Wrzasnął, a ona zaprowadziła go do brzegu, gdzie uderzył palcem nogi o kamień. Pomogła mu usiąść. Ogarnął go strach. Co też uczynił?

-Ach, Cormacu, a więc tak wygląda niebo! Jakże jest cudowne! Drzewa zaś są dokładnie takie, jakimi je opisałeś. A ty, Cormacu, jesteś taki przystojny, taki silny. Żałujesz swojego daru?

- Nie - skłamał, bo duma wzięła w nim górę nad przerażeniem. Jej dłonie jeszcze raz dotknęły twarzy chłopca i wtedy powrócił mu wzrok. Wziął ją w ramiona i przytulił, widząc łzy zbierające się w oczach dziewczyny.

- Dlaczego oddałeś mi mój dar? - zapytał.

- Dlatego, że cię bardzo kocham. I dlatego, że sprawiałeś wrażenie przestraszonego i zagubionego. Nikt dotąd nie zrobił dla mnie tak wiele, Cormacu. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Czemu zatem płaczesz?

Nie odpowiedziała. Jakimi słowami miała mu wytłumaczyć, że dopiero teraz zrozumiała, jak pusta jest ciemność?

- Wielki jest jego gniew na ciebie - powiedziała Anduina, wygrzewając się wraz z Culainem na słońcu. Minęły dwa miesiące, chłodniejsze poddmuchy jesieni zaczęły przelatywać wśród złocistych liści. Dzień w dzień Cormac i Culain ćwiczyli przez wiele godzin - boks, zapasy, posługiwanie się mieczem i drągiem. Kiedy jednak lekcje dobiegały końca, młodzieniec odwracał głowę, kryjąc się z uczuciami, nie zdradzając spojrzeniem szarych źrenic nawet cienia emocji.

- Wiem - odparł wojownik. Przysłonił ręką oczy i obserwował, jak chłopiec dzielnie biegnie w stronę świerkowego zagajnika wysoko na stoku góry. - Ma po temu powody. Ale tobie ufa. Lubi cię.

- Tak sądzę, panie. Ale nie potrafię uśmierzyć jego gniewu. Gdy staram się dotknąć tej złości, umyka przede mną niczym mgła. Czyżby nie chciał o niej mówić?

- Nie próbowałem z nim rozmawiać, Anduino. Żaden z nas niewiele przez to osiągnie. U stóp tejże góry po raz pierwszy spotkałem jego ojca i tu właśnie Uther nauczył się kochać Laithe, moją Gian Avur. Za nim podąża teraz syn. A wojna wciąż pustoszy świat, zło tryumfuje, giną zaci ludzie. Przykro mi ze względu na twojego ojca. Gdybym przybył wcześniej...

- Był już starym wojownikiem - rzekła z uśmiechem. - Umarł tak, jak sobie to wymarzył, z mieczem w ręku, zabijając wrogów.

- Odmowa Wodanowi wymagała odwagi.

- To nie była odwaga, panie. Chciał wytargować za mnie wyższą cenę. Wodan wziął jedynie skąpstwo za szlachetność.

- Niewiele ci umyka, Anduino, zważywszy na to, że niczego nie widzisz.

- Opuszczasz nas dzisiaj?

- Tak. Chyba nic ci nie grozi do mojego powrotu. Przepraszam, że chata nie opływa w luksusy. Będzie ci tu ciężko.

- Jakoś przeżyję - odparła z uśmiechem. - Nie przejmuj się tym.

- Jesteś dzielną kobietą. Sposępniała.

- A ty dobrym człowiekiem, panie. Dlaczego więc zamierzasz umrzeć?

- Zbyt wiele widzisz.

- To nie jest odpowiedź.

- Skoro zadałaś takie pytanie, znasz już odpowiedź.

- Chcę, żebyś mi jej wyraźnie udzielił.

- A to czemu, moja pani?

- Chcę, żebyś posłuchał samego siebie. Żebyś zrozumiał, jakie to bezcelowe.

- Innym razem, Anduino. - Ujął jej dłoń i ucałował delikatnie.

- Nie, nie będzie innego razu. Ty nie powrócisz i już się nigdy nie spotkamy.

Przez chwilę Culain siedział w ciszy i czuła, jak się odpręża.

- Przez całe moje życie - odezwał się w końcu - przez całe moje długie, nader długie życie z

dumą spoglądałem w oblicze Culaina, jako że Culain nigdy nie splamił się podłym uczynkiem. Culain był Prawdziwym księciem. W mojej arogancji można by utopić góry. Cieszyłem się nieśmiertelnością: Wojownik Mgły, Lord Lancy

z Feragh. Dla Greków byłem Apollonem, dla Germanów Donarem, Agryaszem dla Hetytów. I chociaż przeminęły niezliczone stulecia, nigdy nie zdradziłem przyjaciela ani nie nadużyłem czyjegoś zaufania. Teraz nie jestem już tym Culainem i zastanawiam się, czy nim kiedykolwiek byłem.

- Mówisz o królowej?

- O wybrance Uthera. Wychowałem ją tutaj, gdzie teraz siedzimy. Biegała po górach, śmiała się i polowała, śpiewała i promieniała radością. Byłem dla niej jak ojciec. Nie zdawałem sobie podówczas sprawy z jej miłości, należała bowiem do dzieci ziemi, gdy tymczasem ja ukochałem boginię o nieprzemijającym pięknie. Ale znasz przecież historię Królowej-Wiedźmy i jej uczynków. - Culain wzruszył ramionami. - Po skończonej bitwie nie powinienem był wracać. Uther i Laitha sądzili, że nie żyję; pobrali się i przypuszczali, iż są szczęśliwi. Okazało się jednak, że to ostatnie nie jest prawdą. Lekceważył ją, traktując z haniebną wzdargą. Brał sobie inne kobiety i flirtował z nimi w pałacach, tak że moja Gian popadła w rozpacz i stała się pośmiewiskiem. Chętnie bym go zabił, ale mi zabroniła. Usiłowałem ją pocieszyć. Zlitowałem się nad nią i ją pokochałem. Przez jakiś czas znów cieszyła się szczęściem. Potem małżonkowie się pojednali, a nasza miłość wygasła. Zaszła z nim w ciążę i wszelkie dawne niedole zostały niejako zapomniane.

Ale taki stan rzeczy nie utrzymał się długo ze względu na jego wyrafinowaną złośliwość. Wysłał ją do Dubrisu, gdzie dzięki morskiemu powietrzu miała urodzić zdrowe dziecko. Wtedy sprowadził do pałacu młodą kobietę z plemienia Icenów. Ja pojechałem do Gian. - Zachichotał, po czym westchnął. - O, naiwny Culainie, wszystko to było pułapką! Kazał ludziom nie spuszczać oka z jej domu. Zostałem spostrzeżony i chciano mnie pojmać. Zabiłem trzech, z których jeden był moim dawnym kompanem.

Zabrałem Gian do Anderidy, a potem dalej, wzdłuż wybrzeża, z posłannictwem do przyjaciół w Sicambrii. Miał przybyć po nas statek, więc schroniliśmy się w starej grocie, bezpieczni od wszystkiego - nawet od magii Maedhlyna, arcy maga Uthera.

- Jak was znaleźli?

- Gian miała ulubionego ogara, wabił się Cabal. Mistrz koni Uthera, kulawy Brygant imieniem Prasamaccus, zaraz pod Dubrisem spuścił ze smyczy psa, który zaprowadził ich do samej jaskini. Gian tak bardzo ucieszyła się jego przybyciem, że uspiło to moją czujność: jej wielka radość zamroczyła mi zupełnie rozum. Suka

powiła pięć szczeniąt w jednym miocie na krótko przed tym, jak Gian urodziła Cormaca. O, czarna chwilo, dniu pełen goryczy! Dziecko było martwe, to nie ulegało wątpliwości. Gian jednak zostawiła przy nim naszyjnik Sipstrassi i jakimś sposobem magia przywróciła chłopcu życie.

W tym momencie odnaleźli mnie łowcy. Wybiłem ich do nogi i zaniósłem Gian nad krawędź klifu. Uther przyjechał w pobliże, siedział na swoim bojowym rumaku. Był sam i rozmyślałem, czyby go nie zabić, lecz Gian znów mi nie pozwoliła, więc spojrzałem tylko na morze. Do zatoki zawinął Sicambryjski statek. Nie miałem wyboru: wziąłem Gian w ramiona i skoczyłem. O mało nie utonęła w falach, ale ostatecznie uszliśmy cało. Nigdy już jednak nie powróciła jej dawna wesołość. Zdrada Uthera i śmierć syna splotły się w jej umyśle w karzący bicz Boga, toteż nakazała mi odejść.

- Co się z nią stało? - szepnęła Anduina.

- Nic się z nią nie stało. Choć żywa, była jakby martwa. Przyłączyła się do bractwa poszukujących Boga w Belgii, gdzie została przez trzynaście lat, szorując podłogi, hodując warzywa, gotując posiłki, studiując starożytne pisma i szukając wybaczenia.

- Znalazła je w końcu?



- A czy mogła? W całym wszechświecie nie ma boga, który mógłby żywić do niej nienawiść. Ona jednak gardziła sobą. Nie chciała mnie widzieć na oczy. Rok w rok podróżowałem do Belgii i każdego roku strażnik bramy szedł do niej, powracał i odganiał mnie od wrót. Dwa lata temu powiedział, że umarła.

- A co z tobą, panie? Dokąd się udałeś?
- Popłynąłem do Afryki. Zostałem Objawionym.
- Ty też szukasz wybaczenia?
- Nie, ja szukam zapomnienia.

Culain siedział w blasku słońca naprzeciwko młodego wojownika, zadowolony z postępów, jakie Cormac zrobił w ciągu ostatnich ośmiu tygodni. Młodzieniec nabrał krzepy, jego nogi potrafiły biec wiele mil po każdym terenie, na rękach i ramionach prężyły się mięśnie, twarde i potężne. Wyrósł z wyblakłej czerwonej tuniki; teraz nosił koszulę z kozłej skóry oraz wełniane spodnie, które Culain nabył u wędrownego kupca, będącego w drodze z Kaledonii do Pinnata Castra na wschodzie.

- Musimy porozmawiać, Cormacu - rzekł Lord Lancy.
- Jak to? Jeszcze nie ćwiczyliśmy mieczem.
- Dzisiaj nie będzie fechtunku. Wkrótce po naszej rozmowie ruszam w drogę.
- Nie mam ochoty na rozmowy - stwierdził Cormac, wstając.
- Poznaj swojego wroga - powiedział Culain cicho.
- Co to ma znaczyć?
- Tyle tylko, że od dzisiejszego dnia możesz polegać wyłącznie na sobie, a życie Anduiny znajduje się w twoich rękach. Znaczy to, że kiedy odnajdzie cię Wodan, a tak się stanie, ty i twoje umiejętności muszą odgradzić Anduinę od ostrza ofiarnego noża.
- Opuuszczasz nas? -Tak.
- Dlaczego? - zapytał młodzieniec, siadając z powrotem na powalonej kłodzie.
- Nie odpowiadam przed tobą za swoje życie. Ale zanim się rozstaniemy, Cormacu, chcę, ażebyś poznał naturę wroga, bo tym sposobem możesz odkryć jego słabości.
- Jak mogę walczyć z bogiem?
- Poprzez zrozumienie boskości. Nie rozmawiamy teraz o Źródle Wszelkiej Rzeczy, tylko o kimś nieśmiertelnym: człowieku, który nauczył się, jak żyć w nieskończoność. Jednak to tylko człowiek. Popatrz na mnie, Cormacu. I ja byłem nieśmiertelny. Urodziłem się, kiedy jeszcze słońce świeciło nad Atlantydą, kiedy świat należał do nas, kiedy król Pendarric otworzył bramę wszechświata. Oceany wchłonęły jednak Atlantydę i świat na zawsze zmienił swoje oblicze. Tutaj, na Wyspie Mgieł, oglądasz ostatnie pozostałości potęgi Pendarrica, bo jest to najbardziej na północ wysunięty przyczółek dawnego imperium. Kamienne kręgi stanowiły wrota do podróży zarówno wewnątrz królestwa, jak i poza nim. Z naszego łona wyszły wszelkie demony i bogowie świata. Zwierzołaki, smoki, strzygi - oto pomiot Pendarrica. Culain westchnął i przetarł oczy.
- Wiem, na razie wiedza ta będzie ci ciężkim brzemieniem, musisz wszelako zrozumieć część historii, której ludzie już nie wspominają, chyba że w legendach. Pendarric odkrył nowe lądy, a otwierając wrota do tych krain, wyzwolił stwory niepodobne ludziom. Atlantyda została zniszczona, ale przeżyli liczni spośród jej mieszkańców. Pendarric poprowadził tysięczne rzesze moich pobratymców do nowego królestwa - do Feragh. Mieliliśmy przy sobie Sipstrassi, kamień z nieba. Sam widziałeś jego magię, poczułeś jego moc. Uratował nas od niedoli starości, lecz nie mógł obdarzyć nas mądrością ani zapobiec straszliwej nudzie. Człowiek jest myśliwym, stworzeniem walczącym o swoje prawa. Jeśli zabraknie ambicji, pojawią się apatia i chaos. Znaleźliśmy ambicję. Wielu z nas powróciło do świata, a dzięki posiadanej mocy staliśmy się bogami. Zaczęliśmy budować cywilizacje i toczyć między sobą wojny. Ziszczały się nasze sny, aczkolwiek niektórzy z nas dostrzegali groźbę. Inni nie... Z nieograniczonej władzy kielkują nasiona szaleństwa. Wojny przybrały na

sile i okrucieństwie. Nie sposób oszacować liczby poległych.

Jeden z nas stał się Molochem, bogiem Amorytów i mieszkańców Kanaanu. Od rodzin domagał się krwawych ofiar: każdy pierwotny potomek miał zostać spalony. Tortury, okaleczenia, śmierć - oto jego insygnia. Wrzaski wydawane przez ofiary w śmiertelnych cierpieniach były dlań równie słodkie jak dźwięki liry. Pendarric zwołał naradę w Feragh i został zawiązany sojusz przeciwko Molochovi. Wojna trwała długo i zebrała krwawe żniwo, lecz w końcu jego imperium legło w gruzach.

- Ale on sam jakoś przeżył - zauważył Cormac.

- Nie. Dopadłem go na blankach Wieży Babel, gdzie otaczała go świta demonicznych gwardzistów. Przedarłem się do niego i stanęliśmy twarzą w twarz, wysoko nad pobojowiskiem. Jeden raz tylko spotkałem człowieka o takiej sile, lecz byłem podówczas u szczytu swoich magicznych zdolności i zabiłem Molocha, odrąbałem mu głowę i cisnąłem ciało na skały.

- Jak w takim razie udało mu się wrócić?

- Nie mam pojęcia, ale odkryję prawdę i znów stanę z nim do walki.

- Sam jeden? Culain uśmiechnął się. - Tak, sam jeden.

- Nie jesteś już u szczytu sił.

- Zaiste. Dwadzieścia pięć... Nie, dwadzieścia sześć lat temu omal nie zginąłem. Życie zawdzięczam Sipstrassi, ale od tamtej chwili nie używałem jego mocy na własne potrzeby. Chcę stać się zwykłym człowiekiem, przeżyć życie i umrzeć jak śmiertelnik.

- Skoro tak, nie zdołasz go pokonać.

- Tu nie chodzi o zwycięstwo, Cormacu. Prawdziwa siła rodzi się z usiłowań. Kiedy po raz pierwszy biegłeś do świerków, nie potrafiłeś powrócić, zanim cień minął drugi kij. Czyż powiedziałeś:

"Ech, nie ma sensu biec tam jeszcze raz"? Nie, pobiegłeś i stałeś się silniejszy, szybszy, lepiej wytrenowany. Podobnie rzecz ma się w przypadku walki ze złem. Nie nabierzesz siły, uciekając. Liczy się równowaga. Harmonia.

- Jak zatem zwyciężysz, kiedy on cię zabije?

- Zasierę w jego umyśle ziarno niepewności. Może i nie wygram, Cormacu, ale wiele mi nie zabraknie. Obnażę jego słabości, a wtedy zniszczy go ktoś lepszy ode mnie.

- Wygląda na to, że idziesz tylko po to, aby umrzeć.

- Kto wie, może to i prawda? Co będziesz tu porabiał, gdy zostaniesz sam?

- Nie wiem, ale jestem gotów oddać życie w obronie Anduiny.

- To nie ulega wątpliwości. - Culain włożył rękę do skórzanej sakwy u boku i wydobyl naszyjnik z Sipstrassi, który Cormac upuścił w kamiennym kręgu. Młodzieniec zamarł w bezruchu, oczy rozbłyły mu gniewem.

- Nie chcę tego.

- Dzięki temu żyjesz - rzekł Culain spokojnie - i bez względu na to, co o mnie myślisz, powinieneś wiedzieć, iż twoja matka nigdy nie doszła do siebie po stracie dziecka, którego wspomnienie dręczyło ją aż po dzień śmierci. Choćby to miało podsycić twoją nienawiść do mnie, wiedz, że nie ja dałem ci ów prezent, tylko ona. Z jego pomocą będziesz w stanie chronić Anduinę o wiele skuteczniej niż samym mieczem.

- Nie wiedziałbym, jak się nim posługiwać. Culain pochylił się do przodu.

- Weź go, a wtedy ci pokażę.

- Lepiej oddaj naszyjnik Anduinie, a ja się zastanowię po twoim odejściu - odparł Cormac, znowu wstając.

- Jesteś upartym człowiekiem, Cormacu. Wolałbym jednak, abyśmy rozstali się jak przyjaciele.

- Nie żywię do ciebie nienawiści, Culainie - powiedział młodzieniec - bo obroniłeś mnie przed Agwaine'em i nie dopuściłeś demonów do Anduiny. Jednak gdyby nie ty, nie

poznałbym życia pełnego bóleści i smutku. Jestem królewiczem, a traktowano mnie jak trędowatego. Uważasz, że powinienem ci podziękować?

- Nie... przez ciebie ożyła moja hańba. Ale kochałem twoją matkę i oddałbym za nią życie.

- Tak się jednak nie stało. Grysstha powiedział mi kiedyś, że ludzie zawsze znajdują usprawiedliwienie dla swoich potknięć, lecz ty dla swojego nigdy nie znajdziesz. Spróbuj zrozumieć, Culainie, co chcę ci powiedzieć. Podziwiam cię i żal mi ciebie, jednak jesteś ojcem mojej samotności i nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi. Culain skinął głową.

- Przynajmniej mnie nie nienawidzisz, a to już coś znaczy. - Wyciągnął rękę, którą Cormac uścisnął. - Strzeż się, młody wojowniku. Ćwicz każdego dnia. I pamiętaj o trzech sekretach: życiu, harmonii i duchu.

- Będę pamiętał. Żegnaj, Objawiony.

- Żegnaj, księżę Cormacu.

## Rozdział szósty

**W** ciągu paru miesięcy od powstania Trinovantów w Brytanii panował względny spokój. Uther przechadzał się po salach Camulodunum niczym bestia w klatce, omiatając badawczym wzrokiem drogi z wysokości swojego apartamentu w północnej wieży. Ilekroć przybywał posłaniec, król zbiegał do głównej sali, łamał pieczęcie przesyłek i pochłaniał ich zawartość, wciąż w poszukiwaniu wieści o rebelii czy inwazji. Jednak przez całe lato, aż do jesieni, kraj zażywał pokoju, plony zostały zebrane z pól, a milicjanci - odesłani do domów.

Ludzie woleli nie wchodzić Utherowi w drogę, świadomi rozdrażnienia władcy. Po drugiej stronie Morza Galijskiego straszna armia najechała sicambryjskie królestwa Belgii i Galii, niszcząc wojska przeciwnika i paląc miasta. Króla najeźdźców, Wodana, biskup Rzymu nazwał Antychrystem, ale nie było w tym nic niezwykłego. Kilkunastu barbarzyńskich władców obdarzono ongi tym samym mianem, by później wielu z nich przyjąć na łono Kościoła.

Z samego tylko Rzymu wysłano pięć legionów na odsiecz Sicambryjczykom. Zostały rozgromione i straciły proporce.

W Brytanii jednak ludzie cieszyli się z gorącego lata i z braku wojen. Spichlerze jęczały pod ciężarem plonów, ceny chleba oraz wina spadały na łeb, na szyję. Tylko kupcy się skarżyli, bo na skutek wojny lukratywny handel z Galią uległ załamaniu; w dokach w Dubrisie i Noviomagusie kotwiczyły nieliczne tylko kupieckie okręty.

Co rano Uther wspinał się na szczyt północnej wieży, ryglował dębowe drzwi i kładł Miecz Mocy w specjalnej niszy, wyżłobionej w szarym gładzie. Klękał następnie i czekał, koncentrując uwagę. Marzenia i wizje splatały się ze sobą, a duch jego szybował nad krajem od Pinnata Castra na północy po Dubris na południu, od Gariannonum na wschodzie do Meriodunum na zachodzie; wypatrywał, czy aby nie zbierają się gdzieś zbrojne oddziały. Nie zauważywszy niczego szczególnego, wyprawiał się wzdłuż wybrzeży, spoglądając wewnętrznym okiem na szare fale w poszukiwaniu śladów długich okrętów i norweskich rabusiów.

Jednak morze było czyste.

Pewnego jasnego poranka usiłował sięgnąć wzrokiem poza Morze Galijskie, lecz powstrzymała go podobna do kryształowego muru siła, której nie mógł ani zobaczyć, ani ominąć.

Zmieszany i nękany wątpliwościami, powrócił do swojej wieży, otworzył cielesne oczy i wyciągnął z kamiennej niszy miecz. Wyszedł pomiędzy krenelaże, gdzie owiał go chłodny

jesienny wiatr i na chwilę przygasił jego niepokoje.

W południe odwiedził go służący Baldric, przynosząc wino, zimne mięso i paterę z ciemnymi śliwkami, w których król wielce gustował. Uther nie był w nastroju do rozmów, toteż odesłał lokaja machnięciem ręki i usiadł przy oknie, wpatrzony w bezmiar wód.

Wiedział, że Victorinus i Gwalchmai niepokoją się o stan jego ducha, ale nie umiał wyjaśnić im przyczyn strachu, jaki go ogarniał. Czuł się jak człowiek idący długim zaułkiem, który wie -nie dysponując dowodami, aczkolwiek całkowicie o tym przekonany - że za następnym zakrętem czeka nań potwór: bez twarzy, bez kształtu, a jednak śmiertelnie groźny.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dziesięciu lat Uther pragnął mieć pod ręką Maedhlyna. Arcymag mógłby uśmierzyć jego obawy, a w najgorszym wypadku rozpoznać niebezpieczeństwo.

- Gdyby życzenia były koźmi, żebracy jeździliby wierzchem -mruknął Uther, usiłując zapomnieć o odjeździe Maedhlyna. Z ust króla popłynęły wówczas cierpkie słowa, bardziej parzące od kwasu. Nim upłynęła godzina, władca żałował, iż je wypowiedział, lecz cofnąć ich już się nie dało. Gdy zabrzmiały, zawisły niejako w powietrzu, wyryte na niewidzialnym kamieniu, wypalone w sercach słuchaczy. No i Maedhlyn wyjechał...

Podobnie jak Laitha. I Culain...

Uther dolał sobie wina, chcąc odpędzić wspomnienia, które jednak powracały odnowione. Gian Avur, Leśny Jelonek - takie wła-

śnie imię Culain nadał Laithii i tego imienia nigdy nie wolno mu było używać. Ale kochał ją i bez niej czuł się zagubiony.

- Czemu wobec tego wepchnąłeś ją w jego ramiona? - szepnął.

Logika nie podsuwała mu żadnej odpowiedzi, lecz Uther wiedział, gdzie można ją znaleźć: głęboko w labiryncie mrocznych emocji. Ziarna szaleństwa zostały zasiane tamtej nocy w innym świecie, kiedy młodzieniec po raz pierwszy kochał się z dziewczyną, a ona wyszeptła imię Culaina w momencie największej radości Uthera. Koszmarny sen alchemika - złoto stało się ołowiem, światło utonęło w ciemności. Nawet wtedy mógł jej jeszcze wybaczyć, bo przecież Culain nie żył. Nie mógłby... i nie byłby zazdrosny o trupa. Lord Lancy powrócił jednak i Uther zobaczył, jak światło miłości na nowo odradza się w żrenicach Laithii.

Mimo to nie chciał go wypędzać, bo przyznałby się tym samym do porażki. Nie chciał go również zabijać, ponieważ wszystko zawdzięczał właśnie jemu. Mógł żywić jedynie nadzieję, że miłość Laithi do Lorda Lancy zostanie pogrzebana ślubną obietnicą, złożoną królowi. Tak się też stało, ale jemu to nie wystarczało. Raz po raz poddawał próbę jej wierność, traktując ją z przerażającym lekceważeniem i zmuszając, by w akcie rozpaczony popełniła czyn, którego bał się najbardziej.

Król głupców!

Uther, Krwawy Król, Władca Niepokonany! Cóż znaczyło, że żadna armia nie mogła mu dorównać, skoro zamieszkiwał samotnie w chłodnej wieży? Bez męskich potomków, bez kochającej żony. Zwrócił się ku wiszącemu na ścianie lusterku w oprawie z brązu; siwe kosmyki ukazywały się pod ufarbowaną henną czupryną, oczy były zmęczone.

Znów wyszedł między krenelaże i spojrzął w dół na dziedziniec. Sicambryczyk Ursus przechadzał się ramię w ramię z młodą kobietą. Uther nie potrafił jej rozpoznać, ale wydawała mu się znajoma. Uśmiechnął się. Końska zbroja okazała się sromotnym niepowodzeniem, bo na deszczu przesiąkała wodą i stawała się zupełnie bezużyteczna, lecz sam Ursus dowiódł swej przydatności w dowodzeniu kawalerią. Ludziom podobały się jego towarzyskość i bystry umysł, tym bardziej że nie działał pochopnie i rozumiał znaczenie strategii cierpliwości i rozwagi.

Król obserwował, z jaką swobodą Ursus objął ramiona kobiety, Przyciągając ją do siebie w cieniu bramy i unosząc jej podbródek, aby pocałować usta. Uther potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Dość rzadko ostatnimi czasy kazał przysyłać sobie kobiety do komnat; po skończonej

miłości ogarniało go uczucie głębokiego smutku i przejmującej pustki.

Oczy jego ślizgały się po zielonym krajobrazie, pofałdowanych wzgórzach, po zagrodach, stadach bydła i owiec. Wszędzie panował spokój. Uther zaklął pod nosem. Od lat podsyczał mit, zgodnie z którym był ziemią, duszą i sercem Brytanii. Tylko jego najbardziej godni zaufania przyjaciele wiedzieli, że to miecz darzył go mocą. Tymczasem teraz, nawet mimo pomocy mistycznego oręża, Uther wyczuwał przyczajoną w cieniu, złowieszczą groźbę. Cisza wokół niego była ledwie iluzją, a dni naznaczone krwią i ogniem czekały na swój świt.

A może to oznaka starości? - zadał sobie pytanie. - Czyżbyś tak długo uciekał się do mitu, że w końcu sam w niego uwierzyłeś?

Szarpnął nim dreszcz, gdy poderwał się chłodny wiatr.

Jak wielkie jest zagrożenie? I skąd pochodzi?

- Wasza Wysokość? - odezwał się czyjś głos. Uther obrócił się na pięcie; w drzwiach stał Victorinus.

- Pukałem do zewnętrznych drzwi, ale nie było odpowiedzi - powiedział Rzymianin. - Przepraszam, jeśli niepokoję.

- Rozmyślałem - odparł król. - Jakież nowiny?

- Biskup Rzymu zgodził się na traktat z Wodanem i ogłosił swoje roszczenia do Belgii i Galii.

Uther zachichotał.

- Krótko żył nasz Antychryst, co?

Victorinus skinął głową i zdjął spiżowy hełm. Białe włosy przydawały mu lat, tak że wyglądał na sporo ponad swoją pięćdziesiątkę. Uther minął go, wracając do swego apartamentu; nakazał usiąść głównodowodzącemu.

- Ciągłe tak gładko się golisz, przyjacielu? - zapytał król. - Cóż teraz poczniesz, skoro zaczyna brakować pumeksu?

- Będę używał brzytwy - odrzekł Victorinus z uśmiechem. - Nie przystoi Rzymianinowi przypominać niedomytego barbarzyńcę.

- Nikt tak się nie zwraca do swojego króla - rzekł Uther, pocierając brodę.

- Zły los cię naznaczył, panie, że nie urodziłeś się z rzymską krwią w żyłach. Mogę tylko złożyć ci najgłębsze wyrazy ubolewania.

- Arogancja Rzymu przetrwała nawet upadek imperium. - Uther się uśmiechnął. - Opowiedz mi o Wodanie.

- Otrzymujemy sprzeczne raporty, panie. W Sicambrii stoczył cztery większe bitwy, rozbijał Merowingów. O ich królu nic nie wiadomo. Niektórzy powiadają, że zbiegł do Italii, inni twierdzą, że szuka schronienia w Hiszpanii.

- A co z jego strategią, człowieku? Używa konnicy? A może rozwija rzymską falangę? Lub pcha do boju pospolitą horde, która zwycięża liczebną przewagą?

- Jego armia jest podzielona na jednostki. Są w niej kawalerzyści, choć trzon stanowią topornicy i łucznicy. Walczy tam, gdzie bitwa najgorętsza, i wedle doniesień żaden miecz nie może przebić jego zbroi.

- Niezbyt dobra to cecha u przywódcy - mruknął król. - Powinien trzymać się tyłów, kierować walką.

- Jak ty to czynisz, panie? - zapytał Victorinus, unosząc brew. Uther wyszczerzył zęby.

- Pewnego dnia tak się stanie - odpowiedział. - Usiądę na stołku i będę patrzył, jak ty i Gwalchmai rozbijacie wojska nieprzyjaciela.

- Chciałbym, żeby tak było, panie. Serce moje z trudem wytrzymuje brzemię, jakim go obarczasz swoją beztróską.

- Czy Wodan rozesłał emisariuszy do innych królów?.

- Na razie nic nam o tym nie wiadomo. Jedynie do biskupa Rzymu i małego cesarza. Przyrzekł nie prowadzić swoich wojsk na Italię.

- Dokąd je zatem poprowadzi?  
- Przypuszczasz, że zaatakuje Brytanię?  
- Muszę zdobyć o nim więcej wiadomości. Skąd pochodzi? Jak udało mu się scalić plemiona Germanów, Wikingów i Gotów w zdyscyplinowaną armię? I to w tak krótkim czasie?  
- Wyślij mnie, panie, jako ambasadora. Dwór jego znajduje się obecnie w Martiusie. Uther skinął potakująco.  
- Weź ze sobą Ursusa. On zna tamte kraje, ich mieszkańców i mowę. A teraz sprawa podarunku; będę musiał posłać nowemu królowi odpowiednie dary.  
- Nazbyt hojny dar łącznie poczytany być może za słabość, panie, a przecież podpisałeś traktat z Meroweuszem.  
- Meroweusz był głupcem, a jego armia pośmiewiskiem Europy. Nasz traktat dotyczył jedynie handlu, to wszystko. Wy tłumaczysz Wodanowi, że zawarli go królowie Sicambrii z Brytanią, wobec czego uważam ugodę za wciąż obowiązującą, tak samo jak uznaję jego Prawo do tronu.

- Czyż nie kryje się w tym niebezpieczeństwo, panie? Przedkładasz prawo najeźdźcy nad prawo krwi.

- Niebezpieczny jest świat, w którym żyjemy, Victorinusie.

Ursus obudził się zły zimnym potem, serce waliło w nim jak młot. Obok spała dziewczyna przykryta ciepłym kocem, oddychając miarowo. Książę wysliznął się z łóżka i podszedł do okna, gdzie rozsunał aksamitne zasłony, aby chłodny wietrzyk ostudził jego ciało. Sen był taki rzeczywisty; widział brata uciekającego ulicami Martiusu, potem zaprowadzonego do obszernej sali. Ursus zobaczył wtedy, jak wysoki wojownik z jasną brodą żywcem wrywa bratu serce.

Podszedł do stołu i do glinianego kielicha nalał sobie wina, którego trochę zostało jeszcze w dzbanie. Wypił.

To tylko sen, wmawiał sobie, zrodzony z trosk, jakie dręczyły go w związku z najazdem na Galię.

Jaskrawa luna rozbłysła mu przed oczyma, wypełniając głowę piekącym bólem. Przerażony i oślepiiony, zatoczył się z krzykiem i wywrócił stół.

- Co ci się stało? - krzyknęła dziewczyna. - Słodki Chrystusie, jesteś chory? - Głos jej ucichł jednak w dali, a uszy Ursusa zaatakował piekielny ryk. Wzrok mu się poprawił i znów ujrzał wojownika z jasną brodą, który stał tym razem w głębokiej, okrągłej czeluści. Otaczali go inni wojownicy, wszyscy w rogatych hełmach i uzbrojeni w potężne toporzyska. Nad nimi otworzyły się drzwi; dwóch mężczyzn przyciągnęło nagiego więźnia do krawędzi drewnianych schodów, każąc mu zejść na dół. Ursus z przerażeniem rozpoznał w nim Meroweusza, króla Sicambrii. Miał rozczochraną brodę, włosy zlepione błotem i różnym paskudztwem. Na szczupłym ciele widniały ślady okrutnego traktowania, skórę przecinały ciemne pręgi od bata.

"Cóż za miłe spotkanie, królewski bracie - rzekł wysoki wojownik, chwytając więźnia za brodę i podciągając go do pozycji wyprostowanej. - Jak się czujesz?"

"Przeklinam cię, Wodanie! Obyś spłonął w piekielnym ogniu!"

"Głupcze! To ja jestem piekłem, to ja zapalam ogień".

Meroweusza zaciągnięto do natłuszczonego, szpiczastego pala i wydzwignięto wysoko w powietrze.

Ursus oderwał wzrok od tej sceny, nie potrafił jednak zagłuszyć okropnych dźwięków, które rozlegały się, gdy monarchę brutalnie wbijano na pal. Po raz drugi zabłysła jasna luna i oto książę oglądał

wielką, drewnianą salę. Wojownicy otaczali tłum, kierując lance na mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy stali w niemej trwodze. Ursus rozpoznał wiele twarzy: kuzynów, wujków, ciotki, siostrzeńców. Zgromadziła się tu większość merowińskiej szlachty. Wojownicy w kol-

czugach zaczęli polewać więźniów wiadrami wody, zartując i śmiejąc się, gdy woda spływała na ziemię. Scena byłaby zabawna, gdyby nie zaprawiono jej straszliwą groźbą. Po raz wióry jasnowłosey Wodan wystąpił naprzód, tym razem z pochodnią w ręku. Okrzyki przerażenia rozległy się wśród więźniów, gdy wojownik zaśmiał się i cisnął w ciżbę łuczywo. Ogień ogarnął całą grupę... i wtedy Ursus zrozumiał. Nie polewano ich wodą, tylko... oliwą. Lansjerzy odsunęli się spiesznie, a płonący ludzie biegali jak żywe pochodnie, roznosząc pożogę.

Ściany stały w płomieniach i ciemny dym przesłonił widok...

Ursus osunął się z okrzykiem prosto w ramiona dziewczyny; załkał żałośnie.

- Dobry Boże - powiedziała, dotykając jego czoła. - Co z tobą?

Nie mógł się jednak zdobyć na odpowiedź; cały świat nie znał stosownych słów.

Pozostał mu tylko ból...

Dwóch oficerów weszło do sypialni z przyległej komnaty i ułożyło Ursusa na szerokim łożu. Inni zebrali się na korytarzu. Wezwano medyka, a dziewczyna po cichu pozbiierała szaty, ubrała się i wymknęła na zewnątrz.

- Co mu się stało? - zapytał Plutarchus, młody oficer kawalerii, który latem zaprzyjaźnił się z Ursusem. - Nie widzę rany.

Towarzysz jego, Decimus Agrippa, szczupły żołnierz z dziesięcioletnim doświadczeniem, wzruszył obojętnie ramionami i spojrzął w martwe, matowe oczy Ursusa. Delikatnie przymknął jego powieki.

- Czyżby nie żył? - szepnął Plutarchus.

- Nie. Sądzę, że dostał ataku. Znałem kiedyś człowieka, który sztywniał bez uprzedzenia, a potem dostawał drgawek. Ponoć nawet wielki Juliusz cierpiał na podobną dolegliwość.

- A zatem wydobrzeje?

Agrippa skinął głową, po czym odwrócił się do ciekawskich na korytarzu.

- Wracajcie do łóżek - rozkazał. - Teatrum skończone. Dwóch ludzi nakryło Ursusa lnianym prześcieradłem i miękkimi, wełnianymi kocami.

- Nieźle mu się powodzi - rzekł Agrippa, uśmiechając się szeroko.

Człowiek ów śmiał się nieczęsto, a kiedy tak się działo, stawał się - w mniemaniu Plutarchusa - niemal przystojny. Agrippa był urodzonym dowódcą - zimnym, zachowującym się z rezerwą wojownikiem, którego umiejętności i rozważa powodowały, że ludzie ochoczo garnęli się do jego oddziału. Podczas poważniejszych batalii tracił mniej ludzi niż inni, bardziej beztroscy komendanci, lecz zawsze osiągał wyznaczony cel. Zwano go wśród *cohors equitana* Sztyletem Nocy lub, prościej, Sztyletem.

Plutarchus był jego drugim dziesiętnikiem, świeżo przybyłym z Eboracum młodzieńcem, który jeszcze nie zdążył się wykazać na polu bitwy.

Tymczasem pojawił się medyk, sprawdził tętno i oddech Ursusa, a następnie spróbował go rozbudzić, łamiąc woskową pieczęć na buteleczce z cuchnącą maścią i podstawiając ją pod nos nieprzytomnego. Ursus nie zareagował, chociaż nawet Plutarchus zatkał nos i odsunął się na dalszą odległość.

- Doznał ciężkiego szoku - oznajmił lekarz. - Co tu się wydarzyło?

Agrippa wzruszył ramionami.

- Spałem w sąsiedniej komnacie, kiedy nagle usłyszałem krzyk mężczyzny, a zaraz potem kobiety. Gdy przybyłem tu z młodym Plutą, Sicambryczyk leżał na podłodze, a kobieta histeryzowała. Myślałem, że dostał ataku.

- Wątpliwe - rzekł medyk. - Mięśnie są rozluźnione, serce zaś bije wolno, lecz miarowo. Hej, ty! - zwrócił się do Plutarchusa. - Ustaw lampkę przy łóżku. - Młody oficer wykonał rozkaz, a wtedy medyk otworzył prawe oko księcia. Zrenica zwężała się do czarnego, otoczonego błękitem punkcika.

- Dobrze znasz tego człowieka?

- O tyle, o ile - odpowiedział Agrippa - lecz Pluta spędził wiele dni w jego towarzystwie.
- Czy on przeżywa stany mistyczne?
- Nie, raczej nie, panie - stwierdził Plutarchus. - Nigdy o czymś takim nie mówił.

Wspominał wprawdzie kiedyś, że dynastia Merowingów słynie z magicznych uzdolnień, ale opowiadał mi to z uśmiechem i uważałem, że żartuje.

- A więc - pytał medyk dalej - nie mówił w obcym języku, nie wróżył i nie odczytywał znaków?

- Nie, panie.

- Dziwne. A gdzie ta kobieta?

- Poszła - odparł Agrippa. - Przypuszczam, że woli nie wystawiać się na widok publiczny w związku z tą sprawą.

- Dziwki powinny do tego przywyknąć - parsknął lekarz. - Bardzo dobrze, niech odpocznie do rana. Jutro o świcie przyślę tu swoją córkę z eliksirem. Będzie spał przez resztę dnia.

- Dziękuję, medyku - rzekł Agrippa z poważną miną, nie zważając na szczerzącego zęby Plutarchusa.

Po wyjściu lekarza młodszy z mężczyzn zaczął chichotać.

- Wyjawisz mi, co cię tak ubawiło? - zapytał Agrippa.

- Własną córkę nazwał dziwką. Nie sądzisz, że to zabawne? Połowa oficerów usiłowała zwabić ją do łóżka, a druga połowa miałaby na to ochotę. I proszę, leżała tu, sama i naga, z Sicambryczykiem!

- Nie jest mi do śmiechu, Pluto. Szczur z rysztoła prowadzi się moralniej od tego Sicambryczyka, a dama zasługuje na coś więcej. Nie wspominaj nikomu jej imienia.

- Ależ widzieli ją inni na korytarzu.

- Oni również nie pisną słowa. Zrozumiałeś?

- Oczywiście.

- To dobrze. A teraz niech nasz rozbuchany kozioł odpoczywa.

W czasie owej wymiany zdań Ursus był świadomy, choć sparaliżowany. Po zniknięciu wojowników leżał nieczuły na miękkość okrywających go tkanin, natarczywe wspomnienia wciąż na nowo ukazywały mu wizję śmierci.

Widział serce Balana, wydarte z jego piersi; słyszał krzyk konającego; obserwował bezradnie, jak płomyk życia gaśnie w oczach brata. Nieszczęsny Balan! Słodki braciszek! Kiedyś rozplakał się, gdy zobaczył sarenkę ze złamaną nogą. Ursus położył kres jej niedoli, lecz brat przez wiele dni chodził niepokieszony. Powinien złożyć śluby kapłańskie, jednak Ursus, używając mocy kryjącej się w braterskiej miłości, namówił go do poszukiwania bogactw.

Obaj mężczyźni przywykli do luksusów ojcowskiego pałacu w Tingisie, lecz kiedy zmarł ojciec i wszystkie jego długi ujrzały światło dzienne, Ursus był zmuszony wieść życie niemal nędzarza. Bracia posłużyli się resztką majątku, aby zapewnić sobie przejazd do Sicambrii, gdzie mogli przedstawić się możliwym krewnym. Król Merowesz ofiarował im niewielkie gospodarstwo w pobliżu Martiusu, a więc niedaleko od dworu. Przychody były jednak mizerne.

Balan był w siódmym niebie, wędrował po górach, kąpał się w srebrzystych strumieniach, komponował poematy, szkicował drzewa i krajobrazy. Takie życie nie odpowiadało jednak Ursusowi, bo wśród kobiet nie znalazł większego wyboru i czuł niedostatek szerokich, krytych jedwabiem łóżek.

Balan byłby szczęśliwy w Tingisie, w Klasztorze Objawienia, śpiąc na twardym posłaniu i studiując tajemnice. Teraz nie żył, padł ofiarą demonicznego króla i chciwego brata.

Przed świtem Ursusa zaczęła swędzieć skóra i w końcu zdołał otworzyć oczy. Przez długą chwilę wpatrywał się w sufit z grubo ciosanych kamieni. Łzy płynęły mu po twarzy, wspomnienia paliły w duszy - przekształcając ją, dotąd, aż zgasł ogień bólu, a na jego miejscu



pojawił się lód nienawiści.

“Szczur z rynsztoka prowadzi się moralniej od tego Sicambryjczyka, a dama zasługuje na coś więcej”.

Także Balan zasługiwał na coś więcej ze strony swojego brata.

Gdy czucie powróciło do jego ramion, Ursus odrzucił przykrycie i usiadł z trudem. Masował nogi, dopóki nie poczuł, że znów zaczyna w nich płynąć krew.

Czuł się osłabiony, niepewny, przepełniony smutkiem graniczącym z rozpaczą.

Otworzyły się drzwi i do komnaty weszła Portia z drewnianą tacką, na której leżały miska z czystą wodą, mały bochenek płaskiego chleba, trochę sera oraz mała miedziana buteleczka, zatkana woskiem.

- Przyszedłeś już do siebie? - zapytała, stawiając tackę na skrzyni przy ścianie i zamykając drzwi.

- Tak i nie - odparł. Usiadła obok, przywarła do niego drobnym ciałem i zarzuciła mu ramiona na szyję. Czuł słodki zapach perfum, jakimi pokropiła kasztanowate włosy, i dotyk miękkich piersi. Uniósł jej podbródek i pocałował usta.

- Jesteś pewien, że już ci przeszło? Ojciec przysłał lekarstwo nasenne. Twierdzi, że potrzebujesz odpoczynku.

- Przepraszam za całe to nocne zamieszanie. Musiało ci być ciężko. Wybacz mi, proszę.

- Co mam ci wybaczać? Przecież się kochamy.

Ursus skrzywił się przy tych słowach, po czym zmusił się do uśmiechu.

- Każdy człowiek nadaje miłości inną definicję. Agrippa powiedział, że szczur z rynsztoka prowadzi się moralniej ode mnie,

w czym się nie omylił. Stwierdził, że zasługujesz na coś więcej. Tu również miał rację. Przykro mi, Portio.

- Nie przepraszaj. Nie wyrządziłeś mi żadnej krzywdy. Wprost przeciwnie. - Zesztywniała, gdy do jej świadomości dotarła jego odmowa. Była jednak Rzymianką z dumnego rodu i nie zamierzała okazywać mu swojego bólu. - Przyniosłam jedzenie. Powinieneś się posilić.

- Muszę zobaczyć się z królem.

- Na twoim miejscu najpierw bym się ubrała... i umyła. - Odsunęła się od niego, a następnie podeszła do wyjścia. - Naprawdę, jesteś głupcem, Ursusie - powiedziała i zamknęły się za nią drzwi.

Książę umył się pospiesznie, założył koszulę, tunikę i czarne sztylpy, a na to perłowszary płaszcz. Jeździeckie buty również były zabarwione na szaro, a także ozdobione srebrnymi kółeczkami. Strój ten kosztowałby dowódcę brytyjskich kawalerzystów roczny żołd, lecz po raz pierwszy Ursus nie znajdował przyjemności, patrząc na swoje odbicie w wysokim zwierciadle w spiżowej ramie.

Pomimo zapewnień o pilności sprawy, król odmówił mu porannej audiencji, toteż książę musiał błąkać się po ulicach Camulodunum aż do wyznaczonej godziny. Śniadanie spożył w przykarczonym ogródku, a potem udał się na ulicę Zbrojmistrzów, gdzie nabył nowy miecz o nieco berberyjskim kształcie, z lekko zakrzywioną klingą. Podobne miecze stawały się coraz popularniejsze wśród kawalerzystów Uthera ze względu na poręczność w walce z siodła. Sierpowate ostrze cięło z większą łatwością niż tradycyjny *gladius*, było też dłuższe, co zwiększało zasięg rażenia.

Dzwon kościelny wybił godzinę czwartą po południu, więc Ursus ruszył żwawo do północnej wieży, gdzie lokaj i giermek Uthera, Baldric, kazał mu poczekać w długiej komnacie poniżej królewskich apartamentów. Tam Ursus siedział przez kolejną irytującą godzinę, zanim zaprowadzono go przed oblicze władcy.

Uther, ze świeżo ufarbowanymi włosami i schludnie zaczesaną brodą, siedział w słabnącym blasku słońca, wpatrzony w pola i łąki rozciągające się wokół warownego grodu. Ursus pokłonił się.

- Podobno sprawa jest pilna - odezwał się król, każąc mu gestem ręki usiąść między krenelażami.

- Tak, panie.

- Słyszałem o twoim ataku. Jak się teraz czujesz?

- Ciału już nic nie dolega, lecz serce ciężko choruje. Krótko i zwięźle Ursus streścił wizję, jaka mu się ukazała; zdał

sprawę z ohydneho mordu, którego był świadkiem.

Uther nic nie mówił, lecz jego szare oczy stały się zimne i jakby szklane. Kiedy młodzieniec dotarł do końca opowieści, król odchylił się do tyłu i przeniósł wzrok na krajobraz.

- To nie był sen, panie - rzekł Ursus cicho, źle interpretując milczenie króla.

- Wiem o tym, chłopcze. Wiem o tym. - Uther wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Wreszcie zwrócił się do księcia: -Jakim uczuciem darzysz Wodana?

- Nienawidzę go, panie, nienawiścią, jakiej dotychczas jeszcze nie znałem.

- A co czujesz względem siebie?

- Siebie? Nie rozumiem, panie.

- Sądzę, że rozumiesz.

Ursus odwrócił wzrok, a po chwili na powrót utkwiał spojrzenie w obliczu monarchy.

- Lustro nie jest już dla mnie źródłem przyjemności - powiedział - a moja przeszłość przestała być powodem do dumy.

Uther skinął głową.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Proszę o zgodę na powrót do domu, ponieważ pragnę zabić uzurpatora.

- Nie wyrażam zgody.

Ursus zerwał się na nogi z poszarzałą twarzą.

- Krew woła o pomstę, panie. Czyż mogę odmówić?

- Musisz - odparł król głosem cichym, prawie żalonym. - Poślę cię do Martiusu, lecz będziesz podróżował w towarzystwie Vic-torinusa i zbrojnej świty w poselstwie do nowego króla.

- Słodki Mitro! Zobaczyć go i oszczędzić? Kłaniać się i płaszczyć przed tą obmierzłą bestią?

- Posłuchaj mnie! Nie jestem jakimś tam farmerem, odpowiedzialnym jeno za swoją rodzinę i marny zbiór jęczmienia. Jestem królem. Muszę chronić ziemię, chronić naród. Sądzisz, że ów Wodan zadowoli się Galią i Belgią? Nie. Już teraz czuję obecność zła. Czuję, jak jego zimne oko błądzi po moich ziemiach. Opatrzność kiedyś zrządzi, że staniemy twarzą w twarz gdzieś na zroszonym krwią polu bitwy, skoro więc mam zwyciężyć, potrzebne mi są informacje o jego żołnierzach, metodach, słabych stronach. Czy mnie rozumiesz?

- W takim razie, na litość boską, poślij kogoś innego!

- O, nie! Weź w karby swoją nienawiść, trzymaj ją mocno na wodzy. I tak nie zginie.

- Przecież, kiedy go zabiję, minie zagrożenie.

- Gdyby to było takie proste, rzekłbym: ruszaj z Bogiem! Ale to proste nie jest. Ten człowiek posługuje się czarną magią, bronią go zarówno ludzie, jak i demony. Uwierz mi na słowo. Gdybyś poległ, dowiedzieliby się, skąd pochodzisz, a to byłby słuszny powód, by wypowiedzieć Brytanii wojnę. A ja jeszcze nie jestem gotowy, by się z nim zmierzyć.

- Niechże będzie panie, tak jak rzeczesz.

- Wobec tego przysięgnij na duszę twojego brata.

- Nie ma potrzeby, bym...

- Rób, co każę!

Popatrzyli sobie głęboko w oczy i Ursus poznał, że został pokonany.

- Przysięgam.

- Dobrze. Teraz musimy wybrać ci nowe imię. I nową twarz. Wodan zniszczył dynastię Merowingów, toteż gdyby cię rozpoznano, niechybnie dałbyś gardło. Spotkasz się w Dubrisie

z Victorinu-sem. Odtąd będziesz Galeadem, rycerzem Uthera. Teraz chodź za mną. - Król poprowadził Ursusa do wewnętrznej komnaty i wyciągnął z pochwy Miecz Mocy. Gdy dotykał nim ramienia księcia, oczy jego były zwężone, skoncentrowane.

Ursus poczuł swędzenie na czubku głowy i na twarzy, zaczęły boleć go zęby. Król podniósł miecz i zaprowadził wojownika do wiszącego na ścianie, owalnego lustra.

- Przypatrz się ostatniemu z rycerzy Uthera - polecił z szerokim uśmiechem.

Ursus zobaczył w lustrze nieznanego o jasnych, krótko przyciętych włosach i oczach w kolorze letniego błękitu.

- Galead - szepnął nowy rycerz. - Niechaj tak będzie!

## Rozdział siódmy

**W** górach Kaledonii nastąpiła sroga zima, na ścieżkach piętrzyły się zasy, lód wpychał się w szczeliny drewnianych ścian chaty. Okoliczne drzewa, pozbawione liści, stały się nagie, podobne do szkieletów, a wicher dął za szczelnie zamkniętymi oknami. Cormac leżał w błogim nastroju obok Anduiny wciśniętej w jego bok na wąskim łóżku. Drzwi grzechotały o futrynę, a ogień palił się jasnym płomieniem, rzucając roztańczone cienie na przeciwległą ścianę. Cormac odwrócił się, kładąc delikatnie rękę na krągłym biodrze Anduiny, a wtedy ona uniosła głowę i pocałowała go w pierś. Wtem zastygła w bezruchu.

- Co ci? - zapytał.

- Ktoś jest na stoku góry - szepnęła. - Potrzebuje pomocy.

- Słyszałaś coś?

- Wyczuwam ich strach.

- Ich?

- Dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Droga jest zasypana śniegiem. Musisz pójść po nich, Cormacu, w przeciwnym razie zginą.

Usiadł i wzdrygnął się. Nawet tutaj, w jasnej, ciepłej izbie, zimne przeciągi przypominały o panujących na zewnątrz okropnościach.

- Gdzie oni są?

- Za sosnowym zagajnikiem, na przełęczy. Stoją na grzbiecie prowadzącym do morza.

- Nic nas nie obchodzą - rzekł, wiedząc równocześnie, że próżna okaże się jego argumentacja. - Sam mogę tam zginąć.

- Jesteś silny i dobrze znasz okolicę. Pomóż im, proszę!

Wstał z łóżka i włożył grubą koszulę z wełny, skórzane cholewy, kubrak z owczej skóry i wysokie buty. Do kubraka doczepiony był podszyty wełną kaptur, który młodzieniec nasunął na rude włosy i zawiązał mocno pod szyją.

- Wysoką cenę płacę za twoją miłość, pani - stwierdził.

- Doprawdy? - odparła. Usiadła na posłaniu, a jej długie, ciemne włosy opadły na ramiona.

- Nie - musiał przyznać. - Podłóż później do ognia. Spróbuję wrócić przed świtem.

Zerknął na miecz leżący przy palenisku, rozważając, czyby nie zabrać go ze sobą, ale byłby mu jedynie zawadą. Zamiast niego zatknął za pas nóż myśliwski o długim ostrzu i wyszedł w zamieć, z trudem zamykając za sobą drzwi.

Odkąd Culain odszedł przed trzema miesiącami, Cormac nie zapomniał o treningu: zwiększał stopniowo dystans biegania, pracował siekierą i piłą dla zahartowania mięśni, powiększał zapas drewna na zimę, którego stos wznosił się obecnie na sześć stóp i otaczał chatę, pomagając ocieplić północną ścianę. Miał mocne i elastyczne ciało, szerokie barki i wąskie biodra. Ruszył teraz spokojnym krokiem w stronę górskich wierchów, używając

sześcioramiennego drąga, którym sprawdzał głębokość śniegu. Pośpiech powodowałby większe pocenie, a w tej temperaturze pot zamieniłby się w lód pod ubraniem i zabił go tak szybko, jakby wyszedł na zewnątrz nagi. Prostsze ścieżki na północnym stoku były zawałone zaspami, toteż Cormac musiał obrać okrężną drogę do świerków, zboczył bardziej na południe poprzez las, zamrożone strumyki i jeziora. Wielkie szare wilki grasowały po stoku, lecz wystrzegały się człowieka, który brnął przed siebie wolno, acz wytrwale.

Szedł tak godzinami, często zatrzymując się dla wytchnienia, oszczędzając siły, aż wreszcie minął świerki i rozpoczął długą, niebezpieczną wspinaczkę wzdłuż krawędzi nad przełęczą. Ścieżka w tym miejscu miała ledwie pięć stóp szerokości, śnieg przykrywał lód na spadzistej powierzchni. Jeden chybiony, nieostrożny krok mógł oznaczać upadek w przepaść i śmierć na skałach. Zatrzymał się w płytkim, osłoniętym od wiatru zagłębieniu i potarł skórę twarzy, aby pobudzić krążenie krwi. Policzki i podbródek pokrywał delikatny rudobrazowy meszek, który wkrótce miał stać się brodą, a nos i oczy szczypały go i wydawały się kurczyć na lodowatym wietrze.

Zamieć szalała wokół, widoczność nie przekraczała kilku stóp. Z każdą sekundą malały szanse na odnalezienie nieznajomych. Głośno przeklinając, opuścił zacisną kryjówkę i podjął marszrutę wzdłuż krawędzi przepaści.

Nagle usłyszał głos Anduiny, szept rozbrzmiewający głęboko w jego umyśle: "Jeszcze kawałek, a potem, na lewo, jest niewielka jaskinia. Tam są".

Już dawno przyzwyczał się do jej zdolności. Odkąd obdarzył ją - chociaż na krótko - wzrokiem, znacznie rozwinęły się jej tajemnicze talenty. Zaczęła miewać cudownie kolorowe, wyraziste sny, a on często pozwalał jej używać swoich oczu, by mogła zobaczyć jakieś nowe dziwo: łabędzie w locie, biegnącego jelenia, polującego wilka lub niebo zasnuwane burzowymi chmurami.

Po chwili natrafił na jaskinię. W jej głębi kulił się mężczyzna, a obok niego klęczała młoda kobieta. Mężczyzna dojrzał go jako pierwszy i szturchnął kobietę, która odwróciła się, grożąc nożem.

- Odlóż go na bok - rzekł Cormac. Wszedł do środka i przypatrzył się mężczyźnie. Siedział wsparty o ścianę z wysuniętą prawą nogą; but był przekreślony pod nienormalnym kątem. Cormac rozejrzał się wokół siebie. Kryjówka pozostawiała wiele do życzenia: nie było w niej drewna na opał, a gdyby nawet udało się rozniecić ognisko, wiatr zgasiłby je w mgnieniu oka.

- Musimy stąd odejść - oznajmił.

- Nie dam rady iść - odparł mężczyzna przez ściśnięte gardło. Na czarnej brodzie powstały sople lodu, skórę tu i ówdzie pokrywały sine plamy.

Cormac kiwnął głową. Sięgnął po rękę leżącego i postawił go na nogi. Następnie pochylił się, aby ciało opadło mu na plecy, a wtedy je uniósł. Jęknął pod ciężarem i wolno się obrócił.

- Za mną - nakazał kobiecie.

- On tam umrze - zaprotestowała.

- Tutaj umrze na pewno - odpowiedział Cormac.

Wy dostał się nad krawędź przepaści i rozpoczął mozolną wędrówkę do domu; ledwo wytrzymał ciężar, mięśnie szyi przżyły się od dźwigania rannego mężczyzny. Zawierucha jednak zaczęła słabnąć, a temperatura - powoli rosła. Po godzinie Cormac mocno się już pociał, i ogarniał go coraz większy strach. Czuł tworzący się lód i zaczątki straszego letargu. Wziął głęboki oddech i krzyknął w stronę młodej kobiety:

- Zbliź się do mnie. - Zrobiła, jak kazał. - A teraz mów.

- Jestem wyczerpana... Zimno mi.

- Mów, do stu diabłów! Skąd jesteście? - Nie przystawał ani na chwilę.

- Byliśmy w Pinnata Castra, ale musieliśmy stamtąd odejść. Mój ojciec złamał nogę podczas upadku. My... my... - zająknęła się.

- No dalej, niech cię szlag! Chcesz, żebym umarł?

- Ty sukinsynu!  
- Mów przez cały czas. Jak masz na imię?  
- Riannon.  
- Spójrz na swojego ojca. Żyje jeszcze? - Cormac miał nadzieję, że jest już martwy. Z chęcią pozbyłby się brzemienia; bolały go nogi, plecy zdawały się pękać.  
- Żyje - wyszeptał mężczyzna.  
Przeklinając na czym świat stoi, Cormac wyrównał krok. Po dwóch godzinach męki dotarli do świerków, a potem zaczęło się długie zejście do lasu. Burza natarła z nową mocą i śnieg wirował w powietrzu, kiedy jednak dobrnęli do lasu, wicher zelżał.  
Cormac doszedł do chaty o pierwszych promieniach świtu. Położył dźwiganego na pościeli, które zatrzeszczało pod jego ciężarem.  
- A gdzie dziewczyna? - zapytała Anduina. - Nie przyszła z tobą. Cormac był nazbyt zmęczony, by kłąć, kiedy chwiejnym krokiem wychodził z chaty prosto w objęcia burzy. Zobaczył, jak Riannon czołga się wśród zasp w przeciwną stronę niż chata. Sprzeciwiła się słabo, gdy ją podnosił, ale zaraz jej głowa opadła mu na ramię.  
W chacie ułożył ją przy ogniu, wcierając ciepło w ręce i policzki.  
- Ściągnij z niej ubranie - zarządziła Anduina, lecz zgrabiące palce Cormaca nie mogły poradzić sobie z rzemykami i musiała przyjść mu z pomocą. Zdjął też własne ubranie i usiadł przy ognisku, otulony ciepłym kocem, zapatrzony w płomień.  
- Posuń się - rzekła Anduina. - Niech dotrze do niej odrobinę ciepła.  
Cormac odwrócił się i ujrzał nagą dziewczynę. Miała jasne włosy, szczupłą sylwetkę, okrągłą buzię i szczękę zbyt silnie zarysowaną jak na kobietę.  
- Pomóż mi - poprosiła go Anduina i razem przesunęli dziewczynę bliżej ognia. Anduina ściągnęła ciepły koc z ramion Cormaca i okryła nim Riannon. - A teraz zajmijmy się ojcem.  
- Będzie ci przeszkadzać, jeśli się najpierw ubiorę? Anduina się uśmiechnęła.  
- Byłeś niezwykle dzielny, kochanie. Taka jestem z ciebie dumna.  
- Szkoda, że rano mi to mówisz.  
Podeszła do łóżka i ściągnęła koc z uszkodzonej nogi, purpurowej i napuchniętej poniżej kolana. Kiedy Cormac stanął przed nią ubrany, kazała mu nastawić kończynę. Ranny jęczał, ale się nie obudził. Podczas gdy Cormac przytrzymywał mężczyznę, Anduina położyła dłonie po obu stronach złamania. Ściągnęły jej się rysy twarzy, po kilku minutach zaczęła drzeć i pochyliła głowę. Cormac puścił nogę i obszedł rannego, aby pomóc Anduinie wstać.  
- Złamanie było złożone, kość pękła w wielu miejscach - oznajmiła. - Z wielkim trudem udało mi się zestawić kości. Rana chyba się już goi, ale będziesz musiał wyciąć łubki, aby usztywnić nogę.  
- Wyglądasz na wyczerpaną, lepiej wracaj do łóżka. Sam się nimi zajmę.  
Uśmiechnęła się szelmowsko.  
- I ty, jak mniemam, szybko wracasz do sił?  
- Mordercy! - krzyknęła dziewczyna. Siedziała na podłodze obok paleniska, wyprostowana jak struna. Oczy jej powoli ożyły, a wtedy wybuchnęła płaczem. Anduina uklękła obok Riannon, przytuliła ją i pogłaskała po głowie.  
- Tutaj będziesz bezpieczna, obiecuję.  
- Nigdzie już nie jest bezpiecznie! - zawołała dziewczyna. - Nigdzie!  
Wicher zawodził za drzwiami, które trzęsły się na skórzanych zawiasach.  
- Znajdą nas tutaj - szepnęła Riannon, stopniowo podnosząc głos. Dłoń Anduiny unosiła się nad twarzą dziewczyny, by w końcu opaść na czoło.  
- Śpij - mruknęła i Riannon opadła na podłogę.  
- Kto ich może ścigać? - zdziwił się Cormac.

- Ma zamęt w myślach. Zobaczyłam mężczyzn w ciemnych płaszczach z długimi nożami; jej ojciec dwóch z nich zabił, po czym zbiegł razem z nią na pustkowia. Porozmawiamy z nią, kiedy się obudzi.

- Nie powinniśmy byli sprowadzać ich tutaj.

- Musieliśmy, potrzebowali pomocy.

- Być może. Ale to o ciebie się troszczę, nie o nich.

- Skoro tak, dlaczego nie porzuciłeś ich wysoko w górach, jeśli myślałeś, że zginiesz?

Cormac wzruszył ramionami.

- Sam nie znajduję na to odpowiedzi. Ale uwierz mi, gdybym pomyślał, że mogą sprowadzić na ciebie jakieś nieszczęście, bez wahania podciąłbym im gardła.

- Wiem - rzekła ze smutkiem. - To twoja druga strona, o której wolę nie myśleć. - Powróciła do łóżka, nie mówiąc już nic na temat nieznamych.

Cormac usiadł przy ognisku, nagle markotny i zatroskany. Przybycie ojca z córką rzuciło niejako cień na górę. Ożyła groźba świata wypełnionego przemocą, a wraz z nią pojawił się strach, że Anduina zostanie mu odebrana.

Wziął miecz i zaczął ostrzyć klingę długimi, zamaszystymi pociągnięciami oselki.

Anduina spała dłużej niż zwykle, Cormac nie obudził jej, zsuwając się z łóżka. W palenisku jedynie żarzyły się słabo węgle, ale dorzucił drewna i płomień od razu podskoczył. W miarę jak ogień pożerał większe patyki, ciepło ogarniało izbę. Cormac przyklęknął obok jasnowłosej dziewczyny; wróciły jej kolory i wyrównał się oddech. Ojciec pochrapywał z lekka. Cormac podszedł do łóżka i spojrzał na oblicze śpiącego. Było silne, a ciemna broda - błyszcząca

jak naoliwiona - czyniła je prawie kwadratowym. Płaski nos nosił ślady dawnego złamania, a wokół oczu i na czole widniały blizny. Gdy przyjrzał się prawej ręce, która wystawała spod koca, zobaczył sieć podobnych blizn.

Chrapanie ustało i mężczyzna otworzył oczy. W spojrzeniu utkwionym w młodzieńca nie było śladu rozespania.

- Jak się czujesz? - zapytał Cormac.

- Żyję - odparł nieznajomy, wspierając się mocnymi ramionami, aby przybrać pozycję siedzącą. Odrzucił przykrycie i spojrzał na nogę, którą Cormac usztywnił prowizorycznie łubkami.

- Musisz być doskonałym chirurgiem. W ogóle nie czuję bólu. Jakby się nigdy nie złamała.

- Nie ufaj jej zbyt - rzekł Cormac. - Wystrugam ci laskę. Człowiek odwrócił głowę w stronę córki leżącej przy ognisku.

Zadowolony, że śpi, wyraźnie się odprężył i uśmiechnął, ukazując połamane zęby na przedzie.

- Jesteśmy ci wdzięczni, ona i ja. - Zakrył kocem swoje nagie ciało. - A teraz zamierzam jeszcze trochę pospać.

- Kto was ścigał?

- Nie twoja rzecz - padła cicha odpowiedź; szorstkość słów zrównoważył niepewny uśmiech.

Cormac odsunął się wzruszając ramionami. Przywdział zwawo wełnianą tunikę, sztylpy i buty z owczej skóry, po czym wyszedł na zewnątrz. U podstrzeszy wisiały sople lodu, a stalowoszare niebo wypogadzało się, ukazując miejscami skrawki błękitu. Przez godzinę wymachiwał siekierą, rąbiąc drewno na podpałkę. Wrócił, kiedy w powietrzu rozszedł się zapach pieczonego boczku.

Mężczyzna był już ubrany i siedział przy stole obok dziewczyny otulonej kocem. Anduina ostrożnie kroїła mięso. Kalectwo jej było widoczne: przekrzywiała głowę, zdając się wpatrywać w przeciwną ścianę.

Uśmiechnęła się, gdy Cormac wszedł do środka.

- Czyż nie piękny mamy dziś dzień?

- Owszem, tak się zapowiada. - Wyczuł jakąś zmianę nastrojów. Mężczyzna, pogrążony w głębokiej zadumie, przyglądał się Anduinie z kamienną twarzą.

Cormac dosiadł się do stołu i zjadł w milczeniu śniadanie.

- Jakże masz teraz plany, Olegu Hammerhandzie? - zapytała Anduina po skończonym posiłku.

- Skąd, wiesz, pani, jak się nazywam?

- A skąd ty znasz moje imię? - odpowiedziała pytaniem. Oleg rozsiadł się wygodnie na krześle.

- Jak świat długi i szeroki, ludzie szukają wieści o lady Anduinie, Dawczyni Życia. Niektórzy twierdzą, iż uprowadził ją Wodan, inni zaś, że umarła. Spotkałem człowieka, który był w pobliżu, kiedy zabito jej ojca. Opowiadał, jak to mężczyzna w mnim przybraniu, wymachując dwoma mieczami, przebił się przez zabójców i uratował księżniczkę. Czyżbyś ty był owym człowiekiem? - zapytał, przenosząc wzrok na Cormaca.

- Nie. Żałuję, że to był ktoś inny!

Oleg na powrót utkwiał spojrzenie w Anduinie.

- Wodan wyznaczył tysiąc sztuk złota nagrody za wiadomość o twoim miejscu pobytu. Nie do wiary, tysiąc sztuk złota! Mimo to przepadłaś jak kamień w wodę. Nikt o tobie nie słyszał.

-Aż do tej pory - stwierdziła Anduina.

- Tak - przyznał. - Ale my cię nie wydamy, pani, choćby płacili stokroć więcej.

- Wiem o tym. To nie leży w twojej naturze, Olegu. - Anduina pochyliła się ku dziewczynie i wyciągnęła do niej rękę, lecz ona cofnęła się tylko. - Chciałam cię tylko uścisnąć, Riannon.

- Nie - wyszeptowała dziewczyna.

- Podaj jej rękę! - nakazał Oleg.

- Ona jest demonem!

- Bzdura! - ryknął ojciec. Anduina wyprostowała się.

- Nic się nie stało, każdy z nas czegoś się boi. Jak bardzo wyprzedziliście pogoń?

- Zgubiliśmy ich w górach, ale oni tak łatwo się nie poddadzą.

- Poszukuj Riannon, bo i ona jest szczególnie uzdolniona.

- Po czym poznałaś? - zapytał Oleg, a w jego oczach pojawił się strach.

- Zawołała mnie z gór, dlatego Cormac po was poszedł.

- Przykro mi, że przysporzyliśmy wam kłopotów. Odejdziemy, gdy tylko zagoi się moja noga.

- Sądzicie, że uciekniecie przed Wodanem?

- Nie wiem, pani. Przez całe życie byłem wojownikiem, wilkiem morskim. Nie boję się żadnego człowieka. Tymczasem... ten Wodan nie jest człowiekiem. Jego poplecznicy to banda szaleńców. Wielbią go, bo ci, którzy nie oddają mu wystarczającej czci, skazani są na zagładę. Jakiś szal oświadczył mieszkańcami Północnych Ziem.

Bóg powrócił. Posępny, szary bóg wkroczył między ludzi. Czy mogę przed nim uciec? Obawiam się, że nie mogę.

- Widziałeś tego Wodana? - spytał Cormac.

- Zaiste, trzy lata mu służyłem. Jest silny, a tego zawsze oczekiwaliśmy od wodza. Lecz on jest nie tylko silny. W jego spojrzeniu czai się moc, podobnie jak w głosie. Widziałem ludzi, którzy podcinali sobie gardła na rozkaz Wodana... i to z radością, że mogą zadowolić swego władcę. On jest jak mocne wino: gdy się go słucha, napędza człowieka uczucie tryumfu.

- Mówisz jak jego wyznawca - szepnęła Anduina.

- Bo nim jestem, pani. Ale jestem także człowiekiem i ojcem. Oblubienice Wodana umierają. Nie dla niego moja Riannon.

- Jak udało ci się zbiec? - zapytał Cormac.

- Rozkazano mi odwieźć Riannon do jego zamku w Recji. Zgodziłem się na to, lecz zamiast

tego zaokrętowaliśmy się na kupiecką trierę, wypływającą do Hiszpanii. Strach przed nadchodzącym sztormem i silne wiatry kazały kapitanowi szukać schronienia w Pinnata Castra. Ale te sztormowe wiatry wzbudził Wodan, tuż przed zamkiem napadli na nas jego zabójcy. Dwóch położyłem trupem, po czym skryliśmy się w śnieżnej zamieci.

- Jak liczna jest pogoń? - chciał wiedzieć Cormac.

- Zaatakowało nas ledwie pięciu, lecz będzie ich więcej. Na jego zawołanie czekają też inne siły, o których wolałbym nie wspominać przy lady Anduinie.

- O mnie się nie bój, Olegu. Zdaję sobie sprawę z istnienia demonów, bo i mnie zaatakowały.

- Jak w takim razie zdołałaś przeżyć?

- Pomogła mi odwaga innych. Cormac uratował mi życie, tak samo jak mnich, o którym już słyszałeś.

- A zatem demony nie są niezniszczalne?

- Nic nie jest niezniszczalne. Każde zło można pokonać, nawet Wodana.

- Chciałbym, naprawdę chciałbym w to uwierzyć. Ale za morzem on jest teraz królem, wszystkie narody płacą mu trybut. Nawet Rzym posyła dary wraz z ambasadorami, którzy korzą się przed nim i płaszczą.

- Uther na pewno się nie ukorzy - stwierdził Cormac. - Wodan musi jeszcze zmierzyć się z Krwawym Królem.

- To prawda, takie po świecie chodzą słuchy, Cormacu. W każdej tawernie ludzie rozprawiają o wyniku wojny. Podobno Uther posiada magiczny miecz, podarunek od jakiegoś boga, którym ongi rozdarł obłoki niczym kurtynę, a wtedy ludzie ujrzeli błysk dwóch słońc na niebie. Chciałbym dożyć dnia, kiedy on i Wodan staną naprzeciw siebie.

-I ja - zgodził się Cormac. - Krwawy Król i Krwawy Bóg.

Raptem Riannon zeszywniała, jej głowa podskoczyła do góry, dłonie przykryły twarz.

- O co chodzi? - zapytał Oleg, obejmując ją mocnym ramieniem.

- Łowcy znaleźli nasz ślad - szepnęła.

W ciszy, jaka zapadła, Cormac słyszał głośnie bicie własnego serca. Strach ścisnął go za gardło, ręce zaczęły dygotać. Przez całe życie był przedmiotem czyichś kaprysów, smagany i popychany, pozbawiony możliwości podniesienia czoła, uzyskania poczucia godności. Nie miał czasu poznać, jak wiele sił dodaje samo podjęcie rzuconej rękawicy. Przy Culainie pomagał mu gniew, lecz teraz, gdy zbliżał się wróg, ogarnęła go przemożna rozpacz, przejęła dreszczem i przygniotła.

Anduina obeszła stół i stanęło u jego boku. Smukłymi palcami pogłaskała go po szyi, a następnie rozmasowała mięśnie ramion. Głos jej odezwał się szeptem w jego głowie:

- Kocham cię, Cormacu. - Głębia uczucia Anduiny ogrzała go niby zimowe ognisko, odpędziła lodowaty strach.

- Ilu ich jest? - zapytał głośno.

- Trzech - szepnęła Riannon. - Są blisko?

- Schodzą stokiem na południe stąd, zbliżają się do chaty - odparła dziewczyna.

- A ja nie mam miecza - zagrzmiał Oleg i trzasnął pięścią w stół.

- Ale ja mam - rzekł Cormac spokojnie. Wstał, ujął rękę Anduiny i ucałował spód jej dłoni, po czym podszedł do paleniska, gdzie stał oparty o ścianę miecz Culaina.

- Pójdę z tobą - rzekł Oleg, wstając od stołu z tasakiem w rękę.

- Nie - sprzeciwił się Cormac. - Zaczekaj i rozpraw się z tymi, którzy być może przeżyją.

- Nie zdołasz pokonać trzech ludzi.

Cormac zignorował go i wyszedł na słońce, chłodne o tej porze. Ruszył rażno ku drewni, odłożył miecz i chwycił siekiere. Sześciofuntowe żelźce trafiło w drewniany kloc, przepoławiając go z łatwością. Podniósł następny kawałek drewna i powtórzył czynność.

Po kilku minutach usłyszał kroki łowców na podwórku i odwrócił głowę. Potwierdziły się



informacje Riannon: mężczyzn było trzech, wysokich i zarośniętych; spiżowe hełmy przykrywały splecione w warkocze włosy. Każdy nosił kurtkę z owczej skóry, a idący na czele dźwigał okrągłą drewnianą tarczę z mosiężnymi okuciami oraz długi miecz.

- Szukacie schronienia? - zapytał Cormac i rąbnął siekierą.

- Jesteś tu sam? - odrzekł dowódca gardłowym głosem, taksując młodzieńca wzrokiem równie zimnym, co leżący wokoło śnieg.

- Czyżbyście zabłądzili, wędrowcy? - zapytał Cormac. Dwóch mężczyzn zbliżyło się do chaty, a wówczas Cormac uniósł

z ziemi miecz, ścierając śnieg z klingi.

- Za schronienie przyjdzie wam zapłacić! - krzyknął, na co oni zatrzymali się i spojrzeli na wojownika z tarczą.

- Dobry miecz - zauważył przywódca. - Bardzo dobry. - Odwrócił się do pozostałych i powiedział coś w zupełnie obcym dla Cormaca języku. Rozległy się chichoty. - Podoba mi się ten miecz. - Znów popatrzył na młodzieńca.

- Masz dobre oko. No to co, płacicie za gościnę czy maszerujecie dalej?

- Myślisz, że zapłacę, by wejść do tej obory?

- Nie płacisz, nie wchodzisz.

- Lepiej mnie nie denerwuj, chłopcze. Przemarzałem i mam za sobą długą drogę. Masz tu kobietę?

- Za nią płaci się osobno. Wojownik wyszczerzył zęby.

- Czy wszystko jest na sprzedaż w tym przeklętym kraju?

- Tak - odparł Cormac.

- Cóż, nie potrzebuję kobiety, chcę zjeść gorącą strawę i zasięgnąć języka.

- Najbliższą stąd osadą jest Deicester. Powinniście zejść z powrotem w dół, a potem skierować się na wschód szlakami jeleni. Jutro o świcie dotrzecie do celu. Jeśli to wam nie odpowiada, idźcie do Pinnata Castra.

- Szukamy mężczyzny i kobiety, a za to zamierzamy zapłacić.

- Dlaczego szukacie właśnie tutaj? Na tej górze nie ma nikogo prócz mnie i mojej żony.

- W takim razie nie jesteś nam potrzebny. - Gdy odwrócił się do swych kompanów i powiedział coś spokojnym tonem, głos Anduiny rozbrzmiał w głowie Cormaca: "Każe swym ludziom, by cię zabili".

Cormac wziął głęboki oddech i postąpił kilka kroków z uśmiechem na twarzy.

- Jest takie jedno miejsce, do którego moglibyście zajrzeć - oznajmił, a cała trójka odprężyła się nagle.

- Gdzież to? - zapytał przywódca.

- W piekle - odparł, wciąż uśmiechnięty.

Miecz Cormaca zatoczył nagle koło i ciał w szyję najbliższego z mężczyzn, aż fontanna krwi trysnęła w powietrze. Drugi sięgnął desperacko po miecz, lecz Cormac wycofał ostrze, a następnie rąbnął nim w obojczyk przeciwnika, zadając ranę sięgającą do pól piersi. Ostatni odskoczył do tyłu, odrzucił tarczę i chwycił oburącz swój długi oręż.

Cormac zaatakował niespodziewanie, jednak Wiking z łatwością zablokował uderzenie i w kąśliwej riposie zadrasnął skórę na szyi młodzieńca.

- Miecz jest tylko na tyle dobry, co człowiek, który nim włada - orzekł wojownik, gdy krążyli wokół siebie.

• Cormac natarł ponownie, tnąc z dziką furją, lecz przeciwnik sparował cios i skontrował, tym razem przecinając tunikę z kozłowej skóry i raniąc pierś Cormaca. Młodzieniec cofnął się o krok, dusząc w sobie gniew; uspokoił się i rozjaśnił umysł. Wiking był doświadczony, zaprawiony w boju i pewny swego. Przez chwilę obserwował z posępnym uśmiechem cofającego się Cormaca, po czym zrobił błyskawiczny wypad, a miecz ze świstem pomknął ku czasce młodzieńca. Cormac jednak zablokował cios, okręcił się na pięcie i uderzył

łokciem w twarz wojownika, który potoczył się na ziemię. Zamierzył się do śmiertelnego pchnięcia, lecz pośliznął się na lodzie. Wiking zerwał się na nogi.

- Niezła sztuczka. Zapamiętam ją sobie. - Krew płynęła mu z rozciętego policzka.

Mężczyźni znów zaczęli się wzajemnie okrażać. Trzykrotnie Wiking zaatakował, trzykrotnie został zablokowany. Wówczas Cormac dokonał wypadu, ale miecz Wikinga błysnął w odpowiedzi i przekreślił się, gdy wojownik nagle zakreślił nadgarstkami. Broń wyleciała Cormacowi z ręki.

- A to druga sztuczka - rzekł Wiking, zbliżając się do bezbronno młodzieńca. - Ale nie zdążysz jej chyba zapamiętać!

Cormac rzucił się w lewo, przetoczył po ziemi i stanął przy drewnitni. Wyrwawszy z pniaka topór, znów stanął twarzą w twarz z Wikingiem. Mężczyźni uśmiechnęli się szyderczo i cofnęli do

miejsca, gdzie w śniegu leżał porzucony miecz. Podniósł go i zważył w rękę, a potem schował do pochwy własną broń. Spojrzał na Cormaca.

- Zginąć od własnego miecza... Cóż za haniebna śmierć. Bogowie po wieczność będą z ciebie szydzić.

Cormac zmrużył oczy; ogarnęła go wściekłość, którą zdusił z wysiłkiem. Zamierzywszy się toporem, ciał potężnie, jednak Wiking uskoczył. W połowie drogi Cormac wypuścił stylisko i topór wyfrunął z jego dłoni. Sześciofuntowe żeleźce trzasnęło w twarz Wikinga. Zaledwie mężczyźni zatoczyli się do tyłu i wypuścili miecz na ziemię, Cormac przyskoczył, pochwycił własne ostrze i rąbnął nim w korpus przeciwnika, który zginął bez jęku. Cormac wyciągnął miecz, wytarł klingę z krwi i wrócił do chaty.

- Dobra robota - pochwalił go Oleg - ale musisz jeszcze popracować nad uchwytem. Zbyt kurczowo zaciskasz palce na jelcu.

Cormac się uśmiechnął.

- Następnym razem będę o tym pamiętał.

- Następnym razem nie będzie ci już tak ciężko.

- Jakże to?

- Następnym razem obok ciebie stanie Hammerhand. A wtedy nauczysz się niejednego.

## Rozdział ósmy

**P**o wielu miesiącach wędrówki Culain iach Feragh przybył do zrujnowanego kamiennego kręgu w Sorviodunum. O brzasku, pod rozjaśnionym niebem, zbliżył się do głównego ołtarza i położył na nim swoją srebrną laskę. Słońce wstało, oblewając monolity złotą poświatą, w której laska lśniła niczym żywy płomień. Culain zamknął oczy i wypowiedział szeptem trzy słowa mocy. W powietrzu rozległy się trzaski, błękitne ogniki rozbłysły na płaszczu i tunice. Raptem niebo pociemniało i ogarnęła go pustka - wielka, zachłanna czerń połknęła jego duszę.

Ocknął się z uczuciem mdłości i konsternacji.

- Jesteś głupcem, Culainie - odezwał się głos. Odwrócił głowę. Wzrok mu się mącił, zołądek podchodził pod gardło. - Nikt nie powinien szukać przejścia przez bramę, nie posiadając kamienia.

- Wciąż wygłaszasz kazania, Pendarricu? - jęknął, siadając ociężale. Leżał w miękkim łóżu, przykryty jedwabiami. Za sklepionym łukowato oknem słońce błyszczało na purpurowym niebie. Gdy wyostrzył mu się wzrok, zobaczył siedzącą opodal barczystą postać.

- Rzadko je wygłaszam ostatnimi czasy - odparł król Atlantów, szerokim uśmiechem rozdzielając jasną, przyciętą w kwadrat brodę. - Co bardziej żądni przygód z moich podwładnych oddali się różnorodnym zajęciom poza Mgłą, ci zaś, którzy zostali, preferują na-

ukowe badania.

- Przybyłem z prośbą o pomoc.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem - rzekł król. - Kiedy wreszcie przestaniesz bawić się w gierki w starym świecie?

- To nie jest gra... przynajmniej nie dla mnie.

- No, w końcu jakaś dobra wiadomość. Jak się ma chłopiec? . - Chłopiec? Który chłopiec?

- Uther, chłopiec z mieczem. Culain się uśmiechnął.

- Ten chłopiec ma już siwe włosy w brodzie. Nazywają go Krwawym Królem, ale sprawuje mądre rządy.

- Tak też myślałem. A co z dzieckiem, z Laitha?

- Kpisz sobie ze mnie, Pendarricu?

Królewskie oblicze stało się poważne, błękitne oczy zlodowaciały.

- Ja z nikogo nie kpię, Culainie, nawet z takich niesfornych poszukiwaczy przygód jak ty i Maedhlyn, którzy rujnujecie świat. Jakie mam prawo do kpiny? Czyż nie jestem tym królem, który zatopił Atlantyde? Nie zapominam o przeszłości i nikogo nie potępiam. Dlaczego zapytałeś?

- Zatem nie śledzisz wypadków w starym świecie?

- A czy powinienem? Goroiem stanowiła ostatnie zagrożenie, lecz rozprawiłeś się z nią i jej nieumarłym synem. Niewątpliwie Maedhlyna nadal zajmują dworskie intrygi, nie wygląda mi on jednak na takiego, kto mógłby przynieść zgubę światu. Co do ciebie, jesteś człowiekiem honoru, pomimo swojej beztroski.

- Moloch powrócił.

- Brednie! Sam uciąłeś mu głowę na Wieży Babel. Ciało pochłonęły płomienie.

- A jednak powrócił.

- Czy Maedhlyn jest tego samego zdania?

- Nie widziałem Maedhlyna od szesnastu lat. Uwierz mi, Diabeł znów zstąpił na ziemię.

-Przejdźmy się po ogrodzie... jeżeli czujesz się na siłach. Niektóre opowieści człowiek powinien snuć wyłącznie w świetle słońca.

Culain zsunął się z łóżka i wstał, lecz zakręciło mu się w głowie. Zaczerpnął powietrza i opanował drzenie.

- Jeszcze przez jakiś dzień będziesz osłabiony. Podczas podróży twoje ciało cierpiało potworne katusze, a kiedy się pojawiłeś, byłeś o włos od śmierci.

- Sądziłem, że w lasce zachowała się wystarczająca ilość mocy.

- Może i tak, ale dla kogoś młodszego. Czemuż to, Culainie, nalegasz, by się zestarzeć? Jaka korzyść daje umieranie?

- Chcę być prawdziwym człowiekiem, Pendarricu: doświadczać przemijania pór roku, czuć się częścią życia tego świata. Mam już dosyć nieśmiertelności. Jak sam zauważyłeś, pomogłem zrujnować pewien świat. Bogowie, boginie, demony i legendy - każde z nich współtworzy przyszłość przemocy i niezgody. Chcę się zestarzeć. Chcę umrzeć.

- To ostatnie przynajmniej jest prawdą - powiedział król. Poprowadził Culaina do bocznego wyjścia, potem w dół krótkim korytarzem do ogrodu z tarasami. Młodzieniec przyniósł im tackę z winem i owocami, a król usiadł na rzeźbionej ławie przy różanej rabacie. Culain zajął miejsce obok niego.

- A teraz opowiedz mi o Molochu.

Culain streścił wizję, jaka ukazała mu się w klasztorze, wspominając o błyskawicy, która oparzyła go w rękę. Zdał szczegółową relację z zadziwiającego wzrostu potęgi króla Wodana i jego podbojów w Belgii, Recji, Panonii i Galii. Na koniec, oparty wygodnie, zajął się w milczeniu popijaniem wina, patrząc ponad ogrodami na zielone, okalające miasto wzgórze.

- Nie rzekłeś ani słowa o Utherze i jego damie - zauważył Pendarric.

Culain wziął głęboki oddech.

- Zdradziłem go. Zostałem kochankiem jego żony. -Zabił ją za to?

- Nie, bo uciekliśmy do Galii, gdzie umarła.

- Ech, Culainie... Ze wszystkich znanych mi ludzi ciebie ostatniego posądziłbym o zdradę przyjaciela.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Wolałbym, żeby było inaczej. A zatem powiadasz, że powrócił Moloch. Czegóż się po mnie spodziewasz?

- Jak dawniej: wojska, bym mógł go zniszczyć.

- Nie dysponuję żadnym wojskiem, Culainie. A gdybym nawet dysponował, nie zezwoliłbym na wszczęcie wojny.

- Wiesz zapewne, że pragnie twojej śmierci. Że zaatakuje Brytanię i przejdzie przez wielką bramę w Sorviodunum, aby zrujnować Feragh. Oczywiście, że wiem - burknął król. - Ale nie mówmy już więcej o wojnie. Co zamierzasz uczynić?

- Odnaleźć go i wyzwąć na pojedynek.

- Z jakiego powodu? Dawny Culain mógłby go pokonać... Pokonał go zresztą. Ale ty nie jesteś tym dawnym Culainem. Ile masz lat wedle ludzkiej rachuby? Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt?

- Nieco więcej - padła cierpka odpowiedź.

- Wobec tego zostaw go w spokoju, Culainie, i wróć do swojego klasztoru. Studiuj tajemnice. Dożyj w spokoju do końca swoich dni i tych swoich pór roku.

- Nie mogę - odparł Culain lakonicznie.

Przez chwilę dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu, po czym Pendarric położył Culainowi rękę na ramieniu.

- To nasza ostatnia rozmowa, przyjacielu, pozwól więc, że coś ci jeszcze powiem. Szanuję cię i zawsze tak było. Jesteś zacnym człowiekiem. Nigdy nie słyszałem, ażebyś obwiniał kogoś za własne potknięcia lub przeklinał los czy Źródło za swoje niepowodzenia. To rzadka i cenna zaleta. Mam nadzieję, że odnajdziesz pokój, Culainie.

- Pokój... śmierć... Być może to jedno i to samo - szepnął Culain.

Uther obudził się w nocy, usiłując złapać niewidzialną postać, koszmar uczepiony do niego w mokrej od potu pościeli. Odrzucił przykrycie i wytoczył się z łóża. W snach na murach zamku pojawiały się czarne dziury, wypływając potwory o zakrzywionych szponach i ociekających kłach, cuchnące śmiercią i rozpaczą. Odetchnął głęboko i zbliżył się do okna; na blankach nikogo nie było.

- Ciemności boją się tylko starcy i dzieci - mruknął Krwawy Król, zmuszając się do chichotu.

Wiatr szeptał wokół zamkowych murów i w pewnej chwili zdało mu się, że słyszy własne imię - cichy szmer niesiony wraz z podmuchem. Zadrżał. Uspokój się, Utherze!

Wówczas dźwięk się powtórzył, ale tak słaby, że zamknął oczy i pochylił głowę w stronę okna. Tak, nie mylił się...

Utherze... Utherze... Utherze...

Wrócił do łóżka, uznawszy, że to tylko nocne złudzenie. Gdy jednak spojrział w okno, dostrzegł przy nim płaszącą sylwetkę.

Z chwilą, kiedy rozpoznał w niej człowieka, Uther zareagował. Ręka pomknęła do miecza schowanego w pochwie przy łóżku i w powietrzu zaślniła klinga. Skoczył w kierunku okna i zastygł. Postać nie ruszała się ze swojego miejsca, była zupełnie przezroczysta i wisiała niczym nieruchomy kłęb dymu w księżycowej poświacie.

- Nadchodzą... - wyszeptała postać. I znikła.

Zmieszany i zaniepokojony Uther odrzucił miecz na łóżo i podszedł do stołu stojącego pod przeciwległą ścianą, gdzie stał dzban wina i kilka kielichów. Gdy sięgał po dzban, zachwiał

się od nagłego zawrotu głowy. Upadł na kolana i dopiero wtedy zauważył mgłę snującą się nad podłogą komnaty. Zmysły odmawiały mu posłuszeństwa, lecz jednym rozpaczliwym ruchem podniósł się z klęczek i na pół dokuśtykał, na pół zatoczył się do swojego łóżka. Dłoń jego błądziła w poszukiwaniu głowicy miecza, by zacisnąć się na rękojeści dokładnie w momencie, gdy opadły go nieprzeniknione ciemności. Miecz Mocy rozbłysnął jak latarnia, mgła pierzchła, odsunawszy się pod ściany i ku szczelinie pod drzwiami. Król otworzył drzwi i wyszedł nagi na korytarz, gdzie Gwalchmai spał na wąskim wyrku.

- Obudź się, przyjacielu - rzekł król, potrząsając gwardzistę za ramię. Nie było odpowiedzi. Potrząsał silniej. Wciąż nic.

Strach ogarnął króla, który spiralnymi schodami począł wolno schodzić na dziedziniec. Czterech wartowników leżało na bruku, a obok nich miecze.

- Słodki Chrystusie! - szepnął Uther. - Sen!

Na lewo coś się poruszyło, więc się okręcił, przecinając ostrzem powietrze. Widmowa postać znów do niego przyfrunęła, z twarzą ukrytą pod kapturem, rozmyta i niewyraźna.

- Miecz - wyszeptwała. - On chce mieć miecz. -Ktoś ty?

Znienacka ognista łuna ogarnęła upiora, a gorący podmuch zważył króla z nóg. Upadł na bok i potoczył się kilka kroków. Czarne cienie wyrosły na murach, mroczne niczym jaskinie, otwierając się...

Uther podbiegł do jednego z wartowników i wyciągnął z pochwy jego miecz. Dotknął go własnym ostrzem i zamknął oczy w skupieniu. Ogień pojawił się na klingach; król zachwiał się i spojrzał w dół: w rękach trzymał dwa bliźniacze Miecze Mocy z błyszczącej, srebrzystej stali.

Tymczasem mroczne jaskinie wciąż się otwierały i pierwsza z bestii wypełzła na dziedziniec. Uther zamachnął się prawdziwym mieczem i wyrzucił go wysoko w powietrze. Błyskawica rozorała niebo... i miecz Cunobelina przepadł.

Bestia z rykiem ruszyła przez podwórzec z rozwartą potworną szczęką. Za nią tłoczyły się pozostałe, tworząc półkole wokół nagiego króla. Głęboko w tle ukazali się mężczyźni w czarnych płaszczach; szare miecze migotały w ich rękach.

- Miecz - odezwał się jeden. - Oddaj nam miecz.

- Sami go sobie weźcie - odpowiedział Uther. Mężczyzna skinął ręką i jedna z bestii wyskoczyła do przodu.

Wysoka na pełne siedem stóp, uzbrojona była w czarny topór. Miała nabiegłe krwią oczy, a zębiska długie i poźółkłe. Większość ludzi skamieniałaby z grozy, Uther jednak nie należał do większości.

Był wszakże Krwawym Królem.

Wyskoczył naprzeciw szarżującej bestii, przemknął pod przelatującym toporem i zatopił miecz w pokrytym łuskami podbrzuszu. Przerażliwy skowyt rozdarł ciszę nocy; pozostałe stwory zawyły z wściekłości i zaczęły przepychać się do przodu, lecz ubrany w czarny płaszcz mężczyzna nakazał im wrócić na swoje miejsca.

- Macie go nie zabijać! - wrzasnął, a Uther cofnął się o krok, zastanawiając się nad przyczyną zmiany jego nastroju. Wtedy spojrzał na swój miecz i zauważył, że krew stwora zabrudziła klingę... i czar prysł. Znów dzierżył zwyczajnego żelaznego *gladiusa* o drewnianej rękojeści, owiniętej naoliwioną skórą.

- Gdzie miecz? - zapytał przywódca. W jego oczach pokazał się błysk strachu.

- Tam, gdzie twój pan nigdy nie trafi - odparł Uther z ironicznym uśmiechem.

- Niech cię piorun spali! - zakrzyknął mężczyzna i odrzucił płaszcz, wznosząc szare, błyszczące ostrze. Reszta poszła za jego przykładem. Było ich ponad tuzin i Uther postanowił uszczuplić tę liczbę, by zebrać sobie orszak na drogę do piekła. Otoczyli go kołem, a potem natarli. Uther rzucił się do przodu, parując wściekle pchnięciem i zatapiając *gladiusa* w sercu przeciwnika. Zimne ostrze przeszło mu plecy, więc wyszarpnął szybko miecz i obrócił się na

pięcie, by przeciąć szyję drugiego z napastników. Dwie kolejne klingi doszły celu, wypełniając jego piersi lodowatym bólem, ale nawet kiedy upadał, miecz poderwał się i rozciął twarz wojownika. Później ogarnęła go ciemność i śmierć położyła swój

kościsty palec na jego duszy. Poczuł, jak unosi się w powietrze i otworzył oczy.

- Teraz należysz do nas - syknął przywódca; szare, zimne oczy błyszczały tryumfalnie.

Uther spojrział w dół, na ciało leżące u stóp wojownika. Było to jego własne ciało i nie widniało na nim nawet zadraśnięcie. Patrzył, jak napastnicy unoszą klingi, po czym miecze zawirowały i rozplynęły się niby mgła w porannym wietrze.

- Teraz poznasz prawdziwy sens konania - oświadczył przywódca. Nim dokończył zdanie, pojawiła się olbrzymia ognista luna; pochłonęła wnet duszę króla i znikła w ciemnościach. Pozostawwszy ciało, bestie i ludzie powrócili do cieni, a te zamknęły się za nimi, tak że pozostał jedynie szary kamień milczącej warowni.

Galead Jasnowłosy rycerz, będący niegdyś Ursusem, księciem z rodu Merowingów, obudził się w chłodzie poranka. Pokój był zimny, a łóżko puste. Usiadł, wzdygnął się i zastanowił, rozmyślając, czy gęsiej skórki dostał od przeciągu, czy też na wspomnienie lodowatych, błękitnych oczu...

Poselstwo już od trzech tygodni oczekiwało w mieście Lugdunum z zapewnieniem, iż nowy król przyjmie je przy najbliższej okazji. Victorinus przyjmował zwłokę z ίσcie rzymską cierpliwością, nie okazując publicznie rosnącego zdenerwowania. Wiadomości od Wodana przekazywał im młody Sas o imieniu Agwaine, wysoki, jasnowłosy wojownik o szyderczym usposobieniu.

Wybór Agwaine'a stanowił przemyślną zniewagę, jako że wojownik pochodził z plemienia Południowych Sasów, z królestwa Uthera, co czyniło z niego zdrajcę w oczach Victorinusa.

Rzymianin z pożytkiem wykorzystywał swoją wymuszoną bezczynność na spacerach po mieście w towarzystwie Galeada, na wysłuchiwanie rozmów w tawernach, podpatrywanie musztry gockich regimentów, zbieranie informacji, które miały pomóc Utherowi w nieuniknionej już wojnie.

Podczas wycieczki w głąb lądu zobaczyli potężne triery w fazie budowy i szalupy, które mogły wysadzić armię na południowym wybrzeżu, gdzie wzmocniłyby ją rebelianckie watahy Sasów i Jutów, pragnących wyrzucić zemstę na Krwawym Królu.

Dwudziestego drugiego dnia oczekiwania Agwaine przybył wcześniej, tuż po świcie, aby wezwać ich przed oblicze Wodana. Victorinus

podziękował mu grzecznie i włożył na siebie prostą białą togę. Galead ubrał się w skórzany napierśnik, sztylpy oraz nakolanniki komendanta *cohors equitana* i krótki kaftanik herolda z wyszytym nad sercem czerwonym krzyżem; do boku przypasał *gladiusa*.

Obu zaprowadzono do głównego pałacu. Szli długim korytarzem, ozdobionym lancami, na które zatknięto odcięte głowy.

Galead zerknął na gnijące czaszki, z trudem tłumiąc gniew na widok jednej z nich, należącej do Meroweusza, poprzedniego króla Merowingów. Przełknął tylko ślinę i wolnym krokiem maszerował dalej za Victorinusem w stronę wysokiego tronu, na którym zasiadał nowy bóg-król. Otoczony świątą gwardzistów w srebrzystych zbrojach, Wodan obserwował zbliżających się mężczyzn, a zwłaszcza odzianego w biel Victorinusa.

Gdy dotarli do pierwszego stopnia podwyższenia, Rzymianin pokłonił się nisko.

- Przyjmij pozdrowienia, Wasza Królewska Mość, od twego brata za morzem.

- Ja nie mam żadnych braci - odparł Wodan głosem głębokim i dźwięcznym.

Galead patrzył na władcę, porażony mocą, jaka od niego emanowała. Twarz miał przystojną i okoloną złotą brodą, barki szerokie, ramiona mocarne. Ubrany był podobnie jak gwardziści - w srebrzystą zbroję, na którą narzucił czarny płaszcz.

- Mój król - rzekł Victorinus spokojnie - przysyła ci podarek, aby uświetnić twoją koronację.

- Odwrócił się, a wtedy dwóch żołnierzy przyniosło kwadratową skrzynkę z wypolerowanej

kości słoniowej. Uklęknęli przed królem i otworzyli wieko. Władca nachylił się i wyciągnął z wnętrza srebrny hełm. Złoty diadem zdobił jego brzeg, a srebrne krucze skrzydła służyły jako osłona na uszy.

- Ładna sztuka - przyznał Wodan, rzucając hełm gwardziście, który położył go na ziemi obok tronu. - A teraz do rzeczy. Dałem wam trzy tygodnie, abyście zdali sobie sprawę z potęgi Wodana. Dobrze ów czas wykorzystałeś, Victorinusie, co też przystoi żołnierzowi twojej rangi i eksperencji. Wrócisz teraz do Brytanii i powiesz tym, których tam zastaniesz u władzy, że nawiedzę ich z własnymi prezentami.

- Pan mój, Uther... - zaczął Victorinus.

- Uther nie żyje - przerwał mu Wodan - i potrzeba wam króla. Skoro nie pozostawił spadkobiercy, a moi sascy bracia błagają mnie o wsparcie przeciwko tyranii Rzymian, postanowiłem przyjąć ich

zaproszenie na podróż do Brytanii, gdzie mógłbym zapoznać się ze słusnością ich roszczeń.

- Udasz się w podróż na czele armii, panie? - zapytał Rzymianin.

- A sądzisz, że potrzebuję takowej, Victorinusie?

- To, panie, zależy będzie od króla.

- Śmiesz wątpisz w moje słowa? - spytał Wodan i Galead zauważył, jak rysy twarzy gwardzistów twardnieją, a ręce pełzną w stronę mieczy.

- Nie, panie. Ja tylko wskazuję z całym uszanowaniem, że Brytania ma swojego króla. Kiedy jeden umiera, inny wstępuje na tron.

- Wysłałem petycję do namiestnika Chrystusa w Rzymie - rzekł Wodan - od którego otrzymałem zapieczętowany pergamin, poświadczający, iż królestwo Brytanii przypadnie mnie, jeśli tylko wyrażę taką chęć.

- Można by wysunąć argument, że wpływy Rzymu na sprawy Zachodu zostały już obalone, ale niech inni nad tym debatują. Ja jestem prostym żołnierzem.

- Okazywana przez ciebie skromność jest godna uznania, ale to nie jedyna twoja zaleta. Chciałbym, żebyś mi służył, Victorinusie. Niełatwo dzisiaj o utalentowanych ludzi.

Victorinus pokłonił się.

- Dziękuję za komplement, lecz teraz, jeśli łaska, musimy przygotować się do powrotnej drogi.

- Oczywiście - rzekł Wodan, wstając - wpierv jednak przedstaw mi swojego młodego towarzysza, który mnie zaintrygował.

- Panie, oto Galead, rycerz Uthera.

Galead pochylał głowę, król zaś zszedł z podwyższenia i stanął przed nim. Rycerz spojrzał w zimne, błękitne oczy.

- A jakie jest twoje zdanie, rycerzu Uthera?

- Ja nie mam zdania, panie, tylko miecz. Kiedy król każe mi go użyć, nie waham się.

- A gdybym to ja był twoim królem?

- Poproś mnie raz jeszcze, kiedy ten dzień nadejdzie.

- Nadejdzie, Galeadzie. Poczekajmy do wiosny, wtedy nadejdzie. Powiedz mi - zapytał z uśmiechem, wskazując ręką poucinane głowy - co sądzisz o moich ozdobach?

- Sądzę, że zlecą się do nich muchy, panie, kiedy przyjdzie wiosna.

- Wydawało mi się, że rozpoznałeś jedną z ozdób. Galead zmrużył oczy.

- To prawda, panie, jesteś niezwykle spostrzegawczy. - Wskazał na gnijącą głowę Meroweusza. - Widziałem go kiedyś, kiedy mój ojciec odwiedzał Galię. To... poprzedni.. król.

- Mógł mi służyć. Dziwi mnie, że człowiek czasem woli pożegnać się z życiem w agonii niżli cieszyć się nim wśród dostatków i przyjemności. I po co? Wszyscy ludzie komuś służą... nawet królowie. Powiedz mi, Galeadzie, w jakim celu ktoś rzuca wyzwanie temu, co nieuniknione?

- Zawsze mi powiadano, panie, że jedynie śmierć jest nieunikniona, a przecież codziennie rzucamy jej wyzwanie.

- Nawet śmierci mogą uniknąć moi najwierniejsi słudzy, a z drugiej strony nie jest ona ucieczką dla mych przeciwników. Nieprawdaż, Meroweuszu?

Przegniła głowa jakby pochyliła się na szpikulcu, otwierając usta w niemym krzyku.

- Widzisz? - rzekł Wodan cicho. - Poprzedni król zgadza się z moją opinią. Powiedz mi jeszcze, Galeadzie, czy życzysz sobie, bym był twoim wrogiem?

- Życie żołnierza, panie, rzadko zbiega się z jego życzeniami. Jak sam słusznie zauważyłeś, wszyscy komuś podlegają. Jeśli o mnie chodzi, wolałbym nie mieć wrogów, lecz życie nie jest takie proste.

- Dobrze powiedziane, żołnierzu - odparł król, po czym odwrócił się i dostojnym krokiem wrócił na tron.

Posłowie wycofali się tyłem z sali, a następnie udali do swych kwater. Dotarłszy na miejsce, Victorinus opadł na szerokie krzesło i zakrył twarz dłońmi.

- Może to nieprawda - odezwał się Galead.

- Nie miał powodu kłamać. Uther nie żyje. Brytania nie żyje.

- Uważasz, że Wodan zostanie teraz królem?

- A jak go powstrzymamy? Lepiej już, żeby go wybrano, niż byśmy mieli przelewać morze krwi.

- Takie właśnie wyjście proponujesz?

- Masz może lepszy pomysł?

Młodzieniec już miał odpowiedzieć, gdy zauważył drgnięcie ręki Victorinusa; palce się rozwarły, a następnie zacisnęły w pięść. Był to umówiony sygnał zwiadowców, nakazujący milczenie w obecności wroga.

- Nie, panie. Chyba masz rację - powiedział.

Tego słonecznego poranka Galead wstał z łóżka i udał się nago nad strumień za zabudowaniami. Wykąpał się w chłodnej wodzie, spływającej w dolinę prosto z ośnieżonych gór. Odświeżony, powrócił do swojego pokoju i ubrał się do podróży. Dwunastu ludzi, z których składał się oddział, spotkało się przy śniadaniu w karczemnej sali jadalnej.

Victorinus, znów odziany jak przystało na wysokiego dowódcę - w spizowy napierśnik i skórzaną spódniczkę z ozdobami z brązu - siedział w milczeniu. Wieść o śmierci Uthera przedostała się do wiadomości wszystkich wojowników, wywołując grobowe nastroje.

Młody stajenny wszedł i oznajmił Victorinusowi, że konie czekają gotowe, po czym cała grupa udała się do wierzchowców. Wyjechali z miasta, kiedy słońce dostatecznie oświetliło góry. Victorinus machnął ręką, by Galead podjechał bliżej, toteż jasnowłosy młodzieniec spiął konia do cwału i zrównał się z Rzymianinem. Następnie obaj wysforowali się na czoło oddziału. Gdy reszta została poza zasięgiem słuchu, Victorinus ściągnął wodze i zwrócił się do młodego Merowinga.

- Chcę, żebyś ruszył do Belgii i wsiadł tam na okręt.

- Dlaczego, panie? Victorinus westchnął.

- Rusz głową, młody książę. Wodan mógł dać się nabrać na moje słowa i pozę przegranego, jaką przybrałem. Mógł, ale nie musiał. Ja na jego miejscu dopilnowałbym, żeby Victorinus nie dotarł na wybrzeże żywy.

- Tym większy powód, by trzymać się razem.

- Myślisz, że jeden miecz zrobi jakąś różnicę? - parsknął stary generał.

- Nie - przyznał Galead.

- Przykro mi, chłopcze. Staję się rozdrażniony, gdy ktoś chce mnie zabić. Skoro dotrzesz do Brytanii, odszukaj Prasamaccusa... to stary, szczywany lis... oraz Gwalchmaiego. Obaj będą ci służyć mądrą radą. Nie wiem, kto obejmie dowództwo; być może Petroniusz, chociaż jest ode mnie o dziesięć lat starszy. A może Geminus Kato. Mam nadzieję, że będzie to ten ostatni, bo



on przynajmniej zna się na wojnie. Z wyglądu szalup wnoszę, że będą gotowe do żeglugi z nadejściem wiosny, a więc nie zostało wiele czasu na stosowne przygotowania. Przepuszczam, iż wylądują niedaleko Anderidy, lecz mogą też uderzyć nieco bardziej na północ. Wodan znajdzie sojuszników na obu krańcach królestwa. Niech piekło pochłonie tego Uthera! Jak mógł umrzeć w takiej chwili?

- A co ty zamierzasz, panie?

- Do zmięzchu będę jechał zgodnie z planem, potem zboczę z drogi. Słodki Mitro, czego bym nie oddał w zamian za dziesięć dawnych legionów! Widziałeś tych rzymskich żołnierzy na dworze Wodana?

- Tak. Niczym nie zachwycali, prawda?

- Żadnych hełmów ani napierśników. Rozmawiałem z jednym młodzieńcem i wygląda na to, że to armia obstawała, by się ich pozbyć ze względu na ciężar! Jak Rzymianom udało się kiedykolwiek zawojować świat?

- Kraj jest tylko taki silny, jak pozwalają mu na to wodzowie -odparł Galead. - Goci nigdy nie dokonaliby takich podbojów, gdyby ich Wodan nie zjednoczył, a kiedy umrze, znów pójdą w rozsypkę.

- Miejmy zatem nadzieję, że umrze jak najszybciej - stwierdził Victorinus. - Kiedy już oddalimy się na bezpieczną odległość od miasta, ruszaj na północ i niechaj Hermes przyprawi skrzydła twemu wierzchowcowi.

-I oby twoi bogowie doprowadzili cię do domu, panie.

Victorinus nic na to nie odrzekł, tylko zdjął płaszcz i zwinął go na siodle - zwyczajnie tego przestrzegali wszyscy dowódcy konnicy, kiedy wjeżdżali na wrogie terytorium.

- Jeżeli nie wrócę do domu na wiosnę, Galeadzie, zapal dla mnie lampkę na ołtarzu Mitry.

Culain stał pośrodku kamiennego kręgu, trzymając w ręku srebrną lancę.

- Jesteś pewien, że mądrze postępujesz? - zapytał Pendarric. Culain uśmiechnął się.

- Nigdy nie byłem mądry, Wasza Królewska Mość. Mądry człowiek dostrzega granice swojej mądrości. Sądzę jednak, że los mi wyznaczył, abym zmierzył się ze złem Wodana. Moje miecze nie wystarczą być może do korzystnego dla mnie rozstrzygnięcia bitwy, ale nie mam co do tego pewności. Nigdy się nie dowiem, o ile nie spróbuję.

-I ja wystąpię przeciwko Ciemnemu - oświadczył Pendarric -ale na swój sposób. Weź to, myślę, że ci się przyda. - Culain przyjął złoty kamień wielkości kukułczego jajka.

- Dzięki, Pendarricu. Wątpię, czy się jeszcze spotkamy.

- Prawdę powiadasz, Lordzie Lancy. Oby Źródło Wszystkich Rzeczy zawsze było przy tobie.

Pendarric uniósł ramiona i wypowiedział słowo mocy...

## Rozdział dziewiąty

**W**mieście Eboracum panowała żałoba, kiedy Objawiony stanął pod południową bramą. Strażnik widząc, że białobrody przybysz jest mnichem bez broni i ma przy sobie jedynie długi, drewniany drąg, odsunął się na bok i dał znak ręką, by przechodził.

- Czy król jest u siebie? - zapytał Objawiony.

- To żeś nie słyszał wieści? - odparł strażnik, młody milicjant, uzbrojony jedynie w lancę.

- Od trzech dni jestem w drodze i nikogo przez ten czas nie spotkałem.

- Król nie żyje - powiadomił go strażnik. - Zabity czarną magią.

Inni podróżni ustawili się za Objawionym, więc strażnik przynaglił go do pośpiechu. Przeszedł pod bramą i znalazł się na wąskich ulicach, ścigany przez wspomnienia: młodego Uthera, wysokiego i silnego wśród gór Kaledonii; Krwawego Króla, prowadzącego szarżę na wroga; chłopca i mężczyzny, tak pełnego życia. Objawionego przytłaczał dojmujący smutek. Przybył tutaj, aby pojednać się z człowiekiem, którego zdradził, aby poprosić o wybaczenie.

Tułał się po mieście niczym lunatyk, nie zauważając straganów ani sklepów. Skierował się ku królewskiemu zamkowi, gdzie u wejścia stali dwaj strażnicy w ceremonialnych czarnych pelerynach i hełmach z ciemnymi piórami.

Lance skrzyżowały się przed nim, zagrażając drogę.

- Dzisiaj nikt nie ma prawa wstępu - rzekł żołnierz spokojnie. - Wróc jutro.

- Muszę rozmówić się z Victorinusem.

- Nie ma go tu. Wróc jutro.

- Albo z Gwalchmair lub Prasmaccusem.

- Masz kłopoty ze słuchem, starcze? Jutro, powiedziałem. Laska Objawionego wystrzeliła do góry, odtrącając lance. Żołnierze przyskoczyli, aby go obezwładnić, laska jednak trzasnęła pierwszego w czaszkę i zabiła go z nóg, potem trafiła w krocze drugiego, który skulił się, by otrzymać na dokładkę cios w kark.

Objawiony wszedł na dziedziniec. Ludzie siedzieli beczynnym w grupkach, ze ściągniętych twarzy wyzierała udreka.

- Hej, ty! - zawołał Objawiony do wojownika siedzącego na cembrowinie studni. - Gdzie jest Gwalchmai? - Mężczyzna podniósł wzrok i wskazał na północną wieżę. Objawiony wspinał się na stopnie, a następnie pokonał spiralne schody, prowadzące do królewskich apartamentów. Tam, na posłaniu przykrytym płóciennym prześcieradłem, leżało ciało Uthera, w pełnej zbroi i w hełmie z pióropuszem. Obok łoża, trzymając dłoń monarchy, siedział Gwalchmai, Ogar Króla. Łzy toczyły się po jego twarzy, oczy miał podkrążone.

Nie usłyszał zbliżającego się przybysza ani nie zareagował, kiedy ręka spoczęła na jego ramieniu, gdy jednak rozległ się głos, drgnął jak ukłuty i zerwał się na nogi.

- Jak to się stało, Gwal?

- Ty?! - Ręka Gwalchmaiego śmignęła do boku, ale nie znalazła miecza. Oczy ciskały błyskawice.

- Jak śmiesz tu przychodzić? Objawiony zignorował go i podszedł do łoża.

- Zapytałem, jak to się stało - szepnął.

- A jaka to teraz różnica? Stało się i koniec. Czarodziejska mgła zasnęła zamek i wszystkich zmógł sen. Kiedyśmy się obudzili, król leżał martwy na dziedzińcu obok cielska bestii pokrytej łuskami. Miecz przepadł.

- Jak dawno?

- Trzy dni temu. Objawiony uniósł dłoń króla.

- Ciało powinno już dawno zeszywnieć. - Objął palcami nadgarstek i poczekał. Nie wyczuł pulsu, jednak ciało było ciepłe w dotyku.

Z kieszeni wydobyl kamień Pendarrica, którym dotknął czoła króla. Nie nastąpiło żadne wyraźne poruszenie, lecz pojawił się delikatny puls.

- Żyje - zawyrokował Objawiony. - Nie!

- Sam zobacz, człowieku.

Gwalchmai obszedł łożo i przyłożył palec do gardła króla, tuż poniżej zuchwy. Oczy jego rozbliły, ale po chwili straciły blask.

- Czy to też jakaś magia, Culainie?

- Nie, przyrzekam.

- Jakiej wartości są przyrzeczenia wiarołomcy?

- Sam osądź, Gwalchmai. Ciało nie zeszywniało, krew nie odeszła z twarzy, oczy się nie

zapadły. Jak sobie to tłumaczysz?

- Ależ on nie oddycha, jego serce nie bije - rzekł wojownik Kantów.
- Znajduje się na granicy śmierci, ale nie przepłynął jeszcze czarnej rzeki.

Objawiony położył dłonie na królewskim obliczu.

- Co czynisz? - zapytał Gwalchmai.

- Milcz teraz - nakazał mu Objawiony i zamknął oczy. Umysł jego poszybował na spotkanie z Utherem, przyzywając moc kamienia.

Ciemność, rozpacz i tunel z czarnego kamienia... Bestia... Wiele bestii... Postać, wysoka i silna...

Objawiony wrzasnął i potoczył się po komnacie; przód habitu został rozerwany, krew tryskała z piersi zadrapanej szponami. Gwalchmai stał jak urzeczony, gdy Objawiony wolno wstawał.

- Słodki Mitro - mruknął.

Objawiony wziął kamień i przytrzymał go przy piersi, a rana się momentalnie zagoiła.

- Mają w garści duszę Uthera - powiedział.

- Kto?

- Nieprzyjaciel, Gwalchmai. Wodan.

- Musimy go uratować. Objawiony pokiwał głową.

- Na to trzeba mocy większej niż ta, którą posiadam. Możemy jedynie chronić ciało. Jak długo żyje, tli się nadzieja.

- Ciało bez duszy? To na nic.

- Ciało i duch są ze sobą związane, Gwalchmai, jedno czerpie siłę z drugiego. Wodan już się dowiedział, że ciało wciąż żyje, więc zechce je zniszczyć, to pewne. Ciekawi mnie tylko, dlaczego zabrano duszę. Potrafię zrozumieć, dlaczego Wodan chciałby śmierci Uthera, ale to jest dla mnie zagadką.

- Nic mnie nie obchodzą jego motywy - syknął Gwalchmai -ale spotka go za to kara śmierci, przysięgam.

- Obawiam się, że jesteś od niego dużo słabszy - powiedział Objawiony. Zbliżył się do ściany i złotym kamieniem poprowadził linię; minął drzwi, potem północną ścianę, aż okrążył całą komnatę

i znalazł się w punkcie wyjściowym. - Powinno wystarczyć - powiedział.

- Dlaczego tu wróciłeś?

- Sądziłem, że przybywam prosić Uthera o wybaczenie, ale teraz myślę, że to Źródło mnie tu zaprowadziło, abym ochronił króla.

- Gdyby... żył, zabiłby cię.

- Może tak, a może nie. Lepiej pójdź po broń, Gwal, i po zbroję. Będą ci wkrótce potrzebne.

Gwalchmai opuścił komnatę bez słowa, a Objawiony przysunął sobie krzesło i usiadł.

Dlaczego porwano króla? Moloch nie trwoniłby mocy tylko po to, aby dokuczyć wrogowi. Takie przedsięwzięcie musi przecież kosztować ogromną ilość energii Sipstrassi. Musiał mieć pewność, że może w ten sposób zyskać coś, co warte jest utraty magii. A ciało... Czemu zostawił je przy życiu?

Objawiony przyjrzał się królowi. Zbroja była wysadzana złotem, na hełmie tkwiły korona Brytanii i rzymski orzeł, a na napierśniku wykonanym wedle greckiej modły widniał emblemat niedźwiedzia. Spódniczka z mosiężnymi guzami zachodziła na skórzane sztylpy i wysokie do ud buty, wzmocnione miedzią, aby chronić kolana jeźdźca podczas szarży, gdy ocierają się o siebie rumaki. Pochwa, inkrustowana szlachetnymi kamieniami, stanowiła dar zamożnego kupca z Noviomagusu i miała pomieścić Wielki Miecz Cunobelina.

Myśl, że Miecz Mocy dostał się w ręce Wodana, napelniała Culaina odrazą, jako że niegdyś należał on do niego; sam był świadkiem, jak oręż formował się z czystego srebrnego Sipstrassi, najrzadszej postaci magicznego kamienia, stając się stokroć potężniejszy od

złotego kamyka, który miał teraz przy sobie. Nawet bez tego miecza Wodan był dość potężny, ale skoro wszedł w jego posiadanie, czyż jakakolwiek siła na ziemi mogła mu się oprzeć?

Otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł Gwalchmai w pełnej zbroi; u biodra wisiały mu dwa krótkie miecze w pochwach. Za nim pojawił się Prsamaccus ze swym zakrzywionym kawaleryjskim łukiem i kołczanem na strzały.

- Przyjemnie cię znowu zobaczyć - rzekł Objawiony. Prsamaccus skinął głową; wszedł kuśtykając do środka i odłożył pod ścianą łuk i kołczan.

- Jakoś nie wierzyłem - powiedział stary Brigant - by upadek z klifu mógł cię zabić. Ale kiedy się nie pokazywałeś...

- Udałem się w podróż do Mauretanii na afrykańskim wybrzeżu.

- Co z królową?

- Została w Belgii, gdzie też umarła kilka miesięcy temu.

- Była to jedna wielka głupota - stwierdził Prsamaccus. Wyciągnął rękę, którą Objawiony serdecznie uściśnął.

- A więc nie żywisz do mnie nienawiści?

- Jak długo żyję, nikogo jeszcze nie darzyłem tym uczuciem. A gdybym miał kogoś znienawidzić, nie zacząłbym od ciebie, Culainie. Pamiętam chwilę, kiedy Uther po raz pierwszy kochał się z Laithą, w kraju Pinrae. Gdy później spotkałem się z księciem... wtedy jeszcze był księciem... opowiedział mi, jak to podczas miłości, kiedy jego emocje sięgnęły zenitu, Laitha wyszeptala twoje imię. Nigdy tego nie zapomniał... Wspomnienie zżerało go niczym narośl rakowa. Nie był złym człowiekiem, sam rozumiesz, więc próbował jej wybaczyć. Kłopot w tym, że jeśli ciężko ci zapomnieć, ciężko ci także wybaczyć. Przykro mi, że królowa nie żyje.

- Bardzo za wami tęskniłem przez te wszystkie lata - rzekł Objawiony. - I za Victorinusem. Gdzie on się podziewa?

- Uther wysłał go do Galii, miał tam ustalić treść przymierza z Wodanem - odparł Gwalchmai. - Od miesiąca nie ma o nim wieści.

Objawiony milczał, a Prsamaccus usiadł na krześle obok łoża.

- Kiedy nadejdą? - zapytał.

- Sądzę, że dziś wieczór. Może jutro.

- Skąd będą wiedzieć, że ciało nadal żyje?

- Próbowałem dotrzeć do duszy Uthera. Natknąłem się na Wodana, a wiedza zaatakowała mnie jedna z bestii. Wodan dowiedział się, że poszedłem za nicą życia Uthera, więc teraz oni wybiorą się w naszą stronę.

- Możemy ich powstrzymać? - spytał Brigant spokojnie.

- Zawsze możemy spróbować. Opowiedzcie mi dokładnie, w jakim stanie znaleziono króla.

- Leżał na dziedzińcu - rzekł Gwalchmai. - Obok niego była koszmarna bestia z bebechami na wierzchu, martwa i gnijąca tak szybko, że byś nie uwierzył. O zmroku pozostały jedynie kości i smród.

- Nic tam więcej nie znaleźliście? Tylko martwą bestię i króla?

- Tak... a właściwie nie... Przy ciele leżał *gladius*. Należał do jednego z gwardzistów.

- *Gladius*? Czy właśnie w tym miejscu żołnierz go porzucił?

- Nie wiem, ale się dowiem.

- Zrób to teraz, Gwal.

- Czyżby to było takie ważne?

- Niezwykle ważne, jeżeli używał go król.

Po odejściu Gwalchmaiego, Objawiony i Prsamaccus wyszli na okrągłe blanki, opasujące północną wieżę, gdzie mieli widok na wzgórze za Eboracum.

- Ziemia jest tu cudownie zielona - stwierdził Objawiony. - Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zazna spokoju.

- Chyba że ludzie ją opuszczą - odpowiedział Prsamaccus, siadając na murku, aby dać odpocząć chromej nodze. Wiał chłodny wiatr, więc owinał szczelnie zielonym płaszczem swoją szczupłą postać. - Myślałem, że wy, nieśmiertelni, nigdy się nie starzejecie.

Objawiony wzruszył ramionami.

- Na wszystko przychodzi kiedyś pora. Co u Helgi?

- Umarła. Tęsknię za nią.

- Masz dzieci?

- Mieliśmy chłopca i dziewczynkę. Chłopiec w wieku trzech lat umarł na czerwoną zarazę, córka przeżyła. Dorodna z niej dziewczucha; chodzi teraz w ciąży i ma nadzieję urodzić chłopaka.

- Jesteś szczęśliwy, Prsamaccusie?

- Żyję... a słońce świeci. Nie mam powodów do narzekania, a ty?

- Jakoś leci. Powiedz, doszły cię słuchy o Maedhlynie?

- Nie, kilka lat temu rozstał się z Utherem. Nie znam szczegółów, ale wszystko się zaczęło, kiedy Maedhlyn powiedział, że z pomocą swojej magii nie jest w stanie stwierdzić, gdzie ukrywasz Laithę. Uther wierzył, że to lojalność wobec ciebie zabrania czarodziejowi udzielić mu pomocy.

- Nieprawda - rzekł Objawiony. - Użyłem kamienia, aby nas osłaniał.

Prsamaccus się uśmiechnął.

- Przykro mi, jeśli chodzi o ogara. Wolałem, żeby cię nie odnalazł, lecz Uther był moim królem i przyjacielem. Czyż mogłem go zdradzić?

- Nie chowam do ciebie urazy, przyjacielu. Szkoda tylko, że nie przeszukałeś jaskini, kiedy skoczyliśmy do morza.

- Czemu to?

- W grocie leżał syn Uthera. Laitha urodziła w niej dziecko, które przeżyło.

Kolor odplynał ze starczej twarzy Briganta.

- Syn? Jesteś pewien, że Uthera?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Wychował się wśród Sasów. Znaleźli go przy ogarze i szczeniakach i nazwali Daemonssonem. Gdy go ujrzysz, rozwieją się twoje rozterki, ponieważ do złudzenia przypomina Uthera.

- Musimy go tu sprowadzić. Powinien zostać nowym królem.

- Nie - uciął Objawiony ostro. - Jeszcze nie jest gotowy. Nie wygadaj się przed Gwalem ani nikim innym. Kiedy nadejdzie właściwa pora, sam Uther go rozpozna.

- Jeśli król przeżyje - bąknął Prsamaccus.

- Jesteśmy tu po to, aby tego dopilnować.

- Dwóch podstarzałych wojowników i nieśmiertelny, który szuka śmierci? Nie jest to chyba najbardziej wzbudzający lęk oddział, jaki można zebrać w Kraju Mgły!

Gwalchmai powrócił akurat o zachodzie słońca, a Prsamaccus i Objawiony spotkali się z nim w królewskiej komnacie.

- Cóż nam powiesz? - zapytał Objawiony. Białobrody Kant wzruszył ramionami.

- Gwardzista powiedział, że w momencie nadejścia mgły miecz jego tkwił w pochwie, gdy się jednak zbudził, znalazł go przy królu. Co z tego wynika?

Objawiony się uśmiechnął.

- Oznacza to, że Uther zabił bestię *gladiusem* gwardzisty. Czyżbyś wciąż nie rozumiał?

Oczy Gwalchmaiego pojaśniały.

- Nie miał swojego miecza.

- Otóż to. Wiedział, po co przybyli, więc ukrył broń tak, by jej nie mogli odnaleźć. Wobec tego wzięli go żywcem... na tortury.

- Czy można torturować duszę? - zdziwił się Prsamaccus.

- Jeszcze skuteczniej niż ciało - odparł Objawiony. - Pomyśl o wewnętrznym bólu, jaki

czuleś po stracie ukochanej osoby. Czyż jakakolwiek fizyczna rana zada ci większą męczarnię?

- Co mamy robić, Culainie? - szepnął Gwalchmai, utkwivszy spojrzenie w nieruchomym ciele króla, któremu służył przez ćwierć wieku.

- Po pierwsze, musimy chronić ciało, a po drugie, musimy odszukać Miecz Mocy.

- On może być gdziekolwiek - powiedział Prsamaccus.

- Gorzej - stwierdził Objawiony. - On może być czymkolwiek.

- Nie rozumiem - rzekł Kant. - To przecież miecz.

- Został ukuty ze srebrnego Sipstrassi, najpotężniejszego źródła mocy w starożytnym świecie. Z jego pomocą zbudowaliśmy bramy, ociosaliśmy monolity kręgów, stworzyliśmy proste szlaki, których wy ciągle używacie. Wyznaczyliśmy starożytne ścieżki, przebiegające przez wiele królestw, łączące miejsca ziemskiej magii. Gdyby Uther sobie tego zażyczył, miecz stałby się kamieniem albo drzewem, czy też lancą, albo nawet kwiatkiem.

- Czego zatem szukamy? - zapytał Prsamaccus. - Czy mamy rozesłać po kraju rycerzy Uthera w poszukiwaniu kwiatka?

- Tam, gdzie on się znajduje, objawi się magia miecza. Założmy, że to kwiat: w całej okolicy rośliny wyrosną bujne jak nigdy dotąd, plony dojrzeją wcześniej i znikną wszelkie choroby. Rycerze muszą wypatrywać takich właśnie znaków.

- O ile znajduje się w Brytanii - wtrącił Gwalchmai.

- Gdyby można go było tak łatwo odnaleźć, Wodan już miałby go w ręku - parsknął Objawiony. - Ale pomyślcie tylko: kiedy Uther znalazł się w niebezpieczeństwie, miał co najwyżej kilka chwil na ukrycie miecza. Znać króla dobrze, gdzie według was mógł go wysłać?

Prsamaccus wzruszył ramionami.

- Może do Kaledonii, gdzie po raz pierwszy spotkał ciebie i Laitkę. Albo do Pinrae, gdzie rozgromił wojska Goroiów. Lub do Camulodunum.

- Miejsca te Wodan dokładnie przeszuka, bo historia króla jest wszystkim dobrze znana. Uther wymyślił zapewne coś trudniejszego... Słodki Chrystusie!

-Co?

- W Kaledonii mieszkają dwie osoby, których Wodanowi nie wolno odnaleźć. A ja nie przyjdę im z pomocą, bo nie mogę się stąd ruszyć. - Wstał z krzesła z poszarzałą twarzą i trwożnym wzrokiem. Prsamaccus położył mu delikatnie rękę na ramieniu.

- Chodzi o chłopca, o którym wspominałeś? Objawiony skinął głową.

- Musisz teraz wybierać między... - Prsamaccus nie dokończył zdania. Wiedział, jaka burza rozpuściła się w tym człowieku. Kogo ratować, ojca czy syna? Choć on to widzi inaczej: zdradzić jednego, aby uratować drugiego.

Tymczasem Gwalchmai pozapalał lampki, dobył miecza i zaczął pocierać go starą oselką. Objawiony złapał swoją laskę i przytknął

powieki. Zniknął brązowy habit z wełny, na jego miejscu pojawiła się srebrno-czarna zbroja Culaina lach Feragh. Siwa broda odpłynęła w nicość, włosy na głowie pociemniały. Laska stała się srebrna, a Culain przekręcił rękojeść, wydobywając dwa krótkie, błyszczące srebrzyście miecze.

- A więc podjąłeś decyzję? - stwierdził Prsamaccus.

- Owszem, i niech Bóg mi wybaczy - rzekł Lord Lancy.

W Kaledonii nastała piękna wiosna, góry okryły się jaskrawymi barwami, wezbrane strumienie połyskiwały w słońcu, zagajniki i lasy wypełniły się ptasim trelem. Cormac nie był nigdy w życiu szczęśliwszy. Oleg i Riannon odnaleźli i odbudowali starą chatę, położoną wyżej w górach, pozostawiając samym sobie Cormaca i Anduinę, by młodzi kochankowie mogli nacieszyć się własnym szczęściem. Rankiem Oleg towarzyszył zwykle Cormacowi w bieganii oraz uczył go bardziej wyrafinowanego posługiwania się mieczem. Kiedy jednak

słońce mijało najwyższy punkt nieba, Oleg powracał do swej chaty. Cormac rzadko widywał Riannon, ale i tak widział, że jest nieszczęśliwa. Nie dowierzała ojcu w sprawie Wodana i była przekonana, iż z jego winy nie została królową Gotów. Teraz mieszkała w górzystym kraju, wędrowała po wzgórzach i szukała spokoju ducha.

Jednak myśli o Riannon nieczęsto nawiedzały Cormaca, który żył w otoczeniu piękna, do tego zakochany.

- Jesteś szczęśliwy? - zapytała go Anduina, kiedy siedzieli nad brzegiem jeziora, opalając się w popołudniowym słońcu.

- Jakżeby inaczej? - odparł, głaszcząc jej policzek i pochylając się, aby pocałować ją delikatnie w usta. Objęła go ramieniem za szyję i pociągnęła w dół, aż poczuł ciepło jej piersi. Przesunął ręką po biodrach Anduiny, dziwiąc się na nowo gładkości jej skóry. Potem odsunął się na bok.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Nie - odparł, chichocząc. - Chciałem tylko na ciebie popatrzeć.

- Opowiedz, co widzisz.

- A cóż mogę ci powiedzieć, pani?

- Mógłbyś wymyślić jakiś komplement. Powiedz mi, że jestem piękna... Że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek żyła.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Czy tyle ci wystarczy?

- Czy kochasz mnie jedynie dla mojej urody, młody panie? A może dlatego, że jestem księżniczką?

- Jestem synem króla - zripostował Cormac. - Czy dlatego mnie kochasz?

- Nie - szepnęła. - Kocham cię za to, jakim jesteś mężczyzną. Znow się kochali, tym razem wolniej, lecz z większą pasją. Na

koniec odsunęli się i Cormac pocałował ją czule w czoło. Dojrzał łzy w jej oczach i przytulił ją do siebie.

- O co chodzi?

Potrząsnęła głową i odwróciła się od niego.

- Powiedz mi... proszę.

- Za każdym razem, gdy tak z sobą jesteśmy, boję się, że to ostami raz. I nadejdzie taki dzień, kiedy moje obawy się sprawdzą.

- Nie! - oświadczył. - Nic nas nie rozdzieli. Zawsze będziemy razem.

- Zawsze?

- Dopóki gwiazdy nie spadną z nieba - obiecał.

- Tak krótko?

- Tak krótko, pani. Potem chyba rozejrzę się za kimś młodszym!

Uśmiechnęła się i usiadła, sięgając po ubranie. Podał jej sukienkę, po czym pozbiierał własne odzienie oraz miecz, z którym nie rozstawał się od pamiętnego pojedynku.

- Daj mi swoje oczy, Cormacu - poprosiła.

Pochylił się ku niej, pozwalając, by dotknęła dłońmi jego oczu. Zstąpiła na niego ciemność, jednak już teraz nie wpadał w panikę.

- Ścigajmy się do domu! - krzyknęła i usłyszał, jak biegnie. Wyszczerył zęby i przemierzył sześć kroków do okrągłego kamienia, aby namacać szczelinę wskazującą południe.

Ustaliwszy kierunek, zaczął biec, licząc kroki. Przy trzydziestu zwolnił, ostrożnie podpełznął do rozerwanej piorunem sosny, której gałąź wskazywała drogę do chaty, a następnie dobiegł do polany.

Będąc na miejscu, usłyszał krzyk Anduiny, dźwięk, który przeszył boleśnie jego serce i napęłnił śmiertelnym strachem.

- Anduino! - zawołał; echo jego udręczonego głosu poniosło się po górach. Brnął na oślep z mieczem w dłoni, przy czym nie zauważył, że zszedł ze ścieżki, dopóki nie potknął się o

wystający korzeń. Gdy upadł ciężko na ziemię i miecz wypadł mu z dłoni, palce zaczęły błądzić po trawie w poszukiwaniu rękojeści.

Spróbował odzyskać spokój i skoncentrować uwagę na otaczających go dźwiękach, nie przestając szukać broni. Ostatecznie odnalazł klingę i wstał. Obrócił się w prawo i zaczął schodzić ze stoku z wyciągniętą przed siebie lewą ręką. Teren się wyrównał, a wtedy wyczuł zapach dymu dobywającego się z komina chaty.

-Anduino!

Coś poruszyło się na prawo od niego, ciężko i niezgrabnie.

- Kto tam?

Nie było odpowiedzi, lecz nasilił się odgłos pospiesznych kroków. Cormac poczekał do ostatniej sekundy, po czym machnął ze świstem mieczem; ostrze trafiło napastnika, lecz się ześliznęło. Dźwięki przybrały na sile: złośliwe głosy, tupot nóg. Chwyciwszy oburącz miecz, wysunął klingę przed siebie.

Na lewo coś poruszyło się znieacka i poczuł w boku piekący ból. Odwrócił się i rąbnął mieczem, ale trafił w próżnię. Pod ścianą chaty Anduina odzyskała przytomność, lecz brodaty mężczyzna trzymał ją mocno w swych objęciach. Otworzyła oczy i zobaczyła Cormaca, ślepego i samotnego w kręgu uzbrojonych mężczyzn.

- Nie! - krzyknęła, zamykając szybko oczy i zwracając mu dar widzenia.

Cormac przejrzał na oczy akurat wtedy, gdy drugi z napastników, szczerząc zęby, ruszył bezszelestnie do przodu. Cormac sparował jego cios, a następnie ciął Wikinga w gardło. Pozostała siódemka przystąpiła do ataku. Młodzieniec nie miał szans; gdy upadał, wciąż kąsał mieczem przeciwników. Otrzymał pchnięcie w plecy, a drugi cios przeciął mu klatkę piersiową.

Anduina krzyknęła i dotknęła dłonią piersi swojego dręczyciela. Tunika stanęła w płomieniach, które liźnęły twarz wojownika. Rycząc z bólu, wypuścił brankę i zaczął bić rękoma po brodzie, bo jego włosy też zajęły się ogniem.

Anduina upadła, ale szybko wstała i pobiegła, z białym płomieniem na rękach, ku grupie otaczającej Cormaca. Jeden z Wikingów wyszedł jej naprzeciw ze wzniesionym mieczem, lecz płomień poszybował z jej dłoni i napastnik zapłonął jak pochodnia. Drugi z wojowników rzucił nożem, który zagłębił się w piersi dziewczyny. Zachwiała się, potknęła, jednak wciąż posuwała się naprzód, byle dotrzeć do Cormaca. Za nią pojawił się kolejny wojownik; dźgnął ją w plecy, ostrze przeszło na wylot. Krew bąbelkami wypłynęła jej z ust i osunęła się na ziemię.

Cormac usiłował doczołgać się do Anduiny, lecz przeszło go ostrze i zamknęła się nad nim ciemność.

Na pobliskim pagórku Oleg Hammerhand zaryczał z wściekłości. Wikingowie odwrócili się, gdy pędził na polanę, wymachując dwoma mieczami.

- Poznaję cię, Maggrinie! - wrzasnął Oleg.

- Poznaję cię, zdrajco! - syknął wojownik z czarną brodą.

- Nie zabijajcie go! - wrzasnęła Riannon z progu chaty. Oleg i Maggrin spięli się ze sobą, szczęknęły miecze, posypały

się iskry. Oleg okręcił się gwałtownie i wbił drugi miecz -jakby miał w rękę sztylet - w brzuch przeciwnika. Gdy Maggrin upadł, jednocześnie zaatakowali pozostali czterej. Oleg wybiegł im na spotkanie, parując i tnąc z dziką furią, której nie potrafili sprostać. Jeden po drugim padali przed chmurnookim wojownikiem i jego strasznymi mieczami. Ostatni rzucił się do ucieczki, aby uniknąć zguby, lecz Oleg cisnął za nim mieczem rękojeścią do przodu, trafiając uciekającego w kark i zwalając z nóg. Zanim się podniósł, dopadł go Hammerhand i po chwili po ziemi potoczyła się głowa.

Oleg stał na polanie, oddychał ciężko, szłał bojowy przemijał. Na ostatek odwrócił się do Riannon.



- Zdrajczyń! -rzekł. -Ze wszystkich uczynków, jakich mogłaś się dopuścić, aby okryć mnie hańbą, ten był najgorszy. Dwoje ludzi ryzykowało życiem, by cię ocalić... i przypląciło to życiem. Zejdź mi z oczu! Precz!

- Niczego nie rozumiesz! - wykrzyknęła. - Nie tak to miało wyglądać. Chciałam się tylko stąd wydostać.

- Przywołałaś ich tutaj. To twoja sprawka. Teraz odejdz! Jeśli zostaniesz tu do jutra, zadławię cię gołymi rękoma. Precz!

Podbiegła do niego.

- Ojczy, proszę!

Wielka pięść zderzyła ją w twarz, aż poleciała na ziemię.

- Nie znam cię! Jesteś martwa! - powiedział.

Wstała ociężale, lecz cofnęła się przed jego lodowatym spojrzeniem i zbiegła ze stoku.

Oleg podszedł najpierw do Anduiny i wyciągnął miecz z jej pleców.

- Nigdy nie poznasz, pani, głębi mojego smutku. Niech Bóg da ci wieczny odpoczynek. - Zamknął jej oczy i podszedł do leżącego w kałuży krwi Cormaca.

- Dzielnie walczyłaś, chłopczy - rzekł i przyklęknął. Cormac stęknął. Oleg podniósł go i zaniósł do chaty. Tam, ściągając z niego przesiąknięte krwią ubranie, przyjrzał się ranom: dwóm na plecach, jednej w boku i jednej na piersi. Wszystkie były głębokie, a każda z osobna mogła wyprawić człowieka na tamten świat, Oleg dobrze o tym wiedział. Lecz było ich cztery - Cormac nie miał szans.

Zdając sobie sprawę z własnej bezsilności, Oleg nawlókł igłę i zaszył rany. Kiedy zostały zamknięte, przykrył Cormaca kocem i rozpalil ogień. Gdy zapłonęły świece i w chacie zrobiło się ciepło, Oleg powrócił do łóżka. Tętno młodzieńca było zamierające, twarz przybrała niedobry kolor - na policzkach pojawiły się sine pasma, a pod oczyma purpurowe cienie.

- Straciłeś za dużo krwi, Cormacu - szepnął Oleg. - Serce twoje traci siły... a ja jestem bezradny! Lecz walcz do końca, człowieku. Z każdym dniem będziesz silniejszy. - Głowa Cormaca opadła na bok, z gardła dobył się charkot. Oleg słyszał już podobny dźwięk. -Tylko mi tu nie umieraj!

Oddech ustał, lecz Oleg przycisnął ręką pierś konającego.

- Niech cię licho, oddychaj!

Coś gorącego oparzyło dłoń Olega, który podniósł rękę. Kamień na łańcuszku, uwieszony na szyi Cormaca, zajaśniał niby rozpalone złoto i urywany oddech wypełnił płuca rannego.

- Chwała niech będzie wszystkim bogom, jacy kiedykolwiek byli. - Oleg powtórnie położył dłoń na kamieniu i popatrzył na pokiereszowaną pierś. - Potrafisz to wyleczyć? - zapytał. Nic się nie stało. - No cóż, przynajmniej utrzymaj go przy życiu - mruknął.

Wstał i wziął łopatę z zaplecza. Ziemia wciąż była twarda, jednak Oleg był coś winien Anduinie, Dawczyni Życia, księżniczce z Recji.

## Rozdział dziesiąty

Noc płynęła powoli. Gwalchmai z głową opartą o ścianę drzemał na krześle przy łożu. Prsamaccus i Culain siedzieli w ciszy. Brigant wspominał swe pierwsze spotkanie z Lordem Lancy, wysoko w górach Kaledonii, kiedy Złodziejce Dusz w czarnych płaszczach pragnęły utoczyć im krwi, a młody książę uciekł przez bramę do kraju Pinrae. Chłopiec - wówczas jeszcze Thuro - w okrutnej wojnie z Królową-Wiedźmą stał się mężczyzną, Utherem. Poślubił wtedy Laithę, a ona dała mu miecz w darze; dwoje młodych ludzi, rozpalonych potęgą młodości, przeświadczonych, iż od śmierci dzieli ich cała wieczność. A teraz, jakkolwiek

upłynęło dopiero dwadzieścia sześć wiosen, Krwawy Król leżał w niemocy, Gian Avur - cudna Laitha - nie żyła, natomiast uratowanemu przez Uthera królestwu straszliwy wróg zagrażał zniszczeniem. Powiedzenie druidów zabrzmiało w pamięci Prasamaccusa: "Oto czym są dokonania człowieka: słowami zapisanymi na mgle, którą rozwieje wiatr historii".

Culain tymczasem rozmyślał nad terażniejszością. Dlaczego nie zabito króla, tylko zabrano mu duszę? Jakkolwiek do gruntu zły, Moloch był człowiekiem wielkiego rozumu. Wieści o śmierci Uthera mogły zdemoralizować królestwo, zapewniając powodzenie jego planom napaści. Rozpatrywał tę kwestię z różnych punktów widzenia.

Kapłani czarnej sztuki przybyli, by zabić króla i zabrać mu miecz. Miecz jednak gdzieś zniknął. Wobec tego pojмали duszę Uthera. Być może sądzili - wcale nie bezpodstawnie - że ciało i tak umrze.

Culain nie chciał już dłużej głowić się nad tym problemem. Bez względu na powody, tamci popełnili błąd i Lord Lancy modlił się, aby ich drogo kosztował. Chociaż o tym nie wiedział, błąd ten kosztował szczególnie drogo kapłana, który go popełnił, bo jego ciało zawisło na murze zamkowym w Recji; obdarto go ze skóry i teraz wrony wyżerały mu oczy.

Pośrodku pomieszczenia pojawiła się płonąca kula białego ognia i Prasamaccus założył strzałę na cięciwę. Culain sięgnął mieczem ponad łóżem, by dotknąć ramienia Gwalchmaiego. Śpiący natychmiast wyrwał się ze snu. Lord Lancy przyłożył następnie złoty kamień do obu mieczy Kanta, opróżnił kołczan Prasamaccusa i musnął kamieniem każdą z dwudziestu strzał. Błyszcząca kula zapadła się do wewnątrz, a wtedy szara mgła rozeszła się po komnacie. Culain zaczął chwilę, po czym uniósł kamień i wypowiedział pojedyncze słowo mocy. Od razu zajaśniał złocistym światłem, które ogarnęło też dwóch wojowników i ciało króla. Mgła wypełniła pomieszczenie i... znikła. Na przeciwległej ścianie pojawił się ciemny cień, coraz ciemniejszy i szerszy, aż zaczął przypominać wylot jaskini. Od otworu powiało chłodem, świece pogasły. Przez otwarte okna sączyła się poświata księżyca i w srebrzystym blasku Gwalchmai ujrzał, jak z czeluści wynurza się bestia, pokryta łuskami i rogata, zaopatrzona w długie, zakrzywione kły. Skoczyła do komnaty. Ledwie jednak dotknęła magicznej, wyznaczonej uprzednio przez Culaina linii, błyskawica przeszła szare cielsko i buchnął płomień. Zwierz, sycząc z bólu, runął z powrotem do jaskini.

Trzech ludzi wskoczyło do komnaty. Pierwszy padł ze strzałą w gardle. Culain i Gwalchmai rzucili się do przodu i po krótkiej chwili pozostali dwaj zamachowcy leżeli martwi na ziemi.

Obaj wojownicy czekali z uniesionymi mieczami, lecz otwór jaskini skurczył się, przybierając postać cienia, by w końcu rozpląnąć się w nicość.

Czubkiem buta Gwalchmai trącił martwego wojownika i obrócił go na wznak. Jego twarz uległa rozkładowi, pozostał na wpół przegniły trup. Stary wojownik Kantów wzdygął się na ten widok.

- Walczyliśmy z martwymi ludźmi! - szepnął.
- W taki właśnie sposób Wodan zaskarbia sobie ich lojalność. Do najdzielniejszych z jego wojowników śmierć nie ma przystępu. Przynajmniej oni w to wierzą.
- Cóż, myśmy ich pokonali - zauważył Gwalchmai.
- Wróć, a wtedy już ich nie powstrzymamy. Musimy zabrać króla w jakieś bezpieczne miejsce.
- A które miejsce jest bezpieczne od czarów Wodana? - zapytał Prasamaccus.
- Wyspa z Kryształu - odparł Culain.
- Nie zdołamy przetransportować ciała przez połowę królestwa - argumentował Gwalchmai.
- A nawet gdyby nam się powiodło, nie przyjmą go w sanktuarium. Jest wojownikiem, a oni nie chcą mieć nic wspólnego z tymi, którzy przelewają krew.
- Przyjmą go - powiedział Culain spokojnie. - To jest, po części, ich misja.
- Byłeś tam może? Culain uśmiechnął się.
- Zasadziłem laskę, która wyrosła na drzewo, ale to inna historia z innych czasów. Nigdzie

ziemska magia nie jest potężniejsza, a symbole bardziej niezrozumiałe. Wodan nie może posłać demonów na Wyspę z Kryształu. Jeżeli wybierze się tam osobiście, to jako zwykły człowiek, odarty z całego majestatu magii. Ale wątpię, czy się na to odważy.

Gwalchmai wstał i spojrzął na pozornie martwe ciało Uthera.

- To i tak nie wchodzi w rachubę. Nie przeniesiemy go taki szmat drogi.

- Mnie się to uda, ponieważ będę podróżował starożytnymi ścieżkami, *lung mei*, drogami duchów.

- A co ze mną i z Prsamaccusem?

- I tak już się przysłużyliście swojemu królowi. Nic więcej nie możecie dla niego uczynić, przynajmniej bezpośrednio. Pamiętajcie, że wojska Wodana wnet na was uderzą. Moja rola wprawdzie nie polega na sugerowaniu wam dalszych działań, radzę jednak, abyście zebrali jak najwięcej żołnierzy pod sztandarem Uthera. Rozpowiadajcie, że król żyje i powróci, aby poprowadzić ich w dzień ragnaróku.

- A jaki to będzie dzień? - spytał Prsamaccus.

- Dzień największej rozpacz - mruknął Culain. Wstał i podszedł do zachodniego okna. Tam uklęknął z kamieniem w rękę i w niemal zupełnej ciszy obaj mężczyźni usłyszeli szum głębokiej rzeki oraz łoskot fal uderzających o niewidzialny brzeg. Ściana rozświetliła się i otworzyła.

- Ruszcie się, a żywo! - zawołał Culain; Gwalchmai z Prsamaccusem dźwignęli ciężkie ciało Krwawego Króla i zanieśli je do powstałego wyjścia. Pojawiły się schody prowadzące w dół do pieczary i głębokiej, ciemnej rzeki. Przy kamiennym nabrzeżu cumowała łódka. Dwójka Brytów delikatnie ułożyła w niej ciało króla. Culain odwiązał linę i stanął na rufie.

Gdy łódź odbiła od brzegu, Culain się odwrócił.

- Wracajcie co prędzej do wieży. Jeśli brama się zamknie, umrzecie w ciągu godziny.

Tak spieszenie, jak na to pozwalała chroma noga Prsamaccusa, mężczyźni wspięli się po schodach. Słyszeli za plecami osobliwe pomruki i zgrzyt pazurów o kamienie. Kiedy dotarli do bramy, Gwalchmai zobaczył, że wrota drżą. Pochwycił Prsamaccusa i pchnął go do przodu, a następnie zanurkował w ślad za nim, by upaść na dywan zaścielający komnatę Uthera.

Za sobą miał już tylko ścianę skąpaną w złotych, wpadających przez otwarte okno, promieniach słońca, które wschodziło nad wzgórzami.

Victorinus na czele dwunastu ludzi jechał ostrożnie, chociaż w ciągu pierwszych trzech dni podróży nie przydarzył im się żaden incydent. Czwartego dnia jednak, gdy zbliżyli się do gęstego, przeciętego wąską ścieżynką zagajnika, Rzymianin ściągnął cugle wierzchowca.

Drugi adiutant, Marcus Bassicus, młodzieniec z szanowanej brytoromańskiej rodziny, natychmiast podjechał do niego.

- Coś nie tak, panie?

Słońce świeciło jasno nad głowami, lecz ścieżka tonęła w cieniu rzucanym przez gałęzie. Victorinus odetchnął głęboko, świadomy rosnącego strachu. Nagle się uśmiechnął.

- Podoba ci się życie, Marcusie?

- Tak, panie.

- Korzystasz z niego, jak możesz?

- Tak mi się zdaje, panie. Czemu pytasz?

- Mam wrażenie, że śmierć na nas czeka, ukryta między tymi oto drzewami. Nie zdobędziemy tam chwały, nie możemy też mieć nadziei na zwycięstwo. Pewne są tylko ból i ciemność, i koniec radości.

Oblicze młodzieńca sposępniało, zwężyły się szare oczy.

- Co wobec tego mamy zrobić, panie?

- Ty i pozostali sami zdecydujcie, ja jednak muszę wjechać do tego lasu. Porozmawiaj z ludźmi i wytłumacz im, że zostaliśmy zdradzeni. Powiedz, że każdy, kto zechce uciec, może

to zrobić bez ujmy na honorze, i nie będzie to tchórzostwem.

- Dlaczego więc ty musisz jechać dalej, panie?

- Ponieważ Wodan śledzi mnie uważnie, a chcę, aby wiedział, że nie obawiam się jego zdrady i przyjmuję ją dobrowolnie. Niechaj pozna naturę swojego wroga. Podbił Belgię, Recję i Galię, Rzymianie gną przed nim kolano, Brytania nie będzie jednak łatwym łupem.

Marcus wrócił do oczekujących z tyłu ludzi, pozostawiając dowódcę wpatzonego w wejście do własnego grobowca. Victorinus odwiązał od siodła okrągłą tarczę kawalerzysty i uniósł ją w lewej ręce. Następnie owinął cugle rumaka wokół łęku, dobył szabli i, nie oglądając się za siebie, spał konia piętami. Z tyłu dwunastu żołnierzy, zbrojnych w tarcze i szable, powoli ruszyło za dowódcą.

Na polance, pośrodku zagajnika, dobywszy broni, czekało dwustu Gotów.

- Twierdzisz, że król żyje - powiedział Geminus Kato. Przesunął mapy na stole i wstał, aby nalać sobie puchar rozcieńczonego wodą wina. - Wybaczysz mi jednak mój cynizm, mam nadzieję?

Gwalchmai wzruszył ramionami i odwrócił się od okna.

- Mogę dać na to jedynie moje słowo, generale. Ale powszechnie się uważa, że można na nim polegać.

Kato uśmiechnął się i pogładził krótko przyciętą brodę, która błyszczała niczym naoliwione futerko.

- Pozwól, że podsumuję znane już fakty. Wysoki człowiek, przebrany w szaty chrześcijańskiego zakonnika, pokonał dwóch gwardzistów i bez przeszkód dostał się do królewskiej wieży. Człowiek ten, powiadasz, to legendarny Lancelot. Oświadczył, że ciało jeszcze nie umarło, i przy użyciu magii usunął je z wieży.

- Tak mniej więcej wygląda prawda - przyznał Gwalchmai.

- Czyż nie jest to jednak zaprzysięgły wróg króla? Wielki Zdrajca?

-W rzeczy samej.

- Dlaczego mu więc uwierzyliście?

Gwalchmai zerknął na Prasamaccusa, który siedział w milczeniu przy stole. Kulawy Brygant odchrząknął.

- Z całym szacunkiem, generale, nigdy nie znałeś Lorda Lancy. Racz nie kierować się powtarzaniem w kółko opowieściami, dotyczącymi jego zdrady. Bo cóż takiego on uczynił? Spał z kobietą. A który z nas tego nie robił? Uratował króla, kiedy zdrajcy zabili jego ojca. Udał się w podróż do Królowej-Wiedźmy i zabił Pana Nieumarłych. Jest kimś więcej niżli tylko wojownikiem z legendy. Jego słowu w tej sprawie ufam bez granic.

Kato potrząsnął głową.

- Ale wy wierzycie także, że ów człowiek żyje od tysięcy lat, jest półbogiem, którego królestwo znajduje się pod wielkim zachodnim morzem.

Prasamaccus zdusił w sobie ciętą replikę. Geminus Kato był nie tylko zdolnym generałem; był też zręcznym i przebiegłym żołnierzem, szanowanym przez swoich podwładnych, aczkolwiek nie darzonym zbyt gorącą miłością; był również, nie licząc Victorinusa, jedynym człowiekiem zdolnym zebrać armię przeciwko Gotom. Jednak w jego żyłach płynęła czysta rzymska krew, toteż niewielkie miał pojęcie o naturze Celtów i o wiedzy magicznej, która kształtowała ich kulturę. Prasamaccus ostrożnie dobierał słowa.

- Generale, odłóżmy chwilowo na bok historię Culaina i lach Feragh. Wodan podjął wysiłek, być może uwieńczony sukcesem, aby zamordować króla. W następnym ruchu zaatakuje Brytanię. Nie zabraknie mu sprzymierzeńców, gdy rozejdzie się wieść, że Uther nie wyjdzie mu naprzeciw. Culain dał nam nieco czasu do namysłu. Jeżeli rozpuścimy pogłoski o tym, że król żyje i powróci, Anglowie, Jutowie i Sasi będą mieli nad czym debatować. Słyszeli o potędze Wodana, ale wiedzą też, czym grozi starcie z Krwawym Królem.

Ciemne oczy Kato świdrowały Prasamaccusa. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

Wreszcie generał powoli usiadł na swoim miejscu.

- Bardzo dobrze, koniuszy. Zgadza się: ze strategicznego punktu widzenia lepiej jest, żeby Uther był żywy aniżeli martwy. Dopilnuję, aby rozeszła się odpowiednia wieść, lecz nie będę marnował rycerzy na poszukiwanie miecza. Każdy wartościowy oficer przetrząsa teraz kraj, werbując ochotników, a cała milicja została postawiona w stan gotowości. - Przynął do siebie mapy i wskazał na jedną z nich: obraz ziem, którego wykonanie zlecił Ptolemeusz setki lat wcześniej. - Obaj przemierzycie kraj wzdłuż i wszerz. Nietrudno przewidzieć, gdzie Wodan wylądował na południu, ale on dowodzi kilkoma armiami. Ja na jego miejscu zaplanowałbym podwójne uderzenie, a może nawet potrójne. Nie jesteśmy na tyle liczebni, by bronić wszystkich wybrzeży jednocześnie. A zatem gdzie zaatakuje?

Gwalchmai spojrzął na mapę ziemi nazwanej niegdyś Albionem.

- Wilkom Morskim najbardziej podoba się to wybrzeże - powiedział, wskazując palcem na estuarium Humber. - W Petvarii. Jeśli Wodan tutaj wylądował, znajdzie się poniżej Eboracum i odetnie nas od wojsk na południu.

Kato skinął głową.

- A jeśli Brygantowie i Trinovanci powstaną, aby go wesprzeć, Brytania zostanie podzielona na trzy wojenne strefy: od Wału Hadriana po Eboracum, od Eboracum po Petvarię... a nawet Durobri-vae, jeśli wykorzystają przyływ... oraz stamtąd po Anderidę lub Dubris. W najlepszym razie jesteśmy w stanie zebrać drugie dziesięć tysięcy wojowników, co da całkowitą liczbę dwudziestu pięciu tysięcy zmobilizowanych żołnierzy. Idą słuchy, że Wodan może przysposobić pięciokrotnie większą siłę, odliczając saskich rebeliantów i Brygantów z północy. Czego bym nie oddał w zamian za wiarygodne informacje od Victorinusa! - Podniósł wzrok znad mapy. - Gwalchmai, chcę, abyś udał się do Gaiusa Geminusa do Dubrisu.

- Nie mogę, generale - odparł Gwalchmai.

- Czemuż to?

- Muszę szukać miecza.

- Nie czas na poszukiwanie cienia czy pogoń za ułudą.

- Możliwe - odparł stary wojownik Kantów - ale mimo to muszę.

Kato odchylił się na krześle i skrzyżował na napierśniku krzepkie ramiona.

- Gdzie zamierzasz go szukać?

- W Camulodunum. Król w dzieciństwie kochał wzgórze i lasy wokół tego miasta. Istniały pewne miejsca, w których krył się przed ojcem. Ja te miejsca znam.

- A co z tobą? - zapytał Kato, odwróciwszy się. Prsamaccus uśmiechnął się szeroko.

- Ja wyruszam do gór Kaledonii. Tam właśnie poznał swoją jedyną miłość.

Kato zachichotał i potrząsnął głową.

- Wy, Celtowie, zawsze stanowiliście dla mnie tajemnicę, ale wiem jedno: próżno przekonywać brytyjskiego marzyciela. Życzę wam szczęścia w poszukiwaniach. Co zrobicie, jeśli miecz się odnajdzie?

Gwalchmai wrzucił ramionami i popatrzył na Prsamaccusa. Blade oczy Bryganta napotkały spojrzenie Rzymianina.

- Zaniemiemy go na Wyspę z Kryształu, tam gdzie leży król.

- A potem?

- Nie wiem, generale.

Kato nie odzywał się przez chwilę, pogrążony w myślach.

- Kiedy byłem młody - rzekł w końcu - stacjonowałem w Aquae Sulis i często wyprawiałem się na przejażdżki w okolicę tej wyspy. Nie wolno nam było jej odwiedzać, tak stanowił rozkaz króla, ale pewnego razu, dlatego właśnie, że było to zabronione, trzech oficerów i ja przeprawiliśmy się łódką przez jezioro i wylądowaliśmy przy najwyższym pagórku. Byliśmy młodzi, wiecie, a to nam pachniało przygodą. Rozpaliliśmy ognisko, a potem śmiałyśmy się i

rozmawiali. W końcu zmorzył nas sen. Śniło mi się, że mój ojciec przyszedł do mnie i mówiliśmy o wielu sprawach. On wspominał głównie o żalu, bo oddaliliśmy się od siebie po śmierci matki. Był to przyjemny sen, a na koniec uścisnęliśmy cię. Życzył mi szczęścia i mówił, jaki jest ze mnie dumny. Rano obudziłem się wypoczęty. Mgła zasnuła całą okolicę i pożegnaliśmy z powrotem do miejsca, gdzie nasze konie czekały spętane, a potem wróciliśmy do Aquae Sulis. Przysporzyliśmy sobie nie lada kłopotów, bo zapomnieliśmy mieczy. Żaden z nas nie pamiętał, byśmy je odpinali, i żaden nie zauważył, że jechaliśmy bez broni.

- Ta wyspa jest zaczarowana - szepnął Prsamaccus. - Kiedy umarł twój ojciec?

- Sądzę, że już poznałeś odpowiedź, Prsamaccusie. Mam syna, ale nie żyjemy z sobą w najlepszej komitywie. - Uśmiechnął się. Być może kiedyś pożegluje na tę wyspę.

Prsamaccus pokłonił się i Brytowie wyszli.

- Sami nie podaliśmy zadaniu - stwierdził Gwalchmai, kiedy wyszli na światło dnia. - Nie zdołamy przetrząsnąć całego kraju.

- Wiem, przyjacielu. Ale Kato ma rację. Do walki z Wodanem potrzebuje wszystkich młodzieńców i tylko na takich jak my starszków może spokojnie machnąć ręką.

Prsamaccus zatrzymał się raptownie.

- Chyba znalazłem odpowiedź, Gwal. Staruszkowie! Pamiętasz tamten dzień, kiedy Uther przepołowił niebo i wymaszerował z Mgły na czele dziewiątego legionu?

- Oczywiście, tego nie da się zapomnieć.

- Legatem zaginionego legionu był Severinus Albinus. Teraz ma willę w Calcarii, nie dalej jak pół dnia drogi stąd.

- On jest już po sześćdziesiątce! - zaproponował Kant.

- A ile ty masz lat?

- Nie ma co kruszyć teraz o to kopii - rzekł Gwalchmai. - To bogaty Rzymianin, prawdopodobnie tłusty i zadowolony.

- Wątpię. Tak czy owak, z pewnością zna losy niedobitków dziewiątego legionu. Legionu Uthera, którego połączyły z władcą więzy silniejsze od krwi. Wyprowadził ich przecież z Doliny Umarłych.

- Ponad ćwierć wieku temu. Większość z nich niestety leży już w grobie.

- Niektórzy się jednak ostali. Może dziesięciu, a może stu. Musimy ich odszukać.

Severinus Albinus wciąż wyglądał w każdym calu na rzymskiego generała, którym był jeszcze przed pięcioma laty. Plecy miał proste jak trzcina, ciemne oczy pałały niczym oczy orła. Dla niego ostatnich dwadzieścia pięć lat przeminęło jak sen. Wszak razem z całym dziewiątym legionem ugrzązł na wiele stuleci w piekielnej Pustce, nim wreszcie młody książę, Uther Pendragon, ocalił go i sprowadził z powrotem do kraju ogarniętego szaleństwem. Potęga Rzymu - bezdyskusyjna, kiedy Severinus wprowadził swych ludzi w Mgłę - teraz chyliła się ku upadkowi, a barbarzyńcy władali tam, gdzie ongiś na straży praw Rzymu stały legiony; wobec ich żelaznej dyscypliny porażka była nie do pomyślenia. Severinusowi honor nakazywał służyć Utherowi, z czego wywiązywał się należycie, szkoląc tubylczych brytyjskich wojowników pospołu z imperialnymi oddziałami i tocząc wojny w obronie ziem, które go nie obchodziły. W końcu doczekał

spokojnego życia w swojej willi; czytał teraz dzieła starożytnych myślicieli, stanowiące, przynajmniej dla niego, niejako wspomnienie wczorajszego dnia, kiedy to przepadła jego żona i dzieci, a także wszyscy, których znał lub kochał. Severinus Albinus, człowiek z dawnej epoki, czuł się niemal komfortowo, siedząc sobie w ogrodzie i czytając słowa Plutarcha.

Zbliżyła się do niego Nica, jego osobista służąca, Żydówka z wysp greckich.

- Panie mój, przed bramą czekają dwaj mężczyźni, którzy pragną z tobą porozmawiać.

- Niech przyjdą jutro. Nie jestem w nastroju do interesów.

- To nie są kupcy z miasta, panie, powołują się na waszą przyjaźń.

Severinus zwinął pergamin i odłożył go na marmurowy stolik.

- Mają jakieś imiona, ci przyjaciele?

- Prasmaccus i Gwalchmai. Severinus westchnął.

- Przyprowadź ich do mnie, a potem przynieś wino i owoce. Zatrzymają się na noc, zatem przygotuj odpowiednie pokoje.

- Czy mam podgrzać wodę, panie, by goście mogli się wykąpać?

- To nie będzie konieczne. Nasi goście są Brytami, a oni rzadko się myją. Ale najmiej dwie kobiety z wioski, aby ogrzały im łóżka.

- Tak, panie - odpowiedziała Nica, odchodząc z ukłonem, podczas gdy Severinus wstał i wygładził długą togę; zadowolenie prysło. Spojrzał w stronę ułomnego Prasmaccusa, kuśtykającego wyłożoną płytkami dróżką, oraz idącego za nim wysokiego mężczyznę o wyprostowanej sylwetce, członka plemienia Kantów, zwanego Ogarem Króla. Oba traktował zawsze z szacunkiem, na jaki zasługiwali towarzysze króla, chociaż miał nadzieję już ich nigdy nie zobaczyć. W obecności Brytów czuł się nieswojo.

- Witajcie w moich progach - rzekł, kłaniając się sztywno. - Już posłałem po wino. -

Wskazał im marmurową ławę; Prasmaccus opadł na nią z wdzięcznością, ale Gwalchmai wciąż stał ze skrzyżowanymi na piersiach, muskularnymi rękoma. - Rozumiem, że przybywacie, aby zaprosić mnie na pogrzeb.

- Król wcale nie umarł - oświadczył Prasmaccus.

Severinus zapanował nad emocjami, jakich doznał w związku z zasłyszaną wiadomością, w czym pomogło mu przyjście służącego ze srebrną tacą, na której znalazły się dwa puchary z winem i dzbanek

z wodą. Służący postawił tackę na szerokim oparciu ławy, po czym odszedł bez słowa.

- Jak to nie umarł? Przez trzy dni jego ciało było wystawione.

- Znajduje się teraz na Wyspie z Kryształu, gdzie dochodzi do siebie - wyjaśnił Gwalchmai.

- Miło mi to słyszeć. Rozumiem, że Goci na nas uderzą i potrzebujecie króla.

- Potrzebujemy twojej pomocy - palnął Gwalchmai prosto z mostu - i ludzi z dziewiątego legionu.

Severinus uśmiechnął się lekko.

- Dziewiąty legion to przeszłość. Żołnierze przyjęli należne im dobra i są teraz zwyczajnymi obywatelami, z których najmłodszy przekroczył pięćdziesiątkę. Jak sami wiecie, król rozwiązał mój legion, aby ludzie mogli przejść na dobrze zasłużony odpoczynek. Wojna to wyzwanie dla młodych, Gwalchmai.

- Nie chcemy, aby walczyli, Severinusie - powiedział Prasmaccus. - Zaginął Miecz Mocy i trzeba go odszukać. - Brigant opowiedział generałowi o ataku na króla i o teoriach Culaina, dotyczących miecza. Severinus słuchał w bezruchu, nie spuszczać wzroku z twarzy Prasmaccusa.

- Tylko nieliczni - rzekł w końcu - rozumieli moc tego miecza. Ja jednak widziałem, jak niczym kotarę rozcina powietrze, aby uwolnić nas z Mgły; Uther wyjaśnił mi nawet kiedyś, jakim sposobem zawsze wie, gdzie nastąpi uderzenie wroga. Miecz jest równie cenny jak sam król. Chcecie szukać rozproszonego legionu, proszę bardzo, ale nie ma czasu, aby przetrząsać cały kraj. Mówicie o miejscu, gdzie nagle musi objawić się magia. W czasie pokoju takie poszukiwanie być może miałoby sens, ale podczas wojny? Wszędzie będą maszerować kolumny zbiegów, oddziały nieprzyjaciela, dojdzie udręka, ból i śmierć. Nie, szukanie na oślep nie jest dobrym wyjściem.

- Cóż zatem proponujesz? - zapytał Gwalchmai.

- Tylko jeden człowiek wie, gdzie miecz został posłany. Musimy go o to zapytać!

- Król znajduje się w stanie bliskim śmierci - rzekł Prasmaccus. - Nic nam nie powie.

- Nie mógł mówić, kiedy go ostatnio widziałeś, Prasmaccusie. Ale skoro Culain zabrał go na czarodziejską wyspę, być może odzyskał przytomność.

- Co więc sugerujesz, generale?

- Powiadomię żołnierzy dziewiątego legionu. Ale nie spodziewajcie się wielkiego zgromadzenia; wielu nie żyje, inni powrócili do Italii w nadziei, że znajdą jakieś ogniwo łączące ich z przeszłością. My natomiast wyruszamy jutro na południowy wschód.

- Nie mogę ci towarzyszyć, generale - rzekł Prasamaccus. - Ruszam do Kaledonii. Severinus skinął głową.

- A ty, Gwalchmai?

- Ja pojedę z tobą, nic tu po mnie.

- Nic tu po nas wszystkich - odparł Severinus. - Świat się zmienia. Nowe imperia wzrastają, stare popadają w ruinę. Sprawy państwa przypominają ludzkie życie: żaden człowiek i żadne imperium nie mogą długo opierać się starości.

- Sądysz, że Goci zwyciężą? - wybuchnął Gwalchmai.

- Jeśli nie Goci, to Sasi albo Jutowie. Namawiałem Uthera, aby rekrutował do swoich legionów saskich wojowników, aby dał im choćby namiastkę suwerennej władzy. Nie chciał mnie jednak słuchać. Tylko na ziemiach Południowych Sasów żyje trzydzieści tysięcy mężczyzn w wieku pozwalającym posługiwać się mieczem. Są to silni i dumni ludzie. Po śmierci Uthera nasze królestwo nie przetrwa zbyt długo.

- Od dwudziestu pięciu lat nie ponieśliśmy klęski - zauważył Gwalchmai.

- A jak to się ma wobec całej historii? Kiedy byłem młody, za czasów Klaudiusza, Rzym władał światem. Gdzie się dzisiaj podzieli Rzymianie?

- Myślę, że z wiekiem ubywa ci odwagi.

- Nie, Gwalchmai. Czteryście lat we Mgle uczyniło mnie mądrzejszym. Na każdego z was czeka pokój gościnny. Udajcie się teraz do siebie, porozmawiamy później.

Brytowie udali się do willi, pozostawiając starego generała w ogrodzie, gdzie znalazła go Nica.

- Czy masz jakieś życzenia, panie?

- Co mówią kupcy?

- Podobno wielka armia zbiera się za wodą i w ciągu kilku tygodni odwiedzi nas Wodan.

- Co kupcy planują?

- Większość ukryła bogactwa. Niektórzy zainwestowali pieniądze w Hiszpanii i w Afryce, lecz pewna część zamierza przyjąć Gotów z otwartymi rękoma. Taki już jest porządek rzeczy.

- A co z tobą, Nica?

- Ze mną, panie? Zostanę przy tobie.

- Bzdura! Nie spędziłaś ostatnich dziesięciu lat na gromadzeniu fortuny po to tylko, aby umrzeć jako moja niewolnica.

- Nie wiem, o czym mówisz, panie.

- Nie czas zaprzeczać. Zaryzykowałaś moim kapitałem w handlu z Abrugusem, on zaś przywiózł ładunek jedwabiu, który przyniósł mi okrągłą sumkę. Wzięłaś prowizję w wysokości stu sztuk srebra, które znów umiejętnie zainwestowałaś.

Nica wzruszyła ramionami.

- Od jak dawna o tym wiesz?

- Od jakichś sześciu lat. Jutro wyjeżdżam i prawdopodobnie nie wrócę. Jeśli nie zjawię się w ciągu roku, wtedy willa należy do ciebie, podobnie jak wszystkie moje fundusze. Złożyłem u Kasjusza stosowny pergamin z pieczęcią. Moi niewolnicy mają uzyskać wolność, odłożyłem też pewną sumę dla kobiety imieniem Trista; zawsze była dla mnie dobra. Dopilnujesz wszystkiego?

- Oczywiście, panie, ale mam szczerą nadzieję, że będziesz żył długo i szybko powrócisz.

Severinus zaśmiał się.

- Wciąż tylko kłamiesz, figlarko! Przygotuj mi miecz i zbroję; nie chcę ozdobnego napierśnika, tylko tę starą skórzaną brygantynę. Co się tyczy wierzchowca, wybieram Canisa.



- Jest już trochę za stary, panie.
- Wszyscy się starzejemy, Nico. On jest jednak przebiegły i nie zna uczucia strachu.

Łódź ślizgała się po ciemnej wodzie. Culain siedział nieruchomo przy rumplu, aż nareszcie tunel się poszerzył, tworząc komorę z połyskującymi stalaktytami. Woda pieniała się i bulgotała, ściany błyszcząły niesamowitym blaskiem. Culain kierował łodzią w labiryncie naturalnych filarów, dopóki nie wypłynął na rozległe, osnute mgłą jezioro. Gwiazdy świeciły jasno, księżyc oblewał blaskiem odległy pagórek, nad którym stała okrągła wieża. Powietrze było rześkie i chłodne; Lord Lancy przeciągnął się i odetchnął pełną pierś, udzielił mu się spokój wyspy. Oczy lustrowały okolicę w poszukiwaniu niegdyś znanych sylwetek Śpiących Gigantów, Polującej Bestii, Centaura, Gołębia i Lwa, ukrytych od dwóch tysięcy lat, a jednak wciąż potężnych.

Łódka wpłynęła do ocienionej przez gałęzie zatoczki i zbliżyła się do obozowego ogniska, które migotało w dali niczym nieruchoma gwiazda. Kiedy dobiła do brzegu, siedem postaci w kapturach podniosło się od ogniska i rzędem zeszło na brzeg.

- Dlaczego nas zawezwałeś? - zapytał kobiecy głos.
- Mam tu przyjaciela, który potrzebuje waszej pomocy.
- Czy twój przyjaciel jest człowiekiem pokoju?
- Jest królem.
- Czy to jest odpowiedź na nasze pytanie?
- To człowiek, który ogłosił Wyspę z Kryształu świętą, zawsze bronił jej świętości i wolności.
- Wyspa nie potrzebuje człowieka, by uznał ją za świętą, ani też miecza, by bronił jej wolności.
- W takim razie popatrzcie na niego, tak jak tu leży. Temu człowiekowi skradziono duszę, a jego ciało zagraża zguba.

- Gdzie byś chciał, abyśmy go zabrali? - zapytała kobieta.
- Do okrągłej sali w kręgu wielkiego księżycy, gdzie żadne zło nie może zamieszkać, gdzie dwa światy łączą się w znaku poświęconej ryby.
- Poznałeś wiele naszych tajemnic.
- Znam wszystkie wasze tajemnice, a prócz tego jeszcze kilka innych.

Bez żadnych słów komentarza kobiety postąpiły do przodu i bez wysiłku uniosły króla z łodzi. W dwóch rzędach, tak że ciało zdawało się płynąć między nimi, zakapturzone kobiety wyruszyły ku cieniom, a za nimi podążał Culain. Spomiędzy drzew wychynęła postać w bieli, w zasłaniającym twarz kapturze.

- Dalej iść nie możesz, wojowniku.
- Muszę być koło niego.
- Nie możesz.
- Sądysz, że mnie powstrzymasz?
- Sam się zatrzymasz - powiedziała postać - bo twoja obecność osłabia moc, która utrzymuje go przy życiu.
- Nie jestem zły - nastawał.
- Nie, Culainie lach Feragh, nie jesteś zły.
- A więc mnie znasz? To dobrze, bowiem musisz też wiedzieć, że to ja zasadziłem cierń i rozpocząłem dzieło, które ty podjąłeś.
- Ty je rozpocząłeś, owszem, jednak bez wiary. To była jedna z twoich licznych gier. Powiedziałeś siostrze, że znasz wszystkie ich tajemnice, a oprócz nich kilka innych. Dawniej to mogło być

prawdą, lecz nie dzisiaj. Sądysz, że sam wybrałeś to miejsce, Culainie? Nie, ono wybrało ciebie.

- Wybacz mi arogancję, pani. Pozwól mi pozostać. Mam wiele do odpokutowania. Jestem

zagubiony i nie mam dokąd iść.

Księżycowa pozłota rozjaśniła zatokę, kapłanki w białych szatach wydawały się teraz niemal eteryczne. Wojownik czekał, gdy rozważano jego słowa. Ostatecznie postać przemówiła:

- Możesz zostać na wyspie, Culainie, ale nie w okrągłej sali. - Wskazała na wielki pagórek i wznoszącą się nad nim wieżę. - Tam odpoczniesz, a ja dopilnuję, aby dostarczono ci jedzenie.

- Dziękuję, pani. Ciężar spadł mi z serca.

Odwróciła się i znikła. Culain wspinał się starożytną ścieżką, okrążającą pagórek, wijącą się coraz wyżej i wyżej nad okoliczne ziemie i jeziora. Wieża była stara - stara już wtedy, gdy on jako dziecko mieszkał w Atlantydzie. Drewniane podłogi zgniły, pozostały jedynie ogromne kamienie, ociosane z precyzją zapomnianą w nowożytnym świecie, połączone bez użycia zaprawy. Culain rozpalil ogień z kilku spróchniałych drewnienek, ułożył się i już po chwili spał pod gwiazdami.

## Rozdział jedenasty

Cormac obudził się pośród jałowych pustkowi, urozmaiconych kikutami drzew i szarymi kraterami. Obok leżał jego miecz, a za nim widniał tunel, który piał się stromo do wnętrza góry. Młodzieniec usiadł i zajrzał do środka. Na drugim końcu, wysoko w samym sercu góry, zobaczył migotliwą poświatę; zapragnął pójść w jej kierunku i wykapać się w świetle.

W tej jednak chwili wyczuł obecność obcej postaci. Odwrócił się z mieczem w dłoni; na płaskim kamieniu siedział starzec z białą brodą, odziany w powłóczytą szarą szatę.

- Kim jesteś? - zapytał Cormac.

- Nikim - odparł człowiek z żalonym uśmiechem. - Kiedyś jednak byłem kimś i miałem imię.

- Co to za miejsce? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W przeciwieństwie do mnie, ma wiele imion i wiele sekretów. Z drugiej strony, tak samo jak ja, jest niczym. Jak się tu dostałeś?

- Ja... Była bitwa... Nie pamiętam dokładnie.

- Czasem to dar, który należy przyjąć z wdzięcznością. Jakże wielu rzeczy chciałbym móc nie pamiętać.

- Otrzymałem pchnięcie - stwierdził Cormac - i to niejedno. - Podwinął koszulę i przyjrzał się bladej skórze na piersi i plecach. - Ale nie widzę żadnej blizny.

- Blizny są gdzie indziej - powiedział mężczyzna. - Dzielnie walczyłeś?

- Nie, byłem ślepy... Anduina! Muszę ją odnaleźć. - Wstał i ruszył w stronę tunelu.

- Tam jej nie znajdziesz - oświadczył starzec spokojnie. - Tędy dojdiesz tylko do krwi, ognia i życia.

- O czym ty mówisz, starcze?

- Stwierdzam jedynie fakty, Cormacu, synu Uthera. Twoja pani przebyła przed tobą tę długą szarą drogę. Czy masz odwagę, by iść za nią?

- Odwagę? Przez ciebie kręci mi się w głowie. Gdzie ona jest? Stary człowiek powstał i wskazał na odległy masyw gór, ciągnący się za czarną rzeką, która wiała się w dolinie poniżej.

- Jest tam, Cormacu, gdzie zbierają się wszystkie nowe dusze. W Górach Przeklętych.

- Pytam po raz drugi, starcze. Co to za miejsce?

- To, młody książę, jest siedlisko koszmarów. Mogą je nawiedzać tylko umarli. To Pustka, mieszka tutaj chaos.

-Więc... ja...

- Jesteś martwy, książę Cormacu. -Nie!

- Rozejrzyj się wokoło - rzekł starzec. - Gdzie tu widzisz życie? Pokaż mi trawę albo choć jedno żywe drzewo. A może zauważyłeś zwierzę albo ptaka? A gdzie podziały się gwiazdy, które są ozdobą nieba?

- Mimo wszystko nadal myślę i czuję, mogę też machać mieczem. To tylko sen, starcze, nie mam się czego bać.

Mezchczyna wstał i wyglądzł szarą szatę.

- Właśnie wędruję w stronę tamtych gór. Chcesz, abym zaniósł wiadomość twojej pani?

Cormac obejrzał się na tunel i kuszące światelko. Z całej duszy pragnął pobiec ku niemu, uciec z tej krainy spowitej bezlitosną szarością. Anduiny tu jednak nie było. Popatrzył na góry.

- Powiadasz, że ona tam jest, ale czemu miałbym ci wierzyć?

- Dlatego tylko, że wierzysz. Nie okłamałbym cię, młody książę. Służyłem twojemu ojcu, twojemu dziadkowi i ojcu twojego dziadka. Byłem arcymagiem.

- Maedhlyn?

- Tak właśnie brzmiało jedno z moich imion w świecie. Teraz jestem nikiem.

- A zatem i ty jesteś martwy?

- Równie martwy jak ty, książę Cormacu. Chcesz mi towarzyszyć na szarej drodze?

- Czy naprawdę znajdę Anduinę?

- Nie wiem, ale przejdiesz jej ścieżkę.

- Wobec tego przyłączę się do ciebie.

Maedhlyn uśmiechnął się i zszedł ze stoku ku mrocznej rzece. Wzniósł ramiona i zakrzyknął, a wtedy pojawiła się czarna barka, kierowana przez monstrum z wilczym łbem i oczyma jarzącymi się czerwienią w bladym półświele wiecznego zmierzchu. Cormac uniósł miecz.

- Nie będzie ci potrzebny - szepnął Maedhlyn. - To tylko przewoźnik, nie robi ci krzywdy.

- Czy można w ogóle skrzywdzić martwego człowieka?

- Tylko twoje ciało umarło. Twój duch w dalszym ciągu jest wrażliwy na ból i, co gorsza, może wygasnąć. Jest tu wiele bestii i dawnych ludzi, którzy będą chcieli wyrządzić ci krzywdę, trzymaj zatem miecz w pogotowiu, Cormacu. Będziesz go potrzebował.

Razem weszli na pokład barki, która wypłynęła na toń, kierowana w ciszy zręcznymi pchnięciami drąga.

Łódka przybiła do kamiennego nabrzeża, a wówczas Maedhlyn wyszedł na ląd i skinął na Cormaca, by poszedł w jego ślady. Przewoźnik siedział nieruchomo, spojrzeniem czerwonych oczu wwiercając się w twarz młodzieńca. Wyciągnął rękę.

- Czego on chce?

- Czarnej monety - odparł Maedhlyn. - Wszyscy podróżnicy muszą tu zapłacić przewoźnikowi.

- Nie mam żadnych monet. Starzec był zakłopotany.

- Przeszukaj kieszenie, młody książę - nakazał. - Musisz coś znaleźć.

- Mówię przecież, że nie mam pieniędzy. -I tak poszukaj!

Cormac zastosował się do polecenia, po czym rozłożył ręce.

- Jak już powiedziałem, mam tylko swój miecz. Ramiona Maedhlyna obwisły.

- Boję się, że wyrządziłem ci straszną niesprawiedliwość, Cormacu. - Zwrócił się do przewoźnika w języku, jakiego młodzieniec nigdy dotąd nie słyszał. Bestia wydawała się uśmiechać; nagle wstała i obróciła barkę, po czym wypłynęła z powrotem na głębie.

- Jaką niesprawiedliwość?

- Prawdopodobnie nie jesteś martwy, ale jak się tu dostałeś, to wielka tajemnica. Wszystkie dusze mają przy sobie czarną monetę.

- Nic złego się nie stało, przewiózł nas na drugą stronę.

- Owszem, ale już cię nie weźmie z powrotem i to jest twoja tragedia.

- Rzeka nie jest szeroka, Maedhlynie. Jeśli zajdzie potrzeba, pokonam ją wplaw.  
- Nie! Nie waz się dotykać wody, bo to esencja samego piekła. Spala wszystko, czego się dotknie, a ból trwa w nieskończoność.

Cormac podszedł do starca i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie ma mowy o żadnej tragedii. Nie życzę sobie żyć bez Anduiny, a ona przecież przeszła na drugą stronę rzeki. Lepiej już chodźmy. Chciałbym dotrzeć przed nocą do gór.

- Przed nocą? Tu nie ma nocy. Taka jest już Pustka i taką pozostanie. Nie ma tu słońca ani księżycy, gwiazdy są jak na wpół zatarte wspomnienie.

- W każdym razie chodźmy - uciął Cormac. Maedhlyn skinął głową i ruszyli w drogę.

Maszerowali przez wiele godzin, aż w końcu księcia ogarnęło zmęczenie.

- Czy ty się nigdy nie męczysz? - zapytał arcymaga.

- Nie tutaj, Cormacu. To kolejny znak twoich więzi z życiem. Niech będzie, usiądźmy na tym stoku. Zapalę ogień, a wtedy porozmawiamy.

Zatrzymali się w kręgu kamieni. Maedhlyn zebrał nieco chrustu i wnet zapłonął niewielki ogień. Arcymag zdawał się pogrążony w zadumie, więc Cormac mu nie przeszkadzał. Po chwili Maedhlyn przeciągnął się i uśmiechnął posępnie.

- Byłoby lepiej, młody książę, spotkać się w blasku słońca, w lesie pod Eboracum lub w pałacu w Camulodunum. W każdych okolicznościach jednak należy korzystać z chwili. Nauczałem twojego ojca, kiedy był równie młody jak ty teraz; miał bystry umysł. Wyrósł na człowieka, który potrafił znaleźć wyjście z każdej niemal sytuacji. Kto wie, może i ty jesteś takim człowiekiem?

Cormac potrząsnął głową.

- Wychowywano mnie jako syna demona, wszyscy ode mnie stronili. Człowiek, który był mi jak ojciec, został zabity, a wtedy uciekłem. Spotkałem Culaina, on mnie uratował. Pozostawił mnie na straży Anduiny, a ja go zawiodłem. Tak wygląda historia Cormaca. Nie sądzę, bym przypominał Uthera.

- Nie osądzaj siebie pochopnie, młody książę. Opowiedz mi wszystkie szczegóły, a ja będę twoim sędzią.

Ogień dopalał się, aż na koniec zostały jedynie tłące się węgle. Przez ten czas Cormac zdał sprawę ze swojego życia razem z Grysstha, wspominał o pocałunku Alfrudy, będącym powodem śmierci opiekuna, o spotkaniu z Culainem, o starciu z demonami w obronie Anduiny. Na koniec opowiedział, jak uratował Olega i jego córkę oraz stoczył walkę z Wikingami, która doprowadziła do napaści wojowników na chatę.

Maedhlyn słuchał w milczeniu, dopóki opowieść nie dobiegła końca, i dopiero wtedy dorzucił chrustu do ogniska.

- Uther byłby z ciebie dumny. Jesteś zbyt skromny, książę Cormacu. Mniemam, że przyczyna tkwi w twoim zwichrowanym dzieciństwie. Po pierwsze, kiedy napadli na ciebie bracia Alfrudy, wszystkich pokonałeś, co było godne odważnego mężczyzny i wojownika. Po drugie, kiedy pojawiły się demony, również walczyłeś po męsku. A kiedy niosłeś Olega przez góry, znów okazałeś hart ducha. No tak, w końcu przegrałeś, ale wobec przytłaczającej siły wroga. Wiedz jednak, dziecko Uthera: sama porażka nie jest taka straszna. Prawdziwym dowodem tchórzostwa jest wzdraganie się przed próbą.

- Chyba wolałbym, Maedhlynie, walczyć z mniejszym heroizmem, ale z większym powodzeniem. Lecz teraz próżno się nad tym rozwodzić. Nie trafi mi się już sposobność, by wyrównać rachunki.

- Nie bądź tego taki pewien - rzekł cicho arcymag. - Ten świat, przeklęty świat, w wielu aspektach przypomina tamten, który opuściłeś.

- To znaczy?

- Panem tego świata jest Moloch, kiedyś człowiek, a teraz demon. Lepiej jest ci znany pod imieniem Wodana. Tu mieściło się jego królestwo przez blisko dwa tysiące lat.

- Wodan? Jak to możliwe?
- Sprawiała to głupota jednego człowieka, a mianowicie moja. Pozwól jednak, że opowiem wszystko jak należy. Słyszałeś, oczywiście, o Feragh, ostatnim ożywionym kawałku Atlantydy?
- Tak, Culain mi o nim opowiadał.
- Cóż, w tamtych pełnych chwały czasach wielu młodych ludzi tęskniło za przygodami. Skoro mieliśmy kamienie władzy, w oczach śmiertelników staliśmy się bogami. Jednym z tych młodzieńców był Moloch. Upajały go nieczne emocje, a przyjemności, jakim się oddawał, u większości ludzi wywołałyby wymioty; tortury, ból i śmierć były dla niego jak wino. Zamienił świat w rzeźnię. W końcu nikt z nas nie mógł tego dłużej ścierpieć, a wtedy cały Feragh zwrócił się przeciw niemu. Król nasz, Pendarric, wypowiedział mu wojnę, która zakończyła się upokorzeniem Molocha. Culain walczył z nim na murach Wieży Babel i tam go zabił. Ściął mu głowę, a ciało cisnął na skały, gdzie pochłonął je ogień.
- Jak wobec tego udało mu się powrócić?
- Cierpliwości! - napomniał Maedhlyn. - Moloch, tak jak my wszyscy, mógł posługiwać się kamieniami w celu uzyskania nieśmiertelności. Ale on postąpił jeden krok dalej: sporządził pierścień ze srebrnego Sipstrassi i wszczepił go sobie w czaszkę, pod skórę, niby niewidzialny diadem. Sam stał się Sipstrassi, nie potrzebował już kamieni. Kiedy Culain go zabił, ja zabrałem głowę. Nikt nie podejrzewał, że to zrobiłem. Spaliłem ciało, a resztę zostawiłem jako talizman, źródło wielkiej mocy. Był mi wielce pomocny w ciągu następnych stuleci. Wiedziałem, że duch Molocha ciągle żyje; rozmawiałem z nim, a także z umarłymi z jego królestwa, wiele się ucząc i dobrze wykorzystując zdobytą wiedzę. W swojej arogancji nie zdawałem sobie sprawy, że Moloch mnie również wykorzystuje, a jego potęga rośnie.
- Kilka lat temu, tuż po twoich narodzinach, waśń rozdzieliła mnie i Uthera. Udałem się w podróż do kraju Norwegów, gdzie spotkałem młodą kobietę, która zapragnęła zostać moją uczennicą. Zaprosiłem ją do swojego domu, a wkrótce potem do serca. Tymczasem ona służyła Molochowi. Pewnej nocy odurzyła mnie narkotykami i położyła mi czaszkę na głowie. Moloch przejął moje ciało, a ducha zesłał w to miejsce. Teraz męczy mnie moją własną głupotą, a mordy i występki, którym ongi położyliśmy kres z tak wielkim wysiłkiem, znów nękają świat. Tym razem jednak nikt go nie pokona.
- Culain wciąż żyje. On go zniszczy - stwierdził Cormac.
- Nie. Culain jest cieniem człowieka, jakim był niegdyś. Myślałem, że Uther wraz z Mieczem Mocy stanowi dostateczną rękojmię bezpieczeństwa, lecz Wodan i w tym mnie przechytrzył. Ujął Krwawego Króla.
- Zabił go? -Nie. Niestety!
- Nie rozumiem.
- Uther znajduje się tutaj, księżę Cormacu, w Pustce, skuty łańcuchami piekielnego ognia.
- Mnie obchodzi tylko Anduina - oświadczył Cormac. - Mogę wprawdzie podziwiać siłę i umiejętności człowieka, który mnie spłodził, lecz cały czas wiem, że zaszczył moją matkę na śmierć. - Zerwał się rażno na nogi. - Odpocząłem już, Maedhlynie.
- Bardzo dobrze - mruknął arcymag. Przesunął dłonią nad ogniem, który natychmiast zgasł. - Przed nami wiele godzin marszu, a droga jest usiana niebezpieczeństwami. Pamiętaj, masz trzymać się ścieżki. Choćby nie wiem co się działo, Cormacu, zawsze trzymaj się ścieżki.
- Ruszyli ramię w ramię szerokim traktem. Po obu stronach bezlitosny krajobraz ciągnął się hen, po szary horyzont, urozmaicony jedynie spróchniałymi drzewami i sterczącymi z ziemi czarnymi głazami, postrzępionymi i nagimi. Kurz wzbijał się spod nóg, drażniąc gardło Cormaca i szczypiąc go w oczy.
- Cóż za bezduszne miejsce - stwierdził, na co odpowiedział mu szyderczy chichot Maedhlyna.
- Prawda jest zgoła inna, młodzieńcze. Jedynymi tutejszymi mieszkańcami są właśnie dusze

zmarłych. Szkopuł w tym, że w głównej mierze na pobyt w tym miejscu skazano złe duchy. Tutaj dopiero ujawnia się prawdziwa natura człowieka. Weź na przykład tego przewodnika. On też był kiedyś człowiekiem, teraz jednak przyjął postać bestii, jaką krył w sobie za życia.

-Anduina tu nie pasuje - zauważył Cormac. - Jest szlachetna i życzliwa, nikomu nie zrobiła krzywdy.

- W takim razie pójdzie dalej. Nie lękaj się o nią, Cormacu. W tym miejscu panuje kosmiczna równowaga i nawet Moloch nie jest w stanie jej poważnie zakłócić.

Gdy wyszli z zakrętu, zobaczyli dziewczynę, której stopa ugrzęzła we wnykach.

- Pomocy! - zawołała i Cormac zstąpił z drogi w jej kierunku. Gdy do niej dotarł, ogromna postać wyłoniła się zza skały.

- Uważaj! - wrzasnął Maedhlyn. Młodzieniec wykręcił się, i zadał mieczem mordercze cięcie, raniąc bok pokrytej łuskami bestii.

Ni to z sykiem, ni to ze skowytom monstrum znikło, spryskawszy jedynie czarną posoką koszulę Cormaca. Za jego plecami

dziewczyna powstała w milczeniu i rozcapierzyła palce niczym szpony. Maedhlyn cisnął wąskim sztyletem i trafił ją między łopatki; kiedy młodzieniec odwrócił się błyskawicznie, osuwała się już na kolana. Oczy miała czerwone jak krew, z ust sterczały szpiczaste kły, pomiędzy sinymi wargami wił się węzowy język. Po chwili i ona zniknęła.

- Wracaj na drogę - rozkazał Maedhlyn - ale przynieś mi sztylet. - Ostrze leżało w kurzu. Cormac podniósł je i powrócił do czarodzieja.

- Co to było?

- Ojciec i córka. Przez całe życie okradali i zabijali podróżnych na szlaku z Verulamium do Londinium. Zostali spaleni na stosie dwadzieścia lat przed twoim urodzeniem.

- Czyżby nie żyło tu nic dobrego?

- Człowiek spotyka dobro w najmniej spodziewanych miejscach, książę Cormacu. Sami się o tym, myślę, przekonamy.

Wędrowali, zdawałoby się, przez wieczność. Wobec braku księżyca i gwiazd pomagających określić porę, Cormac stracił poczucie upływającego czasu. Ostatecznie jednak dotarli do gór i ruszyli ścieżką ku obszernej jaskini, gdzie płonęły pochodnie.

- Miej się teraz na baczności. Tu nic cię nie będzie chronić -przestrzegł Maedhlyn.

W jaskini mnóstwo ludzi spało, siedziało lub gawędziło. Nowo przybyłych zignorowano; Maedhlyn wiódł księcia oświetlonymi łuczycami, pełnymi dusz tunelami, by zatrzymać się wreszcie w przestronnej grocie, gdzie płonął wielki ogień.

Podstarzały człowiek w wypłowiałym brązowym habicie mnicha pokłonił się arcymagowi.

- Niech boży pokój będzie z tobą, bracie - powiedział.

- I z tobą, Albainie. Przyprowadziłem młodego przyjaciela, który poszukuje dobrych serc.

Albain wyciągnął rękę z uśmiechem. Był wątłym, niskim mężczyzną o białych puszystych włosach, które niczym korona okalały łysinę na czubku głowy.

- Witaj, chłopcze. Tego, czego szukasz, nie mamy za wiele. Jak mogę ci pomóc?

- Szukam mojej żony, ma na imię Anduina. - Opisał ją staremu mnichowi, który słuchał uważnie.

- Była tu, ale obawiam się, że została zabrana. Przykro mi.

- Zabrana? Przez kogo?

- Przybyli po nią Lojalni. Zabrakło nam czasu, żeby ją ukryć.

- Gwardziści Molocha - wyjaśnił Maedhlyn. - Służą mu tu, podobnie jak służyli za życia, w zamian za obietnicę powrotu do ciała.

- Dokąd ją zabrali?

Albain nie odpowiedział, tylko spojrział na czarodzieja.

- Powinna być w strażnicy, w fortecy Molocha. Nie możesz tam iść, Cormacu.

- A co mnie powstrzyma? - zapytał; jego szare oczy pałały.

- Jesteś nieodrodnym synem Uthera - przyznał Maedhlyn, targany smutkiem i dumą. Spośród cieni wyłoniło się kilka sylwetek.

- Synem Uthera? - zapytał Victorinus. - Czyżbyś był Maedhly-nem, magu?

- A zatem zaczęła się wojna - mruknął czarodziej.

- Jeszcze nie, magu, ale wkrótce wybuchnie. Powiedz, czy to naprawdę syn Uthera?

- Tak. Książę Cormacu, poznaj Victorinusa, najzdolniejszego generała Uthera.

- Chciałbym móc powiedzieć, że cieszy mnie to spotkanie, książę Cormacu. - Powtórnie zwrócił się do Maedhlyna. - Albain powiedział nam, że w twierdzy uwięziona jest dusza króla... że go tam torturują. Czy jest w tym ziarno prawdy?

- Przykro mi, Victorinusi. Wiem, że byłeś mu przyjacielem.

- Byłem? Śmierć nie przekreśla mojej przyjaźni, Maedhlynie. Jest nas tu trzynastu i razem odnajdziemy króla.

- Otwartą przestrzeń przed zamczyskiem patrolują ogary-olbrzymy. Mają zęby jak sztylety i podobną do stali skórę, której miecz się nie ima. Dalej, w obrębie zewnętrznych murów, żyją Lojalni w liczbie przynajmniej dwustu, a każdy z nich był za życia znakomitym wojownikiem. Nie wiem, co znajduje się w obrębie wewnętrznych murów; nawet Lojalni boją się tam zaglądać.

- Jest tam nasz król - rzekł Victorinus z marsowym obliczem i twardym wejrzeniem.

- Oraz Anduina - dodał Cormac.

- To szaleństwo! Jak zbliżycie się do twierdzy? A może myślicie, że waszych trzynaście mieczy przedrze się przez patrole nieprzyjaciela?

- Nie mam pojęcia, Maedhlynie, jestem jeno żołnierzem. Ale ty byłeś niegdyś najtęższym umysłem na świecie, sam mi to powiedziałeś.

- Piekło to nie miejsce na pochlebstwa - odparł arcymag - ale jeszcze się nad tym zastanowię.

- Czyżby Moloch nie miał tu żadnych wrogów? - zapytał Cormac.

- Ma ich, rzecz jasna, lecz większość z nich jest jak on sam: zła.

- To mi nie przeszkadza. Czy są potężni?

- Uwierz mi, Cormacu, nie tędy wiedzie droga.

- Niech cię licho porwie, odpowiadaj!

- Tak, są potężni - warknął Maedhlyn. - Są także śmiertelnie niebezpieczni; wystarczy zbliżyć się do nich, by stracić duszę. Co gorsza, mógłbyś skończyć jak twój ojciec: skutym ognistymi łańcuchami i męczony do chwili, kiedy zostanie z ciebie ledwie spękana skorupa, kwiląca ruina.

- Dlaczego mieliby mi to zrobić?

- Bo jesteś synem swojego ojca. Największymi wrogami Molocha są tutaj Goroien, pokonana przez Uthera Królową-Wiedźmą, oraz jej syn-kochanek Gilgamesz, zabity przez Culaina. Teraz rozumiesz?

- Rozumiem tylko tyle, że chcę się z nią spotkać. Możesz mi w tym pomóc?

- Ona cię zniszczy, Cormacu.

- Pod warunkiem, że w większym stopniu nienawidzi mnie niż pragnie wygrać z Molochem.

- Co ty jej możesz zaoferować? Ona ma własną armię i bestie na usługach, które wykonują jej wolę.

- Zaoferuję jej strażnicę... i duszę Wodana.

- Porozmawiaj z nimi, Albainie - rzekł Maedhlyn, gdy niewielka grupka usiadła w kącie obwieszonej stalaktytami komory. - Wytłumacz im, czym ryzykują. - Starzec spojrzął na Victorinusa, na jego twarzy malowała się troska.

- Jest tu wielu, którzy nie pójdą dalej drogą. Egzystują jako bestie w tym okropnym półcieniu. Pozostali są przyciągani, w co część z nas zdaje się wierzyć, ku cudownej krainie ze złotym słońcem i błękitnym niebem. Ja także w to wierzę i zachęcam ludzi, by tam wę-

drowali. Ale musicie trzymać się ścieżki.

- Trzymają tam naszego króla - odezwał się Victorinus. - Służba nie drużba.

- Wasza służba polega na oddaniu w razie czego życia za swego władcę, ale nie duszy.

- Nie chcę wypowiadać się za innych, Albainie, mówię jedynie w swoim imieniu. Nie wolno mi udawać się w dalszą podróż, dopóki król mnie potrzebuje, choćby obiecywano mi raj. Jak myślisz, jaką wartość miałby dla mnie raj, gdybym musiał żyć w hańbie?

Albain pochylił się i ujął dłoń Victorinusa.

- Nie odpowiem ci na to. Wiem tylko, że tutaj, w tej krainie śmierci i rozpacz, dla tych, którzy wędrują dalej, wciąż tli się światełko nadziei. Niektórzy nie mogą wędrować, ponieważ ich zło zapuściło tutaj korzenie, inni zaś nie chcą ze względu na wielki strach; być może łatwiej jest ukryć się w wiecznej pomroce? Ten upiorny świat nie jest jednak miejscem ostatecznym i nie powinniście rezygnować z dalszej wędrówki.

- Dlaczego sam nie ruszyłeś w dalszą podróż? - zapytał zdziwiony Cormac.

Albain wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie pewnego dnia wyruszę. Na razie zajmuje mnie praca wśród udręczonych i zagubionych.

- Nas również czeka praca - odrzekł Cormac. - Nie jestem filozofem, Albainie, gdzieś tu jest jednak moja ukochana, a ty powiadasz, że więzi ją Moloch. Nie pozwolę na to. Podobnie jak Victori-nus, nie mógłbym żyć w raju z tak obciążonym sumieniem.

- Miłość to chwalebne uczucie, książę Cormacu, a tutaj jest jej nader mało. Pozwól, że wysunę argument innej natury. Aby pokonać Molocha, zamierzasz skorzystać z pomocy Goroien, równie zły jak człowiek, którego pragniesz zniszczyć. Czy można związać się z potęgą zła i nie zostać przez nie skażonym? Co się stanie, kiedy ogień twojej czystości zetknie się z lodem jej złośliwości?

- Nie wiem, ale wrogowie Molocha powinni być moimi przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Cóż ci wiadomo o samej Goroien?

- Tyle tylko, co powiedział mi Maedhlyn: była wrogiem Uthera.

- Była nieśmiertelną, która podtrzymywała swoją urodę dzięki ofiarom z tysięcy młodych kobiet. Obserwowała, jak krew ich spływa na magiczny kamień. Wskrzesała syna i uczyniła zeń swego kochanka. Miał na imię... i ma nadal... Gilgamesz, Pan Nieumarłych. Z taką właśnie osobą chcesz się sprzymierzyć.

Cormac potrząsnął z uśmiechem głową.

- Nie zrozumiałeś mnie dobrze, Albainie. Mówisz o mojej czystości? Poświęciłbym cały świat dla uratowania Anduiny. Niechby milion dusz wiło się w agonii, byle ona była bezpieczna!

- A czy ona by tego chciała, młody książę? Cormac na moment odwrócił wzrok.

- Nie - przyznał - i być może dlatego tak bardzo ją kocham. Poszukam jednak Goroien.

- Ona cię zniszczy, o ile w ogóle do niej dotrzesz. Aby tak się stało, musisz zejść z drogi i przemierzyć Krainę Cienia. Zamieszkują ją najpodlejsze ze stworzeń, które będą cię nękać na każdym kroku.

Victorinus uniósł rękę i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Doceniam wagę twoich wskazówek, Albainie, oraz przestróg. Jednak książę i ja opuścimy drogę, by poszukać Królowej-Wiedźmy. - Spojrzał na swojego adiutanta, Marcusa. - Czy będziesz mi towarzyszył?

- Nie po to zginęliśmy z tobą, panie - rzekł młodzieniec - by cię teraz opuścić.

- A więc postanowione. A ty co zamierzasz, Maedhlynie?

- Wiedźma żywi względem mnie nieprzejednaną nienawiść, ale dobrze, pójdę z wami. Cóż mi bowiem pozostało?

Albain powstał i objął smutnym spojrzeniem całą piętnastkę.

- Życzę wam bożej pomyślności. Nie mam nic więcej do dodania.



Cormac patrzył, jak człowieczek lawiruje w zatłoczonej gromadzie.

- Jakim cudem tu trafił, Maedhlynie?

- Podążył za właściwym bogiem w czasie, gdy Rzymem władał bóg zła. Chodźmy stąd.

## Rozdział dwunasty

**W** czwartym tygodniu wiosny trzy floty inwazyjne wylądowały u wybrzeży Brytanii. Jedenaście tysięcy ludzi zeszło na brzeg w Segundunum, nieopodal najbardziej na wschód wysuniętej warowni, stanowiącej ogniwo podupadłego już Wału Hadriana. Miasto złupiono, od miecza padło wiele setek obywateli.

Druga flota pod wodzą najwyższego generała Wodana, Alaryka, runęła w liczbie ośmiu tysięcy żołnierzy na południowe wybrzeże w Anderidzie; armia ta powiększyła się wnet o dwa tysiące Sasów, których rekrutował renegat Agwaine. Uciekinierzy tłoczyli się po drogach i traktach prowadzących do Londinium, podczas gdy Goci przetaczali się wzdłuż wybrzeża w kierunku Noviomagusu.

Trzecia flota wylądowała w Petvarii, wpłynąwszy bez przeszkód w gardziel zwaną Humber. Dwadzieścia dwa tysiące wojowników zeszło na ląd, a brytyjska obrona w sile tysiąca dwustu żołnierzy pierzchła na ich widok.

W Eboracum, niespełna dwadzieścia mil dalej, wybuchła panika.

Geminus Kato nie miał wielkiego wyboru - zebrał swoje dwa pięciotysięczne legiony i wymaszerował, by dać odpór nieprzyjacielowi. Straszne burze rozpętały się nad legionami, a podczas pierwszego biwaku wielu gotowych było przysiąc, że widzieli upiorną głowę, zarysowaną na tle skłębionych chmur i oświetloną zygzakami błyskawic. Skoro nastał nowy dzień, doliczono się około tysiąca dezertersów.

Wkrótce po świcie zwiadowcy Geminusa zameldowali o bliskości wroga, więc Kato przesunął wojska na szczyt niewielkiego wzniesienia pół mili na zachód. Pospiesznie wykopane szańce umocniono palami, a konie oficerów zostały uwiązane w pobliskim lasku, poza polem bitwy.

Chmury burzowe rozeszły się równie szybko, jak się zgromadziły, i oto w promieniach słońca ukazali się Goci; błyszczały groty ich włócznie i wzniesione topory. Kato wyczuł, że strach poruszył linię jego wojsk: już sama liczebność nieprzyjacielskiej armii wywarła wrażenie na legionistach.

- Na bogów, nielicha gromada! - wykrzyknął Kato. Kilku ludzi zaśmiało się pod nosem, lecz nie udało się rozładować napięcia.

Młody żołnierz porzucił *gladiusa* i cofnął się o krok.

- Podnieś go chłopcze - rzekł dowódca spokojnie - bo jeszcze tam zardzewieje.

Młodzieniec trząsał się, bliski płaczu.

- Nie chcę umierać - powiedział.

Kato omiół spojrzeniem gotujących się do ataku Gotów, a potem podszedł do chłopca i schylił się, aby podnieść jego miecz.

- Nikt tego nie chce - stwierdził, wkładając rękojeść w dłoń żołnierza i ustawiając go z powrotem w linii.

Z rykiem przypominającym wściekłość niedawnej burzy Goci ruszyli na linię wojsk brytyjskich.

- Łucznicy! - krzyknął Kato. - Zająć pozycje!

Pół tysiąca łuczników w lekkich skórzanych bluzach, chronionych z flanków tarczami, wybiegło naprzód i ustawiło się w linii na szczycie wzniesienia. Ciemna chmura strzał uniosła

się łukiem

w powietrze i opadła na szarżujące zastępy. Goci nosili ciężkie zbroje ponieśli niewielkie straty, mimo to zachwiały się ich szeregi, gdy ranni upadali na ziemię, a następni się o nich potykali.

- Cofnąć się i ustawić włócznie!

Łucznicy ukryli się za murem tarcz, porzucili łuki i kołczany i parami ustawili dziesięciostopowe włócznie, które dotychczas leżały w rzędach za ciężkozbrojnymi legionistami. Pierwszy mężczyzna z każdej pary klęczał ukryty za wojownikiem z tarczą, chwyciwszy włócznie w odległości trzech stóp od grotu. Drugi trzymał drzewce u podstawy, oczekując rozkazu od Kato. Szarżujący Goci dotarli niemal do linii obrońców, kiedy Kato uniósł rękę.

- Teraz!

Gdy włócznie postąpili do przodu, ukryte dotąd włócznie, kierowane przez klęczących żołnierzy, prześliznęły się między tarczami, rażąc pierwsze szeregi atakującego wojska, roztrzaskując puklerze i przekłuwając kolczugi. Proste groty wyszarpywano i dźgano nimi raz po raz, bez końca.

Rozpętała się przeraźliwa rzeź i Goci cofnęli się w strachu.

Atakowali jeszcze po trzykroć, lecz nie potrafili sprostać śmiertelnościami włóczniom. Teren przed linią legionistów został usłany trupami nieprzyjaciół, jak też rannymi, którzy z potrzaskanymi żebrami wili się w przedśmiertnych mękach, gdy wraz z krwią wsiąkało w ziemię ich życie.

Wtem wzdłuż pierwszych szeregów wroga przebiegł dowódca, przemawiając do czekających żołnierzy. Pięciuset ludzi odrzuciło tarcze i ruszyło naprzód.

- Co oni robią, panie? - zapytał Decius, adiutant Kato. Wódz nie odpowiedział: nie uchodziło, by w wirze walki oficer przyznawał się, że nie ma pojęcia.

Goci wspięli się na stok wzgórza, wyrzaskując imię Wodana. Włócznie przekłuły ich, tym razem jednak każdy z trafionych wojowników chwycił drzewce, tak że broni nie dało się już wyszarpnąć. Główne siły znów przystąpiły do szturm, teraz uderzając na brytyjski mur tarcz ze straszliwym impetem.

Mur pękł na krótką chwilę i kilku wojowników wdarło się do środka. Kato ruszył na nich z dobytym *gladiusem*. Dołączył do niego młody legionista i razem zatkali wyłom. Kiedy Goci się wycofali, Kato odwrócił się i rozpoznał w swoim towarzyszu młodzieńca, który wcześniej odrzucił miecz.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze.

Zanim żołnierz zdążył odpowiedzieć, gockie hufce z ogłuszającym rykiem przystąpiły do kolejnego natarcia.

W trwającej okrągły dzień bitwie nie tryumfowała żadna ze stron, lecz o zmierzchu Kato nie miał wyboru, musiał wycofać się ze wzgórza. Stracił ponad dwustu siedemdziesięciu ludzi, a niespełna setka odniosła rany. Straty nieprzyjaciela obliczał na dwa tysiące. Z wojskowego punktu widzenia odniósł więc zwycięstwo, lecz w rzeczywistości Brytyjczycy niewiele zyskali. Goci wiedzieli już teraz - o ile kiedykolwiek mieli jakieś wątpliwości - że armia Uthera trzyma się dzielniej niż siły Merowingów za wodą. Brytyjczycy poznali natomiast, że Goci nie są niezwyciężeni. Prócz tego jednak dzień nie przyniósł żadnych korzyści obrońcom. Kato pomaszerował z powrotem drogą na Eboracum; wybrał już miejsce następnego starcia.

- Czy to prawda, panie? - zapytał Decius, jadący u jego boku na czele oddziału. - Król żyje?

- Tak - odparł Kato.

- Gdzie zatem przebywa?

Kato czuł się wyczerpany i nie po raz pierwszy wolałby, żeby ktoś inny był jego adiutantem. Decius pochodził jednak z bogatej kupieckiej rodziny i zapłacił za swój awans piękną willą pod Eboracum.

- Król oznajmi nam swoje plany w odpowiedniej porze. Do tego czasu będziemy robić, co do nas należy.
- Ależ kilku ludzi widziało jego zwłoki, panie. Ukończono też przygotowania do pogrzebu. Kato zignorował słowa adiutanta.
- Kiedy rozbijemy obóz na noc, chcę, żebyś obszedł ogniska. Ludzie dzielnie dziś walczyli. Pokaż się wśród nich, nie żałuj komplementów i mów, że nigdy dotąd nie widziałeś takiego bohaterstwa.
- Rozkaz, panie. Jak długo mam tak postępować? Kato zdusił w sobie gniew i pomyślał o swojej willi.
- Mniejsza o to, Deciusie. Rozbijesz mój namiot, a ja porozmawiam z ludźmi.
- Tak, panie. Dziękuję.

W snach Galeada przeważały ciemności i ból. Obudziwszy się w chłodny poranek, spoglądał na tłące się w ognisku popioły. Śniło mu się, że Victorinus na czele dwunastu wojowników wjechał do

lasu, gdzie otoczyli go Goci prowadzeni przez zdrajcę Agwaine'a. Patrzył, jak stary generał umiera tak samo, jak żył: z chłodnym dostojeństwem i bez cienia kompromisu.

Trzęsąc się z zimna, rozniecił ognisko. Jego nowiny niewiele korzyści mogły teraz przynieść Brytanii. Floty inwazyjne miały lada dzień wypłynąć, król nie żył, a potęga Wodana miażdżyła każdy opór. Nie czuł jednak nienawiści, a jedynie ciężkie brzemię smutku, który odbierał mu ducha.

Obok niego leżał miecz; patrzył nań, ale nie miał ochoty go dotykać. Co też każe ludziom, zastanawiał się, pożądać rzeczy, które kuszą, by posłużyć się nimi przeciwko braciom, by ciąć, rąbać i zabijać?

I w imię czego? Jakich korzyści? Bogactw zdobywanych tylko przez nielicznych? Większość powraca do swoich biednych zagrod i wiosek dzieciństwa, często po to tylko, by dożyć dni bez kończyn lub z okropnymi bliznami, pamiątkami z czasu wojny.

W pobliżu wylądował wróbel i zaczął dziobać okruszyny owsianego placka, który Galead jadł na kolację. Doleciał drugi ptaszek. Rycerz siedział nieruchomo, podczas gdy ptaki podskakiwały na schowanym do pochwy mieczu.

- Co ci mówią? - odezwał się głos.

Galead podniósł wzrok; po drugiej stronie ogniska siedział mężczyzna owinięty płaszczem w żywym, rdzawoczerwonym kolorze. Miał złotą, kręconą brodę i ciemnoniebieskie oczy.

- Nic mi nie mówią - odpowiedział cicho. - Ale to spokojne istoty i z radością im się przyglądam.

- Czy posilałyby się z równym zadowoleniem obok Ursusa, księcia poszukującego bogactw?

- Nawet gdyby tak, on by ich nie zauważył. Kim jesteś?

- Nie jestem wrogiem. - To już wiem.

- Oczywiście. Moc twoja rośnie, powoli wyrastasz ponad nikczemne uczynki tego świata.

- Zapytałem, kim jesteś, nieznajomy.

- Nazywam się Pendarric.

Galead zadrżał, gdy usłyszał to imię, jakby głęboko w jego wnętrzu obudziło się jakieś wspomnienie.

- Czyżbym cię skądś znał?

- Nie, aczkolwiek używałem wielu imion. Przemierzamy jednak tę samą ścieżkę, ty i ja. Tam, gdzie ty teraz jesteś, i ja ongi by-

łem, a wszystkie moje uczynki wydawały się równie niewzruszone, co poranna mgła... i równie trwałe.

- Co więc postanowiłeś?

- Nic. Podążyłem za pragnieniem serca i poznałem pokój. Galead uśmiechnął się.

- Gdzież na tej ziemi mógłbym znaleźć pokój? A gdybym nawet spróbował, to czy nie postąpiłbym samolubnie? W Brytanii mam przyjaciół, którzy wkrótce stawią czoło napaści, moje miejsce jest przy nich.

- Miejsce nie przynależy do konkretnego królestwa, miasta czy bodaj zagrody - odparł Pendarric. - Ale ty przecież wiesz o tym. Co zatem zamierzasz uczynić?

- Znajdę sposób, by wrócić do Brytanii. Wystąpię przeciwko potędze Wodana.

- Czy zadowolony będziesz z jego zniszczenia? Galead zastanowił się nad odpowiedzią.

- Nie - rzekł w końcu - lecz zło trzeba wytepić.

- Mieczem?

Galead ze wstrętem spojrział na swój oręż.

- A jest inne wyjście?

- Jeżeli jest, ty je znajdziesz. W czasie długiego żywota odkryłem zadziwiającą prawdę: ci, co poszukują z czystym sercem, zwykle znajdują to, czego szukają.

- Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, czego mam szukać.

- Wspomniałeś o tępieniu zła, a w gruncie rzeczy to kwestia równowagi. Szale nie są jednak jednakowe. Wielką ilość zła niekoniecznie trzeba równoważyć identyczną ilością dobra.

- Jak to możliwe?

- Rozsierzony niedźwiedź wytrzyma tuzin strzał i wciąż będzie śmiertelnie groźny, wystarczy jednak odrobina trucizny, a umrze. Bywa, że nieistotny na pierwszy rzut oka przypadek porusza lawinę wydarzeń prowadzących bądź to do wielkiej niedoli, bądź do wielkiego szczęścia.

- Twierdzisz, że istnieje sposób na pokonanie Wodana bez użycia miecza?

- Nie twierdzę, że to łatwe zadanie, lecz filozof ma tu nad czym się zastanawiać, nie uważasz? Wodan żywi się nienawiścią i śmiercią, a ty pragniesz zmierzyć się z nim za pomocą miecza i tarczy. Jest rzeczą zgoła niemożliwą, aby w czasie wojny żołnierz nie żywił nienawiści do swojego wroga, a zatem, walcząc z Wodanem, czyż nie pomnażasz tylko jego sił?

- A jeśli nie będziemy z nim walczyć?

- Wówczas zwycięży, wtrącając twój kraj, jak też wiele innych, w jeszcze głębszą otchłań śmierci i rozpacz.

- Zbyt trudne są twoje szarady, Pendarricu. Jeśli zechcemy z nim walczyć, przegramy. Jeśli nie, również przegramy. Wyznajesz widać filozofię rozpacz.

- Chyba że dostrzeżesz prawdziwego wroga.

- Jest coś gorszego niż Wodan?

- Zawsze jest, Galeadzie.

- Mówisz jak mędrzec i czuję, że jest w tobie moc. Użyjesz tej mocy w starciu z Wodanem?

- Właśnie jej używam. Po cóż w przeciwnym razie miałbym ciebie odwiedzać?

- Proponujesz mi jakąś broń przeciwko niemu? -Nie.

- Czemu więc zawdzięczam twoją wizytę?

- Zaiste, czemu? - odpowiedział Pendarric.

Obraz się rozmył i oto Galead znów został sam. Gdy rycerz popatrzył w ich stronę, ptaszki wciąż ucztowały przy mieczu, kiedy się jednak poruszył, uciekły w popłochu. Wstał, przypasał oręż, zasypał ognisko ziemią i dosiadł rumaka.

Do wybrzeża pozostało zaledwie osiem mil lasem. Miał nadzieję dostać się na statek, którym mógłby dopłynąć do Brytanii. Przemierzał wąskie dukty w lesie, pogrążony w zadumie, wsłuchany w świergot ptaków, ciesząc się promieniami słońca, które sporadycznie przebijały się przez wiszące nad nim gałęzie. Po spotkaniu z Pendarrikiem był w nieco spokojniejszym nastroju, aczkolwiek wciąż doskwierał mu smutek.

Tuż przed południem napotkał starszego mężczyznę i dwie kobiety, stojących przy ręcznie ciągnionym wozie ze złamanym kołem. Na wóz załadowano dobytek: ubrania, kufry, bardzo

stare krzesło. Mężczyzna pokłonił się na widok jeźdźca, a kobiety nerwowo przestępowały z nogi na nogę, gdy Galead zsiadał z konia.

- Czy mogę zaproponować swoją pomoc? - zapytał.

- To wielka łaska dla nas - odparł stary człowiek z uśmiechem. Miał długie białe włosy, chociaż w ufryzowanej brodzie widniały ciemniejsze pasemka. Jedna z kobiet była starsza, druga młoda i ładna, o kasztanowatych włosach, przeplatanych tu i ówdzie złotym kosmykiem. Miała siniec pod prawym okiem, wargę przeciętą i napuchniętą. Galead ukląkł i ujrzał, że koło poluzowało się, a następnie oderwało od osi.

Pomógł im rozładować wóz, po czym podniósł go, aby umożliwić nastawienie koła. Tępą stroną maczety wbił drewniany kołek i załadował z powrotem dobytek.

- Jestem niezmiernie wdzięczny - rzekł mężczyzna. - Czy zechcesz spożyć z nami południowy posiłek?

Galead skinął głową i usiadł na poboczu, a młoda kobieta wzięła się za rozpalanie ogniska. Starsza krzątała się, wyjmując z tobołów rondle i talerze.

- Niewiele mamy - rzekł starzec, gdy usadowił się przy Galeadzie. - Trochę owsa i soli. Ale to pożywne jedzenie, no i napelnia brzuch.

- Wystarczy. Mam na imię Galead.

-A ja Cateriks. To moja żona, Oela, a to nasza córka, Pilaras.

- Twojej córce widać coś się stało.

- To prawda, podróż nie była dla nas łaskawa i modłę się do Boga, aby skończyły się już nasze troski.

- Gdzie ją tak posiniaczono? Cateriks odwrócił wzrok.

- Dwa dni temu obrabowało nas trzech ludzi. Oni... napadli na moją córkę i zabili jej męża, Dorena, który usiłował przyjść jej z pomocą.

- Przykro mi - rzekł Galead, zakłopotany.

Posilono się w milczeniu, po krótkiej modlitwie dziękczynnej, ogłoszonej przez Cateriksa. Galead podziękował rodzinie za gościnność i zaproponował, że odeskortuje ich do wybrzeża, gdzie mieli przyjaciół. Cateriks przyjął ofertę z pokłonem, po czym niewielka grupka, z Galeadem na czele, powoli ruszyła w dalszą drogę.

Kiedy na dworze zaczęło się robić szaro, Galead, wyjechawszy z zakrętu ścieżki, ujrzał mężczyznę, który siedział oparty plecami o drzewo. Rycerz podjechał doń i zsiadł z konia. Człowiek krwawił obficie z rany na piersi, twarz miał poszarzałą, powieki i wargi sine z upływu krwi. Galead rozerwał brudną tunikę i zatamował krew najlepiej, jak umiał. Po kilku minutach podjechał do nich Cateriks. Ukląknął obok rannego, ujął jego nadgarstek i zbadał puls.

- Połóżmy go na wozie - powiedział. - Mam trochę szmat zdatnych na bandażę, znajdzie się nitka i igła. - Razem na wpół zanieśli, na wpół zaciągnęli mężczyznę na okrągłą polankę przy srebrzystym strumyku. Kobiety pomogły przemyć ranę, a Cateriks zaszył zręcznie poszarpane ciało. Okryli rannego ogrzanyimi przy ogniu kocami.

- Będzie żył? - zapytał Galead.

Cateriks wzruszył ramionami.

- Wszystko w rękach Pana. Stracił dużo krwi.

Gdy rycerz obudził się pośrodku nocy, młoda Pilaras pochylała się nad rannym. Światło księżycy padło na nóż w jej dłoni.

Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, po czym uniosła nóż i oparła jego czubek na gardle śpiącego. Nagle głowa opadła jej do przodu i Galead zauważył, że kobieta szlocha. Cofnęła nóż i włożyła go do pochwy przy biodrze, a następnie powróciła na swe posłanie przy wozie.

Galead ułożył się wygodnie i pogrążył we śnie. Patrzył, jak wrogie okręty dobijają do brytyjskich wybrzeży, jak Goci rozpoczynają marsz na miasta, a nade wszystko ujrzał dwie

prześladujące go wizje: upiorną głowę, wypełniającą niebo w otoczeniu czarnych chmur i błyskawic, oraz miecz błyszczący niczym latarnia o północy.

Pomimo koszmarów, obudził się wypoczęty. Ranny mężczyzna nadal spał, ale miał zdrowszy kolor twarzy. Galead umył się w rzeczce i zbliżył do Cateriksa, który siedział obok ofiary.

- Muszę się z wami rozstać - powiedział. - Spieszno mi na statek, który zabierze mnie do domu.

- Niech Bóg prowadzi cię w twojej podróży.

- A was w waszej, Cateriksie. Spełniłeś chwalebny uczynek, ratując życie tego człowieka.

- Żaden tam chwalebny. Kimże byśmy byli, gdybyśmy odwracali się od naszych braci w potrzebie?

Galead wstał i podszedł do konia, po czym pod wpływem impulsu odwrócił się do Cateriksa.

- W nocy twoja córka przyłożyła mi nóż do gardła. Kiwnął głową.

- Wiem, powiedziała mi o tym rano. Jestem z niej bardzo dumny.

- Dlaczego to zrobiła?

- To właśnie ten człowiek zgwałcił ją i zabił jej męża.

- I ty go uratowałeś? Słodki Mitro, on zasłużył na śmierć!

- Ze wszech miar - odparł Cateriks z uśmiechem.

- Sądzisz, że podziękuję ci za uratowanie życia?

- Jego wyrazy wdzięczności nie są wcale istotne.

- Przecież uratowałeś go być może tylko po to, by zabijał innych niewinnych ludzi, gwałcił kolejne dziewczęta.

- Nie odpowiadam za jego uczynki, Galeadzie, tylko za swoje. Który człowiek pozwoli, by cierpiała ukochana osoba?

- Nie przeczę, miłość to wzniosłe uczucie. Ale ty go nie kochasz.

- A właśnie, że kocham. Jest mi bratem.

- Znasz go?

- Wcale nie twierdzę, że łączą nas więzy krwi. Lecz on, tak jak ty, jest moim bratem i muszę mu pomagać. To bardzo proste.

- Tak się nie postępuje z wrogiem, Cateriksie. Starzec spojrzał na rannego łotra.

- Najszybciej poradzisz sobie z wrogiem, jeśli uczynisz z niego przyjaciela.

Galead wspiął się na siodło. Pociągnął za lejce i zwierzę ruszyło wolno ścieżką. Pilaras zbierała zioła przy drodze. Uśmiechnęła się, gdy ją mijał.

Spiąwszy konia piętami, popędził ku wybrzeżu.

Culain siedział pod rozgwieżdżonym niebem szesnastego dnia pobytu na Wyspie z Kryształu. Każdego ranka po przebudzeniu znajdował na zewnątrz u wejścia do wieży drewnianą tacę z jedzeniem i picciem; co wieczór znikwały puste naczynia. Na dróźce w dole dostrzegał często cień sylwetki, zawsze jednak cofał się do wieży, uważając, aby nie zmać spokoju nocnych gości, na którym najwidoczniej bardzo im zależało.

Tej nocy jednak, gdy siedział, padł na niego cień, a gdy uniósł głowę, zobaczył kobietę w bieli; twarz jej zakrywał wysoki kaptur.

- Witaj, pani - powiedział, wskazując, by usiadła. Gdy to uczyniła, dostrzegł woalkę pod kapturem. - Czy nawet tutaj musicie zachować taką skromność? - zapytał.

- Zwłaszcza tutaj, Culainie. - Zsunęła kaptur i uniosła woalkę. Oddech zamarł mu w krtani, gdy blask księżycy oświetlił znajome rysy.

- Gian? - wyszeptał. Chciał powstać i zbliżyć się do niej.

- Nie podchodź! - powstrzymała go głosem zdecydowanym i pozbawionym wszelkich

emocji.

- Powiedzieli mi, że umarłaś.

- Znużyły mnie twoje wizyty, poza tym dla ciebie i tak już nie żyłam. - W jej włosach połyskiwały srebrzyste pasemka, wokół oczu i ust pokazały się delikatne zmarszczki, lecz Culain nie zauważył, by uroda królowej choć trochę przybladła. - A przecież znowu się tu znalazłeś - podjęła - i znowu mnie nękaś. Dlaczego przywiozłeś go do mnie?

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Od szesnastu lat usiłuję wymazać z pamięci przeszłość i związane z nią dramaty. Sądziłam już, że mi się udało. Wbiłam sobie do głowy, że byłeś tylko moją dziewczęcą fantazją. Jako dziecko pokochałam cię, przez co zniszczyłam swoje nadzieje na szczęście. Jako samotna królowa również cię kochałam, przez co zniszczyłam mojego syna. Kilka lat cię nienawidziłam, ale to minęło. Teraz pozostała jedynie obojętność, zarówno względem ciebie, jak i Krwawego Króla, którym stał się mój małżonek.

- Wiesz, oczywiście, że twój syn wcale nie umarł?

- Wiem niejedno, Lordzie Lancy, ale najbardziej pragnę się dowiedzieć, kiedy opuścisz tę wyspę.

- Stałaś się hardą kobietą, Gian.

- Nie jestem już żadną Gian Avur, twoim Leśnym Jelonkiem. Teraz jestem Morganą z Wyspy, choć mam też inne imiona, jak mi doniesiono. Powinieneś znać to uczucie, ty który byłeś Apollonem, Eneaszem, królem Cunobelinem i wieloma innymi walecznymi ludźmi.

- Słyszałem, jak przewodniczka tutejszego zgromadzenia wzywa Władczynię Wrózek, ale nie przeszło mi przez myśl, że może mieć ciebie na myśli. Co się z tobą działo, Laitho?

- Świat mnie odmienił, Lordzie Lancy, i nie dbam już ani o niego, ani o żadną istotę, która go zamieszkuje.

-A zatem znalazłaś się tutaj, na tej poświęconej wyspie? To ostoja spokoju i wiedzy uzdrowicielskiej.

-I niechaj już tak zostanie. Siostry odnoszą wspaniałe sukcesy, lecz ja i niektóre z nas spędzamy czas na studiowaniu prawdziwych tajemnic: nici łączących gwiazdy, wzorów oplatających ludzkie życie, które przecinają się wzajemnie i zlewają, kształtując losy świata. Kiedyś zwałam je Bogiem, teraz jednak widzę, że to coś o wiele potężniejszego niż jakakolwiek nieśmiertelna istota wyśniona przez człowieka. Tutaj, w tym...

- Dość już usłyszałem, kobieto. Co z Utherem? - uciął Culain. -Umiera- syknęła- a jeśli umrze, niewielka to strata dla świata.

- Nigdy nie sądziłem, że ujrzę w tobie zło, Gian. Zawsze byłaś kobietą nieprzeciętnej urody. - Zaśmiał się pośepnie. - Z drugiej strony, zło przybiera wiele postaci i wcale nie musi być brzydkie. Siedzę tu już od wielu nocy, pokutując w milczeniu, wierzyłem bowiem, że kiedy dawałem początek temu zgromadzeniu,

uczyniłem to z egoistycznych pobudek. No cóż, pani, być może takie one były. Mimo to wyspa została stworzona z miłości i dla miłości, a ty, z tą twoją żądzą odkrywania tajemnic, które poznałem tysiąc lat przed twoimi narodzinami, ty ją splugawiłaś. Nie zostanę na tym pagórku ani chwili dłużej... Nie myślę też czekać twojego rozkazu. - Powstał zwinnie, wziął laskę i rozpoczął długie zejście w stronę kręgu chat.

Ściągał go jej głos, przebijała w nim nuta triumfu.

- Twoja łódź czeka na ciebie, Culainie. Jeśli znajdziesz się na niej przed upływem godziny, wtedy być może pozwolę, by Uther nie umarł. W przeciwnym razie odwołam od niego siostry, a ty będziesz mógł zabrać sobie trupa.

Przystanął, smakując gorycz porażki. Potem się odwrócił.

- Zawsze byłaś uparta i nigdy nie lubiłaś przyznawać się do błędu. Bardzo dobrze, odejdę i pozostawię Uthera na łasce twojego miłosierdzia. Gdy jednak przerwiesz na chwilę studiowanie tajemnic, rozważ rzecz następującą: przygarnąłem cię jako małą dziewczynkę i

wychowałem, jakbyś była moją córką. Nie uczyniłem niczego, przez co mogłaś pomyśleć, że należy ci się coś więcej. Ale to ty wyszeptalaś moje imię, leżąc z Utherem. To ty kazałaś mi zostać w Camulodunum. To tam właśnie zaczyna się moja wina, której już nie pomniejszę. Może jednak, kiedy spojrzysz w dół ze swojej pozłacanej wieży, ujrzysz niewielki skrawek własnej winy i znajdziesz w sobie odwagę, by podnieść ją do oczu.

- Skończyłeś, Lordzie Lancy?

- Skończyłem, Morgano.

- Tedy opuść moją wyspę.

## Rozdział trzynasty

Tutaj zejdziemy z drogi - orzekł Maedhlyn, kiedy kompania wspięła się na niskie, zakurzone wzgórze. - Przed nami rozciąga się królestwo Goroiem - ciągnął, wskazując na odległy łańcuch złowieszco wyglądających gór. Okolica pocięta była rozpadlinami i usiana dziurami, lecz między martwymi drzewami i popękkanymi głazami poruszało się chyłkiem wiele cieni. Jedne przemykały na czterech nogach, drugie łopotały czarnymi skrzydłami, jeszcze inne zdawały się ślizgać lub biegać.

Cormac wziął głęboki oddech, zdecydowany zboczyć z bezpiecznej drogi. Zerknął na Victorinusa, który wzruszył z uśmiechem ramionami.

- A więc chodźmy - wydał komendę księżę, dobywając miecza.

Zaledwie piętnastu ludzi z bronią w pogotowiu zeszło na ponure bezdroże, cienie ruszyły na nich hurmą. Znajdowały się wśród nich stwory z ociekającymi śliną paszczami, ludzie ze spróchniałymi zębiskami i podkrążonymi oczyma, wilki o twarzach, które przeobrażały się niczym mgła, raz wyglądając jak ludzkie, to znów jak zwierzęce. Nad ich głowami szybowwały gigantyczne nietoperze, zataczały kręgi i nurkowały, trzepocząc nad oddziałem błoniastymi skrzydłami. Żaden jednak nie znalazł się w zasięgu błyszczących mieczy.

- Jak długo jeszcze? - zapytał Cormac, krocząc obok Maedhlyna na czele kolumny.

- Któż tu zmierzy czas? - odparł czarodziej. - Ale przed nami długa droga.

W czasie marszu wokół nóg wzbijały się kłęby kurzu, na obrzeżach których płaśły cienie, coraz bliżej uczestników wyprawy.

- Czy one nas zaatakują? - bąknął Victorinus.

Maedhlyn rozłożył ramiona. Człowiek zamykający pochód krzyknął nagle, gdy szpony pociągnęły za jego płaszcz, zwalając go z nóg.

Victorinus obrócił się momentalnie.

- Krąg z mieczy! - zawołał, a wojownicy, trzymając wysoko broń, skoczyli ku szeregom bestii i otoczyli przewróconego kamrata.

Trzymająca go istota znikła, kiedy *gladius* przekłuł jej serce.

- Formacja marszowa! - nakazał Victorinus. Kiedy niewielka grupka wojowników uformowała dwa szeregi, cienie zostawiły ich na razie w spokoju.

W pewnym momencie marszrutę droga znikła im zupełnie z oczu, a kurz otoczył ich niby chmura burzowa, ograniczając pole widzenia i przysłaniając góry na widnokręgu.

Jeszcze dwukrotnie nękały ich cienie, za każdym razem jednak błyszczące miecze Brytów w porę zażegnwały niebezpieczeństwo.

Wreszcie wspięli się na wyżynę, gdzie stał starożytny kamienny krąg, poczerniały i zrujnowany. Cienie zatrzymały się u podnóża, a zmęczona grupa z uczuciem ulgi zasiadła wśród monolitów.

- Dlaczego nie podchodzą bliżej? - spytał Victorinus.



- Nie jestem przecież źródłem całej ludzkiej wiedzy - burknął Maedhlyn.  
- Zawsze twierdziłeś, że jesteś.  
- Chciałbym, żebyś wiedział, Victorinusie, że spośród wszystkich popleczników Uthera w twoim towarzystwie czułem się najgorzej.  
- Ostre słowa, arcy maga - odpowiedział Victorinus z szyderczym uśmiechem. - Być może czeka cię wieczność spędzona w moim towarzystwie.  
- To byłoby piekło - odciął się Maedhlyn.  
- Tu kiedyś musiało kwitnąć życie - zauważył Cormac. - Widzieliśmy drzewa, przekroczyliśmy z tuzin wyschniętych koryt rzecznych. Co wywołało te zmiany?  
- Nic ich nie wywołało, Cormacu - rzekł Maedhlyn - gdyż to wszystko nie istnieje. Jest tylko echem po czymś zamierzchłym. Jest koszmarem.  
- A czy nasza obecność nie dowodzi, że to rzeczywiste miejsce? - zapytał Marcus Bassicus, przysiadając się bliżej.  
- Nie śniło ci się nigdy, że jesteś gdzieś, gdzie naprawdę nigdy nie byłeś? - zareplikował Maedhlyn.  
- Oczywiście, że mi się śniło.  
- I co? Czy twój sen udowodnił, że widziany przez ciebie krajobraz naprawdę istnieje?  
- Ależ nam wszystkim śni się to samo - argumentował Marcus.  
- Doprawdy? Skąd możesz o tym wiedzieć? Może jesteśmy tylko fragmentami twojego koszmaru, młody Marcusie? A może wy wszyscy występujecie tylko w moim śnie?  
Victorinus zachichotał.  
- Wiedziałem, że nie trzeba długo czekać, byś znowu zaczął swe gierki. - Odwrócił się do pozostałych, którzy siedzieli w pobliżu i przysłuchiwali się wnikliwie. - Pewnego razu widziałem, jak ten człowiek spędził dwie godziny na udowadnianiu tezy, jakoby Kali-gula był jedynym trzeźwo myślącym osobnikiem na świecie. Na koniec wszyscy mu uwierzyliśmy, a wtedy nas wyśmiał.  
- Jakże mogliście mi nie uwierzyć? Kaligula uczynił swojego konia senatorem, a ja pytam: czy ów koń kiedykolwiek podjął niewłaściwą decyzję? Czy starał się dorwać do władzy? Czy głosował za prawem, które okradalo biednych, a tuczyło bogatych? Ten koń był najmądrzejszym senatorem w historii Rzymu.  
Cormac siedział, wsłuchany w gwar głosów. Z wolna porywał go srogi gniew. Całe jego życie wiązało się ze strachem - przed karą, poniżeniem, odtrąceniem. Jak daleko sięgał pamięcią, łańcuchy te utrzymywały go w poddaństwie, lecz teraz przepalił je płomień gniewu. Tylko dwie osoby kochały Cormaca Daemonssona i obie już nie żyły. Z jego wnętrza wyłonił się nowy Cormac i ukazał mu życie z innej perspektywy. Maedhlyn miał rację: Cormac Daemonsson nie był nieudacznikiem skazanym na porażkę. Był mężczyzną i... prawowitym księciem.  
Moc wezbrała w jego sercu, oczy rozbłysły nieprzepartą siłą.  
- Dość tego! - huknął, powstając. - Ta rozmowa przypomina wiatr wiejący wśród liści. Do niczego nie prowadzi, a wywołuje jedynie szelest. Jesteśmy tu i to miejsce jest rzeczywiste. A teraz w drogę.  
- Nadawałby się na króla - mruknął Victorinus do czarodzieja, gdy schodzili ze wzgórza.  
- Tak, w takim miejscu łatwo nauczyć się arogancji - zgodził się mag.  
U stóp wzgórza Cormac ruszył na hordę cieni.  
- Precz! - rozkazał i bestie rozstąpiły się na boki, tworząc ciasne przejście. Wszedł w sam środek, nie oglądał się ani w lewo, ani w prawo, ignorował syki i błysk ostrych pazurów. Schował miecz do pochwy i kroczył pewnie naprzód ze wzrokiem wbitym w góry.  
Drogę zagroziła mu wysoka postać w czarnym napierśniku. Mężczyzna nosił skrzydlaty hełm, a twarz miał zakrytą - oprócz oczu połyskujących zimnym światłem. W rękach dzierżył dwa krótkie miecze, od pasa do kolan zwisał skórzany kilt, a niżej widniały czarne

nagolenniki. Stał w doskonałej równowadze, w każdej chwili gotów zaatakować.

Cormac nie przerywał marszu, aż stanął tuż przed wojownikiem.

- Dobądź miecza - rzekł nieznajomy. Z wnętrza hełmu dobiegło metaliczne echo. Cormac uśmiechnął się, ostrożnie dobierając słowa. Kiedy przemówił, w tonie jego głosu pobrzmiwało posępne zdecydowanie.

- Jeśli tak uczynię, będziesz musiał zginąć.

- Już kiedyś zginąłem, ale nie z ręki podobnego do ciebie. Cormac cofnął się o krok i ostrze Culaina błysnęło w jego dłoni.

Wojownik stał nieruchomo, wpatrzony w miecz.

- Skąd masz tę broń?

- Jest moja.

- Nie pytam o jej właściciela.

- A mnie już nużą te brednie. Zejdź na bok albo walcz!

- Dlaczego tu przybywasz?

- Chce się spotkać z Goroiem - odpowiedział Maedhlyn, przepchnąwszy się do przodu, by stanąć między wojownikami.

Nieznajomy schował obydwa miecze.

- Ze względu na miecz przysługuje ci to prawo - rzekł do Cormaca - ale porozmawiamy jeszcze, kiedy królowa z tobą skończy. Za mną.

Wysoki wojownik powiodł ich środkiem jałowej doliny do szerokiego, wykutego w skale wejścia. Zapłonęły pochodnie i pojawili się gwardziści ze srebrnymi toporami. Zanurzyli się głęboko w trzewia góry, aż wreszcie stanęli przed olbrzymią bramą, której pilnowały dwa potężne ogary. Wojownik zignorował ich obecność i pchnął wrota. Wewnątrz była okrągła sala, bogato zdobiona kobiercami, kilimami, kotarami i parawanami. Pośrodku, rozłożona na sofie, leżała kobieta nieprzeciętnej urody. Miała złote, podkreślone srebrnymi pasemkami włosy oraz ciemnoniebieskie oczy, tego samego koloru co krótka, luźna koszula. Skóra jej była blada i cudownie gładka. Cormac z trudem przełknął ślinę, gdy wojownik podszedł do sofy i ukląkł przy królowej. Odprawiła go machnięciem ręki i przywołała Cormaca.

Kiedy podchodził do kobiety, zauważył, że jej kontury rozmywają się i przyoblekają w kształty opuchniętego, pokrytego łuskami stwora, parszywego i gnijącego, by po chwili znów przybrać formę smukłej piękności, jaką widział z początku.

- Pocałuj mnie w rękę - rozkazała.

Ujął delikatne palce i zbladł, gdy oferowana mu dłoń nabrzmiała i sypnęła robakami. Skupił jednak myśli na Anduinie, wziął się w garść i pochylił głowę, dotykając ustami skłębionej masy.

- Cóż za odwaga - powiedziała. - Jak cię zwą?

- Cormac Daemonsson.

- Czyżbyś był synem demona?

- Jestem synem Uthera, najwyższego wodza Brytów.

- Tym imieniem nie zaskarbisz tu sobie przyjacieli.

- Nie jest on moim przyjacielem. Zaszczuł na śmierć moją matkę.

- Doprawdy? - Spojrzenie jej powędrowało ku postaci oczekującego w progu Maedhlyna. - A oto mój stary druh, Zeus. Daleko stąd do twojego Olimpu... bardzo daleko. Trudno mi wyrazić, jak ucieszył mnie twój widok - syknęła.

Maedhlyn pokłonił się z chmurną miną.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć o sobie tego samego - stwierdził.

Znów popatrzyła na Cormaca.

- Gdybym usłuchała pierwszej myśli, jaka mi się narzuciła, już byś skomlał z bólu i wrzeszczał w męczarniach. Zdołałeś jednak obudzić moją ciekawość, a wydarzenia godne

zainteresowania rzadko teraz przytrafiają się Goroiem. Mów więc, przystojny książę, powiedz, dlaczego szukałeś królowej.

- Muszę zdobyć twierdzę - rzekł po prostu.

- Czemuż by to miało mnie zainteresować?

- Wodan... Moloch jest przecież twoim wrogiem.

- To za mało.

- Chodzą słuchy, że władza mocą zdolną przywrócić swoim wyznawcom życie z krwi i kości.

Kto wie, czy ty również nie posiadasz tej mocy, kiedy zdobędziesz twierdzę?

Leżąc na sofie, znów się przeciągnęła. Cormac nie mógł oderwać oczu od tej lśniącej sylwetki, połączenia piękna i rozkładu.

- Sądziś, że nie usiłowałam go pokonać? Czy oferujesz mi coś, co przeważy szalę na moją korzyść?

- Po pierwsze pozwól, że zapytam, co stoi na przeszkodzie, byś zajęła strażnicę?

- Władza Molocha przewyższa moją własną.

- A gdyby go tu nie było?

- Gdzie indziej miałby być?

- W cielesnym świecie, pani.

- To niemożliwe. Należałam do tych, którzy zniszczyli go w Wieży Babel. Widziałam, jak Culain odcina mu głowę.

- A mimo to powrócił, dzięki temu oto człowiekowi, Maedhly-nowi. A skoro on tego dokonał, i tobie może się udać.

- Dlaczego mi to proponujesz? Przecież twoja krew musi domagać się mojej zagłady.

- Ponieważ ukochana przeze mnie kobieta poniosła śmierć przez tego Molocha, który w tej chwili trzyma w twierdzy jej ducha.

- Ale to nie wszystko, prawda? Co sprowadza tu Maedhlyna i tych żołnierzy Uthera?

- Król Uther także został ujęty i zakuty w ogniste kajdany.

- Nareszcie rozumiem. A więc chcecie, aby Goroiem uwolniła Uthera? Postradaliście zmysły! - Uniosła dłoń i gwardziści wystąpili ze wszystkich kątów sali.

- Moloch żyje - rzekł Cormac spokojnie. - Zwie się obecnie Wodanem i planuje najechać Brytanię. Tylko Uther jest w stanie go powstrzymać. Jeśli... kiedy to się stanie, a ty będziesz władała twierdzą, czyż duch Molocha nie przyjdzie bezmyślnie do ciebie?

Oddaliła gwardzistów.

- Zbadam kwestię, którą poruszyłeś. Maedhlynie! Dotrzymasz księciu towarzystwa w moich komnatach. Reszta niech tu zaczeka.

Przez godzinę w prywatnym apartamencie królowej, która leżała na przykrytym jedwabiami łożu, Maedhlyn opowiadał o przywróceniu Molocha do życia. Cormac zauważył, że opowiadana historia różni się nieznacznie od tej, jaką sam wcześniej usłyszał od czarodzieja. W nowej wersji Maedhlyn ponosił znacznie mniejszą winę i padał ofiarą zdrady. Cormac nie wtrącał się jednak do opowieści maga, tylko obserwował lśniąca królową, usiłując odczytać uczucia, jakie odbijały się na jej wciąż zmieniającej się twarzy.

Gdy Maedhlyn skończył mówić, Goroiem wstała.

- Zawsze byłeś aroganckim głupcem - powiedziała - i w końcu musiałeś za to zapłacić. Tym razem Culain nie przyszedł ci z odsieczą. Poczekaj w sąsiedniej komnacie. - Maedhlyn pokłonił się i opuścił apartament. - A teraz ty, książę Cormacu.

- Od czego mam zacząć?

- Jak to się stało, że syn Uthera został nazwany synem demona? Zdał jej pełną relację.

Błyskała oczyma, gdy mówił o miłości

Culaina do królowej, jednak milczała w bezruchu, dopóki nie streścił jej ostatniego dnia na górze, kiedy nadeszli Wikingowie i zginęła Anduina.

- No, no - szepnęła. - Jesteś tu z miłości? Niezbyt mądrze, Cormacu. Poddajmy twoją

mądrość sprawdzianowi - pochyliła się tak, że niemal dotykała go twarzą. - Dałeś mi wszystko, co posiadałeś, chyba się nie mylę?

- To prawda.

- A zatem nie jesteś już mi potrzebny?

- Zgadza się.

- Czyżby Maedhlyn nie przestrzegł cię, że nie wolno mi ufać? Że jestem złem?

- Przestrzegł.

- Dlaczego tu w takim razie przyszedłeś?

- Powiedział też, że Culain lach Feragh niegdyś cię kochał.

- Co to ma teraz za znaczenie? - parsknęła.

- Być może żadne. Ale ja kocham Anduinę i wiem, co to oznacza. Jest częścią mnie i na odwrót. Poza nią jestem niczym. Nie wiem, czy źli ludzie są zdolni do miłości, a jeśli tak, jak udaje im się pozostać złymi. Nie wierzę jednak, by Culain pokochał kogoś, kto nie miał w sobie choć odrobiny dobra.

- Z twoich słów wynika, Cormacu, że nie jesteś mądry. Culain kochał mnie, bo byłam piękna i inteligentna. A potem dopuścił się zdrady, co powiódził względem Uthera. Poślubił inną... a ja ją zabiłam. Miał córkę, Alaidę; próbował ją uratować, więc wydał ją za króla Brytanii, lecz ja ją odnalazłam i ona również umarła. Następnie usiłowałam zabić jej syna, Uthera, tym razem ponosząc porażkę. Teraz mówisz mi, że jest więźniem i śmierć mu patrzy w oczy... Pomyśleć tylko, że jego syn siedzi w mojej fortecy i prosi o łaskę! Cóż dasz mi w zamian za moją pomoc? Dobrze się namyśl, Cormacu, bo wiele zależy od twojej odpowiedzi.

- A więc jestem zgubiony, nie mogę ci bowiem niczego ofiarować.

- Niczego - powtórzyła jak echo. - Nie masz nic dla Goroien? Odejdź i dołącz do swoich przyjaciół. Wkrótce usłyszysz moje zdanie.

Spojrzał w jej palające oczy i serce w nim zamarło.

W świetle księżyca do brzegu dobiła łódka rybacka, kryjąc się w okrągłej zatoczce niedaleko Anderidy. Galead podziękował szyprowi, dał mu dwie małe sztuki srebra i wyskoczył przez burtę do sięgającej kostek wody; po chwili znalazł się na kamienistej plaży. Wspiął się wąską ścieżynką na szczyt klifu i spojrzał na łódkę, która w podrygach wypływała na Morze Galijskie.

Tej nocy powietrze było chłodne, a niebo bezchmurne. Galead otulił się szczelnie długim płaszczem, wyglądając jakiegoś schronienia pod drzewami. Zatrzymał się wreszcie w zagłębieniu terenu, skąd blask ogniska roztaczał się w promieniu nie większym niż kilka jardów. Miał niespokojne sny, śnił o mieczu unoszącym się na falach i o świetle na niebie, podobnym do wielkiej, błyszczącej srebrzyście kuli, mknącej wśród obłoków. Obudził się o północy i dołożył drewna do ognia; aby uśmierzyć głód, zjadł ostatnią z wędzonych ryb, jakie dostał od rybaka.

Upłynęło już dwanaście dni, odkąd Cateriks uratował rabusia, lecz myśli Galeada wciąż skupiały się na osobie małego człowiecz-

ka. Potarł zarośnięty policzek, wyobrażając sobie gorącą kąpiel w pachnącej wodzie oraz młodą służącą, która by wytarła go do sucha i namaściła mu ciało olejkiem, delikatnymi dłońmi masując napięte mięśnie. Zajęczał, gdy obudziło się w nim pożądanie, które zdusił z wysiłkiem.

Na bogów, minęły wieki, odkąd po raz ostatni czuł miękkie ciało pod sobą i żar obejmujących go rąk. Na kilka minut powrócił książę Ursus, by dręczyć jego umysł.

"Cóż porabiasz w tej zapadłej krainie?" - zapytał Ursus.

"To sprawa honoru" - odparł Galead.

"A jaką z tego będziesz miał korzyść, głupcze?"

Przeniósł wzrok na płomienie, ale nie znalazł odpowiedzi. Chciał, żeby znów ukazał mu się Pendarric. Siedział nieruchomo aż do świtu. Nikt się nie pojawił.

Dzień nastał pochmurny, a Galead wyruszył we wskazanym mu przez rybaka kierunku, czyli na zachód wzdłuż wybrzeża. Trzykrotnie ujrzał sarnę, a raz dużego szaraka, lecz z braku łuku musiał zapomnieć o polowaniu. Kiedyś nauczył się zastawiać wnyki, ale niecierpliwość nigdy nie pozwalała mu czekać godzinami z iskierką nadziei na zdobycz.

Maszerował więc przez cały ranek, dopóki nie zauważył, nieco na północy, smużki dymu. Skręcił w jej kierunku, wspiął się na pagórek, a wówczas zobaczył płonąca wioskę i ziemię usłaną trupami. Usiadł i przyglądał się wojownikom w rogatych hełmach, biegającym od domu do domu, wywlekającym kobiety i dzieci, łupiącym, zabijającym. Jeźdźców było około pięćdziesięciu, zabawili w wiosce jakąś godzinę. Kiedy na koniec odjechali na północ, nic nie poruszało się we wsi prócz kłębow dymów z wypatroszonych chałup.

Galead podniósł się ociężale i ruszył w stronę saskiej osady, przystając obok każdego ciała. Nikt nie ostał się przy życiu. Roztrzaskany rondel wciąż zawierał garść wysuszonego owsa; Galead zsywał go do płóciennej chustki, którą następnie zawiązał i umocował u pasa. Pośrodku zdewastowanej wsi znalazł osmaloną z jednej strony szynkę. Odciął nożem kilka kawałków i połknął je w pośpiechu.

Gdy spojrzął na prawo, zobaczył u wejścia do chaty dwoje martwych, szcepionych rękami dzieci, patrzących na niego niewidzącym wzrokiem. Odwrócił głowę.

Tak wyglądała wojna. Nie miała nic wspólnego z okrytymi chwałą młodzieńcami w błyszczących zbrojach, wpisującymi swe imiona na karty historii, ani z homerycznym bohaterstwem śmiałków

zmieniających oblicze świata. Wiązała się jedynie z dojmującą martwością, głuchym milczeniem oraz potwornym złem, którego żniwem były martwe dzieci.

Wyciął kilka grubych płatów szynki, odrzucił resztę i opuścił osadę, by ruszyć dalej na zachód. Na szczycie wzniesienia obejrzał się za siebie. Do wsi wkradł się lis i przystąpił do obgryzania trupa. Nad okolicą zaczęły krążyć wrony...

Coś poruszyło się w krzakach na prawo i Galead okręcił się, wężowym ruchem dobywając miecza. Dziecko krzyknęło, więc rycerz odrzucił broń.

- Wszystko w porządku, mała - powiedział łagodnie, gdy dziewczynka zakryła twarz rękami. Nachylił się nad krzakiem, uniósł ją i przycisnął do piersi. - Nic ci nie grozi. - Ramiona dziecka owinęły się wokół szyi Galeada i dziewczynka przytuliła się doń z całej siły. Podniósł miecz, schował go do pochwy, po czym podjął wędrówkę.

Mała nie mogła mieć więcej jak sześć lat, na wychudzone rączki wprost żal było patrzeć. Miała jasnoblonde włosy, tu i ówdzie przeplecione ciemniejszymi kosmykami, które głaskał w czasie marszu. Nic nie mówiła, z rzadka tylko poruszając się w jego objęciach.

Dobrze po południu Galead miał już za sobą jakieś dwanaście mil. Nogi go bolały, a ramiona omdlewały od dźwiganego ciężaru. Gdy wszedł na szczyt niewielkiego wzgórza, ujrzał w dole wioskę: osiemnaście okrągłych, otoczonych palisadą chatynek. Po wybiegu dreptały konie, a na stokach pasło się bydło. Wolno zszedł ze wzgórza. Jako pierwszy zobaczył go mały chłopiec, który natychmiast pognął do wioski, po czym tuzin zbrojnych w siekiery mężczyzn wyszło naprzeciw Galeadowi. Przewodził im rosły wojownik ze stalowoszarą brodą.

Mężczyzna ów przemówił w gardłowej, saskiej mowie.

- Nie rozumiem waszego języka - odparł Galead.
- Pytałem, kim jesteś - powiórzył mężczyzna ochryłym i niewyraźnym głosem.
- Nazywam się Galead. Mam tu dziecko z saskiej rodziny. Jej wieś zaatakowali Goci, wszystkich zabili.
- Dlaczego Goci mieliby nas atakować? Mamy tych samych wrogów.
- Jestem tu obcy. Jestem Merowingiem z Galii. Wiem tylko, że wojownicy w rogatych

hełmach wymordowali mieszkańców wsi,

w której urodziło się to dziecko. Czy mógłbym ją u was zostawić, czy powinienem raczej ruszać w dalszą drogę?

- Nie jesteś przypadkiem żołnierzem Uthera?

- Powiedziałem już, kim jestem.

- Wobec tego możesz wejść. Mam na imię Asta. Zabierz ją do mojego domu, żona się nią zaopiekuje.

Galead zaniósł dziecko do długiej chaty w samym środku osady, gdzie tęga kobieta spróbowała zachęcić małą, by opuściła ramiona Galeada. Dziewczynka płakała i za nic nie chciała rozstać się z rycerzem, bez względu na łagodne słowa, jakie do niej szeptał. Kobieta uśmiechnęła się i przyniosła trochę mleka w glinianym garnuszku. Gdy Galead siedział przy szerokim stole z popijającą mleko dziewczynką na kolanach, zjawił się Asta.

- Jesteś pewien, że to byli Goci?

- Nie zauważyłem ani jednego Rzymianina. -Ale dlaczego?

- Nie możemy teraz o tym rozmawiać - rzekł Galead, wskazując na milczące dziecko - ale w wiosce było wiele kobiet.

Błękitne oczy Asty rozbłysły zrozumieniem, oblicze jego pociemniało.

- Pojmuję. Wszystko widziałeś?

- Niestety, tak. Mężczyzna pokiwał głową.

- Posłałem jednego jeźdźcę, by zbadał wioskę i ruszył w ślad za bandytami, a trzech kolejnych, aby przestrzegali okoliczne osady. Jeśli mówisz prawdę, Goci popamiętają nauczkę.

Galead potrząsnął głową.

- Brakuje wam ludzi. Jeżeli tylko podejmiecie walkę, nastąpi więcej rzezi. Rada moja jest taka: roześlijcie zwiadowców, a kiedy Goci podejną, ukryjcie się wśród wzgórz. Czyżby wasz król nie posiadał tu żadnego wojska?

- O którym królu mówisz? - prychnął Asta. - Kiedy byłem młodym wojownikiem, Krwawy Król zgniótł nasze wojsko, przyznając chłopcu, Wulfhere, prawo do tytułu króla Południowych Sasów. Ale to żaden król; żyje jak kobieta, chyba nawet ma męża. - Asta splunął ze wzgardą. -A Krwawy Król? Cóż go obchodzi, że ktoś... źle traktuje saskie kobiety?

Galead milczał. Dziecko usnęło mu na rękach, więc umieścił je na łóżku przy ścianie, opodal płonącego ogniska, gdzie trzy bojowe ogary drzemały na usłanej sianem podłodze. Nakrył dziewczynkę kocem i pocałował w policzek.

- Jesteś troskliwym człowiekiem - zauważył Asta, gdy rycerz powrócił do stołu.

- Opowiedz mi o Gotach. Asta wzruszył ramionami.

- Niewiele mi o nich wiadomo. Wylądowało tu ich około ośmiu tysięcy, zniszczyli jeden rzymski legion. Trzon armii ruszył na zachód, pozostał mniej więcej tysiąc.

- Po co na zachód? Czego tam szukają?

- Nie wiem. Jeden młodzieniec od nas ze wsi jechał wraz z nimi jakiś czas. Opowiadał później, że ich dowódca rozpytywał o najdogodniejszą drogę do Sorviodunum. Mój człowiek nie umiał mu odpowiedzieć. To szmat drogi stąd.

- Czy ich król, Wodan, był razem z nimi? Sas powtórnie wzruszył ramionami.

- Jakie masz plany?

- Wodan zniszczył całą moją rodzinę w Galii i planuję wyprawić go na tamten świat.

- Chybaś oszalał, on podobno jest bogiem!

- Nie mam wyboru - odpowiedział Galead.

## Rozdział czternasty

**P**raktycznie rzecz biorąc, Południe jest już nasze, panie- rzekł Tsurai, wpatrując się beznamiętnymi, piwnymi oczyma w marmurową posadzkę.

Wodan w milczeniu obserwował mężczyznę, jego ściągnięte, azjatyckie rysy, napięte mięśnie karku, pot perlący się na czole. Mógł niemal smakować jego strach.

- A co z Północą?

- Wbrew oczekiwaniom, panie, przeciwko nam wystąpili Brygantowie. Niewielki nasz oddział zabłąkał się do jednego z ich świętych miejsc, gdzie odbywały się jakieś tańce kobiet.

- Czyż nie mówiłem, by nie wszczynać żadnych zatargów z plemionami?

- Mówiłeś, panie. Winowajców odnaleziono i wbito na pal.

- To za mało, Tsurai. Każesz wbić na pal także oficerów. Z jakiego są regimentu?

- Z hufca Boldera, panie.

- Spośród każdego dwudziestu jednemu uciąć głowę.

- Panie, znana mi jest twoja wszechwiedza, pozwól jednak przypomnieć sobie, że żołnierze na wojnie ulegają częstokroć emocjom...

- Nie pouczaj mnie - rzekł Wodan spokojnie. - Znam się na wszystkich uczynkach, do których zdolni są ludzie. Mało mnie obchodzi garstka zgwałconych kobiet, ale posłuszeństwo mojej woli jest nadrzędną powinnością wszystkich moich ludzi. Wczoraj napadnięto także na jedną z saskich wiosek.

- Doprawdy, panie?

- Doprawdy, Tsurai. Sprawcy muszą ponieść taką samą karę i trzeba temu nadać rozgłos. Niechaj nasi sascy sprzymierzeńcy poznają, że sprawiedliwość Wodana jest rychliwa i surowa. A teraz opowiedz mi, jak sprawuje się Kato.

- To zręczny generał. Trzykrotnie zagradzał nam drogę, przez co nasz marsz na Eboracum jest wolniejszy, niż to wcześniej zakładaliśmy, jednak wciąż - dodał pospiesznie - przemy naprzód, a samo miasto powinno paść w ciągu kilku dni.

- Ja nie podzielałem nadziei dowódców na prędkie zdobycie Eboracum - stwierdził Wodan. - Ale teraz to bez znaczenia. Czy odkryłeś, w jakiej kryjówce umieszczono ciało Krwawego Króla?

- Znajduje się na Wyspie z Kryształu, panie, bardzo blisko Sorviodunum.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, panie. Geminus Kato ma adiutanta o imieniu Decius, on z kolei ma w Eboracum nałożnicę. Opowiedział jej, iż człowiek zwany Lordem Lancy zabrał królewskie ciało na wyspę, by je tam przywrócić do życia.

- Culain - mruknął Wodan. - Jakże tęsknię, by go znowu ujrzeć!

- Culaina? Nie rozumiem, panie.

- To mój stary przyjaciel. Każ Alarykowi maszerować do Sor-viodunum, jak było ustalone, niech jednak pošle na wyspę dwustu wojowników. Chcę zobaczyć głowę Uthera na lancy. Jego ciało powinno być zostać poćwiartowane już w pierwszym ataku.

- Wśród nieprzyjaciół krążą pogłoski, panie, że król do nich powróci.

- To zrozumiałe. Bez Uthera i jego miecza błądzą jak dzieci w ciemności.

- Mogę zapytać, panie, dlaczego nie chcesz zabić jego ducha? Wówczas sprawa powrotu króla zostałaby zamknięta.

- Pożądam miecza, a tylko on wie, gdzie go schował. Dopóki nie zginie jego ciało, dopóty będzie mi się opierał i żywił w sercu złudną nadzieję. Gdy jednak umrze, wykorzystam jego rozpacz. A teraz odejdz.

Pozostawiony w samotności Wodan zaryglował drzwi komnaty bez okien i usiadł na szerokim łożu. Przymknąwszy powieki, zmusił swego ducha, by pomknął w ciemności...

Otworzył oczy w oświetlonym pochodniami pomieszczeniu ze ścianami z chłodnego kamienia, wstał i objął wzrokiem swoje otoczenie: posągi o pustym spojrzeniu, bezbarwne

kobierce i draperie. Jakże nienawidził tego miejsca za to, że było jeno bladą imitacją rzeczywistości. W rogu stały trzy kielichy i dzbanek. W ciągu długich stuleci, jakie tu spędził, często nalewał sobie czerwonej, obojętnej w smaku cieczy, udając, że to wino. Wszystko tu było szyderstwem.

Wyszedł na korytarz. Wszędzie ludzie podrywali się z zaskoczeniem, po czym padali przerażeni na kolana. Ignorując wszystkich, wspiął się szybko na podwyższenie, gdzie stał tron Molocha. Przez jakiś czas wysłuchiwał petycji tych, którzy mu służyli: próśb o możliwość powrotu do ciała, obietnic wiecznego posłuszeństwa. Niektóre prośby spełnił, ale większość odrzucił. Ostatecznie opuścił salę tronową i krętymi schodami zszedł do lochów. Wielka bestia z wilczym, wydłużonym pyskiem pokłoniła mu się u wejścia; z wywalonego na wierzch jezora na kamienną posadzkę spływała ślina.

Wodan minął potwora i znalazł się w ostatnim lochu, gdzie nadgarstki Uthera przypięto do ściany okowami. Języki ognia lizały jego ciało, osmalając i paląc, lecz skóra goiła się natychmiast po to tylko, aby płonąć na nowo. Wodan odegnał ognie i król zawisł bezwładnie.

- Jak ci się powodzi, Utherze? Przygotowałeś nowe kłamstwa?

- Nie mam pojęcia, gdzie on się znajduje - wyszeptał Uther.

- To niemożliwe, sam go odesłałeś.

- Czas naglił, więc rzuciłem go z życzeniem, aby zniknął.

- Człowiek, który cię pierwszy zobaczył, usłyszał podobno jakieś imię. Jakie?

- Nie pamiętam, przysięgam na Boga.

- Czy był to przyjaciel? Może Culain?

- Możliwe.

-A więc to nie był Culain. Dobrze! Zatem kto? Komu mogłeś zaufać, Krwawy Królu?

Przecież nie Victorinusowi. Jakie imię wyszło z twoich ust?

- Nigdy go nie znajdziesz - powiedział Uther. - A gdybyś mnie nawet stąd uwolnił, sam bym go nie znalazł. Wysłałem miecz do snu, który się nigdy nie przyśni.

- Opowiedz mi o tym śnie!

Uther uśmiechnął się i zamknął oczy. Wodan podniósł rękę i gdy ogień na powrót ogarnął więźnia, rozległ się ścinający krew w żyłach okrzyk agonii. Płomienie znikły, a czarna skóra natychmiast pokryła się świeżą tkanką.

- Kpisz sobie ze mnie? - syknął Wodan.

- Jak zawsze - odparł Uther, przygotowując się na następną torturę.

- Jeszcze się przekonasz, że "zawsze" to bardzo, bardzo długi okres. Już mi się sprzykrzył ogień. Powinieneś mieć jakieś towarzystwo. - Kiedy Wodan cofnął się do wyjścia, w ścianach lochu pojawiły się otwory, z których zaczęły wyskakiwać szczury, by ruszyć gromadnie na bezbronного króla, kłusząc i szarpiąc ciało.

Wodan wyszedł z lochu, ścigany na korytarzu echemi krzyków. Wspiął się do górnych pięter, gdzie przy tronie czekał nań kapitan Lojalnych. Mężczyzna pokłonił się na widok władcy.

- Czegóż chcesz, Ustreadzie?

- Mam coś dla ciebie, panie. Sądzę, że wymażę tym moje niepowodzenie w Recji.

- Musiałoby to być coś znacznie większego, niż można tu znaleźć - rzekł Wodan, wciąż zdenerwowany po rozmowie z upartym królem.

- Nie przesadzam, panie, i mam nadzieję, że się o tym przekonasz. - Ustread klasnął w dłonie i dwóch żołnierzy weszło na salę, wiodąc między sobą dziewczynę.

' - Kobieta? Cóż z niej za pożytek? Mogę... - Wodan urwał w pół zdania, rozpoznawszy księżniczkę. - Anduina? Jak to? - Zbliżył się do niej i gestem odprawił gwardzistów. Stała przed nim w milczeniu.

- Co ci się stało, księżniczko?

- Zabili mnie twoi ludzie. Mieszkałam w górach Kaledonii, gdzie mnie przeszyli mieczem.



- Zapłacą mi za to, och, słono zapłacą!
- Nie chcę, żeby płacili. Chcę tylko zostać uwolniona. Nie przedstawiam już dla ciebie żadnej wartości. Nie zostało ze mnie nic, co mogłoby zostać złożone w ofierze.
- Źle mnie zrozumiałaś, Anduino. Nigdy nie miałaś zostać ofiarowana. Chodź ze mną.
- Dokąd?
- W ustronne miejsce, gdzie nie spotka cię żadna krzywda. -Uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, będzie zupełnie na odwrót.

Dziecko rozplakało się w nocy i Galead natychmiast ocknął się ze snu. Wstał ze swego posłania przy dogasającym ogniu, podszedł do dziewczynki i wziął ją w ramiona.

- Jestem przy tobie, maleńka. Niczego się nie bój.
- *Mudder tod* - powtarzała w kółko. Żona Asty z kocem na ramionach przysła z drugiego końca chaty. Uklękła przy łóżku i przez kilka minut przemawiała do małej w języku nieznanym Merowingowi. Później wytarła do sucha zlaną potem twarz dziecka. Gdy ułożono z powrotem dziewczynkę, jej malutkie rączki złapały za tunikę rycerza, z oczu wyzierał strach. - *Vader! Vader!*
- Nie opuszczę cię - powiedział. - Obiecuję. - Zamknęły się jej powieki i zasnęła.
- Jesteś łagodnym człowiekiem, jacy rzadko trafiają się wśród wojowników - stwierdziła kobieta. Wstała i podeszła do ognia, dołożyła dREW, a następnie rozdmuchała płomień. Galead usiadł obok niej i razem napawali się ciepłem.
- Dzieci mnie lubią - powiedział. - To przyjemne uczucie.
- Mam na imię Karyl.
- Galead - odparł. - Od dawna tu mieszkacie?
- Przybyłam z Recji osiem lat temu, kiedy Asta zapłacił mojemu ojcu. To dobra ziemia, choć tęsknię za górami. Co zrobisz z dzieckiem?
- Co zrobię? Zamierzałem je tu zostawić, żebyście się nim zaopiekowali.
- Karyl uśmiechnęła się lekko i ze smutkiem.
- Powiedziałeś, że jej nie opuścisz. Ona ci uwierzyła, a jest bardzo znękana. Żadne dziecko nie powinno przechodzić tyle, co ona.
- Ale ja nie mogę się nią opiekować. Jestem wojownikiem, a wybuchła wojna.
- Karyl przeczesła ręką gęste ciemne włosy. Twarz z profilu nie wydawała się ładna, lecz kobieta miała w sobie pewną siłę, która dodawała jej wdzięku.
- Masz wizje, prawda, Galeadzie? - szepnęła i mrowie przeszło mu po plecach.
- Czasami - przyznał.
- Ja też. Tutejsi ludzie zamierzali przystać do Gotów, ale ja kazałam mężowi się wstrzymać, bo znaki były dziwne. Potem ty się zjawiliś, człowiek z twarzą, która do niego nie należy, człowiek opiekujący się saskim dzieckiem. Wiem, że jesteś żołnierzem Uthera, lecz niczego nie powiedziałam mężowi. A wiesz dlaczego?
- Nie.
- Bo Asta także zostanie żołnierzem Uthera, zanim się to wszystko zakończy. To dobry człowiek, ten mój mąż, i silny. Gotów zaś zwiodła zła potęga. Asta zwoła *fyrđ*, gdy potwierdzą się twoje wieści, a wtedy powstaną zbrojnie sascy wojownicy.
- Nie macie mieczy. Uther zabronił Sasom nosić broń.
- A czymże jest miecz? Narzędziem do cięcia. My, Sasi, jesteśmy sprytnym narodem, nasi wojownicy wprawili się w posługiwaniu toporem. Powstaną i zasilą szeregi Krwawego Króla.
- Uważasz, że mamy szansę na zwycięstwo? Wzruszyła ramionami.
- Nie wiem, ale ty, Galeadzie, masz w tym dramacie pewną rolę do odegrania... A w roli tej nie przewidziano miecza.
- Mów jaśniej, Karyl. Nigdy nie byłem dobry w łamigłówkach.

- Zabierz ze sobą dziecko. Musisz się spotkać z pewną kobietą: zimną, wyrachowaną kobietą. Ona stanowi bramę.

- Bramę do czego?

- W tej sprawie niewiele mogę ci wyjaśnić. Dziecko nazywa się Lectra, chociaż matka wołała na nią Lekky.

- Dokąd mogę ją zabrać? Musisz znać jakieś miejsce.

- Zabierz ją do serca, wojownika. Jest teraz twoją córką i widzi cię jako swego ojca. Mąż jej matki powędrował do Recji, aby służyć Wodanowi, gdy ona chodziła w ciąży. Lekky czekała długie lata, aby go zobaczyć. W jej udręczonym umyśle to ty nim jesteś, przybyły do domu, ażeby się nią zaopiekować. Wątpię, czy bez ciebie długo pożyje.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Wiem, ponieważ jej dotykałam, ty zaś wiesz, że nie kłamię.

- Co mówiła po przebudzeniu?

- *Mudder tod!* Matka nie żyje. -*A Vader!* Ojciec?

Karyl skinęła potakująco.

- Daj mi rękę.

- Wtedy poznasz wszystkie moje sekrety.

- Czy to cię niepokoi?

- Nie - przyznał, wyciągając ramię - ale umniejszy mnie w twoich oczach.

Ujęła dłoń Galeada i przez kilka minut siedziała w milczeniu. Na koniec puściła jego rękę.

- Dobrej nocy, Galeadzie - powiedziała, wstając.

- Dobrej nocy, pani.

- Teraz będę spała spokojniej - rzekła z uśmiechem. Patrzył, jak odchodzi na drugą stronę chaty, by zniknąć w cieniu przyległej izby. Lekky zakwiliła przez sen. Galead wziął koc i położył się obok dziewczynki. Otworzyła oczy i przytuliła się do niego.

- Jestem przy tobie, Lekky.

- *Vader?*

- *Vader.*

Goroien siedziała samotnie w swojej komnacie bez luster, wracając wspomnieniami do czasów młodości i chwały, gdy Culain był kimś więcej niżli tylko kochankiem czy przyjacielem. Pamiętała, jak ojciec zabraniał jej się spotykać z młodym wojownikiem i jak drżała, kiedy oznajmił, iż nakazał swym młodym sługom odszukać Culaina i zabić. Trzydziestu najlepszych tropicieli ojca wyruszyło jesienią w góry. Tylko osiemnastu wróciło; opowiadali, jak to przygwoździli go w głębokim wąwozie, a potem spadły śniegi i zasypały przełęcze. Ponoć nikt nie mógł przeżyć długo na tym lodowatym pustkowiu.

Uwierzywszy w śmierć kochanka, Goroien odmawiała jedzenia. Ojciec bił ją i szykanował, nie mógł jednak złamać postanowienia córki. Z wolna traciła siły i tamtej nocy zimowego przesilenia zawisła nad nią śmierć.

Półprzytomna i złożona niemocą, nie widziała dramatu, jaki się rozgrywał.

Podczas uczty otworzyły się wielkie drzwi i Culain lach Feragh przeszedł środkiem sali, by stanąć przed naczelnikiem.

"Przybyłem po twoją córkę" - oświadczył. W jego ciemnej brodzie błyszczały sople lodu.

Co poniektórzy zerwali się na nogi z dobytymi mieczami, lecz naczelnik powstrzymał ich skinieniem ręki.

"Co każe ci mniemać, że odejdiesz stąd żywy?" - zapytał.

Culain rozejrzał się po zastawionych stołach i krzepkich wojownikach. Potem wybuchnął śmiechem, a jego wzdarga mocno wszystkich ubodła.

"Co każe ci mniemać, że tak się nie stanie?" - odparł. Ryk wściekłości był odpowiedzią to

wyzwanie, jednak naczelnik po raz drugi uciszył biesiadników.

“Chodź za mną” - rzekł i zaprowadził wojownika do postania Goroien. Culain przyklęknął obok łoża, ujął ją za rękę wtedy usłyszała jego głos:

“Nie opuszczaj mnie, Goroien. Jestem przy tobie i zawsze już będę”.

Powróciła do zdrowia i wzięli ślub. Ale to się działo za dni poprzedzających upadek Atlantydy, zanim kamienie Sipstrassi uczyniły z nich bogów. Jakkolwiek w kolejnych stuleciach każde miało wielu kochanków, wciąż powracali do siebie niczym do oazy spokoju.

Co ich odmieniło? - zastanawiała się. Władza czy nieśmiertelność? Urodziła Culainowi syna, choć on o tym nigdy się nie dowiedział, a Gilgamesz odziedziczył po ojcu niemal całą jego zręczność w posługiwaniu się bronią. Na nieszczęście, odziedziczył również matczyną arogancję i pogardę dla norm moralnych.

Goroien wróciła myślami do ostatnich lat. Jednym z jej, najbardziej bezecnych uczynków było wskrzeszenie Gilgamesza i przyjęcie go na swego kochanka. Tym samym jednak ogłosiła na siebie wyrok, bo Gilgamesz cierpiał na rzadką chorobę krwi, której nawet Sipstrassi nie potrafiły uleczyć. Same kamienie nie mogły jej już zapewnić nieśmiertelności. Tylko krew i śmierć utrzymywały ją w cielesnym świecie. W tamtych czasach - opowiedziała o tym Cormacowi - znenawidziła Culaina, a potem zabiła jego drugą żonę i córkę.

Jednak na koniec, kiedy Culain konał po bitwie z Gilgameszem, oddała własne życie, aby go uratować, skazując się na wieczne piekło.

Teraz jej wybór był prosty. Czy ma wspomóc Cormaca, czy też go zniszczyć? Wszystko, co składało się na mądrość dawnej Królowej-Wiedźmy, domagało się wielkim głosem, by zniszczyć tego chłopca, który był nasieniem Uthera, który z kolei był nasieniem Culaina poprzez swoją córkę, Alaidę. Nasieniem jej klęski! Jednak sympatia królowej skłaniała się ku młodzieńcowi, który wkroczył do Pustki po ukochaną kobietę. Culain postąpiłby podobnie.

Dla Goroien...

Co ten chłopiec powiedział? Szansa na powrót do ciała? Czyżby sądził, że to ją przekona? Ale skąd mógł wiedzieć, iż to ostami prezent, jaki chciałyby otrzymać?

Do komnaty wszedł Gilgamesz i ściągnął hełm. Twarz miał gadzią, pokrytą łuskami. Przemięła uroda, jaką się szczyił za życia.

- Daj mi tego chłopca - powiedział. - Pragnę jego życia.

- Nie, nie dostaniesz go, Gilgameszu. Udamy się razem do twierdzy, a potem ją zdobędziemy. Będziesz walczył u boku Cormaca i bez względu na grożące ci niebezpieczeństwa, zachowasz go przy życiu.

-Nie!

- Jeżeli mnie kochasz, jeżeli kochałeś mnie kiedykolwiek, spełnisz moje żądanie.

- Ale dlaczego, matko? Odwróciła się, wzruszając ramionami.

- Na to nie ma odpowiedzi.

- A po zdobyciu twierdzy? O ile damy radę?

- Wówczas uwolnimy także Uthera.

- W zamian za co?

- W zamian za nic. Taka już jest cena, Gilgameszu: nic. Jakoś nie mogę wymyślić, co bym bardziej wolała dostać.

- To bez sensu.

- Czy ty mnie kiedykolwiek kochałeś? Podniósł hełm i skłonił głowę.

- Nie kochałem niczego prócz ciebie - odparł. - Nawet życia. Nawet walki.

- A zatem zrobisz to dla mnie?

- Wiesz, że zrobię, o co mnie poprosisz.

- Niegdyś byłam królową pośród bogów. Byłam piękna, a ludzie uważali mnie za mądrą. Stałam wraz z Culainem na Wieży Babel; wtedy straciliśmy Molocha i sądziliśmy, że umarło wielkie zło, a ludzie przyrzekali, iż będą o mnie śpiewać przez wszystkie stulecia.

Zastanawiam się, czy wciąż śpiewają.

Gilgamesz włożył hełm i wycofał się z komnaty.

Goroien nie zauważyła nawet, jak wychodzi. Wspominała ów wiosenny dzień, kiedy pobrali się z Culainem pod wielkim dębem, kiedy świat był młody, a przyszłość bezkresna.

## Rozdział piętnasty

**O**d pięciu dni szczuplejące siły dwóch legionów Geminusa Kato powstrzymywały szaleńcze szarże Gotów, wycofując się pod osłoną nocy i zajmując nowe pozycje, za każdym razem bliżej Eboracum. Żołnierze byli na granicy wyczerpania, lecz piątej nocy Kato wezwał dowódców na naradę.

- Nadszedł czas - rzekł im - by wykazać się odwagą. Przechodzimy do kontrataku.

- To szaleństwo! - zawołał Decius, pełen wątpliwości. - Nadszedł czas, by się wycofać.

Zostało nam nie więcej niż sześć tysięcy żołnierzy, a niektórzy z nich nie są nawet w stanie unieść tarczy.

- A dokąd to mamy się wycofywać? Do Eboracum? To miasto nie ma umocnień. A może dalej na pomoc, do Vmovii? Tam napotkamy drugą z gockich armii. Nie. Jeszcze dziś musimy zaatakować.

- Ja w tym nie będę maczał palców! - oświadczył Decius.

- No to wracaj do Eboracum! - prychnął Kato. - Nawet za dziesięć willi nie zniosę dłużej twojej obecności.

Młodzieniec powstał i opuścił zgromadzonych, a wówczas Kato skierował uwagę na pozostałych ośmiu dowódców.

- Jeszcze ktoś? - Nikt się nie poruszył. - Dobrze. A teraz posłuchajcie. Od pięciu dni stosujemy tę samą strategię: stawiamy opór i cofamy się na nowe pozycje. Oni rozłożą się obozem między dwiema rzekami, więc uderzymy na nich z obu stron. Agrippa, ty poprowadzisz prawą kolumnę. Spróbuj się przebić do namiotu, nad którym powiewa proporzec Wodana. W środku będą jego generałowie. Ja zaatakuję lewą flankę, będę ciął i podpalał.

Agrippa, ciemnooki młodzieniec z dziesięcioletnim doświadczeniem w boju, skinął głową.

- Decius nie mówił od rzeczy - powiedział. - Sześć tysięcy żołnierzy zmierzy się z siłą dwukrotnie liczebniejszą. Kiedy już zaatakujemy, nie będzie drogi odwrotu. Kto nie zwycięży, ten zginie, generale.

- Realnie nasze szanse są małe, jednak boski Juliusz rozbił kiedyś stokroć od niego liczebniejszą armię.

- Tak przynajmniej dowodzą współcześni mu kronikarze - mruknął Agrippa.

- Uderzymy szerokim czołem, a w samym obozie przeformujemy szyki. Kiedy już uporasz się z generałami, spróbuj połączyć się z moją kolumną.

- A jeśli nam się nie uda?

- Zabierzcie ze sobą jak najwięcej tych pomiotów.

Kato odprawił oficerów, a oni obudzili swoich ludzi. Rzymskie wojsko zwinęło w ciszy obóz, po czym wymaszerowało w dwóch kolumnach.

W odległości trzech mil Goci rozbili namioty na rozległej równinie pomiędzy dwoma korytami rzek. Płonęły co prawda tuziny ognisk, lecz w ogromnej większości wojownicy już spali. Rozstawiono wartowników, którzy przeważnie drzemali na swoich posterunkach lub

chrapali w krzakach. Któżby lękał się armii, która codziennie się cofa?

W namiocie generała Leofrica na zagrabionych jedwabiach siedzieli goccy wodzowie, żłowiąc wino i dyskutując o upadku Eboracum, a także o skarbcach, jakie zamysłali złupić. Leofric siedział obok nagiej brytyjskiej dziewczyny, pojmanej tegoż dnia przez konnych zwiadowców. Na twarzy miała siniec od uderzenia, jakie otrzymała od jeźdźca, zanim ją zgwałcili. Mimo to podobała się Leofricowi; wziął ją dwukrotnie i, przed przekazaniem jej żołnierzom, zamierzał zafundować sobie jeszcze jedną kolejkę. Objął dłonią jej pierś i mocno zacisnął. Skrzywiła się i krzyknęła, na co Leofric wyszczerzył zęby.

- Powiedz mi, jak bardzo mnie kochasz - rzekł, naciskając silniej.

- Kocham cię! Kocham cię! - wrzasnęła.

- Oczywiście, że tak - powiedział, zwalniając uchwyt. - Ja też cię kocham, no, przynajmniej dzisiaj. - Zgromadzeni wokół mężczyźni parsknęli śmiechem. - Jutro - ciągnął - wszyscy będziemy mieć pod dostatkiem kobiet. I nie jakies tam wieśniaczki, jak ta dzierlatka, ale wysoko urodzone rzymskie jałówki o bladej skórze i umalowanych ustach.

- Myślisz, że Kato wycofa się do miasta? - zapytał Bascii, młodszy brat Leofrica.

- Nie, nie obroni przecież murów. Uważam, że podzieli wojsko i ruszy ku Vinovii, próbując zebrać ludzi wśród plemion Trinovan-tów, ale mu się to nie uda. Niełatwo będzie go dopaść, ale w końcu ulegnie. Nie ma dokąd uciekać.

- To prawda, że w Eboracum są całe ściany pokryte złotem? - spytał Bascii.

- Wątpię, ale jest tam skarb i dostaniemy go w swoje łapy!

- Co to za skarb?

- A taki, jak ten tutaj - odparł Leofric, odpychając dziewczynę i rozkładając jej nogi.

Zamknęła oczy, gdy wokoło rozległy się okrzyki zachęty. Leofric rozpiął bryczesy i zabrał się do roboty.

Jej męka zdawała się ciągnąć w nieskończoność, gdy najpierw Leofric, za nim Bascii, a potem inni brali ją po kolei. Ból następo-

wał po bólu, upokorzenie po upokorzeniu. Na koniec odrzucono ją na bok i mężczyźni rozeszli się do swoich namiotów.

Raptem głos trąbki zmącił nocną ciszę. Pijany i półprzytomny, Leofric chwiejnym krokiem wyszedł przed namiot, skąd zobaczył rzymskie wojska napływające strumieniem do obozu. Oszołomiony, zatoczył się i upadł, usiłując namacać miecz.

Wszczął się nieopisany zamęt, gdy zwarte, zdyscyplinowane formacje wdarły się do obozowiska. Ludzie wybiegali z namiotów, padając pod ciosami bezlitosnych mieczy. Nie przygotowani ani nie zorganizowani, przeważnie bez zbroi, Goci walczyli rozpaczliwie w odizolowanych grupkach.

Żołnierze Kato, wkraczając z lewej flanki, podpalali kolejne namioty. Wiatr rozdmuchał płomienie i rozpętało się istne piekło, które obejmowało swoim zasięgiem coraz większą powierzchnię.

Na prawej flance legioniści Agrippy gromili gockie szeregi; utworzyli klin i niczym olbrzymia włócznia przebijali się ku namiotowi Leofrica. Jakkolwiek pijany, generał był zaprawionym w bojach wojownikiem; od razu połapał się w rozpaczliwej rozgrywce, jaką prowadził Kato, i poznał, że jest jeszcze w stanie powstrzymać nawałnicę. Doświadczonym okiem objął pole bitwy. Zobaczył, że żołnierze Bascii uformowali mur z tarcz, a zamiast tego powinni uderzyć na rzymski klin, by zablokować jego napór, a później przejść do ofensywy. Płomienie uniemożliwią połączenie się wrogich wojsk, które ulegną samej liczebnej przewadze. Nieszczęsny Bascii nie wymyśliłby nigdy podobnej strategii. Leofric wyszedł z namiotu... a wtedy poczuł bolesne ukłucie w plecy. Zachwiał się, upadł na kolana i przewrócił; kręciło mu się w głowie.

Nad nim klęczała Brytyjka; w ręku trzymała nóż i uśmiechała się szeroko, tryumfalnie, wymachując ostrzem nad oczami leżącego.

- Kocham cię - powiedziała i nóż opadł.
- Kato stał nad ciałem Leofrica, z którego oczodołu wciąż wystawała rękojeść sztyletu.
- Niedobitki uciekają w stronę Petvarii - oświadczył Agrippa. - Ale mają na ogonie Lucjusza i trzy kohorty.
- Zastanawiam się, co tu się wydarzyło.
- Nie wiem, panie. Ale gratuluję wspaniałego zwycięstwa!
- Dlaczego mi gratulujesz? Zrobiłeś swoje, podobnie jak każdy z moich żołnierzy. Na bogów, zaczyna tu śmierdzieć!
- Kato omiółł pobojowisko spojrzeniem ciemnych oczu. Wszędzie leżały trupy; jedni spalili się na węgiel w piekielnych płomieniach, które huczały nad namiotami, drudzy padli od mieczy legionistów. Ciała Brytyjczyków zostały wrzucone do pospiesznie wykopanego dołu. Gotów, ogołoconych z oręża i zbroi, pozostawiono na żer lisom i wronom.
- Wybiliśmy dwanaście tysięcy wojowników - odezwał się Agrippa. - Ci, co przeżyli, nie zechcą już więcej wstępować do armii.
- Nie bądź taki pewien. Pewnego dnia powrócą. Teraz musimy rozstrzygnąć, czy ruszać na południe i wspomóc Quintasa, czy też na północ, aby zagrozić Gotom drogę do Eboracum.
- Jesteś zmęczony, panie. Odpocznij dzisiaj, decyzję możesz podjąć jutro.
- Jutro może być za późno.
- Mój dawny dowódca zwykł mawiać: "Utrudzeni ludzie popełniają błędy". Zaufaj jego osądowi, panie, i odpocznij.
- Cytujesz moje własne słowa. Czyżby nie została w tobie ani odrobina szacunku? - rzekł Kato z uśmiechem.
- Rozkazałem, by rozbito ci namiot za wzgórzem. Strumień przepływa tam w wąskiej niecce, którą otaczają dęby.

Prasamaccus osadził wierzchowca. Na północy ciągnął się na wpół zrujnowany Wał Antoniusza, gdzie rozgrywała się właśnie krwawa bitwa. Tysiące wojowników Brygantów osaczyło gocką armię i rozpętała się straszliwa rzeź. Żadna ze stron nie trzymała się strategii. Była to tylko chaotyczna, dzika furia tnących mieczy, toporów i noży.

Skierował wierzchowca w inną stronę; wyćwiczonym okiem ocenił, że w tym dniu nie wyłoni się zwycięzca, a obie strony wycofają się, okrwawione i wycieńczone. Będąc Brygantem, wiedział, co później nastąpi. Nazajutrz wojska plemion wznowią atak, następnego dnia znowu, aż w końcu wrogowie albo zwyciężą, albo wyginą do nogi.

Ruszył na zachód. Przekroczył ziemny wał w miejscu, gdzie rozsypał się on wspólnie z fortem. Zadrzał, wyszeptał modlitwę do duchów, które wciąż się tu błąkały, po czym skręcił na północny zachód ku górą Kaledonii.

Podróż jego przebiegała właściwie bez przygód, jakkolwiek napotykał wielu uciekinierów i słyszał przerażające opowieści o potwornościach, jakich dopuszczali się najeźdźcy. Niektóre z nich były mocno przesadzone, ale większość mroziła krew w żyłach. Podstarzałego Bryganta dawno już przestały dziwić krzywdy, które ludzie potrafili wyrządzać swoim pobratymcom, lecz dziękował bogom, że podobne opowieści ciągle napełniały go zarówno strachem, jak i smutkiem.

Tej nocy obozował przy wartkim strumieniu, a skoro świt rozpoczął powolną wspinaczkę do chaty, gdzie po raz pierwszy spotkał Culaina lach Feragh. Nie zmieniła się wiele. Miły widok dymu uchodzącego z krótkiego komina podniósł go na duchu. Kiedy zsiadł z konia, z chaty wyszedł potężny wojownik z mieczem w ręku.

Prasamaccus pokuśtykał w jego kierunku z nadzieją, że sędziwy wiek i widoczne kalectwo nastawią człowieka bardziej pokojowo.

- Kim jesteś, starcze? - zapytał wielkolud, występując do przodu i przykładając czubek

miecza do piersi Prasmaccusa.

Brygant spojrział na klingę, potem w beznamiętne oczy wojownika.

- Nie przychodzę jako wróg.

- Wrogowie przychodzą w przeróżnych przebraniach. - Mężczyzna wyglądał na znużonego, pod oczyma kładły mu się cienie.

- Szukam młodzieńca i dziewczyny. Przyjaciół powiedział mi, że znajdę ich tutaj.

- Kimże był ów przyjaciel?

- Ma na imię Culain. Przyprowadził ich tu, aby byli bezpieczni.

Mężczyzna odłożył miecz, odwrócił się i ruszył do chaty; Prasmaccus postąpił za nim. Wewnątrz, na wąskim łóżku, leżał człowiek. Brygant pochylił się i zobaczył, że rany dobrze się zagoiły, ale skóra jest śmiertelnie blada, a oddech ledwo wyczuwalny. Na piersi spoczywał czarny kamień z cieniutkimi, złotymi żyłkami.

- Już od tygodni tak leży. Nie mogę mu więcej pomóc.

- Co z dziewczyną?

- Pochowana przed chatą. Zginęła, gdy próbowała go ratować. Prasmaccus wpatrywał się w twarz rannego, jakże podobną do

oblicza Uthera: te same wystające kości policzkowe i silnie zarysowana szczęka; ten sam długi, prosty nos i gęste brwi.

- Magia jest już na wyczerpaniu - powiedział.

- Zauważyłem - odparł mężczyzna. - Z początku był złoty, poprzecinany czarnymi pasemkami, ale z upływem dni rozrastały się czarne linie. Czy on umrze?

- Obawiam się, że tak.

- Ale dlaczego? Rany dobrze się goją.

- Widziałem niedawno innego wojownika w podobnym stanie. Mówią, że duch opuścił jego ciało.

- To przecież pociąga za sobą śmierć - argumentował Oleg - a ten chłopiec żyje.

Prasmaccus wzruszył ramionami i uniósł nadgarstek Cormaca.

- Puls jest bardzo słaby.

- Mam trochę rosołu, jeśli jesteś głodny - rzekł Oleg, podchodząc do stołu. Prasmaccus dokuśtykał do krzesła i usiadł.

Po posiłku Oleg opowiedział Brygantowi o bitwie przed chatą oraz o tym, jak zdradziła ich Riannon, jego własna córka. Prasmaccus nie przerywał opowieści ze względu na ból, jaki malował się w oczach Olega.

- Bardzo kochasz swoją córkę - zauważył.

- Już nie.

- Bzdura. Wychowujemy je, osłaniamy, rozumiemy, a potem oplakujemy ich słabości i smutki. Gdzie ona jest teraz?

- Nie wiem. Wygnałem ją.

- Rozumiem. Dziękuję, Olegu, za pomoc udzieloną księciu.

- Księciu?

- To syn Uthera, naczelnego wodza Brytyjczyków.

- Nie mówił jak szlachcic.

- Okoliczności nie pozwoliły mu wieść szlachetnego życia.

- Cóż nam zatem pozostało?

- Chętnie zabrałbym go do miejsca, w którym leży jego ojciec, ale to za daleko. Nie przeżyłby podróży.

- Czyli pozostało nam siedzieć i patrzeć, jak umiera? Nie zgadzam się na to.

- I nie powinienesz - odezwał się głos w progę; obaj odwrócili się gwałtownie, a Oleg zanurkował po swój miecz.

- To nie będzie konieczne - rzekł nieznajomy, zamykając drzwi i wchodząc do izby. Był

wysoki, barczysty i brodaty, jego włosy przypominały złotą przędzę. - Czyżbyś mnie nie pamiętał, Prsamaccusie?

Stary Brygant siedział nieruchomo.

- W dniu, w którym Uther odnalazł miecz... ty tam byłeś, pomagałeś Laithii. Ale nic się nie postarzałeś.

- Owszem, byłem tam. A teraz jestem tutaj. Racz odłożyć miecz, Olegu Hammerhandzie, i przygotować się do podróży.

- Dokąd to niby?

- Na Wyspę z Kryształu - odparł Pendarric.

- Ten człowiek mówi, że to na drugim końcu królestwa - zdziwił się Oleg. - Wyprawa zajmie tygodnie.

- Chyba że wyruszymy ścieżkami, jakich on zwykle używa - stwierdził Prsamaccus.

- Co to za ścieżki? - zapytał Oleg, gdy Pendarric wyszedł na polanę.

Oleg co prędzej wykonał ochronny znak rogu i w ślad za swoim kulawym towarzyszem wyszedł przed chatę. Pendarric klęcząc trzymał w ręku łatę mierniczą i uważnie wyrysowywał kredą szereg przystających do siebie trójkątów na obwodzie koła. Podniósł wzrok.

- Nie stójcie tak, tylko pomóżcie - powiedział. - Odziejcie chłopca w ciepłe ubrania i przynieście go tutaj. Tylko nie zdeptajcie linii ani nie zatrzyjcie ich w żaden inny sposób.

- To czarodziej - szepnął Oleg.

- Też mi się tak wydaje - zgodził się Prsamaccus.

- Co robimy?

- Dokładnie to, co nam każe.

Oleg westchnął. Ubrali nieprzytomnego Cormaca, Oleg uniósł go ostrożnie z łóżka, a następnie wyniósł na zewnątrz; Pendarric czekał na nich pośrodku czegoś, co wyglądało na dziwną gwiazdę. Oleg uważnie przeszedł nad liniami i ułożył ciało obok wysokiego czarodzieja. Za nim ukazał się Prsamaccus, przynosząc jeden miecz dla Olega oraz drugi dla siebie.

Kiedy wszyscy znaleźli się w okręgu, Pendarric wzniosł ramiona i promienie słońca odbiły się od złotego kamienia w jego prawej dłoni. W powietrzu rozległ się trzask, światło coraz bardziej jaśniało, aż nagle rozbłysło z taką siłą, że Prsamaccus musiał przestłonić oczy. Potem znikło...

Cała trójka stała w kamiennym kręgu na szczycie wzgórza otoczonego drzewami.

- Tu się muszę z wami rozstać - oświadczył Pendarric. - Oby szczęście dopisało wam u celu podróży.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Oleg.

- W Camulodunum. Nie mogłem zabrać was bezpośrednio na wyspę. Za chwilę pojawicie się w samym środku osady, bo tak ją rozplanowano, by przypominała krąg z kamieni. Czeka cię spotkanie ze starą przyjaciółką, Prsamaccusie. Przekaż jej moje gorące pozdrowienia.

Pendarric wyszedł z kręgu i machnął dłonią. Znowu powietrze załśniło, a następny widok, jaki ukazał się ich oczom, przedstawiał trzy zaskoczone kobiety, siedzące w okrągłej sali, czuwające nad ciałem Uthera.

- Wybaczcie, moje panie - rzekł Prsamaccus z ukłonem. Oleg podniósł Cormaca, zaniósł go na duży, okrągły stół, na którym już leżał monarcha, i położył go obok ojca. Prsamaccus zbliżył się i z głęboką troską popatrzył na oba ciała.

- Wielka tragedia, że spotykają się dopiero teraz.

Jedna z kobiet wyszła z sali, inne pogrążyły się w żarliwej modlitwie.

Drzwi się rozchyliły i pojawiła się wysoka, ubrana na biało postać. Za nią dreptała kobieta, która niedawno opuściła salę.

Prsamaccus postąpił chwiejnie do przodu.



- Pani, muszę przeprosić za... - Urwał nagle, gdy Laitha podeszła bliżej.  
- Tak, Prsamaccusie, to ja. I wiedz, że z każdą chwilą rośnie mój gniew: wciąż nawiedzają mnie cienie z przeszłości, o której bym wolała zapomnieć. Ile ciał zamierzacie jeszcze sprowadzić na wyspę?

Brygant przeknął ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy tymczasem ona minęła go i spojrzała w twarz Cormaca Daemonssona.

- Twój syn, Gian - bąknął Prsamaccus.  
- Sama widzę - odparła, dotykając miękkiej brody leżącego. - Jakże podobny do ojca.  
- Bardzo ucieszył mnie twój widok - zapewnił. - Często o tobie myślałem.  
- A ja o tobie. Co z Helga?  
- Umarła. Ale byliśmy z sobą szczęśliwi i nie mam żalu do świata.  
- Szkoda, że ja nie mogę powiedzieć tego samego! Ten człowiek - wskazała na Uthera - zniszczył moje życie. Ukradł mi syna i pozbawił nadziei na szczęście.  
- Wobec tego okradł samego siebie - stwierdził Brygant. - Nigdy nie przestał cię kochać, pani. Tyle tylko, że... że... nie byliście sobie pisani. Gdybyś wiedziała, że Culain żyje, nie wyszłabyś za niego. Gdyby on był mniej dumny, mógłby przestać myśleć o Culainie. Oplakiwałem was oboje.

- Moje łzy wyschły dawno temu, gdy płynęłam statkiem do Galii, pozostawiwszy za sobą martwego, jak wówczas myślałam, syna. -

Milczała przez chwilę. - Zarówno ty, jak i twój towarzysz musicie opuścić wyspę. Na stoku wzgórza za jeziorem znajdziecie obozowisko Culaina. Czeka tam na wieści o człowieku, którego zdradził.

Prsamaccus spojrzał jej w oczy. Włosy miała wciąż ciemne, chociaż na skroni pojawił się siwy kosmyk; piękna twarz jakimś sposobem nie odzwierciedlała upływu lat. Laitha nie wyglądała na kobietę po czterdziestce, lecz jej oczy były beznamienne i martwe, a całą postać cechowała pewna hardość, wobec której Prsamaccus czuł się skrępowany.

Powtórnie zerknęła na ciała, ale na jej obliczu nie odmalowało się żadne uczucie; potem przeniosła wzrok na Bryganta.

- Nie ma w nim niczego mojego - powiedziała. - To latorośl Uthera, więc razem umrą.  
Znaleźli Culaina, jak siedział ze skrzyżowanymi nogami na szczycie wzgórza. Za nim wąska grobla łączyła ląd z wyspą, dobrze teraz widoczną ze względu na niski poziom wody. Wojownik powstał i uściśnął Prsamaccusa.

- Jak się tu znalazłeś?  
- Sprowadziłem Cormaca. -Gdzie on jest?  
- Leży obok króla.  
- Słodki Chrystusie! - szepnął Culain. -Chyba żyje jeszcze?  
- Śmierć wisi nad nim. I nad Utherem. Przy życiu utrzymuje go jedynie zużyty kamień.  
Prsamaccus przedstawił Olega, który po raz wióry streścił dramat śmierci Anduiny. Culain opadł na ziemię i popatrzył na wschód. Brygant położył mu dłoń na ramieniu.

- To nie twoja wina, Lordzie Lancy. Nie możesz za to odpowiadać.  
- Wiem, a mimo to mogłem ich uratować.  
- Na niektóre rzeczy nawet twoja wielka moc nie ma wpływu. Przynajmniej Uther i jego syn ciągle jeszcze żyją.  
- Na razie. Prsamaccus milczał.

- Póki co, zajmijmy się lepiej innymi sprawami - odezwał się Oleg spokojnie, wskazując na wschód, gdzie spora grupa jeźdźców kłusowała w stronę wzgórza.

- Goci! - krzyknął Prsamaccus. - Czego mogą tu szukać?  
- Przybyli, aby zabić króla - odparł Culain; wstał pospiesznie i chwycił swoją srebrną laskę. Przekreślił ją pośrodku i oto miał dwa miecze. Obróciwszy się, pomknął ku grobli. W połowie wysokości wzgórza zatrzymał się, by zawołać do Prsamaccusa:

- Schowaj się, człowieku! To nie miejsce dla kuternogi!  
- Ma rację - dodał Oleg - choć mógł wyrazić się grzeczniej. Tam w dole rosna krzaki.  
- Co z tobą?  
- Zawdzięczam Cormacowi życie. Skoro ci ludzie chcą zabić króla, niewątpliwie zadźgają też chłopca.

Bez dalszej zwłoki zbiegł ze wzgórza ku błotnistej grobli; miała zdradliwe podłoże i zaledwie sześć stóp szerokości. Oleg ostrożnie pokonał jakieś trzydzieści kroków do miejsca, gdzie stał Culain.

- Witaj - rzekł Lord Lancy. - Twa odwaga jest chwalebna, choć mądrość pozostawia wiele do życzenia.

- Nie utrzymamy tego przejścia - orzekł Oleg. - Samą liczbą nas zepchną, a gdy znajdziemy się na płaskim terenie, zostaniemy osaczeni.

- To świetna pora na obmyślanie strategii - zauważył Lord Lancy, gdy Goci powściągnęli rumaki tuż przed groblą.

- Po prostu chciałem sobie porozmawiać - odparł Oleg. - Masz coś przeciwko, żebym stanął na prawo?

Culain uśmiechnął się i potrząsnął głową. Oleg przesunął się ostrożnie na bok, podczas gdy Goci zsiadli z koni i kilku z nich weszło na groblę.

- Wygląda na to, że nie ma wśród nich łuczników - mruknął Oleg.

Strzała przecięła powietrze, lecz miecz Culaina wzniósł się z błyskiem i odbił ją przed samą pierś Hammerhanda. Wnet zafurkotały dwie następne. Culain uchylił się przed pierwszą, drugą zaś sparował klingą miecza.

- Jesteś nad podziw zręczny - przyznał Oleg. - Może nauczysz mnie kiedyś tej sztuczki?

Goci przystąpili do szturm, zanim Culain zdążył odpowiedzieć. Mogli zbliżyć się jedynie dwójkami. Culain wysunął się do przodu, blokując pierwsze uderzenie, a następnie rozcinając brzuch napastnika. Oleg kucnął dla uniknięcia przelatującego miecza, po czym trzasnął pięścią w szczękę wojownika, aż ten runął nieprzytomny do wody i utonął jak kamień, ściągnięty na dno ciężką zbroją.

Miecze Culaina lśniły srebrzyście, gdy wywijał śmiertelnego młynca nad głowami napierających Gotów, obok Oleg walczył z największą zawziętością, na jaką mógł się zdobyć, a mimo to obaj byli bezlitośnie spychani w stronę wyspy.

Goci cofnęli się na chwilę i Culain ochłonął, oddychając ciężko. Krew sączyła się z powierzchownej rany na jego skroni oraz z głębszej na ramieniu. Oleg otrzymał ciosy w bok i w udo. Wciąż jednak trwali.

Prasamaccus mógł jedynie z posępnym podziwem obserwować ze wzgórza, jak dwaj ludzie próbują dokonać niemożliwego. Słońce majestatycznie kryło się za horyzontem, oblewając wodę czerwoną poświatą. Po raz kolejny Goci zaatakowali, by napotkać mur z chłodnej stali i nieustraszonej odwagi.

Culain pośliznął się i choć ostrze trafiło go w bok, zdołał przekłuć mieczem krocze przeciwnika, a wtedy mężczyzna krzyknął i odskoczył do tyłu. Zrywając się na nogi, Culain zablokował następny cios, by drugim mieczem ciąć straszliwie w gardło Gota. Oleg Hammerhand umierał. Jedno płuco miał przebite i krwawa piana spływała mu na brodę; czubek miecza wystawał mu z brzucha, chociaż jego właściciel legł martwy, zabity odruchową ripostą.

Z ogłuszającym rykiem wściekłości i determinacji Oleg natarł na szeregi Gotów, powalając napastników wielką masą swego ciała. Miecze uderzyły nań ze wszystkich stron i nawet kiedy ginął, pięść jego druzgotała kark wojownika. Kiedy upadł, Culain rzucił się na całą ciżbę, jego miecze rozcinały i zabijały. Przerażeni Goci jeszcze raz się cofnęli.

Prasamaccus zamknął oczy, łzy popłynęły mu po policzkach. Nie mógł znieść widoku umierającego Lorda Lancy, a nie miał zarazem odwagi, by odwrócić głowę. Wtem z prawej

strony dał się słyszeć jakiś dźwięk: maszerujący ludzie. Prsamaccus wyciągnął myśliwski nóż i wyszedł, by zagrozić im drogę, gotując się na śmierć. Pierwszym człowiekiem, jakiego zobaczył, był Gwalchmai; tuż obok kroczył Severinus Albinus. Za nimi szły niedobitki dziewiątego legionu Uthera, siwobrodzi weterani, którzy mieli już wprawdzie za sobą dni chwały, lecz nadal spoglądali wzrokiem orłów. Gwalchmai wybiegł mu na spotkanie.

- Co tu się dzieje, przyjacielu?

- Culain próbuje utrzymać groblę. Goci szukają ciała króla.

- Dziewiąty do mnie! - zakrzyknął Severinus, dobywając *gladiusa* ze spiżowej pochwy.

Osiemdziesięciu żołnierzy skupiło się

z rykiem koło niego i zajęło pozycje, jakby lata spoczynku stanowiły zaledwie letni sen.

- Formacja klinowa! - rozkazał Albinus. Żołnierze na flankach natychmiast się cofnęli, formując legendarny grot włóczni.

- Marsz czołowy! Naprzód!

Klin wtargnęła na otwartą przestrzeń u brzegów jeziora, gdzie duża liczba Gotów ciągle czekała na okazję, by dostać się na błotnistą groblę. Nieprzyjacielscy wojownicy zauważyli zbliżający się oddział i otworzyli usta ze zdziwienia. Niektórzy nawet uśmiechnęli się na widok siwobrodych wiarusów, lecz zrzędyli im miny, gdy żelazne miecze rozdzieliły ich szeregi, a szpic natarł na groblę.

Olbrzymi Got ruszył na Albinusa, lecz jego dzikie cięcie zostało zręcznie sparowane i *gladius* przejechał mu po gardle.

- Rogi! - zawołał Albinus. Weterani przeformowali się w sławetne bycze rogi i otoczyli półkolem przerażonych Gotów, którzy pierzchali w popłochu, chcąc się przegrupować na wyżej położonym terenie. - Na nich! - rozkazał Albinus, a wtedy zaatakowali żołnierze ze środka szeregu. Goci mieli już dość, załamali się i rzucili do ucieczki. Na grobli Culain,

brocząc krwią z tuzina ran, zobaczył, że stojący przed nim napastnicy wolą raczej wskoczyć do wody niż w objęcia weteranów z dziewiątego legionu. Choć wszyscy desperacko usiłovali dopłynąć do brzegu, wielu zbroja pociągnęła na dno. Culain upadł na kolana, ogarnęło go straszne zmęczenie. Miecze wypadły mu z rąk.

Gwalchmai podbiegł i złapał go w ostatniej chwili, ratując przed wpadnięciem do wody.

- Trzymajcie groblę - wyszeptał. - Oni powrócą.

- Zaniosę cię na wyspę. Tam cię wyleczą.

Potężne ramiona Gwalchmaiego uniosły Culaina i stary wojownik Kantów chwiejnym krokiem zaniósł rannego w miejsce, gdzie kilka kobiet obserwowało przebieg bitwy.

- Pomóżcie - powiedział, a wiedzy ruszyły mu z wahaniem naprzeciw, odebrały brzemię i zaniósły umierającego do okrągłej sali.

Laitha patrzyła bez emocji, jak się zbliżają i kładą wojownika na mozaikowej posadzce, wsuwając mu pod głowę zrolowany koc.

- Uratuj go - rzekł Gwalchmai. Jedna z kobiet rozchyliła tunikę Culaina, obejrzała straszne rany i z powrotem zasłoniła ciało. - Magia. Użyjcie magii!

- Jemu już magia nie pomoże - rzekła cicho druga z kobiet. - Niech odejdzie w spokoju.

Dołączył do nich Prsamaccus, klękając przy Culainie.

- Ty i Oleg zabiliście trzydziestu jeden. Byliście wspaniali - powiedział. - Część ludzi Albinusa broni przeprawy, inni patrolują brzegi jeziora. Wkrótce nadejdą posiłki. Obronimy króla i jego syna.

Culain otworzył oczy.

- Gian?

- Nie ma jej tutaj - rzekł Prsamaccus.

- Powiedz jej... - Krew wypłynęła bąbelkami z przebitych płuc.

- Culainie! Dobry Boże, Culainie!

- Odszedł, przyjacielu - odezwał się Gwalchmai. Prsamaccus zamknął martwe powieki i

wstał ociężale. W progu ujrzał Laitę, jej oczy były szeroko otwarte.

- Chciał się z tobą zobaczyć - rzekł oskarżycielskim tonem - a ty odmówiłaś mu nawet tego. Gdzie twoja dusza, Gian? Masz na sobie szaty chrześcijanki. Gdzie zatem twoja miłość? Odwróciła się bez słowa i znikła.

## Rozdział szesnasty

**L**ekky z umytą głową i szczupłym ciałem wyszorowanym przez Karyl siedziała na koniu, przyglądając się z tej wysokości okolicy. Za nią siedział jej ojciec, najwyższy i najdzielniejszy człowiek na świecie. Nic nie mogło jej teraz zagrozić. Żałowała tylko, że ojciec zapomniał mowy własnego plemienia, ale przecież jego uśmiech był niczym wschodzące słońce, a dłonie miękkie i bardzo delikatne.

Popatrzyła na swoją nową, obszytą czarną nicią tunikę z szarej wełny. Była ciepła i miękka, tak samo jak buciki z owczej skóry, подарowane przez Karyl. Nigdy dotąd nie nosiła żadnego obuwia i wrazenie, jakiego doznawała, pocierając palcami stóp delikatną wełnę, było o wiele przyjemniejsze niż wszystko, co mogła sobie wcześniej wyobrazić. Ojciec dotknął jej ramienia i wskazał na niebo.

Wysoko przelatywał klucznik łabędzi o długich, prostych jak strzała szyjach.

Asta użyczył im podstarzałej chabety; miała ponad pięć stóp w kłębie, była powolna i ochwacona. Lekky jednak nigdy nie dosiadała konia, w jej oczach był to rumak o niewyczerpanych siłach, mogący prześcignąć każdego z wierzchowców Gotów.

Kiedy słońce weszło na szczyt nieba, zatrzymali się na posiłek. Lekky biegła po polanie w nowiutkich bucikach - nie musiała się już przejmować ostrymi kamykami. Ojciec wymyślił śmieszny zabawę: wskazywał na tak oczywiste rzeczy, jak niebo, drzewa, korzenie, nadając im dziwne imiona. Łatwo je zapamiętywała, a on wydawał się zadowolony, ilekroć udała jej się ta sztuka.

Po południu, tuż przed zapadnięciem zmroku, ujrzała w oddali zbliżających się w ich stronę Gotów. Ojciec pokierował klacz między drzewa, gdzie zeskoczyli na ziemię i poczekali, aż jeźdźcy ich miną. Nie bała się ani trochę; oddział liczył mniej niż dwudziestu wojowników i wiedziała, że ojciec mógłby ich wszystkich pozabijać.

Obóz rozbili w niewielkiej jaskini, gdzie owinął ją kocami i usiadł nieopodal, śpiewając piosenki obcym, melodyjnym głosem. Nie był dobrym śpiewakiem - stary Snorri znacznie go w tym przewyższał - ona jednak leżała spokojnie przy ognisku, wpatrzona w najcudowniejszą twarz na świecie, aż w końcu opadły jej powieki i zapadła w kamienny sen.

Galead siedział i długo obserwował dziewczynkę. Miała ładną, okrągłą buzię. Pewnego dnia stanie się piękną i z oddalonych o mile miejscowości chłopcy będą przylatywać w konkury. Zwłaszcza jeśli wciąż będzie miała zwyczaj przekrzywiać głowę i uśmiechać się domyślnie, jak wtedy, gdy próbował nauczyć ją podstaw swojego języka.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Czym ty się łudzisz, głupcze? - zadał sobie pytanie. Kraj trapi wojna i nawet jeśli jakimś cudem uda się przegnać Gotów, powstaną Sasi, Jutowie lub Anglowie, lub którekolwiek z rozlicznych plemion. Jaką szansę ma Lekky na spokojne życie?

Ułożył się obok śpiącej, zgasił ognisko i oparł głowę na ramieniu. Sen nadszedł szybko, ale wraz z nim pojawiły się wizje...

Ujrzał olbrzymią postać na tle gwiazd, wokół jej kolan kłębiły się chmury. W strasznej głowie błyszczały ogniście oczy i lśniły stalowe zęby; dłoń sięgała powoli po wielki miecz, który unosił się w powietrzu klingą do ziemi. Po drugiej stronie oręża, odwrócona doń plecami, stała piękna kobieta. Wtem nad całą sceną pokazała się błyszcząca gwiazda, biegnąca po

niebie niczym ogromna srebrna moneta. Gigantyczny wojownik skulił się przed tą gwiazdą i wyglądało na to, że miecz zaczyna się kurczyć. Sceneria uległa zmianie i oto oglądał Krwawego Króla, nagiego i osamotnionego na dziedzińcu w Eboracum. Kiedy bestie wyskoczyły z ziejących tuneli, cisnął swój miecz ku górze i wykrzyknął pojedyncze słowo.

Po chwili okazało się, że Galead siedzi w ogrodzie z tarasami, doznając uczucia błogości i spokoju. Wiedział, z kim się tu spotka.

“Witaj” - odezwał się Pendarric.

“Mógłbym tu zostać na zawsze” - odparł Galead, co Pendarric skwitował uśmiechem.

“Cieszę się, że czujesz harmonię. Czegoś się dowiedział, młody rycerzu?”

“Niewiele nowego. Co się stało ze starym Cateriksem?”

“Spotkał przyjaciół i jest bezpieczny”.

“Arabuś?”

“Wrócił do lasu”.

“Żeby znowu zabijać?”

“Możliwe, ale to nie umniejsza wagi dobrego uczynku. Podróżujesz na Wyspę z Kryształu?”

“Tak”.

“Jest tam Uther”.

“Żyje?”

“To się jeszcze nie zdecydowało. Musisz odnaleźć lady Morganę i powiedzieć jej, by znów postąpiła zgodnie z radą Pendarrica. Rozumiesz swoje sny?”

“Wiem tylko, że tym olbrzymem jest Wodan, a miecz należy do Uthera”.

“Tą gwiazdą była kometa, która przelatuje przez niebiosa raz w ciągu ludzkiego żywota. Jest zrobiona z Sipstrassi i kiedy się zbliża, ściąga całą magię z powrotem do swoich trzewi. Bardzo dawno temu kawałek tej komety spadł na naszą ziemię, pobudzając magię do życia. Teraz, kiedy przeleci w pobliżu, magia znacznie osłabnie. Nadejdzie taka chwila, Galeadzie - sam tę chwilę rozpoznasz - że losy świata zawisną na cienkim włosku. Każ wówczas władcy miecza, by oddał ci swój oręż. Podnieś go wysoko i wypowiedz jakiegokolwiek życzenie”.

“Dlaczego ty nigdy nie wyrażasz się jasno? Czy wszystko traktujesz jak grę?”

Pendarric potrząsnął głową.

“Wiesz chyba, że rad bym dać ci mądrość potrzebną do uratowania świata, jednak przekazywaniem podobnych tajemnic kieruje ustalony porządek rzeczy. Dla każdego człowieka życie jest wędrówką ku wiedzy, ku odpowiedziom na odwieczne pytania: kim jestem?”

Dlaczego tu jestem? Gdybym ci kazał udać się w konkretne miejsce i wypowiedzieć słowo mocy, czego byś się dowiedział? Chyba tylko tego, że Pendarric jest czarodziejem. Ale gdy udasz się w konkretne miejsce i wypowiesz, co ci podpowie serce, a okaże się to słowem mocy, wtenczas dowiesz się czegoś znacznie ważniejszego. Wstąpisz do kręgu tajemnicy i dojdiesz do samego środka. Cateriks rozumiał to, pomagając łotrowi, choć serce kusiło go, by pozwolić mu umrzeć. Może i ty nareszcie zrozumiesz”.

“A jeśli nie?”

“Wtedy zatryumfuje zło, a świat pozostanie taki sam”.

“Dlaczego właśnie na mnie spadła odpowiedzialność?”

“Bowiem ty jesteś najmniej zdolny, by poradzić sobie z wyzwaniem. Przeszedłeś długą drogę, Ursusie, od zachłannego, rozpustnego księcia do rycerza Galeada, który ratuje dziecko. Podążaj dalej tym szlakiem”.

Galead przebudził się wkrótce po świcie. Lekky nadal spała, więc podgrzał miskę owsa z miodem, jaki otrzymali z zapasów Karyl. Po śniadaniu osiodłał klacz i wyruszyli na północny zachód.

Jeszcze przed południem wjechali do niewielkiego lasu, gdzie natknęli się na oddział dwunastu jeźdźców w rogatych, gockich hełmach. Ściągnął wodze i popatrzył na

wojowników o lodowatych oczach; Lekky przywarła do niego, drżąc ze strachu.

Wódz wystąpił naprzód i odezwał się do niego saskim narzeczu.

- Jestem z Galii - odparł Ursus w języku sicambryjskim. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

- To żeś daleko od domu - powiedział. Pozostali podjechali bliżej z mieczami w rękę.

Galead przygotował się już, by zrzucić Lekky z siodła i walczyć do ostatka.

- Owszem, podobnie jak wy.

- Kim jest to dziecko?

- To sierota. Zniszczono jej wioskę i zabito matkę.

- Jak to w czas wojny - wzruszył ramionami wojownik. Zbliżył się jeszcze bardziej. Oczy Lekky rozszerzyły się z przerażenia, kiedy nad nią się nachylił; Galead zamarł, tylko jego ręka sunęła ku rękojęści miecza.

- Jak masz na imię, malutka? - zapytał jeździec w saskim narzeczu.

- Lekky.

- Nie bój się mnie.

- Nie boję się - odpowiedziała. - Mój ojciec jest największym zabójcą i wszystkich was pozabija, jeśli sobie nie pójdziecie.

- W takim razie lepiej będzie, jak już pojedziemy - odrzekł z uśmiechem. Wyprostował się w siodle i zwrócił do Galeada: - To dzielna dziewczynka. - Znów przeszedł na Sicambryjski. - Polubiłem ją. Dlaczego twierdzi, że jesteś jej ojcem?

- Bo teraz ja mam ten honor.

- Sam jestem Sasem i wiem, jaki to honor. Bądź dla niej dobry.

Pomachał ręką i na czele pozostałych minął zaskoczonego Galeada. Goci przejechali kilkaset jardów, po czym przywódca ponownie ściągnął cugle i spojrzał na samotnego jeźdźca.

- Dlaczego go nie zabiliśmy? - zapytał drugi rangą. - Przecież nie był Sasem.

Przywódca wzruszył ramionami.

- Licho wie, czemu! Siedem lat temu opuściłem ten przeklęty kraj i przysiągłem, że więcej tu nie powrócę. Zostawiłem żonę w ciąży. Cały czas się zastanawiałem, czyby jej nie odnaleźć... no i syna. Akurat o niej myślałem, gdy pojawił się ten jeździec. To mnie zupełnie zbiło z tropu.

- Zawsze możemy wrócić i skończyć z nimi.

- Nie, niech jadą. Polubiłem tę dziewczynkę.

Wodan poprowadził Anduinę labiryntem korytarzy do kilku komnat położonych głęboko w sercu twierdzy. Pośrodku głównego pomieszczenia znajdował się ciemny, okrągły stół, na którym leżała czaszka z diademem; srebrną przepaskę wtłoczono jakby w kość czołową. Przynalął krzesło do stołu.

- Siadaj! - rozkazał. Jedną rękę położył na czaszce, drugą na głowie Anduiny. Zmorzyła ją przemożna senność i w pierwszej chwili strachu próbowała z nią walczyć, lecz potrzeba snu okazała się silniejsza, więc powoli zasnęła.

Wodan zamknął oczy...

...i otworzył je w swoim namiocie pod Vindocladia w odległości niespełna jednego dnia marszu od wielkiego kręgu w Sorviodunum.

- Tsurai! - zawołał. Skrzydło namiotu rozsunięło się natychmiast i do środka wkroczył adiutant; rysy jego ogorzałej twarzy ściągnęły się ze strachu. Wodan przywitał go uśmiechem.

- Przyprowadź mi tu tę Riannon.

- Tak, panie.

W kilka chwil później dwóch ludzi wprowadziło dziewczynę do namiotu, gdzie władca siedział na drewnianym tronie. Odesłał gwardzistów i spojrzał z góry na jej twarz, kiedy

ukłęknęła.

- Zaprowadziłaś moich żołnierzy do zdrajcy Olega - powiedział - ale udało mu się uciec?

- Tak, panie.

- A jego towarzysze zginęli?

Skinęła bezwiednie, świadoma błysku w jego oczach i niepokojącego syku, z jakim wypowiadał słowa.

- Nie wspomniałaś nic jednak, jak nazywali się ci towarzysze.

- Nie byli zdrajcami, panie, ale pospolitymi Brytami.

- Łżesz! - warknął. - Wśród nich była księżniczka z Recji. Riannon skuliła się i cofnęła w rozpaczliwej próbie ucieczki przed jego pałającym wzrokiem. On tymczasem podniósł rękę i kiedy zbliżyła się do wyjścia z namiotu, poczuła obezwładniającą siłę, zamykającą się wokół jej nadgarstka, ciągnącą ją wstecz.

- Nie powinnaś była mnie okłamywać, moja śliczna - szepnął, gdy upadła u jego stóp.

Opuścił dłoń na czoło dziewczyny, a wtedy przymknęły się jej powieki.

Uniósł uśpione ciało i położył je na jedwabnych narzutach stojącego obok tronu łoża. Zasłonił jej twarz rękami i skoncentrował się, zamykając oczy. Kiedy je otworzył i cofnął dłonie, okazało się, że rysy twarzy Riannon rozpląnęły się, zastąpione pięknym obliczem Anduiny. Nabral głęboko powietrza, uspokajając się przed wezwaniem, po czym delikatnie dotknął kciukami oczu śpiącej. Urywany oddech wypełnił jej płuca, przez dłonie przebiegł dreszcz.

Odsunął się.

- Zbudź się, Anduino - powiedział.

Usiadła i zamrugła, potem wstała z łóżka, wyszła przed namiot i ze zdziwieniem popatrzyła w niebo. Kiedy się odwróciła, jej oczy były pełne łez.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała.

- Jestem bogiem - odpowiedział.

Riannon również otworzyła oczy, głęboko w czeluściach Pustki, gdzie rozległ się jej żaloszny krzyk...

Galead i Lekky dojechali do jeziora o zachodzie słońca, dwa dni po tym, jak weterani zabezpieczyli groblę, która teraz ze względu na porę przyływu znajdowała się pod wodą. Na polanie wybudowano tymczasowy fort na rzymską modłę: usypano ziemne wały, patrolowane przez wyprostowanych wojowników najbardziej śmiertelnej armii, jaka kiedykolwiek wyruszyła do boju.

Dwóch strażników zatrzymało Galeada u wejścia, jeden z nich poszedł zaraz po Severinusa Albinusa. Generał dwukrotnie spotykał się z Ursusem, nigdy jednak nie widział jasnowłosego wojownika, jakim stał się Merowing. Gdy zsiadł z konia, rycerz wyjaśnił, że towarzyszył Victorinusowi w Galii. Po tych słowach zaprowadzono go do drewnianej budowli i kazano zaczekać na Gwalchmaiego. Lekky dostała trochę zupy, a Galead usiadł obok niej przy nieoheblowanym stole. Po godzinie wkroczył Gwalchmai w kompanii Prasamaccusa. Lekky spała już na kolanach Galeada, wtulona w jego pierś.

- Mówisz, że kim jesteś? - zapytał wysoki Kant.

- Byłem Ursusem, lecz król użył swej mocy, aby zmienić mi twarz, tak by nie rozpoznano mnie jako szlachcica z rodu Merowingów. Nazywam się teraz Galead. Posłano mnie wraz z Victori-nusem.

- Co się z nim dzieje?

- Przestraszył się zdrady i kazał mi wracać okrężną drogą. Sądzę, że nie żyje.

- Skąd mamy wiedzieć, że sam nie jesteś zdrajcą?

- Tego się nie dowiecie - odparł bez ogródek. - Nie mam pretensji o to, że się mnie lękacie.

Ukazał mi się człowiek i polecił, bym pojechał na wyspę. Kazał mi odszukać kobietę, która tu sprawuje władzę. Myślę, że to ważne, abym się z nią przynajmniej spotkał. Możecie wziąć mnie pod straż.

- Kim był ów człowiek? - zapytał Gwalchmai.
- Powiedział, że ma na imię Pendarric.
- Jak wyglądał? - odezwał się Prsamaccus.
- Jasne włosy, na oko trzydzieści lat, może więcej.
- Co miałeś przekazać damie? - kontynuował Brygant.
- Miałem ją nakłonić, żeby powtórnie postąpiła wedle rady Pendarrica.
- Wiesz, co to oznacza? -Nie.

Prsamaccus usiadł i dwaj Brytowie wypytywali Galeada o szczegóły jego podróży i wskazówki, jakie otrzymał od Uthera. Zadowoleni

z wyników śledztwa, zaprowadzili go do płytkiej łodzi. Galead usiadł na rufie z wciąż śpiącą Lekky w ramionach; czuł, jak udziela mu się spokój tej wyspy.

Dobili do plaży w ocienionej drzewami zatoczce i ruszyli do osady. Galead zauważył, że zaprojektowano ją w kształcie wielkiego kręgu z dwunastu chat otaczających okrągły budynek. Całość otoczono drewnianymi umocnieniami, przypominającymi raczej wysokie ogrodzenie niż część fortyfikacji. Kilka kobiet w ciemnych szatach poruszało się po placu, ignorując przybyszów, którzy podeszli do chaty po zachodniej stronie kręgu. Wewnątrz znaleźli koce i dywaniki, gliniane dzbanki oraz mały żelazny piecyk, w którym żarzyły się węgle. Galead położył Lekky i przykrył ją kocem.

- Oddaj miecz - rzekł Gwalchmai, gdy Galead się wyprostował. Rycerz wyciągnął go z pochwy i wręczył Kantowi rękojeścią do przodu. Potem Prsamaccus obszukał Galeada szybko i zreźnie, by ten nie przemycił dodatkowej broni.

- Teraz możesz zobaczyć króla - powiedział.

Cała trójka weszła na salę, gdzie Galead stanął w ciszy, patrząc na dwa ciała leżące obok siebie na okrągłym stole.

Opoдал, z głowami pochylonymi w modlitwie, siedziały trzy kobiety. Galead zwrócił się do Prsamaccusa:

- Nic nie możemy na to poradzić?

Brygant potrząsnęła głową. Otworzyły się drzwi po drugiej stronie i do środka weszła Laitha. Prsamaccus i Gwalchmai pochyłili głowy, a ona zbliżyła się do Galeada.

- Znów jakiś wędrowiec - powiedziała. - Jakież jest twoje życzenie?

- Czy ty jesteś Damą Jeziora?

- Jestem Morgana.

Przekazał jej wiadomość od Pendarrica i zobaczył, że się uśmiecha.

- Cóż - stwierdziła - sprawa jest prosta. Kazał mi kiedyś wyciągnąć rękę wysoko w powietrze i chwycić, cokolwiek znajdę. -Uniosła wiotkie ramię, zacisnęła pięść i opuściła dłoń, podsuwając ją pod twarz Galeada. - Proszę bardzo! Nic tu nie ma. Masz jeszcze inne wiadomości?

- Nie, pani.

- A więc wracaj na swoją wojenkę - prychnęła. Patrzył, jak odchodzi. Nie zerknęła nawet na ciała, co nie uszło uwagi Galeada.

- Nie rozumiem tego - powiedział.

Prsamaccus podszedł bliżej.

- Ćwierć wieku temu, w zupełnie innym świecie, stanęła na szczycie wzgórza i wyciągnęła rękę, która jakby zniknęła na chwilę, a kiedy się pokazała, tkwił w niej Miecz Mocy. Z jego pomocą uwolniła z Pustki Uthera i dziewięty legion oraz spowodowała upadek Królowej-Wiedźmy. Dzięki niemu Uther odzyskał królestwo ojca.

- A więc to jest królowa?



- Owszem.
- Zdaje się, że Pendarric był w błędzie. Kim jest młodzieniec leżący u boku króla?
- To jego syn, Cormac. Czy modlisz się czasem?
- Zaczynam się tego uczyć.
- To dobre miejsce do ćwiczeń - rzekł Brygant, pochylając głowę.

Lekky przebudziła się w chacie; panował mrok, a nad strzechą gwizdał wiatr.

- *Vader?* - Strach zakradł się do jej serca. Ostatnią zapamiętaną rzeczą było zjedzenie zupy podanej przez żołnierza. Odrzuciła koc i wybiegła na zewnątrz, ale nie zobaczyła nikogo w pobliżu; została sama. - *Vader!* - krzyknęła ponownie lekko drżącym głosem. Łzy popłynęły jej po policzkach i pobiegła na placyk, gdzie biała postać, niczym nocna zjawia, pokazała się przed nią zniemacka.

Lekky cofnęła się z krzykiem, lecz kobieta uklękła przed nią.

- Nie bój się - powiedziała łamaną saską mową, ale ciepłym tonem. - Nic złego cię tu nie spotka. Kim jesteś?

- Mam na imię Lekky. Gdzie jest mój ojciec?

- Najpierw wejdźmy do środka, bo tu strasznie zimno. - Wyciągnęła dłoń, którą dziewczynka ujęła, a następnie dała się zaprowadzić do innej chaty, gdzie w żelaznym piecyku palił się jasny ogień. -Chcesz może mleka? - Lekky skinęła twierdząco i kobieta napełniła glinianą czarkę.

- A teraz powiedz, kto jest twoim ojcem?

Lekky opisała go, nie szczędząc chwalebnych epitetów.

- Jest z przyjaciółmi i wkrótce po ciebie przyjdzie. Jak to się stało, że taka mała jak ty dziewczynka podróżuje konno z wojownikiem? Gdzie twoja matka?

Lekky odwróciła głowę, zacinając wargi; w oczach zaświeciły się łzy. Morgana ujęła jej rękę.

- Co się wydarzyło?

Dziecko z trudem przełknęło ślinę i potrząsnęło głową. Morgana zamknęła oczy i pogłaskała jasne włosy dziewczynki. Wzywając misteryjne moce, połączyła się z dzieckiem i zobaczyła jeźdźców, rzeź, trwogę. Zobaczyła także człowieka o imieniu Galead.

Przytuliła dziecko do siebie, całując je w czoło.

-Wszystko będzie dobrze. Nie spotka cię tu żadna krzywda, a twój ojciec niezadługo powróci.

- Zawsze będziemy razem - stwierdziła Lekky, rozpromieniona. - A kiedy będę duża, wyjdę za niego za męża.

Morgana się uśmiechnęła.

- Dziewczynki nie wychodzą za męża za swoich ojców.

- Czemu?

- Ponieważ... kiedy dorośniesz, on będzie bardzo stary, a ty zechcesz kogoś młodszego.

- Nic mnie to nie obchodzi, jaki będzie stary.

- Podobnie było ze mną - szepnęła Morgana.

- Ty też masz męża?

- Nie... Tak. Ale ja przypomiinałam cię, Lekky. Mieszkałam na wsi, która została... zaatakowana. Mnie też uratował człowiek, wychował i nauczył wielu rzeczy. I... - Głos jej zadrżał, rozmyły się widziane przez nią kształty.

- Nie smuć się, pani.

Morgana uśmiechnęła się z przymusem.

- Musisz wrócić do łóżka. Inaczej twój ojciec powróci do chaty i bardzo się zmartwi.

- Wyszłaś za niego za męża?

- W pewnym stopniu. Tak samo jak ty, kochałam go dziecięcą miłością. Ale ja nigdy nie dorosłam, a on się nigdy nie zestarzał. Teraz zabiorę cię do domu.

- Usiądziesz przy mnie?
- Oczywiście, że tak.

Wróciły do chaty, trzymając się za ręce. Ogień niemal zupełnie wygasł, więc Morgana dołożyła dREW, wstrząsnawszy popioł, aby powietrze podsyciło płomienie. Lekky zawinęła się w kocyk.

- Znasz jakąś bajkę?

- Wszystkie moje bajki są prawdziwe - rzekła Morgana, siadając obok dziewczynki - co oznacza, że są smutne. Lecz kiedy byłam mała, spotkałam jelonka w lesie. Miał złamaną nogę. Mój... ojciec zamierzał go zabić, ale zobaczył, że jestem bardzo nieszczęśliwa, więc nastawił mu kość i usztywnił ją łubkami. Potem zabrał jelonka do domu. Przez kilka tygodni karmiłam go i pewnego dnia zdjęliśmy łubki i patrzyliśmy, jak chodzi. Jelonek długo mieszkał w pobliżu naszej chaty, aż wyrósł z niego silny jelen. Odszedł wtedy w góry, gdzie, jestem tego pewna, został księciem wszystkich jeleni. Od tamtej pory ojciec zawsze nazywał mnie Gian Avur, Leśnym Jelonkiem.

- Gdzie on teraz jest? - On... odszedł.

- Wróci kiedyś?

- Nie, Lekky. Idź już spać. Zostanę tu do powrotu twojego ojca.

Morgana siedziała w ciszy przy piecyku, obejmując się za kolana. Cofnęła się wspomnieniami do wydarzeń z młodości, kiedy kochała Culaina, podobnie jak Lekky kochała teraz Galeada, z tą prostą, ognistą pasją dziecka, któremu na ratunek pospieszył rycerz. Teraz wiedziała, że winna nie leżała tylko po stronie Culaina. Poświęcił wiele lat życia, by ją wychować, zawsze postępując szlachetnie. Ona jednak, odkąd przybył do Camulodunum, używała wszelkich sztuczek, aby wtargnąć w jego samotność. To ona, nikt inny, doprowadziła do tego, że zdradził przyjaciela. Pomimo to Culain nigdy jej tego nie wyrzucał, przyjmując winę na siebie.

Co właściwie powiedział jej tamtego dnia na szczycie pagórka? "Skrawek winy"? Cóż, podniosła go do oczu i schowała w sercu.

- Przepraszam, Culainie - szepnęła. - Przepraszam. Lecz on już nie żył i nie mógł jej usłyszeć. Jednak łzy rozpuściły gorycz ostatnich lat.

Goroien wkroczyła do sali audiencyjnej; przywdziała zbroję z błyszczącego srebra, do bioder przypasała dwa krótkie miecze. Cormac, Maedhlyn i Brytorzymianie - wszyscy powstałi.

- Pomogę ci, Cormacu - obwieściła. - Wkrótce spotka się z tobą Gilgamesz, by cię powiadomić, że armia Królowej-Wiedźmy gotowa jest do wymarszu.

Cormac pokłonił się uniesieniem.

- Dziękuję, pani.

Nie oglądając się za siebie, królowa bez słowa wyszła z sali.

- Co ty jej właściwie powiedziałaś? - zapytał Maedhlyn. Cormac zbył pytanie czarodzieja machnięciem ręki.

- Skąd możemy wiedzieć, czy Wodan będzie akurat nieobecny w twierdzy? Mówiłeś, że jej mieszkańców nazywa się Lojalnymi, ale nie byłiby chyba lojalni względem kogoś, kogo nigdy nie widzieli?

- Nader trafne spostrzeżenie, książę Cormacu - stwierdził arcymag.

- Oszczędź mi czczych komplementów! - warknął Cormac. - Lepiej odpowiedz na pytanie.

- Nie możemy mieć pewności, ale wiemy, że on żyje przeważnie w cielesnym świecie. Obaj byliśmy tu i tam. W którym świecie wolałbyś żyć, Cormacu?

- Zamierzam pozostać wierny Goroien. - Cormac znów zignorował pytanie Maedhlyna. - Oznacza to, że muszę poznać twoje plany. Jak dotąd okazałeś się cudownie pomocny,

Maedhlynie. Znalazłeś się we właściwym miejscu, kiedy przybyłem do tej opustoszałej krainy... jakbyś mnie oczekiwał. I ta cała komedia z monetą. Wiedziałeś, że nie jestem martwy.

- Owszem - przyznał czarodziej - to prawda, lecz przyrzekałem wierność Utherowi, więc muszę go uratować.

- To nieprawda; nie jesteś nawet bliski prawdy - odparł książę. Victorinus wraz ze swoimi ludźmi przysłuchiwał się uważnie rozmowie i Maedhlyn z każdą chwilą stawał się bardziej nerwowy. - W gruncie rzeczy pragniesz, czarnoksiężniku, odzyskać swoje ciało. A udać ci się to może jedynie wtedy, jeśli uwięzimy duszę Wodana.

- To jasne, że pragnę powrócić do ciała. Kto by nie chciał? Czyż fakt ten czyni mnie zdrajcą?

- Nie, ale kiedy Uther zostanie uwolniony i powróci na świat, spróbuje zabić Wodana. To by cię skazało na wieczne przebywanie w tym miejscu, czyż nie?

- Robisz z igły widły.

- Tak myślisz? Nie chciałeś, abyśmy przybyli do Goroien. Twierdziłeś, że nie należy atakować twierdzy.

- Aby uratować wasze dusze!

- To ciekawe.

Maedhlyn wstał, obejmując całą grupę spojrzeniem bladych oczu.

- Przez dwieście lat, Cormacu, pomagałem twoim przodkom. Sugerujesz haniebną rzecz. Uważasz mnie za sługę Wodana? Kiedy Uther znalazł się w niebezpieczeństwie, ja zdołałem opuścić na krótko

ten świat i go przestrzec. Dlatego jeszcze żyje, zdołał bowiem ukryć Miecz Mocy. Nie jestem zdrajcą i nigdy nim nie byłem.

- Skoro chcesz iść z nami, Maedhlynie, musisz mnie przekonać.

- Masz rację; wiedziałem, że nie umarłeś. Czasami udaje mi się znaleźć szczelinę w Pustce i zerknąć na cielesny świat. Widziałem, jak padasz w lasach Kaledonii, widziałem też olbrzymiego człowieka, który niósł cię do chaty i położył na łóżku. Miałeś przy sobie kamień, którego moc została bezmyślnie uwolniona przez twego kompana. Kazał mu utrzymać cię przy życiu. Kamień posłuchał... i słucha nadal. Wiem jednak, że znalazłeś się na krawędzi śmierci, więc przybyłem pod wrota, gdzie na ciebie czekałem. To prawda, że pragnę powrócić do świata, lecz nie za cenę życia Uthera. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Cormac odwrócił się do Victorinusa.

- Znasz tego człowieka, zdecyduj.

Rzymianin zawahał się, utkwivszy spojrzenie w czarodzieju.

- Zawsze prowadził jakieś swoje gry, lecz powiada prawdę: nie ma w nim zdrady. Jestem zdania, że powinniśmy go ze sobą zabrać.

- Niechże tak będzie - zgodził się Cormac - ale miejcie na niego oko.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Gilgamesz. Miał na sobie pełną, srebrno-czarna zbroję, a ciemny hełm znów przykrywał twarz. Zbliżył się do Cormaca, a kiedy popatrzył mu w oczy, Cormac poczuł jakby uderzenie jego nienawiści.

- Wojsko uformowało szyki i jest gotowe do wymarszu. Cormac się uśmiechnął.

- Nie podoba ci się to całe przedsięwzięcie, co?

- Moje upodobania nie mają w tej chwili znaczenia. Za mną. -Odwrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty.

U stóp góry z wylotem korytarza zebrała się wielka horda ludzi i podobnych do cieni bestii: czerwonoookich stworów z ostrymi kłami, potworów o błoniastych skrzydłach, pokrytych łuską ludzi o bladych obliczach i okrutnym wejrzeniu.

- Matko Mitry! - mruknął Victorinus. - To mają być nasi sojusznicy?

Pośrodku zgrai stała Goroien, otoczona tuzinem olbrzymich psów o ognistych oczach.

- Dalej, książę Cormacu - zawołała. - Pomaszerujesz u boku Ateny, bogini wojny!

## Rozdział siedemnasty

**T**wierdza wznosiła się niby czarny grobowiec nad krajobrazem Pustki. Była to rozległa warownia z jedną wieżą, otoczona z czterech stron krenelowanymi murami, z bramą niczym demoniczna paszcza o zębach z ciemnego żelaza. Wokół niej snuły się olbrzymie ogary, niektóre wielkie jak kuce, lecz nie widać było żadnych wojsk Molocha.

- Nie podoba mi się ta brama - odezwał się Victorinus stojący u boku Cormaca pośrodku hordy cieni.

- I słusznie, że ci się nie podoba - rzekła Goroien. - Te zęby potrafią się zatrzasnąć.

- Jest jakiś mechanizm, który nimi steruje? - spytał Cormac.

- Owszem, jest - wtrącił Maedhlyn. - Moloch wzorował się na urządzeniu, jakie dla niego skonstruowałem niegdyś w Wieży Babel. Za bramą znajduje się szereg kół i dźwigni.

- W takim razie ktoś z nas musi wspiąć się na mury - stwierdził Cormac.

- Nie - zaprzeczyła Goroien - to nie będzie konieczne. - Podniosła rękę i zawołała w nieznany Brytom języku. Stojące wokoło bestie rozstały się przed grupą wysokich mężczyzn o perłowszarej karnacji i o ciemnych, wyrastających z pleców skrzydłach. - Oni zabiorą was na blanki.

- Czy nieprzyjaciel wie o naszej obecności? - szepnął jeden z Brytów.

- Wie - odrzekła Goroien.

- Wobec tego nie traćmy więcej czasu - powiedział Cormac.

Goroien odrzuciła w tył głowę i z gardła jej dobyło się świdrujące, przeraźliwe wycie. Ogary pomknęły jak burza przez ciemną równinę. Z warowni w odpowiedzi dobiegł równie donośny skowyt i bestie Molocha wybiegły im na spotkanie.

- Jeśli nie uda ci się utrzymać otwartej bramy, będziemy zgubieni - zauważyła Goroien i książę skinął głową.

Za Brytami stanęły skrzydlate stworzenia o chłodnych oczach, by objąć ich długimi ramionami. Rozpostarły się ciemne skrzydła i Cormac poczuł, jak osuwa się w ramionach stwora, gdy ten wzbił się w powietrze. Dostał zawrotu głowy, a łopot skrzydeł brzmiał niczym głos nadchodzącej burzy. Wzniesli się wysoko ponad twierdzę i dopiero teraz książę dostrzegł zbrojnych żołnierzy Molocha, obsa-

dzających mury. Pofrunęły ku niemu strzały, lecz przeleciały tylko łukiem w dole, bo byli poza ich zasięgiem. Bestie wciąż opadały, za każdym jednak razem, gdy wypuszczano strzały, wzbijały się poza ich zasięg. Cormac widział, że pozostałe skrzydlate stworzenia stosują tę samą taktykę.

Raptem, bez ostrzeżenia, wszystkie naraz runęły w dół; książę usłyszał okrzyki przerażonych Brytów, gdy twierdza zaczęła pędzić ku nim z wielką szybkością. Strzelcy na murach wypuścili ostatnie strzały, z których żadna nie trafiła w cel, po czym ludzie pierzchli, gdy bestie były szaleńczo skrzydłami, aby spowolnić lądowanie. Cormac poczuł, że obejmujące go ramiona zwalniają uchwyt, kiedy był jeszcze jakieś dziesięć stóp nad blankami. Wziął się w garść, zgiął nogi w kolanach, a następnie, gdy bestia go wypuściła, wylądował miękko, od razu dobywając miecza. Wokoło pozostali Brytowie dochodzili do siebie, a wśród nich Gilgamesz w ciemnej zbroi.

Skrzydłaci przewoźnicy odlecieli i przez chwilę na murach nic się nie działo. Lojalni jednak wnet spostrzegli, jak skromne są siły napastników, więc przystąpili do ataku. Na ich spotkanie

wyskoczył Gilgamesz z dzikim okrzykiem, a błysk jego mieczy rozmywał się w powietrzu. Szybko powstała wyrwa wśród nieprzyjaciół, tym bardziej że Cormac i pozostali Brytowie przyszliznęli mu w sukurs. Nawiązała się bitwa, w której ani ranni, ani zabici nie przeszkadzali walczącym, bo śmiertelne rany oznaczały zniknięcie ofiary. Żadnej krwi, okrzyków agonii czy wijących się wnętrzności, na których można się pośliznąć i upaść.

Victorinus walczył ze zwykłym sobie opanowaniem i napiętym umysłem, tak że nic nie mogło ująć jego uwagi. Z podziwem spoglądał, z jak niewiarygodną zręcznością porusza się Gilgamesz, doskakując do wroga bez widocznej szybkości. Victorinus dobrze wiedział, że jest to wielce przydatna cecha w walce wręcz, gdzie liczy się zdolność stwarzania sobie przestrzeni do działania i myślenia. Obok niego Cormac ciął i rąbał jak furia, pasją i niefrasobliwością uzyskując to samo, co Gilgamesz dzięki swojej gracji; wojownicy padali przed nim jak liście podczas jesiennej burzy. Z wolna Lojalni zaczęli się cofać wzdłuż wąskich blanków.

Tymczasem na równinie horda cieni dotarła pod bramę i zęby opadły z trzaskiem. Goroiem po raz drugi posłała na górę skrzydlate stwory, które zasiały popłoch wśród obrońców, krążąc nad nimi i nurkując, tnąc zimnymi nożami po odsłoniętych gardłach.

Cormac poradził sobie z przeciwnikiem, po czym wskoczył na gzyms i puścił się co tchu wzdłuż murów, ponad czekającymi sto stóp niżej zastępami cieni. Jeden z obrońców usiłował go powstrzymać, on jednak przeskoczył ponad mieczem i wylądował niezgrabnie, kiwając się na krawędzi. Po odzyskaniu równowagi biegł dalej, by na koniec wspiąć się na zewnętrzną ścianę wieży bramnej i przeskoczyć na drugi pomost. Stał oko w oko z dwoma uzbrojonymi w łuki wojownikami. Rzucił się na bok, gdy strzała przemknęła obok ze świstem. Wojownicy odrzucili łuki i dobyli krótkich, zakrzywionych mieczy, po czym natarli równocześnie. Sparował pierwszy cios, przecinając kark obrońcy, lecz jego towarzysz kopnął go tak, że zatoczył się na ziemię, a miecz wypadł mu z dłoni. Usiłował się desperacko podnieść, gdy sierpowata klinga dotknęła jego szyi.

- Gotowyś na śmierć?

Nagle nóż utkwiał w gardle wojownika, który szybko znikł; obok zeskoczył zwinnie Gilgamesz.

- Głupiec! - syknął.

Cormac podniósł miecz i rozejrzał się dokoła. W dół wiodły schody, więc się ku nim skierował i zaczął schodzić. Pod blankami było pomieszczenie wypełnione, jak przewidział Maedhlyn, kołami zębataymi i dźwigniami. Mechanizm obsługiwało trzech ludzi. Gilgamesz dotknął ramienia Cormaca i ruszył bezszelestnie do przodu. Mężczyźni go spostrzegli, dobyli mieczy... i już nie żyli.

- Masz wielką wprawę - przyznał Cormac.

- Tego mi było trzeba - odparł Gilgamesz. - Pochwały wieśniaka! Jak działa ten mechanizm?

Cormac spojrział na koła zębate, szukając oczywistego wyjaśnienia - z powodzeniem.

- Rzekłbym, że to powinno być tu - powiedział, wskazując na ciemną rączkę, która sterczała z najmniejszego kółka. Chwycił ją oburącz i zaczął przekręcać z prawa w lewo.

- Skąd wiesz, że kręcisz w dobrą stronę - zapytał Gilgamesz.

- Bo w drugą się nie porusza - uśmiechnął się Cormac. - Czy nic ci to nie mówi?

Gilgamesz warknął i pobiegł ku drugim drzwiom.

- Skoro tylko zauważą, że kły idą do góry, zlecą się tu szybciej niż muchy do rany.

Zanim skończył mówić, na schodach rozległ się tupot nóg. Naprężając mięśnie, Cormac najszybciej jak mógł przekręcał rączkę. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło kilku żołnierzy;

Gilgamesz uporał się z nimi dość sprawnie, lecz następni naciskali dużymi siłami.

Ostatecznie Cormac osiągnął punkt, kiedy koło nie chciało się już dalej obracać. Podniósł wtedy jeden z porzuconych mieczy, rąbnął nim w mechanizm i zablokował dwa większe koła,

włożywszy klingę między szprychy. Potem pobiegł z odsieczą osaczonemu Gilgameszowi i razem powstrzymali napór wroga.

Z dołu doleciał szczęk żelaza. Lojalni walczyli z całą desperacją, bo wyczuwali, że zbliża się ich zguba. Za nimi pojawiły się cienie bestii i bitwa dobiegła końca.

Cormac przepchnął się między stworami i ruszył w dół ku bramie. W obrębie murów zapanował chaos. Dojrzał Goroiem zmagającą się rozpaczliwie z trzema wojownikami, więc pospieszył jej na pomoc, miażdżąc czaszkę jednego z nich. Obróciwszy się na pięcie, Goroiem wepchnęła jeden miecz w brzuch napastnika, a drugim zablokowała cięcie. Cormac zabił ostatniego z wrogów okrutnym chłaśnięciem.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie cofali się Lojalni. Victorinus wraz z ośmioma pozostałymi przy życiu Brytami podbiegł do księcia.

- Król! - zakrzyknął Rzymianin. - Musimy go odnaleźć.

Cormac myślał wyłącznie o Anduinie, skinął jednak głową i cały oddział wtargnął do centralnej wieży. Znaleźli się w długim korytarzu. Mężczyźni i kobiety umykali na ich widok, rozpaczliwie poszukując kryjówek. Jedna z dziewcząt podbiegła do Cormaca i chwyciła go za rękę. Odepchnął ją od siebie, ale wtedy rozpoznał Riannon.

- A ty co tu robisz? - zapytał, odciągając ją na bok. Brytowie otoczyli ich kręgiem mieczy.

- Wodan mnie tu przysłał - szlochała. - Proszę, pomóżcie mi!

- Widziałaś gdzieś Anduinę?

- Nie. Jeden z gwardzystów powiedział, że Wodan zabrał ją z powrotem na świat.

- Z powrotem? Co masz na myśli?

- Wszystkim Lojalnym obiecuje to samo. Zna sposób na przywracanie ludzi do życia.

Serce w Cormacu zamarło i poczuł narastającą wściekłość. Gdzież leży kres jego starań? Przekroczył granice śmierci tylko po to, by i tu los spletał mu figła?

- Pamiętaj o królu! - ponaglił go Victorinus.

- Zaprowadź nas do lochów! - rozkazał Cormac dziewczynie, na co Riannon skinęła głową i poprowadziła ich korytarzem ku

szerokim, prowadzącym w dół schodom. Ruszyli za nią wąskim, oświetlonym pochodniami tunelem, w którym płąsały cienie.

Raptem błysnęły szpony i wielka łapa owinęła się wokół szyi Riannon. Rozległo się okropne trzaśnięcie i dziewczyna znikła. Cormac rzucił się do przodu na spotkanie z ryczącą wściekle bestią o wilczej głowie. Wepchnął miecz głęboko w brzuszysko potwora; po chwili nie został po nim nawet ślad.

Wszystkie cele wzdłuż korytarza stały otworem, z wyjątkiem jednej na samym końcu. Cormac uniósł sztabę, pchnął drzwi i oto ukazał się ich oczom wstrząsający widok człowieka oblepionego zgrają szczurów, które szarpały jego ciało. Cormac uniósł miecz i przeciął ogniste kajdany; król osunął się na posadzkę, a szczury pierzchły, przegnane przez Brytów. Ciało Uthera natychmiast się zagoiło, lecz z jego oczu wyzierała pustka, a z obwisłej szczęki ściekała ślina.

- Postradał zmysły - zawyrokował Cormac.

- Nie dziwota - syknął Victorinus, kiedy z największą ostrożnością unieśli ciało władcy.

- Nie wiem - odezwał się król. - Nie wiem.

- Jesteś wśród przyjaciół, panie - szepnął Victorinus. - Wśród przyjaciół.

- Nie wiem...

Wynieśli go powoli z piwnic, potem dotarli do sali tronowej, gdzie stała Goroiem z Gilgameszem u boku. W sali tłoczyły się mroczne bestie; rozeszły się na boki, by zrobić przejście dla małej grupki Brytów i nagiego mężczyzny, którego nieśli pośrodku.

Goroiem powstała z tronu i wolno podeszła do Uthera, by spojrzeć w jego niewidzące źrenice.

- Był taki czas, że z rozkoszą syciłabym oczy takim widokiem - powiedziała. - Ale dużo się

zmieniło. Był dzielny człowiekiem i godnym przeciwnikiem. Ojciec mój mawiał do mnie w dzieciństwie: "Niechaj bogowie przysporzą nam silnych wrogów, bo dzięki nim i my możemy rosnąć w siłę". Uther był najsilniejszym z moich wrogów. - Odwróciła się do Cormaca, widząc, że ból wykrzywia jego twarz. - A co z twoją damą?

- Wodan... Moloch... zabrał ją z powrotem na świat.

- W takim razie musisz tam wrócić.

Zaśmiał się, ale można było poznać, że to śmiech nieszczerzy. Rozłożył ramiona.

- A jak tego dokonam?

Spuściła wzrok, a po chwili rozszerzyły się jej źrenice.

- Nieważne jak, byle szybko - powiedziała, wskazując na jego prawą rękę. Osiadł na niej głęboki cień, okrążyły i półprzezroczyste.

- Co to takiego? - zapytał.

- To czarna moneta, a kiedy stanie się materialna, nie będzie dla ciebie odwrotu.

Maedhlyn zaczął się z wąskim sztyletem w rękę w prywatnej komnacie Molocha. Nad czaszką ze srebrnym diademem zabłysło światło, a w powietrzu zaczęła formować się sylwetka człowieka. Kiedy stała się wyraźniejsza, Maedhlyn stanął za jej plecami, szykując sztylet do pchnięcia. Nagle z zaskakującą szybkością człowiek się odwrócił i uwięził w stalowym uścisku nadgarstek czarodzieja.

- Prawie ci się udało, Maedhlynie - syknął Wodan, wyszarpując sztylet i odpychając białobrodego maga. Podbiegł do wyjścia, wyrzwał na korytarz, po czym cofnął się i zamknął za sobą drzwi. -A więc to tak - rzekł. - Jedno imperium upada. Dobra robota, arcymagu!

- Zabij mnie! - błagał Maedhlyn. - Dłużej już tego nie wytrzymam.

Wodan parsknął śmiechem.

- Cierpliwości. Zesłałeś mnie tu dwa tysiące lat temu, teraz więc twoja kolej, by cieszyć się niewyobrażalnymi cudami Pustki: jedzeniem bez smaku, kobietami bez miłości, winem bez uciechy. A kiedy już ci się sprzykrzy, zawsze możesz skończyć z własnym życiem.

- Zabierz mnie z powrotem. Będę ci służył.

- Już to kiedyś obiecywałeś. Powiedziałeś, że młody Cormac może wiedzieć co nieco o miejscu ukrycia miecza. On jednak nie wiedział.

- Mogę go jeszcze znaleźć. Wyzwolili króla, który mi ufa.

- Z króla nie będzie już wielkiego pożytku, chyba że źle oceniam talenty kompanów, jakich mu przydzieliłem.

- Proszę, Molochu...

- Żegnaj, Maedhlynie. Przekażę od ciebie Pendarricowi serdeczne pozdrowienia.

Wodan zamigotał i znikł. Maedhlyn stał przez chwilę nieruchomy, wpatrzony w czaszkę ozdobioną srebrem, potem podniósł ją i ruszył do sali.

Ukląkł przed Goroien.

- Oto, moja królowo, dar cenniejszy od stu światów. To duchowy bliźniak tego, który znajduje się w świecie żywych. Przy jego pomocy możesz uczynić wyłom w górnym świecie i powrócić, wraz z innymi, do ciała.

Goroien przyjęła czaszkę, po czym rzuciła ją Gilgameszowi.

- Zniszcz to! - rozkazała.

- Ależ, matko!

- Rób, co ci każe!

- Nie! - wrzasnął Maedhlyn, gdy Gilgamesz cisnął czaszkę o kamienną posadzkę, gdzie roztrzaskała się na sto kawałeczków. Błyszcząca srebrna opaska potoczyła się po ziemi. Czarodziej ruszył za nią, ale zaczęła nagle dymić i wkrótce zniknęła. Arcymag osunął się na kolana. - Dlaczego?! - ryknął.

- Bo wszystko skończone, Maedhlynie - powiedziała. - Żyliśmy przez tysiące lat i co z tego

wynikło? Wprowadziliśmy ludzkość na szlak szaleństwa. Nie chcę życia. Nie pragnę żadnych tytułów. Królową-Wiedźmą nie żyje i tak ma pozostać. - Podeszła do Gilgamesza i położyła mu dłonie na ramionach. - Nadeszła pora pożegnań, mój drogi. Postanowiłam pójść dalej drogą i sprawdzić, dokąd wiedzie. Tylko o jedno cię jeszcze poproszę.

- Proś o co zechcesz.

- Przeprowadź Cormaca i króla na drugi brzeg ciemnej rzeki,

- Tak zrobię.

- Żegnaj, Gilgameszu.

- Bywaj, matko. - Pochylił się i ucałował ją w czoło, po czym zstąpił z podwyższenia, by stanąć przed Cormakiem.

- Pożegnaj się z przyjaciółmi. Wracasz do domu, wieśniaku.

- Będziemy ci towarzyszyć - zaoferował się Victorinus.

- Nie - odparł Cormac, wymieniając z nim uścisk wojowników. - Ciebie też czeka droga. Niech prowadzą cię twoi bogowie.

Victorinus uklonił się i podszedł do Maedhlýna.

- Chodź z nami. A nuż Albain miał rację? Może znajdziemy raj?

- Nie! - Czarodziej cofnął się o krok. - Wróć na świat. Wróć! - Odwrócił się i wyszedł chwiejnie z sali, a potem w Pustkę.

Cormac pożegnał ukłonem Goroien.

- Dziękuję, pani. Cóż więcej mogę powiedzieć? - Nie odpowiedziała, on zaś ujął rękę króla i wyprowadził go z sali, podążając za wysokim, odzianym w zbroję Gilgameszem.

W czasie długiej podróży Gilgamesz nie odezwał się słowem. Oczy jego były utkwione w dal, myśli nieprzeniknione. Strach

Cormaca narastał w miarę, jak materializowała się moneta, teraz zupełnie ciemna i niemal twarda.

Na koniec dotarli do rzeki, gdzie przy nabrzeżu cumowała barka. Bestia powstała na widok Cormaca, jej czerwone oczy błyszczały triumfalnie.

Gilgamesz wkroczył na barkę z obnażonym mieczem. Bestia zdawała się uśmiechać, rozpostarła ramiona, nadstawiając pierś. Miecz trafił w nią i stwór zniknął. Cormac pomógł królowi wsiąść na łódź, po czym sam stanął obok Gilgamesza.

- Dlaczego nie walczyła?

Gilgamesz zdjął hełm i wrzucił go do wody. Potem ściągnął zbroję. Pochwycił za drąg i odepchnąwszy się nim od brzegu, skierował barkę na drugą stronę rzeki.

Znowu Cormac musiał pomóc Utherowi. Przed nimi znajdował się wylot jaskini i tu księżę się odwrócił.

- Pójdiesz z nami? Gilgamesz zaśmiał się cicho.

- Pójść z wami? Przewoźnikowi nie wolno opuszczać łodzi.

- Nie rozumiem.

- Kiedyś zrozumiesz, wieśniaku. Nie może zabraknąć przewoźnika. Ale się jeszcze spotkamy. - Obrócił się i wypłynął łodzią na ciemną toń.

Cormac ujął dłoń króla i wspiął się do grotu. Wysoko wciąż pełgało światelko niczym blask odległego ogniska. Dwóch mężczyzn ruszyło powoli w jego stronę.

Cormac przebudził się, czując dotkliwy ból w plecach i dojmującą pustkę w żołądku. Jęknął, a wówczas rozległ się kobiecy głos:

- Chwała Bogu!

Leżał na czymś twardym. Spróbował się poruszyć, lecz kończyny miał zupełnie sztywne. Powyżej rząd krokwi podtrzymywał kryty strzechą dach. Pojawiła się nad nim uśmiechnięta twarz starszej kobiety, która obrzuciła go dobrotliwym spojrzeniem.

- Nie ruszaj się, młody człowieku.



Zignorował jej radę i sprężył się, by usiąść. Przytrzymała go za ramię i potarła mu plecy, kiedy skulił się z bólu. Obok niego leżał Krwawy Król w pełnej zbroi. Rude włosy urosły, a białe pasemka pojawiły się na skroniach.

- Czy on żyje? - zapytał Cormac, dotykając ręki króla.

- Żyje - odparła. - Uspokój się.

- Uspokoić się? Dopiero co wróciliśmy z piekła, kobieto. Naprzeciwko otworzyły się drzwi i pojawiła się postać w bieli. Oczy Cormaca rozbłysły, gdy rozpoznał kobietę z jaskini Sola In-victusa, matkę, która porzuciła swoje dziecko. Jego matkę. Uczucia wezbrały w nim jak rzeka, a każde z osobna walczyło o przewagę: gniew, zdziwienie, miłość, smutek. Twarz jej wciąż była piękna, w oczach lśniły łzy. Nachyliła się nad nim, a on przytulił ją do siebie, obejmując ramionami.

- Mój synu - szepnęła. - Mój synu.

- Sprowadziłem go stamtąd, ale ciągle śpi.

Delikatnie wyrwała się z objęć Cormaca, dotykając ręką jego zarosniętego policzka.

- Wkrótce porozmawiamy. Jest tyle do powiedzenia... tyle do wyjaśnienia.

- Nie musisz mi nic wyjaśniać. Wiem, co się zdarzyło w jaskini... i przed nią. Przykro mi, że życie przyniosło ci tak wiele cierpienia.

- Życie niczego nam nie przynosi - powiedziała. - W końcu i tak sami wybieramy nasze ścieżki, kiedy więc prowadzą na manowce, nasza w tym wina. A mimo to mamy żal, tak wiele żalu. Nie widziałam, jak dorastasz; nie odkrywałeś przy mnie swojego świata.

Uśmiechnął się.

- Ale i tak go odkryłem.

Uther jęknął cicho i Laitha odwróciła się, lecz Cormac dotknął jej dłoni.

- Jest coś, co powinnaś wiedzieć - rzekł. - Ucierpiał na umyśle. Torturowano go w sposób, o którym wolałbym nie opowiadać.

Laitha zbliżyła się do boku Uthera; w tym momencie otworzył oczy. Łzy trysnęły mu z oczu i pociekły na włosy.

- Nie wiem - powiedział.

Dłonie Laithii przykryły jego twarz.

- Nie musisz niczego wiedzieć, ukochany. Laitha jest przy tobie. - Zamknął powieki i znów pogrążył się we śnie.

Cormac poczuł chłodny powiew na plecach i usłyszał kroki kilku ludzi. Skierował wzrok w ich stronę; ujrzał młodego rycerza z krótko przyciętymi jasnymi włosami oraz dwóch znacznie starszych mężczyzn. Jeden z nich był wysoki; długie białe włosy zaplatał na modłę południowych plemion. Drugi był szczupły i mizernej postawy, a gdy

szedł, wyraźnie utykał. Cała trójka zatrzymała się i pokłoniła Cormacowi.

- Witaj w domu - rzekł człowiek z zaplecionymi w warkocze włosami. - Jestem Gwalchmai, a to Prasmaccus i Ursus, który zwie się Galeadem.

- Cormac Daemonsson. Prasmaccus potrząsnął głową.

- Jesteś synem Uthera, naczelnego wodza Brytów, i naszą nadzieją na przyszłość.

- Widzę, że chcecie uzbroić mnie w wasze nadzieje. Ja jednak po wszystkim wracam w góry Kaledonii. Nic tu po mnie.

- Ależ ty urodziłeś się po to, żeby zostać królem - odparł Gwalchmai. - Oprócz ciebie nie ma innego spadkobiercy.

Cormac uśmiechnął się.

- Na świat przyszedłem w jaskini, a wychował mnie jednoręki Sas, który o szlachetności wiedział więcej niż ktokolwiek, kogo później spotkałem. Wydaje mi się, że król potrzebuje pewnych umiejętności, nie tylko zdolności do prowadzenia wojen. Ja nie posiadam tych umiejętności i, co więcej, nie zamierzam ich osiąść. Nie pragnę panować nad życiem innych ludzi. Nie pragnę być potomkiem Krwawego Króla. Mordowałem ludzi i zabijałem demony;

wysyłałem dusze do ciemności i przemierzyłem Pustkę. To wystarczy.

Gwalchmai zamierzał wysunąć kolejny argument, lecz Prasamaccus podniósł rękę.

- Zawsze bądź sobą, książę Cormacu. Wspomniałeś o Pustce. Opowiedz nam o królu.

- Przyprowadziłem go ze sobą... i oby wam się na coś przydał.

- Co to ma znaczyć? - warknął Gwalchmai. -Jego umysł...

- Dość tego! - wtrąciła Laitha. - Król wróci. Widziałeś go takim, Cormacu, jakim on nie chciał, by go ktokolwiek oglądał. Ale ja go znam lepiej od ciebie, to mężczyzna o żelaznej sile. Niech reszta nas opuści. Cormacu, przygotowałam dla ciebie chatę; jest w niej jedzenie. Zaprowadzi cię tam Galead. Nie przemęczaj się; twoje rany goją się prawidłowo, lecz ciało jakiś czas będzie jeszcze słabe. A teraz wyjdźcie, wszyscy.

Laitha siedziała przy królu przez kilka godzin, głaszcząc jego czoło lub trzymając go za rękę. Przybyły kobiety, by zapalić świece, ale ona ich nie zauważyła; gdy patrzyła na udręczoną twarz i siwiejące włosy, wspominała chłopca Thuro, jak uciekł w góry przed prześladowcami, którzy zabili jego ojca. Był wrażliwym młodzieńcem, lecz nie umiał rozpałcić ogniska ani utrzymać w ręku miecza. W tamtych odległych, niewinnych dniach cechowały go szlachetność, uprzejmość i miłość.

Świat go jednak odmienił, uzbroił w żelazo i płomień, aż narodził się Krwawy Król i przeszedł do legendy. Świat nauczył go też walczyć, zabijać i - co gorsza - nienawidzić.

Jakąż była głupia! Młodzieniec ów kochał ją ze wszystkich sił, a ona go odtrąciła w pogoni za dziecięcym marzeniem. Jeśli w jej życiu miało miejsce bodaj jedno zdarzenie, do którego chciałyby cofnąć się, by wszystko zmienić, była nim ich miłość pod dwoma księżycami tamtej nocy w Pinrae. Wtedy, gdy zawrzały w niej uczucia, a ciało wydawało się bardziej żywe niż kiedykolwiek dotąd, gdy krew się w niej burzyła, a ona tonęła w ekstazie - w tym momencie wypowiedziała imię Culaina. Szept pofrunął do serca Uthera niczym lodowata strzała, by na zawsze w nim utkwąć. A przecież - choć wtedy o tym nie wiedziała - to wcale nie myśl o Culainie wyniosła ją na tak niebotyczne szczyty, tylko miłość do Uthera.

A ona ją zniszczyła. Nie, poprawiła się, nie zniszczyła, lecz zmieniła... skaziła jadem zazdrości.

Kiedys Culain poraził ją taką samą strzałą. Spali wówczas w chacie niedaleko pałacu królowej w Camulodunum. Poruszył się we śnie, a ona go pocałowała.

"Jesteś tu, kochana?" - szepnął, zaspany.

"Jestem" - odparła.

"Nigdy mnie nie zostawiaj, Goroiem".

Ach, jakże to bolało! Jak bardzo chciała uderzyć go w tamtej chwili, podrapać piękną twarz. I czyż nie ten moment właśnie posłużył jej za wymówkę, później w Recji, kiedy odtrąciła go i kazała mu wyjechać? Czyż ten jeden wyszeptany pocisk nie wzbudził w niej okrucieństwa, jakie okazała mu na pagórku?

Uther poruszył się. Znów otworzył oczy, ale powtarzał wciąż te same dwa słowa.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - zapytała, lecz w oczach króla nie pojawił się błysk świadomości i wiedziała, że jej nie słyszy. Za nią rozległy się kroki i na królewskie oblicze padł cień Galeada.

- Cormac śpi. Czy mogę przy tobie posiedzieć?

- Tak. Co z Lekky?

- Wszystko w porządku, pani. Spędziła popołudnie w towarzystwie dwóch kobiet, rysując na płaskim kamieniu niewyobrażalne

stwory, co pochłonęło sporą ilość węgla drzewnego. Teraz śpi obok Cormaca. Czy król wraca do siebie?

- Wciąż tylko powtarza to swoje: "Nie wiem". Czego właściwie on nie wie?

- Torturowali go, aby wskazał miejsce ukrycia miecza. Wydaje mi się, że on rzeczywiście nie wie, gdzie to jest. W przeciwnym razie chyba by im powiedział.

- Ależ on musi wiedzieć, ponieważ sam go wysłał.  
- Widziałem we śnie jego ostatnią walkę. Wyrzucił miecz wysoko w powietrze i wykrzyczał imię.

- Jakie imię?

- Twoje, pani.

- Moje? Wobec tego gdzie jest ten miecz?

- Dużo o tym myślałem i sądzę, że znalazłem odpowiedź. Uther nie mógł wysłać ci miecza, bo sądził, że nie żyjesz. Kiedy ukazał mi się Pendarric, mówił jakby zagadkami, jednak jego słowa były dość jasne. Opowiadał, czym jest dobro i zło. Przypuszczam, że miał na myśli Wodana. Kazał mi rozpoznać prawdziwego wroga, bym mógł się z nim zmierzyć.

- I kim jest ten prawdziwy wróg?

- Jest nim nienawiść. Kiedy patrzyłem, jak Goci palą saską wioskę, nienawidziłem ich. Gdy znalazłem i przygarnąłem Lekky, wydawało mi się to bez znaczenia. Ale dzięki temu, że ją tu przywiozłem, ty się mogłaś z nią spotkać, co pozwoliło ci, jak sama mi to opowiedziałaś zeszłej nocy, spojrzeć na świat bez goryczy. A teraz, tak jak powinno być, jesteś razem z mężczyzną, którego kochasz. I to właśnie jest klucz.

- Teraz ty z kolei, jak Pendarric, mówisz zagadkami.

- Nie, pani. Uther nie posłał miecza martwej Laithii. Posłał go swojej ukochanej, sądząc, że miecz zniknie na zawsze i żaden wróg już go nigdy nie znajdzie.

- Co to znaczy?

- Miecz czeka, pani. Nie mógł trafić do Morgany z Wyspy, tylko do kobiety obdarzonej miłością króla.

Królowa wzięła głęboki oddech i uniosła rękę, rozpościerając palce. Wokół zajaśniała jaskrawa poświata, a całe pomieszczenie skąpało się w ognistych refleksach. Galead przysłonił oczy, a blask nabierał mocy, wypływając przez okno, szparę pod drzwiami i dziurę w poszyciu dachu; prosty snop złocistego światła ginął hen, wśród obłoków.

W swojej chacie Prasamaccus ujrzał jakąś poświatę za drzwiami i usłyszał okrzyki sióstr gromadzących się przed okrągłym budynkiem. Gdy wyszedł chwiejnie na podwórze, budynek pulsował oślepiającymi smugami. Zląkł się o życie króla, więc pokuśtykał w stronę światła, zasłaniając oczy ramieniem. Dołączył do niego Gwalchmai.

Na grobli żołnierze dziewiątego legionu stali zadziwieni i cisi, a przed nimi roztaczał się blask, od którego cała Wyspa z Kryształu mieniła się złociście.

Pięćdziesiąt mil dalej, w Vindocladii, również Goci obserwowali zjawisko. Sam Wodan wyszedł przed namiot i stanął samotnie na wzgórzu, wpatrując się w gorejące światło, które zalało niebiosa.

Tymczasem w okrągłej sali oślepiena blaskiem Laitha poczuła, jak jej palce zaciskają się na rękojeści wspaniałego miecza. Powoli ściągnęła go na dół i światło przybladło. W progu Gwalchmai i Prasamaccus padli na kolana.

- Posłał go swojej ukochanej - szepnęła Laitha, zalana łzami, kładąc miecz przy królu i zaciskając jego palce na rękojeści. - Mam już miecz, teraz pozostało mi odszukać człowieka - powiedziała. - Posiedź jeszcze przy mnie, Galeadzie. - Głowa jej opadła, oczy się zamknęły, duch uleciał ku krainie z marzeń, wysokim drzewom i dumnym górcom. Nad jeziorem siedział młody chłopiec o jasnych włosach i szlachetnym obliczu.

"Thuro" - powiedziała, na co chłopiec uniósł głowę z uśmiechem.

"Miałem nadzieję, że przyjdiesz - odparł. - Tutaj jest cudownie, nigdy stąd nie odejdę".

Usiadła obok i chwyciła go za rękę.

"Kocham cię - powiedziała. - Zawsze cię kochałam".

"Nikt tu nie może przyjść. Nie pozwolę im".

"A co z twoim marzeniem?" - zapytała chłopca.

"Nigdy nie chciałem być królem. Chcę tylko zostać z tobą".

“Popływamy?”-zapytała.

“Chętnie” - zgodził się, wstał i zdjął tunikę. Kiedy pobiegł nagi do wody i dał nura pod powierzchnię, zrzuciła prostą sukienkę, którą miała na sobie. Jej ciało okazało się młode, gdy spojrziała na swe odbicie w wodzie. Żadne zmarszczki, żadne lata cierpień i rozczarowań nie wryły swoich śladów na jej dziewczęcym pięknie.

Woda była chłodna. Podpłynęła do unoszącego się na powierzchni Thuro, wpatzonego w nieprawdopodobnie błękitne niebo.

“Zostaniesz tu ze mną na zawsze?” - zapytał, prostując się w płytkiej wodzie.

“Jeżeli zechcesz”.

“Chcę. Niczego tak bardzo nie pragnę”.

“W takim razie zostanę”.

Dobrnęli z powrotem do brzegu i usiedli w gorących promieniach słońca. Dotknął skóry na jej ramieniu, a kiedy przysunęła się bliżej, przesunął palcami po jej kształtnej piersi.

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Przysunęła się jeszcze bliżej, obejmując go za szyję i przysuwając jego twarz do swojej, a następnie pocałowała go delikatnie, czule. Ręka Thuro błądziła teraz swobodnie po całym ciele Laithii. Ułożył ją na trawie i szybko znalazł się na górze, wchodząc w nią gładko, podczas gdy jej nogi obejmowały go w biodrach.

Laitha płynęła na falach rozkoszy, których rytm nabierał tempa i siły.

“Thuro! Thuro! Thuro! -jęczała. Całowała jego usta i policzki, czując porastającą je brodę. Nagle dłoń jej dotknęła szerokich pleców mężczyzny, pieszcząc naprężone mięśnie i rozliczne blizny. -Utherze!”

“Jestem przy tobie, pani - powiedział. Pocałował ją czule i położył się obok. - Odnalazłaś mnie”.

“Wybacz mi”.

“Wstydzę się - odparł. - Traktowałem cię ze wzgardą. To ja, na siłę, połączyłem cię z Culainem. Za wszystko, co wycierpiałaś... przepraszam”.

“Tak czy inaczej, wybaczasz mi?”

“Wybaczam, jesteś moją żoną. Kocham cię, jak kochałem zawsze”.

“Nadal chcesz tu zostać?”

Uśmiechnął się smutno.

“A co się tam dzieje?”

“Wojska Wodana stoją pod Sorviodunum, a ja odzyskałam miecz”.

“Ty? - odparł zdumiony. - A więc to nie sen? Ty żyjesz?”

“Żyję i czekam na ciebie”.

“Opowiedz mi o wszystkim”.

Bez ogródek i bez upiększania opowiedziała mu, jak to Culain uratował jego ciało, a syn Uthera podróżował przez piekło, aby wyzwolić jego duszę. Wspomniała również o krwawych zwycięstwach

Gotów, a także, na koniec, o powtórny zebraniu się dziewiątego legionu.

“Czyli że nie mam armii?”

“Nie”.

“Ale mam miecz... oraz żonę i syna”.

“Owszem, panie”.

“To aż nadto. Zabierz mnie do domu”.

## Rozdział osiemnasty

**P**rasamaccus, Gwalchmai, Cormac i Galead czekali u stop pagórka, bo król wspiął się na niego wkrótce po przebudzeniu, po czym rozpląnął w powietrzu. Laitha kazała im czekać na jego powrót, tak więc już od dwóch godzin mężczyźni siedzieli na słońcu, jedząc chleb i popijając winem. Dołączył do nich Severinus Albinus, który ulokował się w pewnym oddaleniu, wpatrzony w południowo-wschodnią stronę nieba.

- Gdzie on może być? - przerwał ciszę Gwalchmai, zrywając się na nogi.

- Cierpliwości - odparł Prsamaccus.

- Wrócił wprawdzie ze świata umarłych, ale znów go straciliśmy. Jakże mam być cierpliwy? Znam go. Cokolwiek robi, podejmuje zuchwałe ryzyko.

Późnym popołudniem zbliżyła się do nich Laitha.

- Życzy sobie spotkać się z tobą- zwróciła się do Cormaca.

- Tylko ze mną?

- Tak. Ty i ja wkrótce porozmawiamy.

Cormac wspiął się mozolnie krętą ścieżką, nie wiedząc, co ma powiedzieć po osiągnięciu wierzchołka. Ten człowiek był jego ojcem, lecz znał go jedynie jako bezmyślną, nieszczęsną, wyratowaną z Pustki istotę. Czy ten człowiek go uściśnie? Miał nadzieję, że nie.

Gdy znalazł się na szczycie pagórka, ujrzał Uthera w pełnej zbroi, siedzącego przy okrągłej wieży. Opodal leżał wielki miecz. Król podniósł wzrok i powstał. Cormac poczuł, jak serce bije w nim żywiej; nie miał już przed sobą złamanego człowieka, tylko Krwawego Króla, którego szerokie ramiona zdawały się niejako okryte płaszczem mocy.

Oczy były błękitne i lodowate jak zimowy wichur, postawa znamionowała urodzonego wojownika.

- Czy chcesz czegoś ode mnie, Cormacu? - zapytał głosem dźwięcznym i głębokim.

- Tylko tego, co zawsze mi dawałeś. Niczego.

- Nie wiedziałem, że żyjesz, chłopcze.

- Ale mógłbyś wiedzieć, gdybyś nie zapędził mojej matki do jaskini.

- Przeszłość minęła - rzekł Uther z udręką w głosie. - Twoja matka i ja znowu jesteśmy razem.

- Cieszę się z tego.

- Dlaczego ryzykowałeś życie, by mnie uratować? Cormac odchrząknął.

- Nie chodziło mi o ciebie, Utherze. Szukałem ukochanej kobiety. Okazało się jednak, że ty też tam jesteś i być może więzy pokrewieństwa pomogły mi podjąć decyzję. Sam nie wiem. Ale niczego od ciebie nie chcę. Obojętne mi jest twoje królestwo, czy też to, co z niego zostało. Pragnę jedynie odszukać Anduinę, a potem nie usłyszysz już o mnie.

- Cierpkie słowa, synu. Nie będę się jednak z tobą spierał. Znam własne błędy i nikt nie może pomniejszyć minionych cierpień... ani też ich pogłębić. Wolałbym, gdybyś zechciał spędzić ze mną trochę czasu, żebym mógł cię poznać i być z ciebie dumny, ale skoro wybrałeś inną drogę, niechaj tak będzie. Uściśniesz mi rękę po męsku i przyjmiesz słowa podziękowań?

- Tyle mogę zrobić.

Cormac schodził na dół do reszty oczekujących z lżejszym sercem niż wtedy, kiedy wspiął się na szczyt.

W następnej kolejności zostali wezwani Gwalchmai i Prsamaccus, a po nich Severinus Albinus.

Pokłonił się królowi.

- A już sądziłem, że czeka mnie spokojna starość - rzekł oskarżycielskim tonem.

- Zawsze mogłeś odmówić - odparł król. Albinus wzruszył ramionami.

- Bez ciebie życie było nudne.

Uther pokiwał głową wreszcie obaj mężczyźni uśmiechnęli się i wymienili uścisk dłoni.

- Chciałbym móc w takiej samej mierze polegać na innych, w jakiej polegałem na tobie - stwierdził król.

- I co teraz, Utherze? Trzystu moim starszkom rozkazałem bronić grobli. Ostatni z przybyłych powiadają, że zebrano się ponad dwanaście tysięcy Gotów. Mamy ich zaatakować, czy może zaczekać?

- Ruszemy na nich z ogniem i mieczem.

- Świetnie, zapiszemy się w historii złotymi zgłoskami.

- Zechcesz mi towarzyszyć po raz ostami? Albinus wyszczerzył zęby.

- Czemu nie? Nie ma już dokąd uciekać.

- Przygotuj ludzi, ruszemy bowiem tak, jak to już się raz zdarzyło.

- Wtedy było nas prawie pięć tysięcy, wasza wysokość. Byliśmy młodzi i nie zważaliśmy na niebezpieczeństwa.

- Myślisz, że dwanaście tysięcy Gotów jest w stanie stawić czoła legendarnemu dziewięciemu legionowi? - zaśmiał się Uther kpiarsko.

- Chyba powinienem zostać w Calarii.

- Nie pójdziemy w bój sami, przyjacielu. Byłem w dalekiej podróży i obiecuję ci dzień pełen niespodzianek.

- W to nie wątpię, panie. I nie jestem głupcem; wiem, dokąd musiałeś się udać i dziwi mnie tylko, że pozwolono ci ujść z życiem.

Uther zachichotał.

- Życie to wielka gra, Albinusie, i tak je należy traktować. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, a w oczach zgasły wesołe iskierki. - Wiedz, że złożyłem obietnice, których co poniektórzy będą żałować.

Albinus wzruszył ramionami.

- Cokolwiek uczyniłeś, masz moje poparcie. Z drugiej strony jestem już stary i spragniony spokojnego żywota. Zostawiłem w Calarii chytrego sługę, który pewnie w tej chwili modli się o moją śmierć. Chciałbym go rozczarować.

- Być może ci się to uda.

Na ostatku został wezwany Galead; słońce zachodziło, gdy zobaczył króla.

- Bardzo się zmieniłeś, Ursusie. Chcesz powrócić do dawnej twarzy?

- Nie, panie. Lekky nie wiedziałaby, co o tym myśleć, poza tym podobam się sobie jako Galead.

- Odnalazłeś miecz. Jak ci się odplączę? Galead uśmiechnął się.

- Nie oczekuję zapłaty.

- A propos mieczy... widzę, że rozstałeś się z bronią.

- Nigdy już nie porwę się do oręża. Miałem nadzieję znaleźć małą farmę i hodować konie.

Lekky miałaaby kucyka. Ale... - Rozłożył ręce.

- Nie porzucaj tej nadziei, Galeadzie. Jeszcze nie wszystko skończone.

- Gdzie zbierzesz armię?

- Chodź ze mną, a sam się przekonasz.

- Na nic ci się nie przydam. Nie zostanę już wojownikiem. - Chodź, tak czy inaczej.

Pocziwe siostry zaopiekują się

Lekky.

- Straciłem apetyt na krew i śmierć. Przestałem nienawidzić Gotów i nie chcę patrzeć, jak będą zabijani.

- Jesteś mi potrzebny, Galeadzie. Możesz swobodnie obyć się bez miecza; inny zajmie jego miejsce w oznaczonym czasie.

- Rozmawiałeś z Pendarrikiem?

- Nie musiałem. Jestem przecież królem i wiem, co ma się zdarzyć.

Wreszcie na pagórku pokazała się Laitha i stanęła przy ramieniu Uthera. Razem wpatrywali

się w Śpiących Gigantów, połyskujących w pozłocie księżyca.

- Powiedz, że wrócisz - poprosiła. -Wróć.

- Użyłeś miecza, aby zobaczyć potęgę Wodana?

- Tak, a przy okazji zobaczyłem przyszłość. Nie jest taka zła, choć czekają nas różne utrapienia. Cokolwiek jutro się stanie, królestwo upadnie. Walczyliśmy niestrudzenie, aby utrzymać je przy życiu, niczym płomień świecy na wietrze. Ale która ze świec pali się wiecznie?

- Jesteś smutny?

- Trochę, poświęciłem bowiem życie Brytanii. Jednak ludzie, którzy nadejdą po moim odejściu, będą silni, dobrzy i troskliwi. Kraj ich przyjmie, a oni go pokochają. Tęsknoty za moim królestwem niezadługo wygasną.

- A co z tobą, Utherze? Dokąd pójdziesz?

- Zostanę z tobą. Na zawsze.

- O, dobry Boże! Myślisz, że...

- Tylko nic nie mów - szepnął, dotykając palcem jej ust. - Jutro wrócę na wyspę. Staniesz na tym stoku wzgórza i zobaczysz moją łódź. Od tej chwili nigdy się już nie rozstaniemy, chociaż

świat skończy się w płomieniach i zatrze się wspomnienie o gwiazdach.

- Będę na ciebie czekać - powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Łzy i tak popłynęły...

Wodan jechał na czele armii dziesięciu tysięcy wojowników, którzy zaznawali jedynie zwycięstw, odkąd po raz pierwszy znalazł się między nimi. W nocy zdezerterowali Sasi, ale nie byli już potrzebni. Przed nim znajdował się Wielki Krąg w Sorviodunum; Wodan wciąż pamiętał dzień, kiedy go wzniesiono, rozumiał tajemnice zawarte w jego wymiarach.

- Idę po ciebie, Pendarricu - szepnął na wietrze i ogarnęła go radość.

Wojska powoli przemierzały równinę.

Znienacka krąg rozbłysła światłem i Wodan ściągnął cugle. Promienie słońca odbijały się od zbroi - wokół kręgu dostrzegł kilkuset rzymskich żołnierzy. Wysoka postać wystąpiła naprzód i zagroziła drogę Gotom. Głowę chronił wielki skrzydlaty hełm, w rękę połyskiwał miecz Cunobelina.

Wodan ścisnął konia piętami i puścił go w cwał.

- Jesteś silniejszy niżli przypuszczałem - stwierdził. - Gratuluję ucieczki. - Ciemnymi oczami lustrował wojowników. - Zawsze wierzyłem, że nie ma to jak weteran, gdy potrzeba doświadczenia lub chce się przetrzymać obłężenie. Ale to...? To jakaś komedia!

- Zerknij w prawo, arogancki sukinsynu - rzekł Uther, wskazując uniesionym mieczem Cunobelina na północ. Biała błyskawica wystrzeliła z najwyższego wzgórza, powietrze wokół zalsniło. Spod ziemi wyrósł raptownie Geminus Kato na czele swojego legionu. Zza zdyscyplinowanych brytyjskich szeregów wysypały się tysiące Brygantów w bojowych rydwanach z brązu i żelaza. - Popatrz też w lewo - syknął król, a Wodan okręcił się w siodle.

Powietrze znów zalsniło i powstała szczelina, z której wymaszerowało pod wodzą brodatego Asty trzydzieści tysięcy saskich wojowników, ustawiając się w bojowym szyku. Mężczyźni o ponurym wejrzeniu, zbrojni w topory, stali w ciszy, czekając na rozkaz, by dokonać zemsty na Gotach.

- Gdzież to podział się twój uśmieszek? - zapytał Krwawy Król.

Goci, widząc sześciokrotną przewagę wroga, utworzyli olbrzymi krąg tarcz, a Wodan wzruszył ramionami.

- Uważasz, że już wygrałeś? Wydaje ci się, że to wszystko, na co mnie stać? - Wskazał na swoich ludzi.

Zdjął hełm, a wtedy Uther zobaczył blask bijący z czoła Wodana, pulsujące czerwienią

światło, które jaśniało niczym ukryta korona.

Niebo pociemniało, a pomiędzy chmurami król dostrzegł demoniczną armię zbrojnych w szpony bestii, zataczających koła i nurkujących w dół, próbujących rozedrzeć niewidzialną barierę.

Bez widocznej przyczyny koń Wodana spłoszył się pod królem i zaraz łuski pokryły jego boki, łeb wydłużył się i przybrał kształt klina, ogień buchnął z nozdrzy. Ledwie jednak zwierzę wspięło się na zadnie nogi, Uther uniósł miecz i odbił ogień, opalając trawę u swoich stóp. Klinga ze świstem cięła w pokryty łuskami kark i rumak, wijąc się w agonii, padł na ziemię. Wodan zwinnie zeskoczył z grzbietu, dobywając miecza.

- Słusznie się dzieje - powiedział. - Dwóch królów rozstrzyga losy świata!

Skrzyżowały się miecze. Wodan był wojownikiem o niebywałej sile i pewności siebie, niepokonanym w boju od czasu zmartwychwstania. Uther jednak również był nie lada mocarzem, a szkolił go Culain iach Feragh, największy wojownik epoki. Spotkali się równorzędni przeciwnicy: klingi świstały i szczękały, a obserwujący to starcie ludzie podziwiali zręczność walczących. Czas się nie liczył, gdyż żaden z nich nie okazywał zmęczenia. Pojedynek przeciągał się, ale wciąż trudno było wskazać stronę przeważającą. Jedynie demony się poruszały, usiłując przełamać niewidzialną zaporę, podczas gdy żołnierze obu armii oczekiwali w ciszy na wynik.

Ostrze Uthera przecięło bok Wodana, lecz ten w gwałtownej riposie rozorał udo króla. Wkrótce obaj krwawili z wielu ran i furia ich nieco osłabła. Uther zachwiał się, gdy klinga przeszła pod jego żebrami, lecz tylko przez chwilę oczy Wodana błyszczały triumfalnie, król bowiem cofnął się i miecz Cunobelina ciął zamaszystym, morderczym łukiem. Wodan, który nie zdążył wyrwać broni z ciała Uthera, wrzasnął tylko, gdy ostrze trafiło go w czaszkę, wnikając pod diadem z Sipstrassi i roztrzaskując kość na szkarłatne kawałeczki.

Władca Gotów zatoczył się wstecz i wezwał na pomoc potęgę kamienia. W tym momencie Uther padł na kolana i rzucił się własnym ciałem na wroga, przy czym wraził miecz w brzuch Wodana

i przepołowił jego serce. Wodan przewrócił się, wstrząsany drgawkami, a wtedy Uther jednym chłaskiem odciął głowę od tułowia. Sipstrassi wciąż błyszczał w czaszce, ale nad głowami zgromadzonych armii zapora zaczęła z wolna pękać. Król usiłował unieść miecz, ale opuszczały go siły.

Nagle, gdy tak klęczał na trawie, jakiś cień padł na jego oblicze.

- Daj mi swój miecz, królu - rzekł Galead.

Uther oddał oręż i runął jak długi obok martwego wroga, Galead zaś uniósł wysoko ostrze.

- Wracajcie! - zawołał. W tej samej chwili zerwał się straszny wicher, chmury skłębiły się, a na niebie pokazał się zygzak błyskawicy. Z miecza wystrzelił słup światła, który przedarł się przez obłoki.

Demony zniknęły.

Wtem, wysoko na firmamencie, jaskrawe światelko rozbłysło niczym srebrna moneta z ognistym ogonem. Galead zauważył, jak lśniący kamień osadzony w mieczu stopniowo ciemnieje. Oto pojawiła się kometa, o której wspominał Pendarric, poruszająca się gwiazda, przyciągająca magię Sipstrassi. Galead już wiedział, jakie życzenie powinien wypowiedzieć.

- Zabierz wszystko! - krzyknął. - Wszystko!!!

Niebo rozdarło się jak kurtyna, a sama kometa zdawała się pęcznieć. Była coraz bliżej i bliżej, ogromna i okrągła niczym młot bogów opadający po to, aby zgładzić ziemię. Ludzie rzucali się na ziemię i zasłaniali rękami głowy. Galead czuł, jak kometa wysysa moc z miecza, wysysa moc z kamienia oraz życie z jego ciała. Sił mu ubywało, ramiona stawały się cienkie, jak patyki. Kolana ugięły się pod nim i upadł, w dalszym ciągu jednak utrzymywał miecz wysoko nad głową.

Równie nagle, jak się pojawiła, kometa znikła i wielka cisza zaległa na równinie. Cormac i



Prasamaccus podbiegli do króla, ignorując wychudzonego starca, który leżał na trawie z kościstą ręką ciągle zaciśniętą na rękojeści miecza Cunobelina.

Wielki krąg zajaśniał nagle i wyszedł z niego Pendarric. Uklęknął przy Galeadzie, dotknął kamieniem jego czoła i oto młodość znów wpłynęła do starczego ciała.

- Poznałeś słowa mocy - rzekł.

- Czy zło już odeszło?

- Kamienie Sipstrassi zniknęły z powierzchni twojej planety. Być może zostały się gdzieś w głębinach morza, lecz nie znajdzie ich żaden

człowiek, choćby przeminęło tysiąc lat. Twoja to zasługa, Galeadzie. Położyłeś kres królestwu magii.

- Ale ty ciągle masz kamień.

- Ja przybywam z Feragh, przyjacielu. Tam nie widziano komety.

- Co z królem?! - Galead szarpnął się, usiłując powstać.

- Poczekaj najpierw, aż odzyskasz siły.

Pendarric zbliżył się do leżącego Uthera. Rany króla były głębokie, a z przebitego boku buchała krew. Prasamaccus uwijał się, by zatamować wylew, a Gwalchmai i Severinus Albinus podtrzymywali ciało; Cormac stał nieopodal.

Pendarric uklęknął przy królu; chciał przytknąć kamień do boku rannego.

- Nie! - wyszeptał Uther. - To koniec. Przyrowadź do mnie wodzów Gotów i Sasów, Prasamaccusie. Tylko się pospiesz!

- Potrafię cię uratować, Utherze! - rzekł Pendarric.

- A po co? - Krew poplamiała brodę króla, twarz była śmiertelnie blada. - Nie mógłbym być już nikim mniej, niż jestem. Nie mógłbym mieszkać na wsi. Kocham ją, Pendarricu, zawsze ją kochałem. Ale już nigdy nie byłbym tylko człowiekiem. Rozumiesz to? Jeśli zostanę, to tylko po to, aby walczyć z Sasami, Brygantami, Jutami... próbując bodaj jeszcze przez chwilę utrzymać płomyk świecy.

- Wiem - odparł Pendarric ze smutkiem.

Prasamaccus powrócił wraz z wysokim, jasnowłosym Gotem, który uklęknął przed królem.

- Twoje imię?

- Alaryk - padła odpowiedź.

- Chcecie żyć, Alaryku?

- Oczywiście - odparł wojownik spokojnie.

- W takim razie złożycie broń, a ja obiecuję, że będzie wam wolno bez przeszkód powrócić na statki.

- Dlaczego miałbyś to robić?

- Zmęczyły mnie krew i śmierć. Masz wybór, Alaryku: żyć albo umierać. Dokonaj go teraz.

- Chcemy żyć.

- Słuszny wybór. Severinusie, dopilnujesz, aby moje rozkazy zostały wypełnione. Koniec z zabijaniem. Gdzie Asta?

- Tutaj, Krwawy Królu - odezwał się wojownik, klękając przed konającym monarchą.

- Pragnę dotrzymać obietnicy, którą ci wczoraj dałem. Ziemia Południa nadaje ci w udzielne władanie. A mówię to w obecności świadków.

- I nie będę wasalem?

- Nie, będziesz królem odpowiedzialnym jedynie przed własnym narodem.

- Zgadzam się, choć nie wiem, czy położy to kres wojnom między moim a twoim narodem.

- Człowiek za życia nie jest w stanie wygasić wszystkich wojen - odparł Uther. - Dopilnuj, aby Goci dotarli na swoje statki.

- Czy to rozkaz, Krwawy Królu?

- Prośba, z jaką jeden król zwraca się do drugiego króla.

- W takim razie ją spełnię. Ale to ty powinienesz zaleczyć te rany.

Uther uniósł okrwawioną prawicę i Asta uściśnęła ją, jak to czynią wojownicy, chwytając za przegub króla. Potem wstał i wrócił do swoich pobratymców.

- Zabierzcie mnie na wyspę - poprosił Uther. - Ktoś tam na mnie czeka.

Z największą ostrożnością uniesiono ciało władcy i zanesiono do Wielkiego Kręgu, gdzie zostało ułożone na ołtarzu. Pendarric odsunął się, a król zawezwał Cormaca.

- Nie dane nam było się poznać, synu, jednak nie wspominaj mnie z goryczą. Wszyscy ludzie popełniają błędy i większość z nich cierpi z ich powodu.

- Nie czuję goryczy, Utherze. Tylko dumę... i żal. Król uśmiechnął się.

- Galeadzie - szepnął słabnącym głosem.

- Tutaj jestem, panie.

- Kiedy przejdziemy przez bramę, zobaczysz łądz. Zaniesiesz mnie na nią i popłyniesz na wyspę. Będzie tam czekać kobieta, która wie, że skłamałem. Powiedz jej, że w ostatnich chwilach o niej właśnie myślałem. - Uther osunął się na kamień.

Pendarric podszedł szybko z uniesioną ręką, ale król już zniknął wraz z Galeadem.

Prasamaccus zapłakał rzewnie i odszedł chwiejnie na bok. Gwalchmai stał z suchymi oczami, lecz ściągniętym obliczem.

- On powróci. Wiem, że powróci... gdy będziemy w wielkiej potrzebie.

Nikt się nie odzywał. Na koniec Severinus Albinus położył dłoń na ramieniu Gwalchmaiego.

- Nie znam waszych wszystkich celtyckich wierzeń - powiedział - ale wiem, że jest gdzieś miejsce dla takich ludzi jak Uther i że on nie umrze.

Gwalchmai odwrócił się, aby mu odpowiedzieć, ale nie umiał już dłużej powstrzymać cisnących się do oczu łez. Skinął sztywno głową i podszedł do ołtarza, gdzie stanął samotnie, wpatrzony w niebo.

Cormac został z rozdartym sercem. Słabo znał Uthera, ale łączyły ich więzy krwi, z czego był dumny. Obejrzał się i ujrzał, jak młoda kobieta biegnie przez równinę z rozwianymi włosami.

-Anduino! -krzyknął. -Anduino!

Usłyszała go.

## Epilog

**G**oroien uniosła srebrny hełm i położyła go na tronie, obok rękawic i napierśnika.

Zatrzymała jedynie miecze. Potem zeszła do sali, minęła milczące zastępy okrytych cieniem bestii i wydostała się na równinę przed twierdzą.

Widziała, jak szara wstęga drogi wije się aż po horyzont, a na niej stoi okryta szczelnie postać. Podeszła powoli do człowieka w kapturze, trzymając dłoń na rękojeści srebrnego miecza.

- Jesteś sługą Molocha? - zapytała.

- Nie jestem niczym sługą, Goroiem, chyba że twoim. - Odsunął z twarzy kaptur, a ona westchnęła, ukrywając twarz w dłoniach.

- Nie patrz na mnie, Culainie. Zobaczysz tylko rozkład. Ujął czule jej ręce i przypatrzył się nieskazitelnemu pięknu.

- Nie ma żadnego rozkładu. Jesteś równie piękna, jak pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem.

Popatrzyła na swoje ręce i przekonała się, że powiedział prawdę.

- Czyżbyś mógł mnie wciąż kochać po tym wszystkim, co ci wyrządziłam? - zapytała.

Uśmiechnął się i uniósł jej dłoń do ust.

- Nikt nie wie, dokąd prowadzi droga - rzekł. - Sądzisz, że gdzieś jest raj?

- Myśmy go już chyba znaleźli.